



Lisa Jewell
Prawdziwa historia
Melody Browne

Tłumaczyła Anna Mackiewicz



Pamięci Ruby Roxanne Seeley

18.09.07

TLR

Podziękowania

Serdecznie dziękuję Judith Murdoch i Louise Moore. Mam wobec was ogromny dług wdzięczności i bardzo za wami tęsknię.

Dziękuję mojej kochanej kumpeli Jenny C, za całokształt, a w szczególności za to, że była przy mnie podczas kwietniowej zawieruchy w 2008. Nie dałabym rady bez ciebie.

Z podobnych *powodów* dziękuję *Jaschy*. W czasach kryzysu dajesz z siebie wszystko i tak było i tym razem.

Dziękuję wam Jonny Geller i Kate Elton za cierpliwość i delikatność z jaką sterowaliście mną gdy pokonywałam wzburzone fale. Sprawiliście, że to doświadczenie stało się tak bezbolesne, jak tylko można by w granicach rozsądku sobie wyobrazić. Nie mogę się już doczekać kolejnych lat spokojnej żeglugi w waszym towarzystwie.

Dziękuję moim najdroższym córeczkom, Amelie i Evie. Gdy zaczęłam pisać tę książkę, młodsza była zaledwie zawiniątkiem przy moim boku, a teraz jest już małą dziewczynką z błyszczącą czuprynką złocistych loków, ma szaroniebieskie oczy i szczególne zamiłowanie do słowa „moje”. Szczęściara ze mnie.

Dziękuję wszystkim z Century and Arrow Books za ciężką pracę, którą włożyli, by przeobrazić moje wycpiny na kartkach A4 w piękną rzecz, którą porozstawiali w księgarniach tuż pod nosami wszystkich ludzi. I dziękuję wszystkim tym, którzy sprzedają tę książkę i tym, którzy ją kupują. Bez was nie miałoby to sensu.

Wreszcie i nareszcie dziękuję moim przyjaciółom z Drużyny. Wiecie, kim jesteście i jaki jest wynik.

Prolog

MELODY BROWNE otworzyła oczy i ujrzała księżyc, perfekcyjnie wykrojony biały krążek w granatowym niebie. Rozświetlony w pełni oblewał ją swym blaskiem niczym główną gwiazdę przedstawienia.

Zamknęła ponownie oczy i uśmiechnęła się. Wokół siebie słyszała entuzjastyczny aplauz trzaskającego drewna, skwierczącej farby, pękających szyb i dramatyczny ryk syreny wyjącej gdzieś w oddali.

— Melody! Melody! — *To ona.* Ta kobieta. Mama.

— Otworzyła oczy! Widziałaś? Tylko na sekundę!

Inny głos. Należał do mężczyzny z łysiejącą głową, jej taty.

Melody wciągnęła powietrze. Do gardła i nosa wlał się żrący kwas. Osmolone powietrze parzyło płuca. Część utknęła w połowie drogi do przetyku i piekła niczym rozżarzona zapalka. Dziewczynka wstrzymała powietrze i poczekała, aż zgaśnie pod naporem bijącego serca. Ale przez ten jeden krótki moment, leżąc na chodniku przed domem w księżycowym blasku, z głową pełną stłumionych myśli i rodzicami przy boku, poczuła się nagle zawieszona między ciemnością a jasnością, bólem i ulgą, w miejscu, w którym jej życie w końcu nabrało sensu. Uśmiechnęła się ponownie i zakaszła.

Osmolone twarze rodziców odpowiedziały uśmiechem. Mama ujęła dłoń dziewczynki i zaczęła ją głaskać.

— Och, dzięki Bogu! — Szlochała bez tchu. — Dzięki Bogu.

Melody mrugała i próbowała mówić, ale straciła głos. Zabrał go pożar. Odwróciła się do taty. Łzy wydrążyły ścieżki na poplamionej sadzą twarzy. Chwycił jej rękę.

— Nic nie mów — przekonywał chropowatym głosem przepelnionym miłością. — Jesteśmy tutaj. Jesteśmy.

Kątem oka Melody dostrzegła w rozbitych szybach roztańczone stroboskopowe światło. Pozwoliła mamie unieść się do pozycji siedzącej i rozejrzała się dookoła, ogarniając wzrokiem nieoczekiwany widok. Dom, jej dom, ryczał i wił się w płomieniach. Gromada ludzi, ubranych w szlafroki i pizamy, wpatrywała się w ogniste języki, jakby uczestniczyli w pokazie ogni sztucznych z okazji święta Guy Fawkes Night. Na środku ulicy stały dwie wielkie czerwone maszyny, wokół których uwijali się mężczyźni w żółtych kaskach, rozwijali grube węże i pędzili w kierunku domu. Całej scenie przyglądał się nieświadom dramatu jasny księżyc w pełni.

Melody wstała i zachwiała się na drżących kolanach.

— Straciła na chwilę przytomność — usłyszała głos mamy. — Na zewnątrz jest od jakichś pięciu minut.

Ktoś chwycił ją pod łokieć i delikatnie poprowadził ku oślepiającym światłom karetki. Owinięto ją kocem i przez dziwnie pachnącą, plastikową maskę nakarmiono tlenem. Wbiła wzrok przed siebie. Rzeczywistość zaczęła powoli przesączać się przez dym i chaos, a Melody nagle się poderwała.

— Mój obraz!

— Wszystko w porządku — odezwała się mama. — Jest tutaj. Clive go uratował.

— Gdzie? Gdzie jest?

— Tam. — Wskazała na krawężnik.

Obraz leżał na chodniku. Melody spojrzała na młodą Hiszpankę z ogromnymi błękitnymi oczami i w sukience w kropki. Poruszył ją w dziwny, trudny do określenia sposób. Uspokoił i uciszył, jak zawsze.

— Zajmiesz się nim? — zapytała chrapliwym głosem. — Przypilnujesz, żeby nikt go nie zabrał?

Rodzice wymienili spojrzenia, najwyraźniej uspokoiła ich ta troska o tandetny obrazek ze sklepu z rupieciami.

— Musimy ją zabrać do szpitala — powiedział mężczyzna. — Zrobić badania. Upewnić się, że nic jej nie jest.

Mama skinęła głową.

— Zostanę tutaj — zdecydował tato. — Przypilnuję wszystkiego.

Jak na zawołanie odwrócili głowy i wzrokiem potwierdzili szokującą prawdę. Ich dom przemieniał się w popiół i zgliszcza.

— Mój dom — wyszeptała Melody.

Rodzice pokiwali głowami.

— Moja mama i tata.

Ponownie skinęli i przyciągnęli ją do siebie w objęcia.

W ramionach rodziców Melody poczuła się bezpiecznie. Pamiętała jedynie to, że kilka chwil wcześniej silne ręce podniosły ją z łóżka i wyniosły z rozzarzonego wnętrza na świeże powietrze. Tato ratujący jej życie. Wpatrzony w nią księżyc. I namalowana Hiszpanka zapewnijająca, że wszystko będzie dobrze. Nie pamiętała nic więcej.

Położyła się na świeże, śnieżnobiałe prześcieradło i obserwowała zasuwające się drzwi. Hałas, światła, pomruk zniszczenia ucichały stopniowo, gdy karetka oddalała się w kierunku szpitala.

ROZDZIAŁ 1

MELODY MIAŁA dziewięć lat, gdy jej dom doszczętnie spłonął, a wraz z nim wszystkie jej zabawki, fotografie, ubrania i stara bożonarodzeniowa kartka. Ale ogień pochłonął nie tylko rzeczy, zabrał również wspomnienia. Melody Browne nie pamiętała prawie niczego, co wydarzyło się w jej życiu, zanim skończyła dziewięć lat. Wczesne dzieciństwo stało się dla niej tajemnicą. Miała tylko dwa mgliste i ulotne niczym podmuch śniegu wspomnienia z tego okresu. Pamiętała wspinać się na oparcie sofy i wyciąganie szyi, by wyjrzeć przez wysokie okno. Pamiętała też pachnące łóżko w słabo oświetlonym pokoju, puszek kremowych piórek i maleńkie dziecko w kołysce. Te wspomnienia nie miały żadnego kontekstu, były jedynie dwoma odizolowanymi obrazkami zawieszonymi w czasie i odbijały się echem w pustym pokoju, który powinien być wypełniony tysiącem innych, podobnych wspomnień.

W wieku trzydziestu trzech lat, gdy przeszłość stała się jedynie zakurzonym fragmentem jej życia, Melody niespodziewanie doświadczyła czegoś nadzwyczajnego. W ciepły lipcowy wieczór, jeden z wielu ciepłych wieczorów tego lata, życie Melody Browne osiągnęło punkt zwrotny, przestało być tym, czym było dotychczas, i potoczyło się w zupełnie nowym kierunku.

*

Ten przełomowy wieczór Melody miała spędzić w domu. Ale kilka dni wcześniej uległa presji ciężkiej kropli letniego deszczu na gołym ramieniu i przerwała zwyczajowy spacer po pracy, wskakując do autobusu numer czternaście. Najprawdopodobniej spędziłaby ten wieczór w domu, gdyby tamtego dnia nie włożyła bluzeczki odsłaniającej przed całym światem gołe ramiona.

— W życiu nie widziałem bardziej niesamowitych ramion — powiedział mężczyzna, wślizgując się na siedzenie obok niej. — Nie mogę oderwać od nich oczu, odkąd wsiadłaś.

— Jaja sobie robisz? — odpowiedziała poetycko.

— Nie, naprawdę. Mam słabość do ramion, a twoje są piękne.

Dotknęła nieśmiało ramion, a potem rzuciła mu podejrzliwe spojrzenie.

— Jesteś fetyszystą?

Roześmiał się głośno, błyskając trzema srebrnymi plombami.

— Nic mi o tym nie wiadomo — odpowiedział. — Chyba że kwalifikuję się na jednego, skoro podobają mi się kobiety z pięknymi ramionami.

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Podobała mu się. Przecież ona nikomu się nie podobała. Ostatni raz komplement usłyszała w 1999 roku i, jak przypuszczała, główną motywacją była litość tamtego mężczyzny.

— Wyglądam na zboczeńca? — zapytał rozbawiony.

Przyjrzała mu się uważnie. Zarejestrowała mokasyny, bladoniebieską koszulę, świeżo umyte włosy i spodnie w kolorze piaskowym. Nie mógł wyglądać bardziej normalnie.

— A właściwie to skąd wiadomo, jak wyglądają zboczeńcy? — zapytała.

— Słuchaj, przysięgam, że nim nie jestem. Jestem całkowicie normalny. Jeśli chcesz, to mogę ci dać telefon do mojej byłej żony. Uważała, że jestem tak beznadziejnie normalny, że zostawiła mnie dla faceta z kolczykiem w brwi.

Melody roześmiała się, a mężczyzna jej zawtórował.

— Słuchaj — powiedział, wstając. — Tutaj wysiadam. To moja wizytówka. Jeśli masz ochotę spędzić wieczór ze zboczonym fetyszystą, to zadzwoń.

Melody wzięła wizytówkę z jego opalonych palców i gapiała się w nią przez chwilę.

— Spokojnie, nie będę czekał z wstrzymanym oddechem — powiedział, uśmiechając się. A potem chwycił plecak i zniknął za sapiącymi, hydraulicznymi drzwiami.

Kobieta siedząca przed Melody odwróciła się.

— Do diabła — powiedziała — jeśli ty nie zadzwonisz, to ja to zrobię!

Nie zadzwoniła do niego. Odczekała całe siedem dni, a potem wysłała mu esemesa. I to nie dlatego, że jakoś szczególnie chciała (mężczyzna był ostatnią rzeczą, jakiej Melody Browne potrzebowała do szczęścia), ale dlatego, że wszyscy, począwszy od jej syna, najlepszej przyjaciółki, a skończywszy na kumpelach z pracy, żądali, by tak zrobiła.

„Cześć. To ja, kobieta z ramionami, od których nie mogłeś odebrać oczu w autobusie numer 14. To mój numer. Zrób z nim, co chcesz”.

W przeciągu pięciu minut przyszła odpowiedź.

„Dziękuję za numer. Sam nie wiem, co z nim zrobić. Jakies propozycje?”

Westchnęła. Miał ochotę na żarty.

A Melody wcale jej nie miała. Pragnęła jedynie iść dalej przez życie.

Wysiliła się na zdawkową odpowiedź. „Nie wiem — umówić się?”

Ben skorzystał z propozycji. I tak zaczęła się podróż.

TLR

ROZDZIAŁ 2

Teraz

MELODY BROWNE mieszkała w kamienicy w stylu wiktoriańskim, wciśniętej między Endell Street a Neal Street, w samym środku Covent Garden.

Razem z nią mieszkał Edward James Browne, nie mąż, ale siedemnastoletni syn. Mieszkanie było małe i słoneczne, bez ogrodu, ale za to z balkonem wychodzącym na główne podwórze. Nie tylko bogacze mogli się cieszyć posiadaniem mieszkania w Covent Garden. Rada miejska Camden dysponowała sporą liczbą nieruchomości i jedno z komunalnych mieszkań zaproponowano piętnastoletniej, samotnie wychowującej dziecko Melody. Od tamtej pory ich mieszkanie nabrało cech domu, który ewoluje wraz z upływającym czasem, zmianami i dojrzewaniem. Stał się domem warstw i stosów. W pokoju dziennym od siedemnastu lat stała ta sama sofa, dar dla samotnej matki. Okryta narzutą wygrzebaną z lumpeksu, gdy Ed miał dwa latka, i ozdobiona eleganckimi poduszkami z Monsoon, które upolowała na wyprzedaży dwa lata temu, gdy wygrała siedemdziesiąt pięć funtów na loterii.

Kiedy Ed był maleńki, Melody kupiła rośliny w doniczkach. W latach dziewięćdziesiątych wszyscy mieli takie rośliny. Większość z nich zdążyła umrzeć śmiercią naturalną, ale jedna, silna i zdeterminowana, a przy tym niezwykle szkaradna, uparcie siedziała na wyszczerbionym spodku otoczonym szlaczkiem z rdzy i wżartego brudu.

Gdyby Melody miała się przeprowadzić do nowego mieszkania, roślina z pewnością trafiłaby na śmietnik, ale przez te siedemnaście lat tak stopiła się z otoczeniem, że Melody przestała ją zauważać.

Przestała też widzieć sterty papierów pod łóżkiem, leżące w przedpokoju stare tenisówki Eda, z których wyrósł w wieku piętnastu lat, i

ohydnie oprawiony obrazek, z hiszpańską tancerką, wiszący na ścianie w jej sypialni, który przywędrował z nią z rodzinnego domu.

W konkursie na wystrój wnętrza mieszkanie Melody nie zdobyłoby żadnych nagród, ale urzekało ciepłem i przytulnością, nasiąkło zapachem i uczuciami domowników. Przypominało pudełko skarbów pełne wspomnień, zdjęć, pamiątek i pocztówek przypiętych do korkowej tablicy Melody wraz z synem dorastali w tym mieszkaniu, a ona pragnęła, świadomie czy nie, by ani jedna chwila tego doświadczenia nie odeszła w zapomnienie. Otoczyła się tymi wspomnieniami, każdą wizytą przyjaciółki, szkolnym przedstawieniem, świątecznym porankiem i każdym jednym wspomnieniem, bo wspomnienia były dla Melody cenniejsze niż życie.

Tego wieczora, gdy jej życie skończyło się i zaczęło w jednym momencie, Melody niezwykle starannie wybrała rzeczy. Rzadko przywiązywała wagę do ubrań, którymi w ogóle się nie interesowała. Zwykle wkładała rzeczy syna. Bywała jedynie w stołówce w szkole, do której uczęszczał Ed, zanim zdał maturę miesiąc temu, gdzie pracowała jako pomoc kuchenna. Nie miała też wystarczająco dużo pieniędzy, by wydawać je na ładne rzeczy, więc przestała się tym przejmować. Ale dzisiaj wybrała się na Oxford Street i w sieciowym sklepie Primark wydała trzydzieści pięć funtów z ciężko zarobionej pensji, bo właśnie *dzisiaj* spotykała się z mężczyzną na pierwszej od ośmiu lat prawdziwej randce.

Melody wyciągnęła gruby srebrny łańcuszek z wisiosem w kształcie gruszki, wysadzonym gagatem i onyksiem, jedną z niewielu rzeczy, która została jej po matce. Otoczyła nim szyję i odwróciła się do Eda, który przyglądał się jej z narożnika łóżka.

Chłopak miał na sobie białą koszulkę polo z wywiniętym kołnierzykiem i srebrny łańcuszek. Na gęste, czarne włosy nałożył jakieś błyszczące mazidło, wpatrywał się w nią ciemnoniebieskimi oczami z ukosa, pokazując swój rzymski profil. Był najprzystojniejszym chłopaka-

kiem w maturalnej klasie. Taką opinię dzieliła z połową dziewczyn z jego szkoły, które szeptały między sobą na przerwach nieświadome czujnych uszu Melody.

Uśmiechnął się i pokazał jej podniesiony kciuk.

— Wyglądasz ekstra — powiedział.

— Dziękuję za te kłamstwa.

— Z ręką na sercu. Wyglądasz naprawdę ładnie.

— Kłamiesz czy nie, i tak cię za to Kocham. — Uścisnęła policzki syna i głośno cmoknęła go w usta.

— Faj — prychnął, wycierając buzię wierzchem dłoni. — Błyszczysz.

— Założę się, że nie miałbyś nic przeciwko temu, gdyby był to błyszczysz Tiffany Baxter.

— Oczywiście, że nie — zgodził się. — Ona ma siedemnaście lat, jest wysportowana i nie jest moją mamą.

Odwróciła się do lustra i krytycznie zmierzyła swe odbicie. Włosy w kolorze wyblakłego orzecha z krótkiego gąszczy wyrosły w kudłaty hełm. Zęby lekko zażółcone od dwudziestoletniego palenia. Szczupła sylwetka, ale bez wyrazu. Ozdobiona cekinami czerwona tunika z Primark, z dekoltem w serek. Stare džinsy Gap. Sandały z Primark wyszywane koralikami. I odrobina strachu przyczajona w orzechowych oczach.

— Myślisz, że powinnam założyć buty na obcasach — stanęła na palcach i taksowała odbicie całej sylwetki — żeby wydłużyć nogi?

Ed skrzyżował ręce na piersi i potrząsnął głową.

— Sorry, ale nie wchodzę w klimaty pod tytułem „córka, której nigdy nie miałam”. Gejem też nie jestem.

Melody uśmiechnęła się i znów pogłaskała policzek syna.

— No tak. — Podniosła torebkę i zarzuciła ją na ramię. — No to leceć. W zamrażalniku jest pizza. Albo jeśli wolisz, to zjedz pieczonego kurczaka z wczoraj. Proszę, żebyś porządnie odgrzał jedzenie. I jeszcze...

— I jeszcze do widzenia.

— Tak — uśmiechnęła się. — Do widzenia. Dam ci znać, jak będę wracać.

Ben w jasnoniebieskiej koszuli i džinsach czekał na nią przed stacją metra Leicester Square. Melody odetchnęła z ulgą. Przyszedł. A potem poczuła zatrwożone serce. Przyszedł.

Zdażyła mu się przyjrzeć z drugiej strony ulicy, zanim jego wzrok błyskawicznie ją odnalazł. Był wyższy i bardziej męski, niż go zapamiętała. Odpychała ją jego zaskakująco gładka i świeża twarz, która wyglądała na nietkniętą życiem. Odruchowo uniosła palce i poczuła szorstkość i zmęczenie swojej cery. Wiedziała, że wygląda staro jak na swój wiek (dość często, choć okrutnie i niepotrzebnie, przypominała sobie, że tyle samo lat ma Kate Moss).

— Wyglądasz ślicznie — przywitał ją i pochylił się, by pocałować w policzek, dotykając przy tym jej odsłoniętego ramienia.

— Dziękuję — odpowiedziała. — Ty też. — Zaczerwieniła się i na chwilę straciła oddech, bo zdażyła już zapomnieć, jak smakuje dotyk mężczyzny na skórze.

— Napijemy się? — zapytał. — Przedstawienie zaczyna się za pół godziny.

— Tak. Dobry pomysł.

Poszli do małego pubu na Cranbourn Street. Melody zamówiła kieliszek białego wina dla siebie i gin z tonikiem dla Bena.

— Więc — zaczął Ben — wnieśmy toast. Za bezwstydnym nieznajomym, piękne ramiona i ciepłe letnie noce.

Delikatnie stuknęła jego kieliszek i zastanawiała się, czy normalny facet powiedziałby coś takiego. Każde jej spojrzenie wyłapywało w nim jakiś feler. Jego nos był za gładki, szczeka zbyt kwadratowa, był za czysty, za świeży, miał za puszyste włosy i zbyt czyste buty.

Zaprosił ją na show Juliusa Sardo, słynnego władcy umysłów i hipnotyzera. Bilety na przedstawienie rozeszły się już dawno, ale brat Bena załatwił im wejściówki w agencji sprzedaży biletów, w której pracował. Ed drażnił się z nią przez cały tydzień — „spójrz mi głęboko w oczy, patrz mi głęboko w oczy” — a ona dokładnie wiedziała, o co mu chodziło. Uważała hipnozę za głupkowatą sztuczkę, której uczyli się tylko ci, którzy pragnęli zwracać na siebie uwagę atrakcyjniejszych ludzi.

— Widziałaś kiedyś jego show?

— Na żywo nigdy — odpowiedziała. — Tylko w telewizji.

— A widziałaś ten numer, w którym nakręcił kobietę, żeby obra-
bowała ciężarówkę z kasą pancerną? A to była policjantka.

— Nie. — Potrząsnęła głową. Zauważyła kawałek bandaża wystającego spod mankietu koszuli. — Co ci się stało w rękę? — zapytała.

Dotknął bandaża.

— Skręciłem nadgarstek — odpowiedział. — Spędziłem trzy go-
dziny na izbie przyjęć.

— Och — jęknęła Melody. — Co się stało?

— Squash — odpowiedział, udając zamach rakieta i mrugając okiem. — Trochę się zapomniałem.

Melody zmrużyła oczy. W kontekście jej życia gra w squasha wydała się kompletnie absurdalna.

— No to masz nauczkę — stwierdziła z przekąsem, w połowie wierząc w te słowa.

— Tak. To prawda. — Uśmiechnął się. — Pewnie istnieją lepsze sposoby niż walenie w małą gumową piłkę, żeby uwolnić z siebie nagromadzoną energię.

Nastąpiła krótka, intensywne cisza. Melody upiła spory łyk wina i spróbowała stłumić ogarniające ją poczucie paniki. Od samego początku wiedziała, że to była jedna wielka pomyłka. Oczywiście, że z tym czystym facetem z twarzą z waty nie miała nic wspólnego. Jej nowe, błyszczące buty mrugały do niej, drwiąc z jej głupoty.

— To co — Ben przerwał ciszę. — Pracujesz w szkole? Uczysz?

Melody wykrzywiła twarz. Mogła skłamać albo bez owijania w bawełnę powiedzieć, czym się zajmuje, i zobaczyć jego reakcję.

— Nie. Jestem pomocą kuchenną. Albo, jak wolisz, panią ze stołówki.

— Niemożliwe — uśmiechnął się Ben. — Naprawdę?

Pokiwała głową.

— Uhm, nylonowy fartuch, siatka na włosy — to ja.

— W życiu bym nie zgadł! Nie miałem pojęcia, że panie ze szkolnej stołówki mogłyby wyglądać tak jak ty. Za moich czasów tak nie było.

— Oczywiście, że tak, ale patrzyłeś z innej perspektywy. Dla dzieciaków każdy powyżej dwudziestego roku życia wygląda jak stary ramol, wszyscy mieszamy się w jednolitą masę smutku. A ty? Czym się zajmujesz... przepraszam — bąknęła. — Nie pamiętam dokładnie...

— Jestem kosztorysantem budowlanym. Nic godnego zapamiętania. Same nudy.

— A ty to lubisz?

— Tak — odparł — może to przykre, ale prawdziwe. Nie wiem, jak to o mnie świadczy. Może powinienem skłamać, twierdzić, że moja praca zanudza mnie na śmierć i że marzę, by rzucić to w cholerę i zostać... gwiazdą rocka. — Zaśmiał się. — Ale nie. Lubię swoją pracę. Starcza na czynsz. I na połowę czynszu mojej byłej żony. — Znów się zaśmiał. — A ty od zawsze mieszkasz w Londynie?

Melody potrząsnęła głową.

— Nie — odparła. — Wychowałam się w Kent. Niedaleko Canterbury.

— Więc co cię sprowadziło do Londynu?

Umilkła na moment. Nie była pewna, czy nadszedł

stosowny czas na obwieszczenie Historii Jej Zmarnowanej Młodości. Szybko doszła do wniosku, że musiał już do tej chwili zreflektować się, iż zupełnie nie była w jego typie. Taki mężczyzna jak Ben gustował w słodkich, wysportowanych blondynkach o imieniu Isabel. Spotkanie z nią z pewnością traktował jako poprawiający samopoczucie po ucieczce żony z facetem z kolczykami eksperyment. Akt buntu, wyrównanie rachunków („a wiesz, umówiłem się na randkę z pomocą kuchenną, nie, nie żartuję”). Nie miała więc nic do stracenia, mogła bez ogródek wyłożyć na stół swoje wszystkie *smutne karty*.

— Uciekłam z domu — zaczęła śmiertelnie poważnym głosem — kiedy miałam piętnaście lat. Przyciągnęły mnie tu narkotyki, alkohol i irlandzki Cygan o imieniu Tiff. A potem zaszłam w ciążę i Tiff dał drapak, a moi rodzice nie chcieli o niczym wiedzieć. A raczej chcieliby gdybym wróciła do domu i zgodziła się na aborcję, ale ja nie chciałam, więc nie było o czym gadać. Wpisano mnie na listę ciężkich przy-

padków, przez jakiś czas mieszkałam w schronisku, a potem, w dziewiątym miesiącu ciąży dostałam mieszkanie.

Ben wpatrywał się w nią przez chwilę oniemiałym wzrokiem.

— Wstrząśnięty? — zapytała.

— Nie — potrząsnął głową. — Nie, nie wstrząśnięty. Ale zdziwiony. Wydajesz się taka... konwencjonalna. A co z twoimi rodzicami? Spotykacie się?

Wzruszyła ramionami.

— Ani razu, odkąd uciekłam z domu. Po urodzeniu Eda rozmawiałam z nimi kilka razy przez telefon i to wszystko.

— Szkoda.

— Tak uważasz? — Spojrzała na niego pytająco.

— No tak. Przecież masz syna. Szkoda, że nie poznał dziadków.

Znów wzruszyła ramionami.

— Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób. Widzisz, tak naprawdę nigdy nie traktowałam ich jak prawdziwych rodziców, raczej jak uprzejmych nieznajomych, którzy przygarnęli mnie z ulicy. Byłam w siódmym niebie, że wyniosłam się z domu. Naprawdę.

Ben wpatrywał się w nią.

— Ach — wydusił w końcu z siebie.

A Melody wiedziała już, że tego mężczyznę straciła w niespełna godzinę ich randki.

Zajęli dobre miejsca na parterze. Za dobre, jak się później okazało. Trzecia piankowa piłka wystrzelona z ogromnego karabinu Juliusa Sardo wylądowała na kolanach Melody. Różowa piłeczka z wydrukowanym numerem 3. Cała publiczność zwróciła się w jej stronę i wycią-

gnęła szyje, by móc się jej dobrze przyjrzeć. Melody, w lekkim szoku, siedziała spokojnie i wpatrywała się w różową piłkę.

— Jak masz na imię? — zawołał Julius.

— Melody — odkrzyknęła.

— Ok, Melody, zapraszam do siebie.

Wstała i wolnym krokiem pokonała przejście między rzędami. Mężczyzna w słuchawkach zaprowadził ją na scenę. Nagle znalazła się obok Juliusa, oślepiona jaskrawym światłem, wpatrywała się w morze jednorodnych twarzy.

— Ok — przemówił Julius, gdy pięciu ustrzelonych widzów znalazło się na scenie — ta sztuczka nazywa się Pięć Etapów Człowieka. Wy, dobrzy ludzie, odegracie za chwilę historię pewnego mężczyzny o imieniu... och, sam nie wiem, niech będzie Fred. Fred to bardzo miły człowiek. Zasadniczo. Ale ma swoje, nazwijmy to, dziwactwa. Teraz wylosujecie jeszcze jedną piłeczkę z karteczką, na której zapisano wiek i dziwactwo naszego bohatera. Każde z was za chwilę je odtworzy.

Podał im miskę pełną piłeczek, Melody zanurzyła w niej rękę i wyłowila kulkę z karteczką: „Pięć lat i puszcza bąki”.

Kolejne pięć minut jej życia stało się dla Melody zagadką. W chwili gdy Julius doliczył do trzech, poczuła się mała i pełna gazów. Pędziła po scenie, puszczała bąki, wycierała nos ręką i udawała, że goni gołębie. Każdemu prutnięciu towarzyszyła salwa śmiechu z widowni. Melody nie zwracała uwagi na rozbawioną publiczność, śmiech traktowała jak uliczny hałas dochodzący z otwartego okna.

— Idź spać, Fred — powiedział Julius, pstrykając palcami przed nosem Melody, którą nagle ogarnęła otchłań.

Inna niż zamglona, stłumiona cisza pojawiająca się we śnie czy podczas upojenia alkoholowego. Melody miała wrażenie, że w jej gło-

wie otworzyła się czarna dziura, do której wpadło coś nieznanego i oślepiającego. Dziura zamknęła się z hukiem, a Melody poczuła uginające się pod nią kolana i w naprawdę elegancki sposób osunęła się na podłogę sceny.

Gdy otworzyła oczy, uświadomiła sobie pochyloną nad nią twarz Bena, cytrusowy zapach jego włosów, drzwi ze świecącym nad nimi napisem WYJŚCIE i drapiący wełniany koc zarzucony na jej kolana.

W zasięgu jej wzroku pojawiła się też kobieta w zielonej tunice. Miała bardzo świecące czoło i wielkie, otwarte pory na nosie.

— Melody? Melody? Słyszysz mnie?

Melody pokiwała głową i twarz kobiety zniknęła.

— Wszystko w porządku? — zapytał Ben. Na jego twarzy dostrzegła bardzo ładny kilkudniowy zarost przetykany gdzieniegdzie maleńkimi, czerwonymi plamkami.

Melody skinęła i spróbowała się podnieść. Ben delikatnie powstrzymał jej zamiary.

— Gdzie ja jestem? — zapytała.

— Udzielono ci pierwszej pomocy — odpowiedział Ben. — Zemdlałaś. Musieli przerwać przedstawienie. Ogłosili wcześniejszą przerwę. Ze względu na ciebie.

Melody zamrugała. Kręciło się jej w głowie i czuła się zdezorientowana, zbyt zdezorientowana, by przetrwać słowa Bena. Dotknęła w zamyśleniu swojego ramienia.

— Gdzie moja torebka? — zapytała.

— Tutaj. Mam też twoją marynarkę. Pomyślałem, że pewnie nie będziesz miała ochoty wrócić i obejrzeć resztę przedstawienia.

— Nie, nie mam ochoty. Chcę iść do domu. Przepraszam. .. —
Czuła się tak, jakby zgubiła się w czasie i przestrzeni.

— Nie masz za co przepraszać. Wszystko w porządku. Oczywiście. Rozumiem doskonale. Może jesteś chora?

— Nie — odpowiedziała o dwa tony ostrzej, niż zamierzała. — Nie, to nie to. Chodzi o coś innego. Moja głowa. Coś się stało z moją głową.

Ben i sanitariuszka wymienili spojrzenia, a zaraz potem otworzyły się drzwi z napisem wyjście i pojawił się on. Julius Sardo. W rzeczywistości był mniejszy i o wiele bardziej pomarańczowy niż na scenie.

— Hej, Melody, wróciłaś do nas. Dzięki Bogu. Martwiłem się. Wszystko w porządku?

Pokiwała nieobecnie głową. Nie miała ochoty rozmawiać z Juliu-
sem Sardo. Pragnęła jedynie pójść do domu i położyć się spać.

— Jak myślisz, co się mogło stać? — kontynuował. — Niskie ciśnienie?

— Nie wiem — odparła — ale już mi nic nie jest. Chcę iść do domu. Mogę już iść?

Sanitariuszka skinęła potakująco i Ben pomógł jej wstać.

— Chciałbym, żebyś wiedziała — ciągnął Julius — że od dziewięciu lat występuję na żywo i po raz pierwszy zdarzyło się, że ktoś zemdlał na scenie. — Uśmiechnął się ciut za szeroko, widać było, że się przejął, ale Melody nie miała siły na dyskusje.

— W porządku — powiedziała, nakładając marynarkę. — Nie ma o czym mówić.

— Super — rozpląnął się ponownie w uśmiechu, pokazując nienaturalnie białe zęby. — No nic, muszę już wracać, a wy pogadajcie z

ludźmi w biurze, tu obok, a oni zorganizują dla was bilety na następne przedstawienie, żebyście mogli zobaczyć to, co was ominęło, dobrze?

Melody uśmiechnęła się blado. Nie miała najmniejszego zamiaru zbliżyć się do Juliusa Sardo bliżej niż na sto kroków.

— Uhm — odparła.

Na zewnątrz przywitało ich ochłodzone po zachodzie słońca powietrze, i Melody, w sandałach i cienkiej marynarce, zaczęła się nieznacznie trząść.

— Bardzo cię przepraszam — spojrzała na Bena. — Totalna katastrofa.

— Nie, to ja przepraszam. To przedstawienie to był mój pomysł. Następnym razem pójdziemy po prostu zjeść coś dobrego, dobrze?

Melody rzuciła mu pytające spojrzenie. Następnym razem? Pownowne spotkanie po takim wyskoku było nie do pomyślenia. Uśmiechnęła się ze ściśniętymi ustami, zakładając, że powiedział to tylko z czystej uprzejmości, i ruszyła w stronę metra

O dwudziestej trzydzięci dotarła do domu. Ed leżał na sofie wpatrzony w telewizor. Podskoczył przestraszony, gdy weszła do pokoju.

— Co tak wcześnie? — zapytał.

Westchnęła i usadowiła się na oparciu kanapy.

— Totalna klapa.

— Co — wystawił cię?

— Nie, nie wystawił mnie — powtórzyła z oburzeniem. — Zostałam wybrana do sztuczki. Julius Sardo sprawił, że udawałam pięcioletniego, prukającego chłopca. Nie dość więc, że biegałam po scenie, pierdząc co chwila przed setkami ludzi, to na koniec zemdlałam...

— Co?

— ...straciłam przytomność. Na oczach wszystkich. Musieli mnie wynieść ze sceny i udzielić pierwszej pomocy.

— Żartujesz!

— Niestety nie. — Westchnęła i przejechała dłońmi między włosami. — Jezu — zawołała. — To mogło przydarzyć się tylko mnie. Melody Browne. I właśnie dlatego ostatnie osiem lat przesiedziałam w domu.

— Boże, mamuś, wszystko w porządku?

Melody potrząsnęła głową. Potem skinęła potakująco. Sama nie wiedziała, czy wszystko było w porządku. Jedyne, czego była pewna, to że musi położyć się spać.

— Tak, nic mi nie jest. Myślę, że zbyt duża dawka adrenaliny plus spory kieliszek wina zrobiły swoje. Idę spać.

— Jesteś pewna, że nic ci nie jest? Może powinnaś coś zjeść?

Uśmiechnęła się; wzruszył i zdziwił ją próbujący jej matkować syn.

— Nie, muszę się przespać. Pamiętaj zamknąć wszystkie okna, zanim się położysz.

Zostawiła syna, wcale nie małe dziecko, tylko dorastającego mężczyznę, na sofie, a sama poszła do sypialni.

Otulona ciemnością wsłuchiwała się w melodię letniego zmierzchu: dźwięki rozgrzanych silników nadjeżdżających i odjeżdżających samochodów, głosy uchodzące przez otwarte okna, muzykę z oddali. Najdziwniejsze, że jeszcze przed chwilą brała udział w tym sobotnim wieczorze. W błyszczących butach i z ustami muśniętymi błyszczkiem przemierzała ulice West Endu. Siedziała z mężczyzną w pubie i

piła wino. I zupełnie nieoczekiwanie stała się gwiazdą jednej ze scen na West End, oglądaną przez setki osób, gwiazdą, której występ jeszcze długo będzie komentowany w stylu „A taka jedna to zemdlą!” Jej ślady wciąż tam były, ale ona leżała jak zawsze w podwójnym łóżku, trzeźwa, samotna i nie mogła uwierzyć, że to wszystko wydarzyło się naprawdę.

Czerwona dioda na radiobudziku przeskoczyła z 21.50 na 21.51 i Melody natychmiast pogrążyła się w głębokim śnie.

TLR

ROZDZIAŁ 3

1976

TRZYLETNIA MELODY tak naprawdę nazywała się Melody Ribblesdale i mieszkała w wielkim czerwonym domu, w samym środku Londynu. Przynajmniej z jej perspektywy. W rzeczywistości wraz z rodzicami zajmowała narożnikowe mieszkanie w wielkiej czerwonej rezydencji, usadowionej w mało atrakcyjnym punkcie przy ruchliwym skrzyżowaniu w Lambeth, południowym Londynie.

Do mieszkania wiodły dwie drogi. Pierwsza prowadziła przez dwa skrzydła zimnych, pachnących środkiem dezynfekcyjnym schodów. Drugą pokonywało się w maleńkiej windzie z zakratowanymi, zsuwanymi drzwiami, których otwarcie graniczyło z cudem, nawet jeśli zabierał się do tego tato swoimi wielkimi owłosionymi rękoma.

Mieszkanie było jasne i przestronne, a wielkie, otwierane pionowo okna wychodziły na wszechogarniający chaos. Kiedy Melody wspinała się na tylne oparcie sofy w pokoju gościnnym i stawała na palcach, widziała nawet kawałeczek Tamizy.

Spała w małym żółtym pokoiku z błękitnymi zasłonami i karuzelką z drewnianymi motylami. Codziennie rano mama zapinała ją w rowerowym foteliku i zawoziła do domu na Walnut Tree Walk, gdzie, na czas pracy rodziców, pozostawała pod opieką pani o imieniu Pam. Mama wracała o siedemnastej, pachniała papierosami i kawą i zabierała ją z powrotem do domu. Czasami zatrzymywały się po drodze w sklepie ogólnospożywczym po kartonik mleka albo kawałek szynki.

Mama Melody była kierownikiem marketingu przy zespole tańca współczesnego, a tato obsługiwał maszynę drukarską. Oboje pracowali w stałych godzinach. Nie podróżowali. Prowadzili spokojne życie. Przewidywalne. Melody dobrze wiedziała, czego mogła się spodziewać po kolejnym dniu. Lubiła to pluskanie się w ciepłych, pogodnych wo-

dach rutyny. Czasami w tym dużym mieszkaniu rodzice wyprawiali przyjęcia, które zaczynały się w porze lunchu i trwały do śniadania. Tato grał wtedy na pianinie, a mama, plastikową chochlą, rozlewała poncz w kolorze malinowym. Ludzie wychodzili na schody przeciwpożarowe, palili fajki i papierosy, a Melody budziła się w pokoju pełnym obcych dzieci śpiących na podłodze, co wcale jej nie przeszkadzało. To było normalne. To było jej życie, jej rodzina, jej świat. Ale kiedy miała trzy i pół roku, to wszystko zmieniło się na zawsze.

I wszystko przez dzidziusia, który nigdy nie dotarł do domu.

Pewnego majowego poranka Melody dowiedziała się od mamy, że w jej brzuchu rośnie dzidzius. I chociaż życie Melody było miłe, zanim ogłoszono tę nowinę, teraz stało się jeszcze miłsze. Tego lata wakacje spędzili w wiejskiej chacie. W szopie mieszkał bardzo duży królik. Nazywał się Mr Flopsicle i uwielbiał jeść seler prosto z rączek Melody. Mama i tato ciągle się przytulali, trzymali się za ręce, a kiedy wrócili do Londynu, Melody przestała chodzić do domu Pam i zaczęła uczęszczać do przedszkola na Lollard Street, gdzie nauczyła się pić mleko z kubeczka.

Jednego dnia mama przyszła odebrać ją z przedszkola i powiedziała, że po raz pierwszy poczuła, jak dzidzius rusza się w jej brzuchu. I stała się jeszcze szczęśliwsza. A potem urosła, nie tylko w brzuchu, ale wszędzie. Melody czuła ten dodatkowy ciężar podczas ich wspólnych kąpieli, gdy mama wciskała się między ścianki wanny niczym ogromny miękki korek. Po świętach mama ścięła włosy, miała teraz kwadratową fryzurę i grzywkę. Melody wołała chyba długie, sięgające prawie do pasa, splecione włosy mamy od tej nowej fryzury, która nadawała jej twarzy inny kształt. Ale mama powiedziała, że po narodzinach dziecka nie ma zamiaru zajmować się długimi włosami.

Pewnego wieczora, gdy mama stała się największą rzeczą, jaką Melody widziała w życiu, gdy była tak olbrzymia, że nie mogła nawet iść do pracy i z ledwością schodziła z sof, zaczęła wydawać z siebie

dużo różnych dźwięków, zamknęła się w łazience, a tata powiedział, że dzidzius zaczyna się rodzić. Wkrótce potem przyjechała pani Marcelline i siedziała z mamą w łazience i przez jakiś czas wszyscy byli naprawdę podekscytowani, a Melody nie musiała kłaść się spać, chociaż, jak wciąż powtarzał tato, był już środek nocy. W końcu Melody zasnęła na sofie i ktoś przykrył ją kocem i kiedy się obudziła, przywitało ją poranne słońce, a dzidzius wciąż się rodził. Nikt nie wspomniał o pójściu do przedszkola albo o zjedzeniu płatków na śniadanie czy ubraniu się, więc Melody usiadła przy małym drewnianym stolczku stojącym w kącie dużego pokoju, sięgnęła po duże pudło pełne kredek i zaczęła rysować.

Kilka minut później przyjechała siostra mamy, ciocia Maggie, i jej dwie starsze kuzynki, Claire i Nicola. Zanim mama zmieniła kształt i fryzurę, wyglądała tak samo jak ciocia Maggie. Po mamę przyjechała karetka, a Melody pojechała z ciocią do jej domu w Fulham. Zdążyła jeszcze pomachać mamie. Mama uniosła rękę i wyglądała tak, jakby miała się rozplakać.

— Słuchaj cioci — rzuciła na pożegnanie. — Zobaczymy się później, kiedy będziesz już siostrzyczką!

Melody spędziła u cioci Maggie dwa dni i dwie noce. Nikt tak naprawdę nie wytłumaczył jej, dlaczego nie wróciła do domu, nie siedziała na łóżku mamy i nie wpatrywała się w nowo narodzone maleństwo, zastanawiając się, co o nim myśli.

Trzeciego ranka obudziły ją długie wasy kota cioci, który łaskotał ją w policzki. Wystraszyła się, gdy po chwili Boots rozłożył się wygodnie na jej klatce piersiowej.

— Uciekaj, Boots — wyszeptała, nie chcąc obudzić kuzynki. — Uciekaj.

W głębi domu dzwonił telefon. Zepchnęła kota z piersi i usiadła. Przez ścianę pokoju Nicoli usłyszała stłumiony i zaspany głos cioci

Maggie. Na ścianie wisiał obraz młodej Hiszpanki. Czarnowłosa dziewczyna z różą wpiętą za ucho patrzyła na Melody ciemnoniebieskimi oczyma. Jej intensywnie czerwone usta wyglądały tak, jakby przed chwilą jadła jeżyny prosto z krzaka, a białe kropki na sukience przypominały przyprószone płatki śniegu. Melody wpatrywała się w obrazek i słuchała cioci Maggie, której głos z zaspanego zmienił się w zmieszany i nagły, z cichego na głośny, a po chwili usłyszała już tylko powolne, ciężko wysapane słowo „nie”.

Hiszpanka patrzyła na Melody z ciekawością, zupełnie jakby również zastanawiała się, jakiej sprawy dotyczył telefon. Melody uśmiechnęła się z otuchą do czarnowłosej dziewczyny, zapewniając ją, że wszystko będzie w porządku.

Kilka minut później do pokoju weszła ciocia. Miała na sobie niebieski szlafrok z wyhaftowanymi ptakami, a włosy zaplotła w warkocz. Nie wyglądała tak ładnie jak zazwyczaj podczas dnia. Jej zawsze staranny makijaż był rozmaity zany, tak jakby tarła oczy.

— Och — uśmiechnęła się — nie śpisz już.

— Nie — odpowiedziała Melody — usłyszałam, jak dzwoni telefon.

Maggie pokiwała głową.

— Dzwonił twój tatuś.

— Czy dzidzius przyjedzie do domu?

— Nie — odpowiedziała Maggie, gładząc policzek Melody kciukiem. — Dzidzius nie przyjedzie do domu...

Melody przeniosła wzrok z cioci na Hiszpankę. Miała nadzieję, że dziewczyna wykona jakiś ruch, by opuściło ją to okropne przecucie. Ale tancerka nie drgnęła. Stała w swojej sukience w kropki i przyglądała się Melody z zaciekawieniem.

— Twoja siostrzyczka nie czuła się za dobrze po urodzeniu. Lekarze bardzo się starali, ale nie potrafili jej pomóc. Ona też się bardzo starała. Ale była zbyt malutka i słaba i przestała oddychać. Czy wiesz, co się dzieje, kiedy przestaje się oddychać?

Melody wiedziała, więc pokiwała głową.

— Umiera się — odpowiedziała.

— Tak — powtórzyła Maggie — umiera się. I jest mi bardzo przykro, skarbie, ale twoja siostrzyczka przestała oddychać. I teraz mamusia i tatuś są bardzo, bardzo smutni. I wiesz, co mi powiedzieli? Powiedzieli, że jedynie widok ich dużej, dzielnej dziewczynki może im pomóc. Więc wstaniemy, dobrze? Ubierzemy się i pojedziesz do domu, żebyś mogła zobaczyć mamusię i tatusia, tak?

Melody zastanowiła się nad tym pytaniem. Gdyby została, mogłaby dalej wpatrywać się w Hiszpankę i przekonać się, czy dziewczyna pokaże jej, jak cofnąć ostatnie dwie minuty życia. Potem zeszlaby na dół i w towarzystwie starszych kuzynek zjadłaby słodkie płatki. Po śniadaniu odprowadziłaby kuzynki do szkoły, a w drodze do domu zjadłaby w kawiarni kawałek ciasta z ciocią Maggie. A potem ciocia zawiozłaby ją do miłego i szczęśliwego domu, w którym czekałaby na nią maleńka siostrzyczka.

— Jestem bardzo głodna — odpowiedziała w końcu. — Czy możemy wpierw zjeść śniadanie?

Maggie podała jej obsypane cukrem płatki i łyżkę o dziwnym kształcie i choć Melody starała się ze wszystkich sił, by nie pochłapać mlekiem koszulki, kilka kropel wylądowało na jej kolanach i Maggie musiała je zetrzeć wilgotną szmatką. Nicola i Claire, ubrane w szare szkolne mundurki, jadły tosty i nie zachowywały się tak głośno jak zazwyczaj.

Po odprowadzeniu kuzynek do szkoły Maggie zabrała Melody do domu w Lambeth. Na drugie piętro wjechały maleńką, trzeszczącą windą, a z każdym krokiem zbliżającym je do drzwi mieszkania Melody czuła się coraz bardziej onieśmielona i zdenerwowana. Wyciągnęła więc rączkę i ujęła dłoń ciotki. Drzwi otworzył tato. Miał szorstką brodę, zupełnie czerwone oczy i wymięty T-shirt, który zwisał jak skóra starego człowieka.

— Witaj, groszku. — Pochylił się, objął ją i mocno przytulił. Pachniał jak stara ścierka do wycierania naczyń, ale Melody i tak się do niego przytuliła, bo wiedziała, że on tego bardzo pragnął.

— Gdzie mamusia? — zapytała.

— W łóżku. Chcesz ją zobaczyć?

Melody pokiwała głową, a tata postawił ją na ziemi i wziął za rękę.

— Mamusia jest bardzo zmęczona — powiedział — i bardzo smutna.

Skinęła ponownie.

Zanim weszła do sypialni rodziców, zatrzymała się na chwilę. Miała zaledwie cztery latka, ale w jakiś niezgłębiony sposób przeczuwała, że tutaj zostawia za sobą przeszłość, bo za drzwiami czeka na nią przyszłość, i że to był ten ostatni moment, który spędzała w znanym sobie porządku.

Drzwi otworzyły się. Melody podeszła do mamy leżącej w łóżku i zobaczyła jej śmieszne, kwadratowe włosy płasko przyciśnięte do głowy, pomiętą, brudną koszulę i ten dziwny, obojętny uśmiech, którym ją przywitała. I wiedziała już, że miała rację.

To już nie był ten sam dom. Wszystko zupełnie się zmieniło.

ROZDZIAŁ 4

Teraz

MELODY OTWORZYŁA oczy i natychmiast ogarnęło ją to dziwne uczucie.

Nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów, by je opisać, poza tym było na tyle ulotne, że gdy tylko pomyślała o czymś odrobinę bardziej absorbującym, natychmiast o nim zapomniała, postanowiła więc nie wspominać o tym Edowi. Miała wrażenie, że ktoś ją otworzył, narobił bałaganu w jej głowie i posprzątał przed zamknięciem. Tyle że nie wszystko zostało odłożone na swoje miejsce i dlatego ogarnęło ją to poczucie osobliwej dezorganizacji.

Przedmioty jakby nabrały głębszego znaczenia. Stała przez chwilę, wpatrując się w szczoteczkę do zębów, bo miała dziwne wrażenie, że nie należała do niej, ale jednocześnie czuła się tak, jakby dopiero co wyszorowała nią zęby. Piła kawę, dziwiąc się ostrej goryczce, zupełnie jakby smakowała jej po raz pierwszy w życiu. Patrzyła na swoje odbicie w lustrze tego ranka, nie mogąc się zdecydować, czy myć włosy, czy nie, i przez ułamek sekundy ogarnęła ją obcość, to osobliwe wrażenie, które towarzyszy człowiekowi, kiedy nieoczekiwanie widzi siebie w witrynie sklepowej. Niektóre z doświadczanych teraz wrażeń były jej znane. Między szóstym a osiemnastym miesiącem życia Ed nie był w stanie przespać jednorazowo więcej niż dwie godziny i przez ten rok Melody pogrążyła się stanie sennej deprawacji, w którym granice jej świadomości nieustannie traciły ostrość, a wszystkim jej czynnościom i reakcjom towarzyszyło opóźnienie. Teraz miała podobne wrażenie. Czuła się pusta i ulotna. Czuła, że coś jest nie tak.

Podobnie jak wczoraj i przedwczoraj, przywitał ją słoneczny i ciepły dzień, tyle że wiatr za oknem jej sypialni rozwinął nową jakość

akustyczną i kiedy targał liście pobliskiego drzewa, buczał stłumionym, płaskim dźwiękiem.

Z kuchennego blatu zawołała ją komórka, którą poprzedniego wieczora zostawiła podłączoną do ładowarki. Wyświetlił się niezidentyfikowany numer, a ona z wdzięcznością za ten przerywnik odebrała telefon. Dzwonił Ben.

— Nie za wcześnie? — zapytał.

— Nie, co ty — odpowiedziała. — Wstałam już dawno temu.

— Chciałem tylko sprawdzić, jak się czujesz. Nie mogłem wczoraj zasnąć. Myślałem o tym, co się wydarzyło. Myślisz, że to miało cokolwiek wspólnego z tą sztuczką? Że zostałeś zahipnotyzowana? Nie myślisz chyba, że...?

— Co?

— Że on coś zrobił w twojej głowie?

— A dlaczego tak uważasz?

— Bo zemdląłeś dosłownie w momencie, kiedy pstryknął palcami. Takie niesamowite wyczucie chwili. I to po prostu wygląda jakoś tak...

— Wiem. To dziwne. Sama czuję się trochę... dziwnie.

— Naprawdę? — zapytał zatroskanym głosem. — W jakim sensie?

— Sama nie wiem. Jakbym była trochę niedokończona.

— Niedokończona?

— Tak. Jak układanka albo kłębek wełny, albo... — Przerwała nagle. Na dźwięk słów „kłębek wełny” coś błysnęło w jej głowie. Zobaczyła obraz, tak rzeczywisty i klarowny jak prawdziwe życie. Kłębek

niebieskiej angory w koszyku, mała ręka, karteczka z ceną „20 pensów”. Obraz zniknął równie szybko, jak się pojawił. Odetchnęła.

— Dobrze się czujesz?

— Uhm — odpowiedziała bez tchu.

— Myślisz, że powinnaś z kimś porozmawiać?

— Z kim? Z psychoanalitykiem?

— Nie. Z kimś... sam nie wiem, z kimś, kto się zna na takich rzeczach. Dla pewności.

Melody nie miała najmniejszej ochoty rozmawiać z kimkolwiek na ten temat. Nawet nie wiedziała jeszcze, czym było to „coś”.

— Nie — odparła nieco zbyt energicznie. — Nie jest aż tak źle. Po prostu wczoraj zadziałało wiele czynników, sam wiesz, wino, nerwy, adrenalina.

Ben milczał przez chwilę.

— No tak — odpowiedział w końcu niezbyt przekonany tonem. — Pewnie tak. W każdym razie naprawdę chciałem się upewnić, że nic ci nie jest. Wczoraj odeszłaś tak szybko, że nawet nie zdążyłem się z tobą pożegnać jak należy.

— Tak, przepraszam za to.

— A jest tyle rzeczy, których jeszcze o tobie nie wiem.

— Och, uwierz mi, nie mam zbyt wiele do opowiadania.

— Jak to, jesteś samotną matką, panią ze stołówki...

— Pomocą kuchenną.

— Ach, tak, przepraszam, pomocą kuchenną. Mieszkasz w Covent Garden.

— W mieszkaniu socjalnym.

— No tak, ale to wciąż Covent Garden. A poza tym nie ma czegoś takiego jak człowiek bez historii. Słuchaj, naprawdę chciałbym się z tobą znowu spotkać. Bez czarodzieja i dramatycznych omdleń w tle. Może w przyszłym tygodniu?

Melody usiadła i przełożyła słuchawkę do drugiego ucha. To był najbardziej nieoczekiwany rozwój wypadków i nie bardzo wiedziała, jak powinna zareagować.

Ben zrozumiał jej milczenie jako odmowę i westchnął.

— No dobrze — powiedział — rozumiem, że...

— Nie! — przerwała Melody. — Po prostu nie sądziłam, że będziesz chciał, i jestem zdziwiona. To wszystko.

— Nie bardzo rozumiem, dlaczego jesteś zdziwiona — zaśmiał się — ale jeśli jesteś w stanie otrząsnąć się z szoku, że ktoś ma ochotę zabrać cię na kolację, to jestem wolny w piątek.

W tym momencie ze swojego pokoju wynurzył się Ed. Z jego szarych bokserek wystawały cienkie białe nogi, na gołej, nieowłosionej klatce rysowały się mięśnie, a na głowie sterczała gęsta czarna czupryna. Przywitał ją swoim zwyczajowym chrząknięciem, a ona uśmiechnęła się i ucisnęła jego kark.

— Eee, co do piątku to nie jestem pewna — kontynuowała. — Chyba mam już jakieś plany. Zadzwoń do ciebie w tygodniu, dobrze?

Rozłączyła się pośpiesznie, ręce jej lekko drżały.

— Kto dzwonił? — zapytał Ed, potrząsając do miseczki kartonem płatków kukurydzianych z orzeszkami i miodem.

— Ben — odpowiedziała — ten facet z wczoraj.

— Więc nie dał się odstraszyć, co?

— Najwyraźniej nie. Chce się znowu spotkać. W piątek.

— Super — powiedział Ed, pryskając mlekiem w kierunku miski, którą miał zamiar zaraz wynieść do pokoju gościnnego. — A ty chcesz iść?

Melody zastanowiła się nad tym pytaniem. Ben był prawdziwym facetem, tak zwanym „chodzącym ideałem”, fajnym, bezproblemowym, byстрыm, wrażliwym. Z takim mężczyzną umówiłaby cię każda życzliwa przyjaciółka. Spełniał wszystkie warunki „dobrego faceta”. A przy tym wyglądał całkiem nieźle. Ale Melody czuła, że nie ma siły przechodzić przez te wszystkie atrakcje po raz kolejny: nerwy, lęk, skrepowanie — a potem co? Następnym razem nie zdarzy się żaden wygodny epizod z omdleniem, który dał jej możliwość szybkiego odwrotu. Następnym razem wieczór musiałby potoczyć się w bardziej konwencjonalnym kierunku: pocałunek, kawa, fuli seks, osobliwe zawieszenie. A potem co? Rozdarte serce i ból. A z całą pewnością nie miała zamiaru cierpieć tym razem.

— Nie — potrząsnęła głową. — Raczej nie. Tak naprawdę on nie jest w moim typie.

ROZDZIAŁ 5

1977

TATO STAŁ Z niewyraźną miną przed otwartą szafą Melody.

— Wydaje mi się, że na dworze jest za zimno na twoją zieloną sukienkę — stwierdził. — Potrzebujesz czegoś z długim rękawem.

— Nie — potrząsnęła główką. — Chcę założyć zieloną sukienkę!

— Ok, ok — westchnął — tylko bez humorów. Ale musisz pod nią coś włożyć. Gdzie są twoje bluzeczki?

Melody również westchnęła i wstała.

— Tutaj są — powiedziała — na tej półce.

— No to wybierz jakąś, dobrze?

Mama nigdy nie wpadłaby na pomysł, by Melody sama wybrała sobie bluzeczkę. Mama zawsze się spieszyła i zwykle wpadała w pędzie do pokoju, wyciągała ubrania z szuflad i naciągała je na dziewczynkę. Do tej pory Melody nie zwracała sobie głowy ubraniami. Ale ostatnimi czasy musiała myśleć o rzeczach, którymi normalnie nigdy się nie zajmowała. Na przykład, czy była już pora obiadu. I jaki był dzień tygodnia. I co zrobić, by mama była znów szczęśliwa.

Przez chwilę patrzyła przez okno. Mama nie nazwałaby tego dnia „cudownym”. Było szaro, nijako, sino. Dzień przypominał siniaka, którego nabiła sobie, spadając z małego krzeselka w kuchni kilka dni wcześniej — próbowała sięgnąć paczkę ciasteczek Viscount, bo była głodna, a nikt nie usłyszał jej wołania. Fioletowo-szary siniak miał zielone refleksy, a na samym środku, tam, gdzie zdarła sobie skórę, błyszczało czerwone mięso. Tato zakleił siniaka plastrem, który odpadł wczoraj podczas kąpieli, a ona nie chciała nikogo prosić o nowy. Nie lubiła prosić o cokolwiek, bo proszenie wywoływało dużo westchnień.

Wybrała bluzeczkę z różowym przodem z napisami i pomarańczowymi rękawkami. Pomyślała sobie, że mama będzie mogła popatrzeć sobie na coś, co nie jest ani szare, ani fioletowe i być może to ją rozweseli.

— Jeszcze rajstopy — przypomniał tata.

Wyciągnęła z szuflady parę czerwonych rajstop i żółte majteczki.

— Założę niebieskie buciki — powiedziała — wtedy wszystko będzie miała w innym kolorze.

— Świetny pomysł — powiedział tato, przeciągając jej nocną koszulkę przez głowę. — Fantastyczny.

Chwilę później poszli pokazać się mamie, która właśnie rozczesywała włosy. Weszli do pokoju, a ona gwałtownie się odwróciła.

— Zobacz — zaszczębiotała Melody — czerwony, różowy, pomarańczowy i zielony. I jeszcze żółte majtki i niebieskie buciki.

— Fantastycznie — odezwała się mama tym samym niefanastycznym tonem, jakiego użył wcześniej tato. — Jesteś małą tęczą.

Melody uśmiechnęła się i przytuliła do kolan mamy, zadowolona z porównania jej do małej tęczy. Mama pogłaskała bezwiednie jej włosy, potem wstała. Miała na sobie ogromną ciężową szarą suknię bez rękawów i z wielkimi kieszeniami, pod którą włożyła czarną koszulkę polo.

Włosy zaczesła do tyłu i za pomocą mnóstwa spinek zatrzymała je płasko przy głowie, bo tak naprawdę były jeszcze za krótkie, by czesać je w kitkę.

— Idziemy? — zapytała.

Melody pokiwała głową i wsunęła swoją rękę w dłoń mamy. Ale mama nie przytrzymała małej rączki, która wyslizgnęła się z jej palców niczym kostka mydła.

Cmentarz był okropny. Ogromny i krzaczasty, pełen dziwnych, strzelistych drzew i pomników z brakującymi elementami. Humor Melody poprawił się na widok kuzynek Claire i Nicoli. Przez chwilę miała ogromną ochotę uciec z dziewczynkami i pobawić się z nimi, jak to miały w zwyczaju. Ale potem spojrzała na duży czarny płaszcz cioci Maggie i jej wykrzywione w podkówkę usta i przypomniała sobie, że obywatel się właśnie pogrzeb dzidziusia i najprawdopodobniej nikt nie pozwoliłby jej na zabawę. Wykrzywiła więc również usta w podkówkę i podążyła za rodzicami ku dziurze w ziemi, wyłożonej kremowym jedwabiem. W normalny dzień z ochotą wskoczyłaby do tej jedwabistej dziury i udawała niegrzeczną świnkę, ale potrafiła sobie wyobrazić reakcję mamy i taty, gdyby dzisiaj spróbowała tej zabawy. Zamiast tego więc zmusiła się do smutku, udawała dorosłą, stanęła cichutko nad dziurą i wypuściła wszystkie rozbrykane myśli z głowy.

Przy drodze zatrzymał się czarny samochód, z którego wysiadło dwóch mężczyzn. W garniturach wyglądali jak biznesmeni, a jeden z nich miał bardzo śmieszne włosy, które wyglądały dokładnie jak czupryna lalki Melody.

— Tatusiu — pociągnęła go za rękaw — dlaczego ten pan ma takie śmieszne włosy?

— Cicho.

— Ale co to są?

— O co ci chodzi?

— Czy to są prawdziwe włosy? Czy tylko udawane?

— Nie wiem — odpowiedział niecierpliwie.

A potem zostawił ją i podszedł do mężczyzny z dziwnymi włosami, zaczęli szeptać, a po chwili wyciągnęli trumienkę z bagażnika samochodu. Miała kremowy kolor, srebrne uchwyty i przykrywały ją kwiaty. To była ona. Jej siostra. Dzidzius, który nigdy nie przyjechał

do domu. I przez jedną chwilę Melody nie musiała się zmuszać do smutku i bycia dorosłą, bo właśnie tak się poczuła.

Przynieśli trumnę do dziury w ziemi, a potem ksiądz powiedział wiele poważnych rzeczy, a dookoła rozległy się dźwięki dorosłego płakania i wzdychania, a Melody nie mogła uwierzyć, że w środku kremowego pudła leżała mała dziewczynka — najprawdziwsza i maleńka, tylko że nieżywa, a Melody nigdy nie zobaczy jej twarzyczki.

Podczas przemówienia księdza z drzew przyleciał wiatr. Zawiał silnie, uniósł rąbek zielonej sukienki i rozwał jej złocistobrązowe loki po całej twarzy, tak że nie mogła zobaczyć, co się dzieje. Kiedy udało się jej odgarnąć kosmyki z oczu, zobaczyła, że kremowa trumienka zjeżdżała do jedwabistej, kremowej dziury i że ciocia Maggie płakała prawdziwymi łzami i nawet Claire i Nicola pochlipowały, chociaż były tylko dziećmi, a potem mama uklękła na brzegu dziury, cała szara sukienka oblepiła się błotem, a mama wydawała z siebie różne śmieszne dźwięki. Prawie takie same jak te, kiedy rodził się dzidzius, a Melody przypominały one krowę albo kucyka, albo nawet lisa wyjącego za oknem wiejskiej chaty, w której mieszkali na wakacjach tego lata, gdy dzidzius wciąż siedział w brzuchu mamy. Te dźwięki sprawiły, że Melody poczuła się dziwnie i niepewnie, jakby mama robiła coś złego. A potem mama zaczęła w kółko krzyczeć: „Moje dziecko, moje dziecko”, co było trochę śmieszne, bo przecież tak zwracała się do Melody, zanim tamten dzidzius pojawił się w ich życiu.

Ciocia Maggie i tato podeszli do mamy i odciągnęli ją od dołu, a ona biła ich rękoma i odpychała. Jej twarz zrobiła się zupełnie czerwona, sukienka pokryła się błotem i wyglądała teraz jak ta kobieta na chodniku obok kościoła, co miała gazetę w butach i wszystkie swoje rzeczy trzymała w wózku z supermarketu. Tato przyciągnął mamę do siebie, naprawdę mocno i otoczył ją swoimi dużymi i silnymi rękoma, i przez minutę mama wyglądała tak, jakby chciała się wydostać z tego ciasnego kaftana, zupełnie jak ten mężczyzna zakuty w łańcuchy, któ-

rego Melody widziała w telewizji. Ale potem przestała się wyrywać i nagle stała się miękka, zamarła w bezruchu i pozwoliła, by tato trzymał ją, jakby była dużą szmacianą lalką.

Przez chwilę panowała kompletna cisza. Nawet wiatr zamilkł, a dorośli przestali pociągać nosami i wzdychać. Melody miała wrażenie, że świat skamieniał, jak w zabawie w figurki. Wpatrywała się w mamę i tatę i myślała, że bardzo dziwnie wyglądali w tym silnym uścisku. Zazwyczaj kiedy się przytulali, patrzyli na siebie, uśmiechali się i udawali, że ze sobą romansują. A teraz wydawało się, że tato uratował mamę przed wypadkiem, że mama tonęła w basenie, a tato ją wyciągnął.

Już nigdy potem nie zobaczyła rodziców w objęciach.

ROZDZIAŁ 6

Teraz

ZANIM MELODY wyszła w południe z domu, zaczęło padać; smutny i rozczarowujący deszcz przepędził letni dzień. Melody torowała sobie drogę w kierunku metra wśród tłumów kupujących, którzy każdej niedzieli osaczali Covent Garden. Maszerując, topiła stopy w szarych kałużach i stemplowała łydki kroplami londyńskiego brudu. Siostra zaprosiła ją dzisiaj na grilla do swojego domu w Hackney. Stacey nie była rodzoną siostrą Melody, ale ze względu na bliskość, która je łączyła, Melody tak ją traktowała. W wieku piętnastu lat, gdy obie były w ciąży, mieszkały w przylegających pokojach w hotelu dla samotnych matek. Stacey, w odróżnieniu od Melody, miała teraz męża, dwójkę nastoletnich dzieci i raczkującego szkraba.

Po drodze Melody wstąpiła do sklepu Marks & Spencer, żeby kupić kilka żeberek, łososia i butelkę różowego Cava. Przy kasie siedziała kobieta z bardzo krótkimi włosami afro i szeroko się uśmiechała.

— Dzień dobry, złotko — odezwała się z miękkim, południowoafrykańskim akcentem. — Jak się dzisiaj masz?

— Dziękuję, dobrze — odparła Melody. — A ty?

— O, u mnie wszystko w najlepszym porządeczku. W najlepszym z najlepszych.

Kobieta uśmiechnęła się ponownie i pomachała butelką Cava nad skanerem.

— Nie najlepszy dzień na grilla. — Wskazała głową na mokre okno.

— To prawda — odparła Melody — ale mam nadzieję, że zanim dotrę na miejsce, to się rozchmurzy.

— Pomodłę się w twojej intencji — powiedziała kobieta.

Melody odpowiedziała uśmiechem i spojrzała na plaketkę z imieniem kobiety, przypiętą na piersi.

Emerald.

Miała właśnie skomentować to piękne imię, gdy nagle w jej głowie znów pojawił się żywy, barwny obraz. Rozłożona gazeta na sosnowym stole. Kubek w biało-niebieskie paski. Nogi kobiety w džinsach z łątą na kolanie, para kobiecych stóp w beżowych skarpetkach i dziecięcy głos pytający: „Emerald?”

Kobiecey głos odpowiadający: „Tak, jak zielony kamień, szmaragd”.

W tej samej chwili obraz znikł, a Melody stała przy kasie w Marks & Spencer z rozdziawioną buzią i paczką łososia w ręce.

Z pośpiechem pozbierała siatki z zakupami, uśmiechnęła się do kobiety o imieniu Emerald i ruszyła w stronę metra.

— No więc — zagadnęła Stacey — jak poszło z facetem numer czternaście?

Melody napełniła sobie kolejny kieliszek różowym Cava i wykrzywiła twarz.

— Hmmmm — odparła.

— No to nieźle.

— Nie, w sumie nie było źle. To znaczy facet jest w porządku. Ale cały wieczór to była jedna wielka, jakby to powiedzieć, komedia.

Opowiedziała Stacey o zahipnotyzowaniu i omdleniu. Przez chwilę rozważała, czy podzielić się z przyjaciółką tymi wszystkimi dziwnymi uczuciami, których doświadczała, ale zrezygnowała z tego pomysłu. Nie miała ochoty na rozmowę, która rozwinęłaby się po tych wy-

nurzeniach. Stacey z wielką pogardą traktowała wszystko, co uważała za „alternatywne” albo „uduchowione”. Nie wierzyła w żadne duchy, tarota, życie-przed-i-po-życiu, a tym bardziej w hipnozę. Uznawała jedynie rzeczy namacalne i widoczne. Na resztę marszczyła z niechęcią brwi i komentowała je w stylu: „Co za głupoty” albo „Stek bzdur”. Stacey nie miałyby ochoty marnować czasu na gadanie o niewytłumaczalnych olśnieniach. Powiedziałyby: „Kobieto, weź się w garść, twoja głowa robi ci psikusy”.

Stacey przyglądała się jej pytająco.

— Nic ci nie jest?

Melody zapaliła papierosa i wzruszyła ramionami.

— Oczywiście, że nie.

— Wyglądasz tak, jakbyś była nie w sosie. Może jesteś chora albo co?

Melody potrząsnęła głową i zaciągnęła się dymem. Nie paliła od tamtego wieczora i podobnie jak poranna kawa, papieros miał dziwny smak. Spojrzała roztargniona na paczkę, pomyślała, że omyłkowo sięgnęła po inną markę, ale miała przed sobą swoje papierosy — Marlboro Lights. Zamiast tytoniu w ustach czuła jedynie stęchliznę, kurz i brud, dokładnie ten sam smak, który poczuła, gdy była w ciąży.

Wpatrywała się z niesmakiem w papierosa i szybko go zgasła.

— Co się dzieje? — zapytała Stacey, zezując na zgnieciony niedopałek w popielniczce.

— Nie wiem — odparła Melody. — Nie smakuje mi jakoś.

— Ha! — zaśmiała się Stacey i uderzyła dłonią w stół. — Ten facet, ten cały Julius odczarował cię z miłości do nikotyny!

— O Boże — jęknęła Melody, wpatrując się w popielniczkę. — Tak myślisz?

— Nigdy wcześniej nie widziałam, żebyś zrobiła coś podobnego. Nigdy w życiu! Ciekawe, czy jakbym dała się zahipnotyzować, to odkochałabym się z czekolady?

— I może polubiłabyś seks?

Stacey zaśmiała się, a Pete, jej mąż, parsknął znad grilla, na którym obracał burgery.

— Za to byłbym gotów nawet sporo zapłacić — powiedział.

Mokre od deszczu powietrze szybko wysychało w długich słonecznych przerwach. Mała Clover siedziała przy plastikowym stoliku i pulchnymi rączkami ustawiała miniaturowe filiżanki i talerzyki, a przy jej stopkach leżał pluszak, którego obwąchiwał ich uroczy terier Muttley. Jak zawsze był to żywy obrazek rodzinnego szczęścia.

Melody i Stacey wystartowały w dorosłe życie dokładnie z tego samego miejsca: miały po piętnaście lat, były w ciąży i bez dachu nad głową, ale w ciągu roku od narodzin ich dzieci, które pojawiły się dokładnie z tygodniową różnicą, życie Stacey ruszyło w zupełnie innym kierunku. Mając siedemnaście lat, poznała Pete'a. Spokojny, silny i niezawodny Pete zadurzył się w niej po uszy i ożenił się z nią, mimo że miała dziecko z innym mężczyzną. I teraz gdy zbliżali się do wieku średniego, Stacey siedziała zadowolona przed swoim małym ładnym domkiem w Hackney, miała dwoje nastoletnich dzieci i niespodziankę w postaci raczkującej córeczki. Stacey i Melody były podobne do siebie na tyle różnych sposobów i przez chwilę wydawało się, że ich życia potoczą się dokładnie w tym samym kierunku. Tyle że gdy w wieku piętnastu lat odkryły, iż są w ciąży, życie Stacey właśnie się zaczęło.

A życie Melody sięgnęło dna.

ROZDZIAŁ 7

1988

LOT NA DNO nie trwał ani dzień, ani tydzień, ani miesiąc. To był moment. W przypadku Melody wyglądał tak:

Pokój, dziesięć na dziesięć, zaciągnięte firanki i zardzewiały Baby Belling.

Pojedyncze, niezasłane łóżko i krzesło zavalone ubraniami.

Jej dłonie splecione bezradnie na kolanach i zaciśnięty, pomięty kawałek papierowej chusteczki. Huk zatrzaśniętych drzwi wejściowych i buczący ze złością skuter Tiffa, oddalający się w ciemnej nocy.

Nieznośna cisza i nagle uświadomienie sobie swojego położenia.

Sama, w wilgotnym łóżku; w ciąży.

Właśnie porzucił ją chłopak.

I nie była nawet pewna, czy to jego dziecko.

Przy jej stopach stała butelka ginu. Obok, na łóżku, leżała paczka paracetamolu. Błądziła wzrokiem po butelce, tabletkach i odwróconych dłoniach. Spróbowała sobie wyobrazić, jak te ręce trzymają dziecko, być może podobne do Tiffa, albo do mężczyzny, którego imienia nie zdążyła się nawet dowiedzieć. Próbowała wyobrazić sobie, jak te ręce wsmarowują krem w pupę niemowlaka, zawiązują rogi pieluchy tetrowej, mocują parasolkę na wózku. Próbowała ze wszystkich sił, ale nie potrafiła.

Po chwili sięgnęła po kubek i napełniła go po brzegi ginem. Potem wysypała na dłoń dziesięć tabletek paracetamolu i nachyliła do nich usta. Popiła tabletki ginem, naląła kolejną szklanekę i połknęła jej zawartość w trzech okrutnych łykach.

Z korytarza doleciał do niej odgłos wody lecącej do wypełnionej prawie po brzegi wanny. Na palcach przeszła podest schodów, ściskając mocno ręcznik. I właśnie tam, na podeście, w połowie drogi do łazienki, z której przez otwarte drzwi wydobywała się para, z żołądkiem pełnym tabletek i ginu, w połowie drogi, by zabić swoje dziecko, poczuła nagle zimne, brudne i szorstkie dno.

Później usiadła na łóżku, przyciągnęła do siebie kolana, wilgotne kosmyki włosów skrzyły się na jej nagich ramionach, a ona załkała cichutko, gorące łzy wsiąkały w futerko wytartego pluszowego misia.

TLR

ROZDZIAŁ 8

Teraz

W SŁONECZNY DZIEŃ trawniki Bloomsbury wypełniły się urzędnikami i szczęśliwymi studentami z collegeu. Melody poczuła słodki smak letniego powietrza na lepkiej skórze. Zazwyczaj w takie ciepłe dni Melody zamawiała po pracy piwo albo schłodzone białe wino, ale dzisiaj odczuwała naglące pragnienie napicia się lemoniady.

Zatrzymała się w kawiarence przy Sicilian Ayenue, zajęła stolik na zewnątrz i zamówiła lemoniadę. Podano ją w wysokiej, pokrytej kropelkami szklance z żółtą, krętą słomką i krążkiem cytryny pływającym na wierzchu. Zanim zbliżyła wargi do szklanki, zaczęła się jej intensywnie przyglądać i wtedy w jej głowie pojawił się kolejny obraz. Stół pokryty plastikowym laminatem, ławy w kolorze łososiowego różu, kask motorowy spryskany deszczem, szklanka lemoniady i ogromna porcja lodów w szklanym pucharku: trzy waniliowe góry, truskawkowy strumień, posypka, wafel w kształcie wachlarza, długa łyżeczka i męski głos mówiący: „Taki żal za tym, czego się nie zrobiło, jest gorszy niż jakiegokolwiek błędy, które popełniamy, doświadczając różnych rzeczy. O wiele, wiele gorszy”. A potem cieniutki, dziewczęcy głos, pytający: „Czy wciąż będę mieszkać w Broadstairs?”

„Och, wątpię w to. Nikt nie powinien zostać w Broadstairs na zawsze”.

A potem obraz zgasł, a przez jej głowę przemknęło imię.

Ken.

Tak miał na imię ten mężczyzna. Mężczyzna z kaskiem, z długimi palcami i mądrymi słowami na temat żalu.

Ken.

Zanim zdążyła zastanowić się nad sensem tego wspomnienia, zniknęło ono równie szybko, jak się pojawiło, a Melody znów siedziała na chodniku w Bloomsbury i wpatrywała się w szklanekę lemoniady. Sięgnęła po torebkę, położyła ją na kolanach i drżącymi rękoma wyciągnęła papierosa i zapalniczkę, ale zanim go zapaliła, wiedziała, że wcale nie ma na niego ochoty. Wrzuciła paczkę marlboro z powrotem do torebki i westchnęła.

Co się z nią działo? Wygląda na to, że zaczęła tracić zmysły. Ogarniało ją jakieś szaleństwo. Niewytłumaczalne olśnienia. Gasnące obrazy. Głosy w głowie. Paranoja. I nagła, dramatyczna awersja do kawy i papierosów.

Ale nie, chodziło o coś więcej niż czyste szaleństwo. Broadstairs. Ta nazwa miała dla niej szczególne znaczenie. I to od zawsze. Odkąd pamiętała, na dźwięk nazwy „Broadstairs” reagowała czułą, nostalgiczną tęsknotą, jakby ponad wszystko pragnęła tam pojechać. I jeszcze Ken. Znała kogoś o imieniu Ken. Ken był dla niej kimś ważnym. Nie potrafiła przypomnieć sobie jego twarzy ani żadnego związanego z nim detalu. Oprócz kasku motorowego, który zobaczyła przed chwilą. Skupiła myśli na tym kasku i nagle poczuła ścisk wokół czaszki, ogłuszający pęd wiatru w uszach, przypływ adrenaliny, dreszcz emocji. A potem wszystko znikło.

Obok nietkniętej lemoniady położyła dwa funty, wstała i z całym tym zgiełkiem w głowie ruszyła w stronę metra.

ROZDZIAŁ 9

1977

W DOMU MELODY już nikt się nie uśmiechał. Przynajmniej nie tak od serca. Czasami, kiedy Melody ze wszystkich sił starała się być zabawna, mama zaciskała usta i głaskała jej włosy, a tato uśmiechał się nawet często, gdy zabierał ją gdzieś z domu i spędzali czas tylko we dwoje. Ale codzienne życie w mieszkaniu zamarło.

Skończyły się przyjęcia, przyjaciele przestali wpadać nawet na herbatę. Najdziwniejsze jednak było to, że nikt nie tłumaczył tej dołującej atmosfery słowami typu „och, tak bardzo tęsknię za naszą krużynką” albo „tak bardzo pragnę, by maleńka była z nami, a nie w tym zimnym dole w ziemi”. Nikt słowem nie wspominał o Romany, więc Melody doszła do wniosku, że to nie Romany przyczyniła się smutku rodziców, ale ona. Starowała się więc, jak potrafiła, zadośćuczynić temu, czym wpędziła rodziców w taką rozpacz. Zawsze po śniadaniu i obiedzie odnosiła swój talerz do zlewu, nigdy nie wskakiwała do kałuż w szkolnych bucikach i nie złościła się podczas rozczesywania splątanych włosów. Jednak pewnym zachowaniom, takim jak upadki i podarcie rajstop, rozlanie mleka czy złośczenie się od czasu do czasu, gdy miała iść do łóżka, nie potrafiła zaradzić.

Pewnego dnia, jakieś trzy miesiące po pogrzebie Romany, Melody bardzo się zezłościła, kiedy miała iść do łóżka. Był piątkowy wieczór, następnego dnia nie musiała wstawać do przedszkola, a wcześniej, po południu, mama obiecała, że w nagrodę za jej grzeczne zachowanie będzie mogła położyć się spać późnym wieczorem.

Okazało się, że Melody i mama różnie rozumiały słowo „późny”, i chociaż dziewczynce zostały tylko dwa koty do pokolorowania, o czym grzecznie poinformowała, mama zaczęła na nią krzyczeć.

— Dlaczego — wołała z oczami pełnymi łez — dlaczego nie możesz po prostu zrobić tego, o co cię proszę? Dlaczego?

— Przecież to robię — zaczęła Melody. — Ale ja tylko...

— Żadnego „tylko”, Melody. Żadnych „ale”. Dostyc już. Nie chcę słyszeć ani jednego słowa. Ani jednego!

— Ale...

— Koniec! Marsz w tej chwili do łóżka!

W oczach Melody pojawiły się iskry. Przez jej głowę przetoczyły się ogromne, czerwone i czarne uczucia, więc krzyknęła ze wszystkich sił:

— JA CHCĘ TYLKO DOKOŃCZYĆ MOJE KOTY!

Kiedyś mama w takiej sytuacji zaczęłaby krzyczeć jeszcze głośniej, ale teraz zakrztusiła się tylko dziwacznie i wybiegła z pokoju, zatraskując za sobą drzwi od sypialni.

Melody i tato spojrzeli na siebie. Potem tato odłożył gazetę, odchrząknął i delikatnie zapukał do drzwi sypialni.

— Jane. To ja.

Wszedł do środka, a Melody zostawiła kredki na stoliczku i na palcach podeszła do drzwi sypialni. Wsłuchiwała się w podekscytowany szept rodziców.

— Naprawdę nie widzisz, jak ona się stara, żeby cię nie zdenerwować?

— Widzę, że się stara. Dobrze o tym wiem. Jest taka kochana. Ale ja po prostu już dłużej nie mogę...

— Co? Czego nie możesz?

— Nie potrafię już.

— Czego?

— Tego! No tego! Tego życia. Tej rodziny.

— Janie, potrzebujemy ciebie. Melody cię potrzebuje.

— No właśnie. A ja już nie potrafię. To całe... to całe dbanie. Mnie już nic nie obchodzi, John, nie rozumiesz? Nic mnie nie obchodzi! Straciłam jedyną rzecz, która się dla mnie liczyła. Straciłam moją niewinność.

— Jane, straciłaś dziecko. Ale masz jeszcze jedno. I ono bardzo cię potrzebuje. I bardzo cię kocha.

— Tak, ale to nie jest niemowlak, prawda? Ona ma już cztery lata. I dobrze ją znam. Wiem, jaki ma kolor włosów. Jaki ma głos. Że lubi ciasteczka Viscount i kolorowanki i że woli twoją matkę od mojej. Wiem, że ma orzechowe oczy i twoje nogi. Znam ją. I właśnie to straciłam. Nie niemowlę. Nie dziecko. Ale potencjał. Straciłam potencjał. Wszystko to, czego nigdy, przenigdy się nie dowiem. I to mnie dobija, John, dobija za każdym razem, kiedy zamykam oczy.

Nastąpiła długa przerwa i Melody wstrzymała oddech.

— Słuchaj. Być może Melody nie jest twoim jedynym dzieckiem, Jane, ale ty jesteś jej jedyną matką. I musisz się z tym jakoś uporać, bo jesteś jej to winna. Jesteś jej winna bycie matką.

— I właśnie o to mi chodzi. Dokładnie o to! Jeśli nie mogę być matką Romany, to nie chcę być niczyją matką, rozumiesz? Niczyją matką na świecie.

Melody wypuściła cicho powietrze, a potem powoli i bezszelstnie posprzątała kredki i położyła się w łóżeczku.

ROZDZIAŁ 10

Teraz

WAKACJE ROZPOCZĘŁY się w czwartek i Melody z ogromną ulgą opuszczała szkolne bramy. W głowie wirowało jej od wspomnień i pomysłów. Wspomnienia nie pojawiały się w uporządkowanym, chronologicznym porządku, tylko nadchodziły falami. Nie wiązały się ze sobą i Melody miała wrażenie, że ktoś pociął jej życie na drobne elementy, rozrzucił je i teraz wolno, kawałek po kawałku opadały nad jej głową.

Kolejnego dnia, przepelniona nadzieją na uporządkowanie tej rozsypanej układanki, Melody spakowała małą torbę, ubrała dżinsy i tenisówki i kupiła bilet na pociąg do Broadstairs. Stała na peronie Victoria Station i rozglądała się nerwowo, jakby oczekiwała, że za chwilę zobaczy kogoś znajomego. Z megafonu rozległa się zapowiedź nadjeżdżającego pociągu, a wraz z nią pojawiło się kolejne wspomnienie. Zimne, gołe ręce na jej kolanach. Pohaczone, granatowe rajstopy i dżinsowa spódniczka. I kobiecy głos mówiący: „W takim razie będziesz marznąć”. Fala smutku.

Melody wzdrygnęła się, nagle poczuła chłód mimo pachnącego spalinami letniego upału.

Usiadła przy oknie w niemalże pustym pociągu. Miała nadzieję, że to miejsce pomoże jej wytyczyć jakiś kierunek, ale widok za szybą wydawał się zwyczajny i pozbawiony wszelkiego znaczenia. Dopiero gdy wysiadła w Broadstairs, w jej głowie znów zawrzało.

Broadstairs było ładnym miasteczkiem, pełnym smukłych, nadmorskich kamieniczek, przysadzistych wiejskich chat i ozdobionych sztukaterią willi. Wąskie i wybrukowane ulice wypełniały sklepiki z prążkowanymi markizami pełne pamiątek dla turystów. Pierwszy dzień

letnich wakacji ściągnął do miasta świeże, rodzinne twarze. Na razie Melody nic nie rozpoznała, ale czuła się tak, jakby podekscytowane dziecko prowadziło ją za rękę w określonym kierunku.

Na jednej z głównych uliczek zatrzymała się na chwilę, by zajrzeć do środka pewnej kafejki. W jej oknach wisiały kraciaste zasłony, wewnątrz utrzymano w starym stylu, a wiktoriańską fasadę zdobiły bogate ornamenty. Stojąc przed kafejką, poczuła falę zdziwienia, jakby właśnie zobaczyła coś wspaniałego i zaskakującego. Znieruchomiła na chwilę, odurzona własnymi uczuciami czekała na kolorowy i pełen wyjaśnień obraz. Gdy nic się nie pojawiło, ruszyła przed siebie.

Przez kolejne pół godziny wędrówki nic się nie wydarzyło i Melody zaczęła odczuwać rozczarowanie. W głowie nie pojawiły się żadne olśnienia czy wspomnienia. Pomyślała nawet, że traci tylko czas, gdy wydarzyły się dwie rzeczy. Przede wszystkim zobaczyła wysoki biały dom z wąskimi oknami i balkonem w kształcie smutnego uśmiechu. Jej podświadomość natychmiast odpowiedziała następującym obrazem:

Delikatny niczym piórka deszcz na jej skórze.

Trzy mewy krążące nad jej głową, tak blisko, że widziała łuski na ich nogach.

Plaśnięcie. Jak rozbite jajko. Kupa mewy, szara i nijaka, rozbryzgana po chodniku, dosłownie centymetry od jej czarnych tenisówek.

Brzmiący jak bicie zegara dźwięk dzwonka do drzwi.

W drzwiach pojawił się mężczyzna z długimi, zaczesanymi gładko za uszy włosami, o miłej twarzy.

Uśmiechnął się, najpierw do towarzyszk Melody, a potem do niej. Miał szare oczy i białe zęby. Ubrany w niebieską koszulę bez kołnierzyka i luźne płócienne spodnie.

„Witaj, Jane — przywitał towarzyszkę Melody — i witaj, Melody. Witajcie w waszym nowym domu”.

Melody musiała przysiąc na krawężniku, żeby się uspokoić. To było najsilniejsze jak dotąd wspomnienie, bardzo żywe i przytłaczające. I wiedziała z całą pewnością, że mieszkała kiedyś w tym domu. Z kimś o imieniu Jane. To był ich dom.

Przez chwilę nie odrywała oczu od budynku, wyłapując każdy szczegół, okna, drzwi, świeżo pomalowane elementy z kutego żelaza. Dom był piękny, elegancki i zadbane, różnił się od tego budynku, który przed chwilą zaprezentował się w jej głowie. Tamten dom był nędzny i zniszczony, zdobienia pokrywał zielony nalot, a z kutek elementów łuszczyła się farba. I ten mężczyzna z długimi włosami. Znała go. Była tego pewna.

Przeczytała napis na tabliczce wiszącej w oknie na parterze i wstała.

„Wolne pokoje”.

Nadusiła na dzwonek. Do drzwi podeszła kobieta w fartuchu mniej więcej w jej wieku. Trzymała żółtą szmatkę i butelkę płynu Mr Sheen i miała na sobie fartuch. Wyglądała na rozproszoną i nieco rozdrażnioną.

— Dzień dobry — odezwała się Melody — ja właśnie. .. — Przerwała na chwilę, bo do końca nie była pewna, co miała zamiar zrobić.

Kobieta patrzyła na nią ze zniecierpliwieniem.

— Mają państwo wolny pokój? — zapytała w końcu Melody.

— Tak — odparła szorstko kobieta — ale tylko na dzisiejszą noc. Od jutra mamy pełną rezerwację na cały sezon.

— Mogłabym zobaczyć pokój?

— Tak. Oczywiście.

Kobieta otworzyła drzwi i wpuściła ją do środka. Na beżowych ścianach porządnego i eleganckiego holu wisiało mnóstwo oprawionych w ramki czarno-białych zdjęć Broadstairs. Podłogę pokrywały mozaikowe kafle. Dom miał wejścia z dwóch stron. Melody czuła w niewyjaśniony i niepojęty sposób, że każdy kąt, każdy zakamarek domu miał dla niej szczególne znaczenie.

— Pokój jest bardzo mały — mówiła kobieta — ale skoro zatrzymuje się pani tylko na jedną noc...

— Och, jestem pewna, że będzie w porządku — powiedziała Melody, mając nadzieję, że mówi jak zwyczajna kobieta szukająca noclegu, a nie jak człowiek zmagający się z egzystencjalną zagadką.

— Mieszka tu pani od dawna? — zagadnęła kobietę.

— Kupiliśmy ten dom sześć lat temu, ale przez dwa lata doprowadzaliśmy go do porządku.

— Był bardzo zniszczony?

— I to jak. Kompletna ruina. Przez ponad rok mieszkaliśmy w przyczepie.

— Ojej. — Melody nie potrafiła wyobrazić sobie tej wymuskaney i nieskazitelnej kobiety w przyczepie. — Więc kto mieszkał tu przed państwem?

— Nikt, z tego, co nam wiadomo. W latach siedemdziesiątych mieszkali tu na dziko jacyś hippisi, a potem w 1980 pojawił się właściciel, wywalił dzikusów, zabił drzwi deskami i zostawił dom na pastwę losu. Kupiliśmy go na aukcji. Taki akt miłości. I szaleństwa.

Odwróciła się i uśmiechnęła do Melody.

— Dobrze, a oto i pokój. — Pchnęła drzwi do małego pokoju z widokiem na ogród.

Wnętrze prezentowało się pięknie, znacznie lepiej niż zwykłe pokoje gościnne pełne kwiecistych kap i tanich sosnowych szaf. Na środku stało pojedyncze łóżko z białą narzutą i poduchą, w oknach wisiały dwie biało- -czarne zasłony, a pod ścianą stała francuska antyczna komoda i szafa. Nad łóżkiem wisiało starannie oprawione monochromatyczne zdjęcie Paryża w nocy. Oczyszczone z farby i wycyklinowane deski podłogowe pełne były sęków i szpar.

— Piękny pokój — powiedziała Melody — naprawdę piękny. Ale nie jestem jeszcze pewna, czy zostanę w Broadstairs na noc. Myślę, że powinnam wrócić do domu. Mam syna... Muszę... — Przerwała, bo jej wzrok utkwiał w wyjątkowo dużej szczelinie w deskach, a w jej głowie pojawił się kolejny czysty i świeży obraz: potargany dywanik z owczej skóry, wymięta papierowa chusteczka, deski podłogowe pomalowane na brązowo, ciemne łóżko zajęte przez kogoś, jej własny głos szepczący ostro: „Zawiadomią policję! Wsadzą cię do więzienia! Mamo! Nie rozumiesz?”

Melody oniemiała.

— Moja matka! — wyszeptała głośniejszym głosem, niż się spodziewała.

— Och — odezwała się kobieta z nieco zmieszonym wyrazem twarzy. — Rozumiem, nie ma sprawy

— Eee, muszę już iść — powiedziała Melody, próbując odzyskać panowanie nad sobą. — Ale dziękuję pani.

— Tak, no więc jak mówiłam, mamy pełne obłożenie do końca lata...

— Och, tak, oczywiście. Nic nie szkodzi. Może jesienią?

— Dam pani ulotkę.

Melody pozwoliła oczom zarejestrować każdy możliwy szczegół w powrotnej drodze na korytarz, tyle że przepięknie odrestaurowane

wnętrze było jej zupełnie obce, a jedynie ogólny rozkład pomieszczeń budził jakieś skojarzenia.

— Wie pani, kim byli ci ludzie, którzy mieszkali tu kiedyś na dziko?

Kobieta spojrzała ze smutkiem na Melody, jakby samo wspomnienie o tym, że jej piękny dom został niegdyś podejrzanym sąątem, był dla niej trudny do zniesienia.

— Nie mam najmniejszego pojęcia — odparła, pociągając nosem. Wręczyła Melody bardzo gustowną broszurę i odprowadziła ją do drzwi. — Proszę pamiętać — powiedziała na pożegnanie — żeby rezerwować z wyprzedzeniem. Mamy tu ruch przez cały rok.

Melody odwróciła się do wyjścia, a kiedy znalazła się przed drzwiami, jej wzrok natychmiast spoczął na przyglądającym się jej mężczyźnie. W rękach ścisnął puszkę taniego wina jabłkowego Diamond White, był niechlujny, wyniszczony, zarośnięty i brudny.

— Zgubiłaś się? — zapytał, wydychając zgniły jabłecznik prosto w jej twarz.

— Nie, wszystko w porządku — odpowiedziała, próbując przejść obok niego.

— Wyglądasz, jakbyś się pogubiła. Jesteś pewna, że nie zabłądziłaś? Mieszkam tu, odkąd skończyłem siedem lat. Znam to miejsce jak własną kieszeń.

Mężczyzna był przeciętnego wzrostu i na oko ciut starszy od niej. Zanedbany wygląd i fakt, że był pijany, zniechęciły Melody do zapytania o Broadstairs w czasach jego dzieciństwa.

— Nie, naprawdę — zapewniła — wszystko w porządku. Spaceruję sobie tylko.

— Ja też. — Wyszczерzył do niej pociemniałe zęby, zadziwiająco proste i zdrowe jak na kogoś, kto mieszka na ulicy.

Odpowiedziała uśmiechem, marząc, by sobie poszedł i zostawił ją w spokoju.

— Mam na imię Matthew. A ty?

— Mel — odpowiedziała, nie chcąc podawać mu pełnego imienia na wypadek, gdyby uznał je za interesujące i przedłużał rozmowę.

— Miło mi cię poznać, Mel. A co cię sprowadza do Broadstairs?

Wzruszyła ramionami.

— Miałam ochotę wyrwać się z Londynu na jeden dzień.

Uśmiechnął się znowu i przełożył puszkę jabłkowego wina z ręki do ręki.

— Wybrałaś sobie ładny dzień — stwierdził. Miała wrażenie, że chce dotrzymać jej towarzystwa, więc odsunęła się od niego na kilka kroków. Spojrzał na nią spod zmrużonych oczu, wciąż się uśmiechał. — No to w drogę — powiedział.

Uśmiechnęła się nerwowo i ruszyła przed siebie.

— Miło mi było z tobą porozmawiać! — krzyknął za nią.

— Mnie też — odpowiedziała. Uśmiechnęła się w jego stronę i patrzyła, jak odwrócił się do niej plecami. I wtedy trafiło ją znowu:

Brudna tenisowa piłka, mur z pomalowanych na biało cegieł, obraz latającego chłopca, dźwięk... krykieta? Nie, nie krykieta, ale trzask struganego drewna. I dziecięcy głos mówiący: „Zabieraj stąd swoją mamę, zanim zaczniesz mu szorować plecy i rodzić dzieciaki”.

Musiała się zatrzymać, by wyrównać oddech.

Zanim doszła do siebie, mężczyzna o imieniu Matthew został po-
łknięty przez tłumy spacerowiczów, a wraz z nim zniknęły, o czym
Melody była przekonana, ważne wskazówki dotyczące jej dzieciństwa.

TLR

ROZDZIAŁ 11

1977

CAŁE STARE życie Melody zostało zdarte, nie za jednym zamachem, ale powoli i metodycznie, warstwa po warstwie. Najpierw wyprowadził się tato i zamieszkał w pokoju w Brixton, gdzie pod listwami w podłodze mieszkaly też myszy, a potem mama rzuciła pracę i przeszła na zasiłek, co oznaczało, że z domu zniknęły smaczne płatki śniadaniowe i skończyły się wypadki do zoo. Melody przestała chodzić do przedszkola, bo nie było pieniędzy na chesne, a potem mama spakowała wszystkie rzeczy, zostawiła mieszkanie w Londynie i zabrała Melody do cioci Susie, która nie miała dzieci i mieszkała w parterowym bungalowie na wybrzeżu Kentish, na obrzeżach Broadstairs.

Rodzina nazywała najstarszą siostrę Jane „Ta Cicha”. Susie nigdy nie wyszła za mąż i od dwudziestu lat mieszkała w tym samym, lekko wilgotnym bungalowie. Dla przyjemności czytała Biblię i uwielbiała eksperymentować w kuchni. Rzadko wychodziła z domu, bo była naprawdę gruba i z ledwością się poruszała. Wyglądała raczej jak matka Jane niż jej starsza zaledwie o cztery lata siostra.

Melody nie podobało się u cioci Susie. Nie miała tam nic do roboty, żadnej zabawy, a z okien widziała jedynie inne bungalowy otoczone nierównymi żywopłotami. A do tego skończyło się normalne jedzenie, bo Jane nie miała pieniędzy na zakupy, więc jadły to, co ugotowała ciocia Susie, czyli potrawy o przedziwnych nazwach takich jak rissole, suflet, confit i taginy, zatopione w przeróżnych sosach, ziołach, pokropionych śmietaną, a raz nawet podanych z nieobraną cytryną w całości. Najbliższa przyszłość rysowała się bez żadnych celów czy planów, a codzienność obracała się wokół wizyt cioci w kościele, oglądania telewizji i czarowania w kuchni. Dni prześlizgiwały się jeden po drugim i nie było jednego trwałego elementu, o który można by się zaczepić.

Aż do pewnego wrześniowego dnia, kiedy to Melody i mama przemierzały ulicę Broadstairs z kopertą pełną pieniędzy, przyslaną przez tatę na zakup szkolnego mundurka. W pewnym momencie zatrzymał je mężczyzna z szarymi oczyma i bukietem brzoskwiniowych róż. Zapytał mamę o samopoczucie, a Jane zaczerwieniła się i odparła: „Dziękuję, w porządku” swoim wyćwiczonym — „wzięłam się w garść” — głosem.

— Ale ja pytam serio — powiedział i dotknął rękawa kremowego swetra mamy. — Powiedz mi szczerze, jak się czujesz.

Jane spojrzała na mężczyznę. Melody wstrzymała oddech, bo z jednej strony pragnęła, by mama po prostu odeszła i przerwała tę dziwną sytuację, a z drugiej umierała z ciekawości, co się dalej wydarzy.

— Powiedziałam ci już — odparła Jane — nic mi nie jest.

— A mnie się zdaje, że ktoś wsadził ci tu rękę — przesunął dłoń z rękawa na brzuch mamy i zacisnął ją w pięść — i wyciągnął stąd twoją duszę. — Obrócił pięść o dziewięćdziesiąt stopni, a potem ją opuścił.

Melody przełknęła ślinę.

Jane bardzo głośno wypuściła powietrze przez nos i odchyliła lekko głowę, jakby została uderzona.

— Ja... — zaczęła, ale mężczyzna uciszył ją, kładąc palce na jej ustach.

— Widziałem cię już — powiedział. — Obserwuję cię.

Jane odsunęła jego rękę od twarzy i chwyciła dłoń Melody.

— To nie rób tego więcej.

— Mogę ci pomóc — zawołał za oddalającą się Jane. — Bez względu na to, co cię tak skrzywdziło, pomogę ci poczuć się lepiej.

Jane nie zwolniła kroku, a jej dłoń ścisnęła o wiele za mocno rączkę Melody.

— Proszę — powiedział mężczyzna, ukazując się u jej boku. — Proszę. Przyjmij ten kwiat. To róża z mojego ogrodu. Weź ją. Nic ci nie będzie. Usunąłem kolce. Ty już dosyć wycierpiałaś.

Jane wzięła kwiat, nie spojrzawszy nawet na niego i stanowczym krokiem poprowadziła Melody przed siebie.

Dziewczynka odwróciła się na rogu ulicy, by sprawdzić, czy mężczyzna zniknął. Stał w tym samym miejscu. Zanim zniknęły z jego widoku, zdążyła się do niego uśmiechnąć.

Przez kolejne dni Melody bezustannie rozmyślała o mężczyźnie z różą. Obserwowała, jak kwiat w wazonie w domu cioci Susie robił się coraz mniejszy, tracił kolor i usychał. A w dniu, w którym ostatni bezbarwny płatek opadł na okryty laminatem kredens cioci Susie, Jane stwierdziła, że muszą się wybrać do Broadstairs po nowe buty dla córki.

Melody nie pisnęła słowem na temat mężczyzny z różą, bojąc się, że mama mogłaby zmienić zdanie na temat kupna bucików. Właściwie to nie wspomniała o nim od dnia ich spotkania.

Wysiadły z samochodu cioci Susie i natychmiast go zobaczyła na nadmorskim bulwarze. Siedział na ławce zanurzony w słońcu i czytał książkę. Na dźwięk zatraskiwanych samochodowych drzwi podniósł wzrok i przez jedną krótką chwilę wyglądał dokładnie jak Jezus na obrazie wiszącym w kuchni cioci Susie.

Ciocia odjechała, a one podążyły w kierunku sklepów. Mężczyzna wstał i podszedł do nich. Miał na sobie błękitną bawełnianą koszulę i postrzępione bojówki, a jego długie włosy były zaczesane do tyłu. Melody zauważyła, że nie potrafi oderwać od niego oczu, nawet jeśli tego chciała.

— Witajcie znowu — przywitał je.

Jane podskoczyła na dźwięk jego głosu.

— O Boże — zaczęła.

— Posłuchaj, posłuchaj tylko — zwrócił się do niej łagodnie. — Przede wszystkim przepraszam. — Położył swoją dłoń na sercu. — W zeszłym tygodniu zachowałem się nie na miejscu. Naprawdę przepraszam. Nie można tak podejść do nieznajomej osoby. Widzisz, czasami mam takie. .. olśnienia. Z miejsca. Bam! Ot, tak po prostu. Widzę kogoś i od razu wiem, że jest mi bliski. I mnie ponosi. Wybaczysz mi?

Uśmiechnął się do Jane, aż zmarszczyły mu się kąciaki oczu.

— Nic nie szkodzi — bąknęła Jane — naprawdę. Nie przejmuj się.

— Chciałbym ci to jakoś wynagrodzić. Pozwól zaprosić się na kawę.

— Nie, naprawdę.

— Spieszycie się?

— Tak.

— Dokąd?

— Muszę kupić córce nowe buty.

— Ach — uśmiechnął się. — Do szkoły?

Melody z wypiekami na twarzy pokiwała głową.

— Powrót do szkoły. Pamiętam to uczucie. W której jesteś klasie? Pierwszej? Drugiej?

— Nie — potrząsnęła głową. — W zerówce.

— W zerówce! — uśmiechnął się. — Wyglądasz mi na starszą dziewczynkę. Myślałem, że jesteś przynajmniej w szóstej klasie.

Melody uśmiechnęła się i przytuliła się do ciała mamy.

— W każdym razie nie będę was dłużej zatrzymywać. A gdybyś zmieniła zdanie co do kawy, to znajdziesz mnie tutaj — wskazał na ławkę, na której wciąż leżała jego książka. — I jeszcze raz stokrotnie przepraszam za tamten dzień. Nie chciałem cię wystraszyć.

— Nie ma sprawy — powiedziała Jane z ledwie dostrzegalnym, przyczajonym w kącikach ust uśmiechem. — Nie mówmy już o tym.

— Więc wybaczasz mi?

— Tak — odparła Jane — wybaczam ci.

Mężczyzna uśmiechnął się, wytarł na niby pot z czoła i odwrócił się do ławki.

— A tak przy okazji — krzyknął, gdy dochodziły do zakrętu. — Jestem Ken!

W strugach deszczu zbliżały się do miejsca, którego adres Ken zapisał dla nich na kawałku papieru w zeszłym tygodniu. Swoje marne drobiazgi poupychały w stare walizki i pękate torby na ramię. Żadna z nich nie pomyślała, by zabrać parasol, i ich letnie ubrania nasiąkły deszczem. Zatrzymały się na chwilę przed domem, by mu się przyjrzeć. Willa w stylu regencji była bardzo zniszczona i stała na placu naprzeciwko nadmorskiego bulwaru. Melody spojrzała na krążące nad jej głową mewy i w samą porę zdołała odskoczyć, gdy jedna z nich wypuściła porcję monochromatycznej kupy, która wylądowała dosłownie centymetr od jej stóp.

W drzwiach pojawił się Ken. Stał boso na wejściowych stopniach i przejął ich bagaż.

— Witaj, Jane — zwrócił się do mamy — i witaj, Melody. Witajcie w waszym nowym domu. — Zaprowadził je na samą górę, do dużego pokoju ze skośnymi ścianami i małymi okienkami.

W pokoju znajdowały się dwa pojedyncze łóżka; jedno, piętrowe, przykrywała patchworkowa narzuta, a drugie z pomalowanego na biało żelaza stało obok szafy z surowej sosny.

— Nad wami jest tylko niebo — powiedział, pochylając głowę, by otworzyć okno. — Poddasze nie jest zbyt wygodne dla wysokich facetów, ale dla was, maluszki, jest idealne. — Odwrócił się i mrugnął do Melody, a ona odpowiedziała uśmiechem i zastanawiała się, co to znaczy słowo „poddasze”.

Ken wyszedł, a Melody usiadła z mamą na pojedynczym łóżku i obie utkwili wzrok za oknem. Jane wyglądała na zmęczoną. W ciągu minionego roku jej oczy zmieniły kolor z elektryzującego niebieskozielonego na obojętny niebieskofioletowy odcień. Mama na zdjęciach z czasów, zanim umarł dzidzius, wyglądała zupełnie inaczej. Jej włosy straciły blask, a na czole pojawiły się dwie duże zmarszczki, głębokie i bolesne, jakby wyryte tępym nożem.

— Jestem głodna — odezwała się Melody, która od ostatniego lunchu zjadła jedynie trzy gumy do żucia, bo mama była zbyt zajęta pakowaniem ich walizek, by myśleć o jedzeniu.

Mama westchnęła.

— No to chodź, poszukamy dla ciebie czegoś do jedzenia.

Kuchnia znajdowała się na samym dnie domu Kena. W ciepłym obszernym pomieszczeniu stał duży zielony piec i stary sosnowy stół otoczony tuzinem nie pasujących do siebie krzeseł. Pod oknem przycupniętym poniżej poziomu ulicy stała stara sofa, na której leżał duży biały pies z obwisłymi policzkami. Przy kuchennym stole siedziała kobieta z turbanem na głowie i kroїła na plasterki ogromną marchewkę. Na krześle obok niej leżał czarny, głośno mruczący kot. A na podłodze, przy jej stopach, siedziało małe dziecko z pulchnymi policzkami i obliżywało łyżeczkę.

Melody i Jane ostrożnie przestąpiły próg kuchni, a kobieta podniosła na nie wzrok.

— Cześć! — przywitała je. — Jane? Melody? Jestem Grace, żona Kena. Tak miło was poznać. — Wyciągnęła w ich stronę dłoń pokrytą pierścieniami i uściśnęła ich ręce. — A to — wskazała na malucha na podłodze — to Seth. Seth, przywitaj się.

Seth spojrział na nie z zaciekawionym, z jego ust aż do klatki piersiowej zwisał cienki strumień śliny.

— Zrobię wam herbaty. Siadajcie, siadajcie.

Melody przyglądała się Grace, która krzątała się po kuchni i zaparzała herbatę. Zdziwiła ją obecność tej kobiety, obecność „żony” w świecie Kena. Szczupła i wysoka, miała na sobie szare spodnie z rzadkiego płótna i obcisłą, czarną koszulkę, a na jej ramionach pobrzękiwały bransolety. Zaczesane do tyłu włosy spinał czerwony bawełniany turban. Grace była bardzo piękna, jej zarysowane kości policzkowe odbijały światło, a oczy błyszczały w ciemnej oprawie. Jediną skazą tej pięknej twarzy był duży, czarny, owłosiony pieprzyk rosnący tuż przy uchu i Melody doszła do wniosku, że Grace nieszczególnie przejmowała się swoją urodą, skoro się go nie pozbyła.

Grace stała przy zlewie i napełniała czajnik, gdy nagle drzwi otworzyły się z rozmachem i do kuchni wbiegł chłopiec w spodenkach moro i brązowej koszulce z długim rękawem. Obecność Melody i Jane wyraźnie go zaskoczyła.

— Cześć — powiedział po chwili.

— Och, jesteś — odezwała się Grace, odwracając głowę od zlewu. — Melody, Jane, to mój drugi syn, Matty.

Matty miał kasztanowe włosy, oczy w kolorze jasnego orzecha i wyglądał na dziesięć lat. Uśmiechnął się do nich z zaciśniętymi ustami, a potem westchnął.

— Przyszłyście tu zamieszkać? — zapytał.

Jane skinęła głową.

— Super — powiedział. — Po prostu super.

Grace uśmiechnęła się przepraszająco.

— Nie przejmujcie się nim — powiedziała. — Ma bardzo mocno rozwinięty instynkt terytorialny. Matty może pokazesz Melody ogród?

Chłopiec westchnął i wierzchem buta kopał dywanik.

— Proszę.

— No dobra.

Melody podążyła za nim na małe, wybrukowane podwórko. Wysoki, pomalowany na biało mur został ozdobiony przedziwnymi malowidłami tajemniczych stworzeń i latających dzieci. W kącie stała sośnowa ławka, stary koń na biegunach i pudło pełne piłek i skakanek. Obok rósł krzak obsypany mięsistymi brzoskwiniowymi różami.

— To jest ogród — powiedział Matty. — Nie jest za duży. Ale nam się podoba.

Melody wpatrywała się w plamę z purpurowej farby na murze, która zdawała się ruszać i wyglądała jak balon z kawałkiem sznurka. Nie miała pojęcia, co powiedzieć.

— Możesz się bawić zabawkami z pudła — powiedział Matty. — To są rzeczy dla dzieci. Ale nie dotykaj mojego roweru. — Uderzył piętą w mur i wcisnął ręce w kieszenie.

— Ile masz lat?

— Cztery — odpowiedziała Melody. — W listopadzie skończę pięć.

Matty skinął głową.

— A gdzie twój tato? Umarł?

— Nie. Mieszka w Londynie.

— Aha — powiedział. — Mój też.

W głowie Melody pojawiło się pytanie, ale onieśmienie odebrało jej głos.

— Twoja mama i Ken, czy oni są, no wiesz, tak...?

Melody nie wiedziała, nie miała najmniejszego pojęcia. Nie potrafiła zrozumieć sensu pytania Mattiego, więc tylko skinęła głową.

— Pewnie — powiedział Matty. — Tego zdążyłem się domyślić. Kurde, ten dom staje się coraz bardziej zakrecony. — Cmoknął z niezadowolaniem i potrząsnął głową.

— Ale mimo wszystko — omiół ją wzrokiem — wyglądasz mi na sensowną dziewczynę. Szkoda, że nie jesteś starsza, bo może moglibyśmy nawet się zaprzyjaźnić. Ale będę miał na ciebie oko. Dopilnuję, żebyś była bezpieczna. Bo jeśli ja tego nie zrobię, to uwierz mi, nikt nie kiwnie tutaj cholernym palcem.

Wyjął ręce z kieszeni, odwrócił się i poszedł z powrotem do kuchni.

Melody została sama, wpatrywała się w płamę w kształcie balonu i zastanawiała się, czy jej życie będzie jeszcze normalne.

ROZDZIAŁ 12

Teraz

Po POWROCIE z Broadstairs Melody postanowiła spędzić wieczór nie na kolacji z Benem, ale z synem w pubie. Wybrali Cross Keys, mały, lokalny pub, zagracony bibelotami w stylu wiktoriańskim i obwieszony koszami z petuniami. Ed zamówił kufel piwa Stella, a Melody piwo z lemoniadą. Usiedli na małej ławeczce owiniętej wokół drzewa na zewnątrz lokalu, otoczeni tłumem głośnych urzędników, świętujących zakończenie pracy.

— No więc — zaczął Ed, odstawiając kufel na półkę wykutą w ścianie — co ci jest, mamuś?

— Co?

— Co się dzieje?

— Nic się nie dzieje.

— Proszę, przestań już. Nie jestem głupi. Odkąd spotkałaś się z tym facetem, zachowujesz się inaczej. Czy wszystko w porządku?

— Oczywiście, że tak.

— Więc co z nim? Dobrze cię traktuje?

Melody zaśmiała się.

— Ben? — zapytała i spróbowała wyobrazić sobie dużego, delikatnego, ckliwego Bena robiącego cokolwiek bardziej obrażającego niż przytrzymanie dla niej drzwi. — Boże, Ed, gdybyś go poznał, on jest taki... kochany, to dżentelmen.

— No to dlaczego zachowujesz się tak dziwnie?

— Co masz na myśli?

— Nie wiem. Jakoś tak podejrzanie. I dlaczego przestałaś palić?

Wzruszyła ramionami.

— Po prostu odechciało mi się.

Ed zmarszczył brwi, a ona powstrzymała się, by nie objąć szyi i nie przytulić tego chłopca, jej jedyne dziecko, które tak bardzo przejmowało się jej samopoczuciem, nieświadome tego, co działo się w jej życiu.

— Nie martw się o mnie — powiedziała. — Może przechodzę przez pewne zmiany. Może to, że dorastasz i niedługo mnie zostawisz, sprawia, że czuję się trochę... nie w sosie. Wiesz, tak długo byłeś tylko ty i ja, nie musiałam myśleć o niczym innym, a teraz zmienia się moja perspektywa i muszę zastanowić się nad tym, co stanie się za chwilę...

— Przecież jeszcze się nigdzie nie wybieram. — Uśmiechnął się i sięgnął po kufel.

— No niby fizycznie nie, ale emocjonalnie każdego dnia będziesz mnie potrzebował coraz mniej. I nawet moja praca, wzięłam ją tylko dlatego, by być bliżej ciebie, by mieć wolne wakacje, ale nie muszę już być pomocą kuchenną. Teraz mogę być, kimkolwiek zapragnę. Jestem wolna, rozumiesz, jestem wolna. I uwierz mi, naprawdę się boję.

— Ale mamuś, Boże, nie musisz się bać! Czego się boisz? Wciąż jestem blisko. A ty jesteś wspaniała, mogłabyś robić tyle rzeczy.

— Tak? Na przykład co?

— No sam nie wiem, może uczyć? Byłabyś świetną nauczycielką. Bez ciebie nigdy nie zdałbym matury i miałbym w nosie oceny. Mogłabyś nawet wyjść za mąż, mieć więcej dzieci...

— Co?

— No tak, poważnie. Dlaczego nie? Jesteś jeszcze młoda. Powinnaś mieć więcej dzieci. Jesteś najlepszą mamą pod słońcem. Sama powiedz, nie chciałabyś? Wiesz, jak Stacey.

Melody uśmiechnęła się blado.

— Nie — powiedziała, kładąc dłoń na kolanie Eda. — Ty mi wystarczasz.

— A co z tym facetem, Benem? On nie ma dzieci, prawda? Nie chciałby zostać ojcem?

— Nie wiem. — Znow się zaśmiała. — Może i tak.

— No widzisz, może ty i on...

Potrząsnęła powoli głową.

— Nie istnieje żadne ja i on.

— Co? To już skończone?

— Nie mogło się skończyć coś, co się nawet nie zaczęło.

— Ale dlaczego?

— Nie wiem — odparła. — Jakoś nie mogę się do niego przekonać.

— Akurat do niego czy w ogóle do mężczyzny w twoim życiu?

— Posłuchaj, Ed — zaczęła niepewnym głosem. — Dzieje się teraz coś ważnego i nie ma to nic wspólnego z Benem. To dotyczy... — Przerwała. Czowała, że zbyt mało wie, by na tym etapie wtajemniczyć Eda, wiedziała, że pragnie ofiarować mu coś więcej: niepodważalne fakty i klarowne odpowiedzi. Zawsze uważała, że rolą matki było malowanie świata w najjaśniejszych barwach i ostrych konturach, by chronić dziecko przed kapryсами i niepewnościami życia. Wzięła głę-

boki oddech, dobrała odpowiednie słowa. — To dotyczy mojego dzieciństwa i tego, co zaszło w czasie występu Juliusa Sardo.

Ed wykrzywił twarz w konsternacji.

Westchnęła i zaczęła mówić dalej:

— Od tamtego wieczora, kiedy zemdlałam, zaczęłam przypominać sobie różne rzeczy.

— Jakie rzeczy?

— No, tego nie jestem jeszcze pewna. To raczej pourywane strzępy w czasie niż właściwe wspomnienia, ale mają związek z moim życiem, wiesz, z okresem przed pożarem, którego nie pamiętam. Nie potrafię ich jeszcze zrozumieć, ale wiem już tyle, że mieszkałam kiedyś w Broadstairs. Byłam tam dzisiaj. Znalazłam dom i w ogóle.

— Co? — Ed spojrział na nią z niedowierzaniem. — Chcesz powiedzieć, że mieszkałaś tam z rodzicami?

— Tak. Nie. Nie wiem. Nie pamiętam. Wiem tylko, że mieszkałam w sąuacie, i pamiętam mężczyznę o imieniu Ken. Miał motor. I była jeszcze kobieta o imieniu Jane, i chyba... — Już miała powiedzieć „i chyba zwracałam się do niej mamó”, ale przerwała, bo wciąż jeszcze nie przetrawiła treści tego wspomnienia. — Widzisz — kontynuowała — rozpoznałam nawet szczelinę w podłodze, taki detal. Nie mogę sobie tego wyobrazić. To prawie jak... jakbym miała inne życie.

— Chcesz powiedzieć, że zostałam adoptowana lub coś takiego?

Melody wstrzymała oddech. Rozważała taką możliwość pod osłoną głębokiej, ciemnej nocy, ale ostatecznie odrzuciła ją, uznawszy za zbyt niedorzeczną, nawet w świetle niezwykle klarownych, dziecięcych wspomnień.

— Nie — odpowiedziała cicho — nic takiego. Ale myślę, że na jakiś czas, z jakiegoś powodu, zostałam wysłana nad morze...

— O kurde. — Ed opuścił kufel i spojrzał na nią nerwowo. — Nie myślisz chyba, że spotkało cię, no wiesz, jak w tych wszystkich historiach, że ten facet i oni, no wiesz, te wszystkie popierdzielone rzeczy, które przytrafiają się dzieciom?

— Masz na myśli wykorzystywanie?

— No. — Wzruszył nieszczęśliwie ramionami. — To się nawet jakoś nazywa, to, kiedy dzieci zapominają o złych rzeczach, a potem trafiają do lekarza od psychiki i wszystko wychodzi na jaw, a ich tatusio-
wie trafiają do więzienia z siwymi już głowami?

— Regresja?

— No. Bo właśnie to zrobił ci ten cały Sardo, prawda? Sprawił, że myślałaś, że masz pięć lat i może, kiedy miałaś pięć lat wydarzyło się coś naprawdę złego i ty odcięłaś się od tego, a teraz wraca ci pamięć. Wiem, że to nie brzmi miło, ale twój tato, myślisz, że on...?

— Nie — krzyknęła Melody na wpół ubawiona. — W żadnym wypadku!

— No, niby tak mówisz, ale oni wszyscy wyglądają na miłych facetów, ci pedofile. Skąd wiesz? Skąd możesz mieć pewność, skoro twoja pamięć szwankuje?

— Po prostu to wiem.

— To tłumaczyłoby wiele rzeczy.

— Jakich na przykład?

— Na przykład to, że nie chcesz faceta...

— Ale ja chcę faceta!

— Nie chcesz. I masz taki „anty” stosunek do rodziców.

— Dobrze wiesz, dlaczego mam do nich taki „anty” stosunek.

— Wiem tylko to, co sama mi mówisz i jak tłumaczysz swoje nastawienie.

— Jezu, Ed, przestań już, dobrze!? Ojciec mnie nie wykorzystywał, ok?

— No więc co, do cholery, robiłaś w squalu w Broadstairs z facetem o imieniu Ken?

Melody westchnęła i pozwoliła głowie opaść na klatkę piersiową.

— Nie wiem — odparła, podnosząc wzrok. — Nie wiem, ok?

— Żyłaś w komunie czy coś takiego?

Wzruszyła ramionami.

— Nie pamiętam. Pamiętam mężczyznę o imieniu Ken. Miał... — zmrużyła oczy — tatuaż na ręce, jakiś symbol i pachniał... — wciągnęła powietrze — tabaką. I jego włosy były długie, ale wygolone po bokach, jak u wyrosniętego Mohikanina.

— Mmm, to brzmi całkiem nieźle. Musisz do nich zadzwonić.

— Do matki i ojca?

— Tak. Musisz zadzwonić i zapytać: „Hej, mam, co, do cholery, robiłaś w Broadstairs?” — podkreślił pytanie wysferzonym akcentem, którego zawsze używał, mówiąc o dziadkach, bo chociaż nigdy ich nie spotkał, to wyobrażał ich sobie jako znacznie bardziej snobistycznych, niż byli w rzeczywistości.

— Nie mogę do nich zadzwonić — westchnęła Melody.

— Dlaczego nie?

— Bo — westchnęła znowu — jeśli wtedy mnie okłamali, to znów to zrobią. A ja muszę poznać prawdę. I myślę, że potrzebuję... — prze-rwała na chwilę, by znaleźć odpowiednie słowa — myślę, że potrzebu-

ję czasu, że chciałabym poznać prawdę kawałek po kawałku, jak w układance. Przypuszczam, że gdybym od razu dowiedziała się wszystkiego, to po prostu mogłabym...

— Eksplodować?

— Tak. Albo załamać się. Albo jedno i drugie. Więc — powiedziała cicho — jak myślisz, co powinnam zrobić teraz?

— Wracać do Broadstairs — stwierdził Ed. — Wracać i sprawdzić, co jeszcze cię tam czeka.

TLR

ROZDZIAŁ 13

1989

— W CIAŻY?

Matka przeciągnęła słowo po języku. Jakby natknęła się na nieoczekiwany kawałek chrząstki.

— Tak — potwierdziła Melody, ściskając skórę wokół palców.

— W ciąży? — powtórzyła matka. — Ale ja...

— W porządku — powiedziała Melody. — Daję sobie z tym radę.

— Dajesz sobie radę? — Ojciec uniósł się z fotela. Wyglądał jak modliszka polująca na muchę, siedzącą na pobliskiej gałęzi, fałdy skóry na jego szyi zaczęły drzeć, a błyszczące czoło odbijało wczesnowieczorne światło.

— Usiądź, Clive. — Matka rzuciła mu zatrwożone spojrzenie.

Oparł się ciężko o tapicerkę Dralon i wolno potrząsnął głową.

— Czyje to dziecko? — zapytał. — Czy tego chłopaka? Tego na skuterze?

— Tak — odparła Melody. — A kogóż by innego? — Rozzłościła ją ta sugestia, że mogła przespać się jeszcze z kimś innym, choć właśnie tak się stało.

Matka utkwiała wzrok za oknem. Niskie słońce podkreślało jej delikatne włosy, przypominające półprzejrzyste kępki końskiej sierści albo watę, którą była wypchana stara sofa. Ładna twarz wyglądała staro, jakby ktoś odpruł skórę z jej kości, a potem niedbale przykrył nią rysy. A jej oczy, co Melody dostrzegła z bólem, wypełniły się łzami.

— Który to tydzień? — zapytała, odwracając się nagle, jej łzy wyschły.

Melody wzruszyła ramionami.

— Nie jestem pewna — odpowiedziała. — Okres spóźnia mi się jakieś pięć tygodni.

— Pięć tygodni?

— Prawie sześć.

— O mój Boże.

— Co? Wszystko jest w porządku.

— W porządku? Jak możesz tak mówić? Musimy z tobą jechać do lekarza najszybciej jak to możliwe, by cię przebadał. Może po prostu masz nieregularne miesiączki.

— W tym tygodniu codziennie miałam mdłości.

— W takim razie... — Matka przerwała i wydeła usta. — Będziemy musieli zapytać go o możliwe... opcje.

— Chodzi ci o aborcję?

— Tak, o aborcję. O Boże, Melody, o czym ty myślałaś, co ty, do diabła, sobie myślałaś?

Melody znów wzruszyła ramionami.

— Ona nie myślała, Glorio, to przecież oczywiste, w przeciwnym razie nie narobiłaby takiego okropnego bałaganu. — Ojciec zmienił pozycję nóg pod kocem, powoli i z bólem.

— Jak mogłaś nam to zrobić, Melody? Jak mogłaś zrobić to ojcu po tym wszystkim, co przeszedł przez ostatnie miesiące? Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiliśmy?

— To nie ma z wami nic wspólnego! Tu chodzi o mnie!

— Nie! Wcale nie! Nie rozumiesz tego? Tu chodzi o nas wszystkich. To dotyka całej rodziny!

— To nie jest rodzina! — wrzasnęła Melody. — To raczej dom starców z przypadkowo mieszkającą w nim nastolatką.

Okrutne słowa zawisły w zastygłym powietrzu. Spojrzała na ojca, na jego połamane ciało, łysą głowę, potem pomyślała o tych silnych ramionach, które przed laty wyciągnęły ją z łóżka, zaniósły w bezpieczne miejsce, uratowały jej życie. Nie zasługiwał na te ostre słowa. Ale i ona nie zasługiwała na tych ludzi, na takie życie.

— Świetnie — odezwała się mama. Ostry ton, wypowiedziany ciekim dziewczęcym głosem, brzmiał absurdalnie. — Świetnie. Jeśli tak właśnie uważasz, to proszę bardzo, droga wolna.

Melody wpatrywała się w matkę z niedowierzaniem. Niby jak.

— Droga wolna? A niby gdzie? — zaśmiała się szorstko.

— Nie wiem. Po prostu gdzieś. Gdzieś, gdzie jest fajnie. Może do przyczepy Tiffa? Na ulicę? Sama mi powiedz!

Melody nie spuszczała wzroku z mamy, czekała, aż zmięknie, jak to miała w zwyczaju, ale szczeka kobiety nawet nie drgnęła, a jej ręce utknęły w mocnym zacisku wokół klatki piersiowej.

— Mówię serio, Melody. Nie żartuję. Przekroczyłaś granicę. To już koniec. Więcej nie jesteśmy w stanie znieść...

Melody odwróciła się do ojca. Mężczyzna z determinacją wbił wzrok w zaulek za oknem. Melody głęboko wciągnęła powietrze. Na ten moment zanosilo się od miesięcy, od lat. Od czternastych urodzin napierała na nich, a oni jej na to pozwalali. Zupełnie jakby przestali się rozpoznawać, w ich relację wkradła się obcość znużonych sobą kochanków.

Tej nocy Melody wrzuciła do torby trochę ubrań, najlepszą biżuterię matki, pięćdziesiąt funtów w banknotach i monetach z „sekretnego” schowka na dnie szafy rodziców, misia i portret hiszpańskiej dziew-

czyny i czekała niecierpliwie na chodniku na Tiffa. W nocnym świetle unosił się jej ciężki i zachmurzony oddech, przemarznięte stopy kuliły się w tanich balerinkach Dolcis. W końcu gęstą ciszę przerwał dźwięk skutera dojeżdżającego do zaułka. Melody wdrapała się na motorower, nie spojrzawszy nawet na Tiffa, owinęła ręce wokół jego talii i szepnęła mu do ucha: „Wynośmy się stąd”.

Nigdy potem nie spotkała się już z rodzicami.

TLR

ROZDZIAŁ 14

Teraz

NASTĘPNEGO DNIA Melody i Stacey wybrały się na zakupy. Cleo, najstarsze dziecko Stacey, kończyło osiemnaście lat w przyszłą środę, a urodziny Eda wypadły dokładnie tydzień później, więc postanowiły wspomóc się w wyborze prezentów. Wspólne zakupy od zawsze traktowały jako wymówkę do spotkania. We wczesnych latach przyjaźni umawiały się na Oxford Circus, w wózkach siedziały wciśnięte w zimowe kombinezony maluchy, w siatkach dyndały zapasowe pieluchy, a one buszowały w sklepach Mothercare i między półkami z zabawkami u Johna Lewisa. Kiedy pociechy podrosły, one umawiały się w czasie ich przedszkola czy szkoły, a teraz mogły spotykać się w najwygodniejszej dla siebie porze, bo miały już prawie dorosłe dzieci.

Pogoda bardziej przypominała kwiecień niż lipiec. Na niebie błyszczało słońce, ale powietrze było bardzo rześkie. Melody przeszła pieszo przez miasto ponad pół mili, cieszyła się, że po dziwacznej podróży do Broadstairs poprzedniego dnia dzisiaj czekały ją prozaiczne i dobrze znane wrażenia.

Uśmiechnęła się na widok drobnej figury Stacey truchtającej przez Oxford Street w jej kierunku. Stacey należała do tych maleńkich kobiet, które rozdymały się do wielkości wiejskiej chaty za każdym razem, gdy zachodziły w ciążę, by w przeciągu kilku miesięcy od porodu skurczyć się do rozmiaru 34. Ubrana jak zawsze w obcięte bojówki i bluzę z kapturem maszerowała z miedzianymi włosami upiętymi w kitkę, z okularami przeciwsłonecznymi na głowie i rozżarzoną papierosem w dłoni. Z tyłu wyglądała na czternastolatkę, ale jej twarz przedwcześnie postarzył stres, papierosy i zbyt częste wakacje w Hiszpanii. Gdyby Melody użyła prezerwatywy podczas dwóch stosunków, które odbyła w październiku 1987, nigdy nie spotkałaby Stacey i z dużym

prawdopodobieństwem jej najlepszą przyjaciółką zostałaby koleżanka ze studiów, mieszkająca w trzypokojowym szeregowcu w Clapham Junction, z beżowo- różanymi ścianami i audi zaparkowanym przed domem. Los jednak chciał inaczej i Stacey stała się nie tylko częścią jej życia, ale dzięki niej Melody nie oszalała przez ostatnie osiemnaście lat.

— Cześć! Cześć! Przepraszam, że się spóźniłam! — Stacey pochyliła się i przytuliła na przywitanie, zaciskając na ramionach przyjaciółki chude palce i wydychając na nią cały papierosowy dym. — Metro utknęło w tunelu na Bethnal Green na osiem minut. Myślałam, że zemdleję, tak było gorąco.

Wmaszerowały do Selfridges i skierowały się ku sklepom z luksusowymi rzeczami na parterze.

— No to — zapytała Melody — co kupujesz dla Cleo?

— Wybrała sobie coś z Mulberry. — Stacey sięgnęła do torebki po kawałek papieru. — Mulberry Bayswater — przeczytała. — O tam.

Znalazły odpowiedni dział i poprosiły o pomoc ekspedientkę, która, o dziwo, nie spieszyła się na widok dwóch kobiet ubranych w ciuchy Primark i New Look, z włosami pofarbowanymi tanimi domowymi farbami Nicen Easy.

— Boże, czy to naprawdę to? — Stacey spojrzała z pogardą na torbę.

Piękna, skórzana torba w orzechowym kolorze miała klapę i dwie rączki. Ale Stacey kochała jedynie te rzeczy, które oznajmiały, skąd pochodzą. Nie rozumiała, jak można było wydać setki funtów na torbę bez widocznego dla przypadkowego obserwatora logo znanej firmy. Obracała torbę na wszystkie strony, próbując znaleźć w niej coś szczególnego, ale na próżno. Zrezygnowana wyciągnęła portmonetkę i za-

częła odliczać pięćdziesięciofuntowe banknoty, jeden po drugim wprost do wyciągniętej ręki ekspedientki.

— Do jasnej ciasnej — mruknęła pod nosem.

Melody nie zapytała przyjaciółki, skąd wzięła pieniądze. Stacey zawsze płaciła świeżymi, nowiutkimi, odliczonymi co do pensa banknotami za rzeczy, których potrzebowała. Jeśli szła po nowe buty, to w portfelu miała 50 funtów, jeśli potrzebowała papierosów, płaciła piątką, a gdy zapragnęła wyjechać na dwa tygodnie all inclusive do kurortu w Republice Dominikańskiej, to wyciągała 2500 funtów. Zupełnie jakby gdzieś w ukryciu trzymała magiczne pieniądze.

— No to ja mam już problem z głowy. Teraz twoja kolej. Co kupujesz dla Ediego?

— Zgadnij.

— iMac?

— Tak, iMac.

— Przez Internet kupiłabyś go taniej, wiesz?

— No tak, ale ja nigdy nie korzystam z Internetu, prawda? A poza tym tak mam większą frajdę. I chciałabym jeszcze kupić mu coś wyjątkowego, coś, co trzymałby na zawsze.

Stacey spojrzała na nią spod uniesionych brwi. Zawsze wyśmiewała sentymentalizm Melody, jej potrzebę, by każdy przedmiot miał swoje szczególne znaczenie.

— Kup mu zegarek.

Melody zmarszczyła nos.

— Ma już zegarek. Myślałam o czymś bardziej... Sama nie wiem, o czymś jak wieczne pióro.

— Pióro? A na co mu pióro?

— Nie wiem. Do przechowywania. Do posiadania. Żeby mu mnie przypominało, rozumiesz?

— No to może zamiast tego fundniesz mu tatuaż? Czerwone serce z napisem mamuśka. — Stacey złożyła palce na kształt serca, potem szturchnęła Melody i zaśmiała się. — Dzisiejsza młodzież ma gdzieś przedmioty, które trzyma się po szufladach, Melody. Im zależy jedynie na praktycznych rzeczach, gotowych do użycia. Natychmiastowa gratyfikacja. Kup mu flakon Calvina Kleina. I paczkę losów na loterię. — Znów szturchnęła lekko Melody i ruszyły w kierunku działu ze sprzętem elektronicznym.

Melody czuła się nieco wypruta, gdy pół godziny później, w towarzystwie żółtych toreb z zakupami, zasiadły w barze sushi w głównym holu. Miała wrażenie, jakby wypełniła ją pustka i coś jej odebrano, tyle że nie potrafiła zdefiniować, co to było. Jej jedynak obchodził osiemnaste urodziny. Chciała dla niego czegoś więcej niż pudełko z gadżetami. Chciała mu dać coś znaczącego. Ze Stacey było inaczej. Cleo nie była jej jedynym dzieckiem. Żyła jeszcze dla Charlie i Clover. Swojej pierworodnej mogła podarować skórzaną torbę, bo wiedziała, że czekało ją jeszcze coś, więcej znaczeń, więcej milowych kroków. A Melody zbliżyła się do kresu pewnego etapu.

— To co — zaczęła Stacey, ściągając z obrotowej lady talerz z makaronem i otwierając paczkę chińskich pałeczek — twój facet się odezwał?

— Tak — odpowiedziała Melody, omiatając beznamiętnym wzrokiem przesuwaną się zgodnie ze wskazówkami zegara talerze. — Napisał kilka esemesów.

— I? Umówisz się z nim? Podoba ci się?

— Jest w porządku — odpowiedziała, sięgając bezwiednie po mi-
seczkę *teriyaki* z kurczaka z plastikowej kopuły. — Jest trochę za...

— Co? Za miły? Za uprzejmy? Za dobry?

— No, w zasadzie nie brakuje mu nic z tych rzeczy, ale jak dla
mnie jest ciut za bardzo... wysferzony.

Stacey wybuchnęła śmiechem.

— Tak jak i ty!

— Nie, wcale nie.

— Oczywiście, że tak. Spójrz na siebie! A poza tym pochodzenie z
wyższej klasy społecznej nie dyskwalifikuje z umawiania się na randki.

— On gra w squasha, Stace. Squash. Kto, do cholery, gra w squas-
ha?

— Ok, tu cię rozumiem. Squash jest trochę, no wiesz... Ale z dru-
giej strony to znaczy, że facet jest wysportowany. W każdym razie —
westchnęła — to cała ty, Melody Browne, robisz to, co Melody Brow-
ne potrafi robić najlepiej. Byleby nie wystawiać za bardzo nosa. Zaba-
rykadować wszystkie drzwi. Zamurować je. Ale powiem ci jedno, Mel,
powiem ci, bo jestem twoją najlepszą przyjaciółką: lat ci już nie ubę-
dzie. Twój chłopak za chwilę wyleci z gniazda i zostaniesz sama. Tyl-
ko Melody. I jeśli uważasz, że to ci wystarczy przez następne czter-
dzieści albo i więcej lat, to nie ma sprawy. Ale jeśli nie — przerwała na
sekundę — musisz poszerzyć nieco swoje horyzonty. Przestań wy-
myślać te wszystkie wymówki. I mówię to — położyła delikatnie dłoń
na ramieniu Melody — bo jako twoja najbliższa przyjaciółka na tym
świecie pragnę jedynie tego, co dla ciebie najlepsze.

— Spóźnia mi się — obwieściła Stacey, gdy po południu usiadły
nad kawą i naleśnikami.

Patrząc na wyraz twarzy przyjaciółki, Melody od razu domyśliła się, że nie mówiła o zegarku.

— Co ty? Chcesz powiedzieć...

— No niby to tylko cztery dni, ale znasz mnie, u mnie jak w zegarku. Spóźniał mi się tylko wtedy, kiedy byłam w ciąży.

— O mój Boże, Stacey, więc jesteś w... To było zaplanowane?

Stacey potrząsnęła głową i wyciągnęła papierosa z torebki.

— Nie, ale nie było niezaplanowane.

— Chcesz...?

— Zatrzymać? Tak, myślę, że tak. Jeszcze nie jestem pewna, ale byłoby miło, gdyby Clover miała małą siostrzyczkę czy braciszka, może nie wyrosłaby na takie zepsute dziecko? A mój kontrakt i tak kończy się w marcu. Kurczę, sama nie wiem... A co ty myślisz?

Melody wciągnęła powietrze.

— Boże, oczywiście, że tak! Zabawne, bo zawsze myślałam o Clover jako o waszej finałowej szczęśliwej wpadce, ale oczywiście, powinnaś mieć kolejne dziecko, bez dwóch zdań. Dla Clover to byłoby super.

— Ale by się zdziwiła. — Stacey zapaliła papierosa, a Melody spojrzała na nią znacząco.

— Rzucam zaraz po teście — powiedziała defensywnie. — Mój Boże, kolejna ciąża trochę mnie przeraża. I jestem już starsza...

— Masz dopiero trzydzieści cztery lata!

— No niby tak. Ale już z Clover czułam różnicę w porównaniu z poprzednimi ciążami. Poza tym nie wiem, gdzie upchamy kolejne dziecko.

— W szufladzie! — Melody uśmiechnęła się do przyjaciółki. — Zanim wyrośnie z szuflady, Cleo zdąży się już wyprowadzić.

— Tak, pewnie masz rację. Ale mimo wszystko kolejne dziecko, Mel. Kolejne dziecko.

Melody nie spieszyła się z powrotem do domu tego popołudnia. Idealna, sucha, słoneczna i rześka pogoda zapraszała na spacer, a Londyn z dala od zatłoczonych turystami chodników Oxford Circus był cichy i spokojny. W czasie spaceru słyszała echo słów Stacey. Kolejne dziecko. Kolejne dziecko. Przypomniła jej się piosenka z młodości, w której w kółko przewijały się słowa *Ali that she wants is another baby*.

Melody uwielbiała dzieci. Uwielbiała ich nieukształtowane twarzyczki i gumowate uda, ich maleńkie czaszki i żałośnie zapadnięte ramionka. Równocześnie jednak dzieci ją przerażały. Były takie delikatne i wątłe. Minimalny błąd, brak jednego oddechu lub uderzenie w głowę oznaczało ich zgubę. Melody wierzyła, że z przedwczesnym odejściem dziecka kończy się szczęście człowieka. Po urodzeniu Eda cierpiała na coś, co dzisiaj nazywa się depresją poporodową. Od momentu, gdy uświadomiła sobie głębokość swojej miłości do nowo narodzonego syna i siłę kryjącą się w każdym jego oddechu, która potencjalnie mogła zrujnować jej życie, zaczęła obsesyjnie rozmyślać o niezliczonych sytuacjach, w których Ed mógłby umrzeć, wyobrażała sobie, jak rani go w taki czy inny sposób: upuszczała go w wannie pełnej wody; wypuszczała z rąk wózek na szczycie góry, przewracała się z nim na betonowych schodach prowadzących do mieszkania. A najbardziej obawiała się, że ktoś odbierze jej syna. Zrywała się na dźwięk dzwonnka telefonicznego, pewna, że zaraz usłyszy pracownika z opieki socjalnej informującego, że za chwilę przyjadą po chłopca; gdy jakaś miła kobieta w supermarkecie chwyciła Eda za rączkę, Melody wyrwała jej dziecko, przekonana, że kobieta chciała go porwać. Z nikim nie dzieliła się tymi obawami, nawet ze Stacey, która zupełnie inaczej doświadczała macierzyństwa z Cleo.

W wieku dziesięciu miesięcy Ed zaliczył swój pierwszy lot z sofy. Melody przygotowywała obiad w kuchni, gdy z przerażeniem usłyszała stłumiony odgłos upadku. Popędziła do pokoju i znalazła uśmiechniętego od ucha do ucha Eda leżącego na plecach. To jego poczucie dumy z samodzielnej wspinaczki na sofę i utrzymania się przez chwilę, najpierw rozdrażniło Melody, a chwilę później uwolniło od nieustających obaw. Jej dziecko potrafiło bezpiecznie upadać! Upadało i nadal żyło!

Od tamtego momentu stopniowo uwalniała się od depresji, ale nie potrafiła o niej zapomnieć i zaprzysięgła sobie, że już nigdy nie ofiaruje światu czegoś tak kruchego i delikatnego jak niemowlę. Rok po urodzeniu Eda założyła sobie spiralę, a wrodzoną miłość do dzieci przelała na pociechy Stacey, matek ze szkół Eda i wszystkich nieznanomych, których mijala na ulicy. Na wieść o narodzinach nowego dziecka odczuwała niewyobrażalne szczęście i serdecznie dzieliła radość ze świeżo upieczonymi rodzicami. Ale jeśli chodziło o nią, temat był zakończony. Fakt, że jej chłopak zdołał przeżyć bez szwanku osiemnaście lat, traktowała jako cud. Nie miała zamiaru naciągać szczęścia.

Włączyła się bez celu, chłoneła możliwość pojawienia się kolejnego dziecka, które być może rosło już w łonie przyjaciółki. Rozmyślała o tym następnym dziecku, z którym będzie mogła rozmawiać i podziwiać, gdy nagle zdała sobie sprawę, że nie doszła do Soho, ale znalazła się w północnej części Goodge Street, w maleńkim, wybrukowanym zaułku zwanym Goodge Place. Na rogu ulicy, na zakręcie, stały dwa mobilne stanowiska z podejrzanie zapakowanymi płytami cd i dvd, a łuk drogi osaczyły wąskie georgiańskie szeregowce. Jedne manifestowały zewnętrznym wyglądem chwilową obecność mieszkańców, inne zaś, bardziej eleganckie, miały niklowane gałki w drzwiach i grube zasłony w oknach. Melody spacerowała wzdłuż ulicy i ponownie poczuła pewność tego miejsca, wiedziała, że bywała tu wcześniej. Przystanęła na chwilę, zamknęła oczy i pozwoliła ponieść się wrażeniom.

Zobaczyła motor i mężczyznę, tego samego mężczyznę, którego widziała z deserem lodowym i kaskiem. Długie włosy upiął w kitkę i machał na pożegnanie. Otworzyła oczy i spojrzała w niebo, a potem opuściła wzrok i utkwiała go w środkowym segmencie szeregowca. Zamknęła oczy i ujrzała to:

Piękna dziewczynka, w różowej spódniczce baletnicy, stała na szczycie schodów.

Wpadające promienie słońca obrysowały sylwetkę dziewczynki.

Droga wykładzina pod jej gołymi stopami.

Pies szczekający gdzieś w domu.

„Melody śmierdzi kupą, Melody śmierdzi kupą”. Twarz dziewczynki wykrzywiła się z przyjemności, jej cienkie ciało wyginało się w dziwnym tańcu nienawiści. „Melody jest głupia jak but i śmierdzi kupą”.

A potem dziewczynka przewróciła się, jedna cienka noga owinęła się wokół drugiej cienkiej nogi, łokieć uderzył o stopień, pupa o drugi, głowa zderzyła się z poręczą, różowa spódniczka podarła się z jękiem rozdieranej gazety.

Przy schodach pojawiła się kobieta ubrana w drapowaną sukienkę z bufiastymi rękawami i z grubą warstwą koralowej szminki na ustach.

„O mój Boże, Charlotte! Charlotte! Co się stało?”

Usta Melody zalepione klejem, w jej głowie cisnęły się słowa, które nie mogły wydostać się na zewnątrz.

„Ona mnie popchnęła, mamusiu. Melody mnie popchnęła”.

Napięta i wściekła twarz kobiety, wykrzywione, koralowe usta, zmrużone niebieskie oczy, wyciągnięte ramiona obejmują Charlotte w uścisku.

Krzyki Charlotte, ostre i przesadzone, oddalające się z każdym krokiem Jacqui w głąb domu.

Mały strzępek różowej siateczkowej spódniczki u stóp Melody.

O dwie sekundy za późno z jej ust uwolniły się słowa: „To nie ja. Ona sama się potknęła”.

TLR

ROZDZIAŁ 15

1978

JACQUI SONNINGFELD mieszkała w wysokim, wąskim szeregowcu w cichym zaułku przy Goodge Street. W urządzonym w bardzo pluszowym stylu domu znajdowały się ściany ozdobione skórami z zebry, poduszki w leopardzie cętki rozrzucone na welwetowych sofach, lampy od Tiffany'ego ze skrzydełkami ważek i stosy książek ułożonych w ciężkie piramidy na niskich stoliczkach. Każdy skrawek podłogi przykrywała najbardziej miękka, puszysta, luksusowa i kremowa wykładzina, jaką Melody kiedykolwiek widziała w życiu.

Jacqui pracowała jako makijażystka i miała siedmioletnią córkę, Charlotte, która uczęszczała do prywatnej szkoły dla dziewcząt w Westminsterze, gdzie poznała przyjaciółki o imionach takich jak Amelia, Sophie i Theodora.

Gdyby Melody zapytała, dowiedziałaby się, że tato spotkał Jacqui na randce w ciemno zaaranżowanej przez swojego szefa, eks-szwagra Jacqui. Gdyby Melody spotkała szefa taty, dowiedziałaby się, że mężczyzna postanowił skojarzyć tę parę, bo po pierwsze przeczuwał, że mogło im się udać, a po drugie i nade wszystko, by odciągnąć Jacqui od portfela, łóżka i głowy swojego brata.

Ale pięcioletnia Melody, choć dużo rozmyślała na różne tematy, rzadko zadawała pytania, bo czasami było naprawdę trudno odpowiednio je sformułować. Przyjęła, nie czekając na wyjaśnienia, do wiadomości fakt, że tato nie wynajmował już sam pokoju w dużym domu w Brixton i przeprowadził się do pięknego szeregowca w dzielnicy Fitzrovia, by zamieszkać z Jacqui i jej córką. Pogodziła się też z tym, że mieszkała z tatą w domu w Fitzrovia przez trzy lub cztery dni w miesiącu, podczas gdy Charlotte, która ledwo go znała, mogła z nim spę-

dzać każdy dzień. Zaakceptowała również i to, że po powrocie nad morze do domu Kena mama posługiwała się rzadko goszczącą na ich stole gorącą czekoladą, by zadać Melody dwieście pytań na temat domu, ubrań i makijażu Jacqui oraz tego, co powiedziała Jacqui, co odpowiedział jej tato, dokąd poszli i co jedli.

— Dlaczego nie mieszkasz już z tatusiem? — Melody zapytała mamę, chociaż kilka tygodni wcześniej mama odpowiedziała już na to pytanie.

Jane zmarszczyła brwi i wykrzywiła twarz.

— Bo przestaliśmy być przyjaciółmi.

— Pokłóciliście się?

— I to nie jeden raz. Wiele razy się kłóciliśmy. O różne głupie, bardzo głupie sprawy. I pomyśleliśmy, że będzie lepiej, jeśli zamieszkamy osobno.

— A nie mogliście pomieszkać osobno tylko przez jakiś czas? Nie przez tyle miesięcy i miesięcy i miesięcy?

Mama westchnęła.

— Czasami — powiedziała — czasami w życiu... czasami zdarzają się rzeczy, które zmieniają coś na zawsze. A jak coś zmieni się na zawsze, to trudno już się cofnąć.

— A co zmieniło się na zawsze?

— Och, wszystko, kochanie, dokładnie wszystko.

Melody nie czuła się do końca usatysfakcjonowana tą odpowiedzią, odczekała więc kilka dni i zadała mamie to samo pytanie.

— Mamusiu, dlaczego nie mieszkasz już z tatusiem?

Tym razem mama nie westchnęła ani nie zastanowiła się nad doborem odpowiednich słów. Tym razem machnęła rękoma w powietrzu i wybiegła z pokoju, wrzeszcząc:

— Skończ już z tymi pytaniami, na miłość boską!

Więc Melody zmieniła taktykę i zapytała tatę.

— Tatusiu, dlaczego ty mieszkasz tutaj z Jacqui, a mamusia i ja mieszkamy nad morzem?

Nastąpiła bardzo długa cisza i Melody pomyślała, że tato również z krzykiem wybiegnie zaraz z pokoju.

— To bardzo dobre pytanie — odpowiedział w końcu.

Melody skinęła głową.

— Widzisz — powiedział, sadzając ją na swoich kolanach — czasami, kiedy ludzi spotykają przykre rzeczy, to nie potrafią oni wzajemnie sobie pomóc, by poczuć się lepiej. A czasem dzieje się nawet tak, że sprawiają sobie przykrość i czują się przez siebie jeszcze gorzej. Po śmierci małej Romany mamusia i tatuś byli tak bardzo smutni, że przestali być dla siebie mili. Dziwne, prawda?

Melody znów skinęła głową.

— No właśnie. Widzisz, dorośli potrafią zachowywać się tak dziwnie. Ale wiesz przecież, że to nie ma absolutnie nic wspólnego z tobą? Że mamusia i tatuś wciąż kochają cię bardzo mocno, tak mocno jak przedtem, a właściwie to nawet jeszcze bardziej?

Znów skinęła głową, ale w środku myślała sobie, że nie była do końca przekonana, czy faktycznie tak było. Właściwie to z całą pewnością wiedziała, że mama kochała ją o wiele, wiele bardziej, zanim umarła jej siostrzyczka. Ale nie powiedziała tego. Zamiast tego owinęła ramiona wokół szyi taty i przez naprawdę długi czas zastygła wtulona w niego ze wszystkich sił.

*

Jednego sobotniego marcowego popołudnia, gdy tato gotował lunch w kuchni, a Charlotte pojechała na swoje lekcje baletu, Melody usiadła na parapecie przy oknie i ze szczytu domu obserwowała przechodniów. Nagle podeszła do niej Jacqui i ścisnęła jej ramię.

— Hej, mała — powiedziała. — Pograżyłaś się w melancholii.

Melody nie miała pojęcia, co oznaczało pograżenie się w melancholii, ale pomyślała, że miało to związek z byciem smutnym lub z troskanym.

— To znaczy tonąć w myślach — powiedziała Jacqui, wygładzając spódnicę i siadając obok niej. — Dam ci za nie pensa.

Melody wiedziała, co to znaczy. Ciocia Susie nie raz powtarzała: „Dam ci pensa za twoje myśli”. Tak naprawdę Melody nigdy nie dostała od niej żadnych pieniędzy, więc doszła do wniosku, że była to jedna z tych rzeczy, które dorośli lubili mówić, tylko dlatego, że podobało im się zestawienie tych słów.

Wzruszyła ramionami i odwróciła się z powrotem do okna.

— Po prostu patrzę sobie na tych wszystkich ludzi. Są tacy mali.

Jacqui spojrzała w dół i przytaknęła.

— Jak mrówki. Pewnego dnia, kiedy ty i Charlotte będziecie starsze, zabierzemy was do Paryża, na *tour Eiffel* — powiedziała bardzo dziwnym głosem. — Słyszałaś coś o wieży Eiffla?

Melody skinęła.

— To we Francji..

— Właśnie. I można się wdrapać na sam, samiuteńki szczyt tej wieży i zobaczyć z góry cały Paryż. A kiedy spojrzysz w dół, to wi-

dzisz tych wszystkich maleńkich, maciupięknych ludzi i maleńkie, maciupiękie samochody i cały świat wygląda jak kraina zabawek!

Melody z czystej uprzejmości starała się wyglądać na zainteresowaną, ale coraz bardziej czuła się nieswojo. I to nie z powodu tematu rozmowy, ale z powodu Jacqui, która nigdy wcześniej nie zwracała się do niej w tak bezpośredni sposób, ponieważ zawsze była zbyt zajęta organizowaniem życia wszystkim dookoła.

— Paryż jest bardzo romantyczny — kontynuowała Jacqui. — Właśnie tam ojciec Charlotte mi się oświadczył.

Melody wiedziała, że Charlotte miała ojca. Nazywał się Harry, był wielki i gadatliwy, miał bardzo gęste włosy, owłosione ręce i maleńką żonę z Chin o imieniu Mai. Co któryś sobotni poranek podjeżdżał pod dom głośno warczącym mg Midget, obowiązkowo, i to bez względu na pogodę, z opuszczonym dachem i ogłaszał, że zabiera Charlotte na zakupy. Dziewczynka wracała po kilku godzinach, obładowana ogromnymi papierowymi torbami z eleganckich sklepów, wypełnionymi kasetami, butami na obcasach, perfumami i misiami. Melody doskonale rozumiała, że Charlotte mogła kupić dosłownie wszystko, czego zapragnęła, i to bez żadnych ograniczeń. Równie dobrze wiedziała, że dziewczynka w najmniejszym stopniu nie doceniała szczodrości ojca, bo torby natychmiast lądowały pod jej łóżkiem, gdzie leżały zapomniane i nieotwarte przez wiele miesięcy.

— Byłam wtedy naiwną dwudziestolatką z głową pełną cukierków i głupot, a Harry wydawał się najbardziej ekscytującym mężczyzną na świecie — kontynuowała Jacqui. — Szybko się przekonałam, że ekscytujący mężczyźni nie są najlepszymi mężami. Ale gdybym nie poślubiła Harry ego, to nie miałabym teraz Charlotte, więc nie żałuję. I jestem pewna, że twój tato w ten sam sposób myśli o twojej mamie, prawda?

Melody kiwnęła głową, nie z pewnością, że tak właśnie było, ale dlatego, że nie widziała żadnych dowodów świadczących przeciw temu.

— Widzisz, dzieci są najcenniejszymi skarbami na świecie, są cenniejsze i ważniejsze niż wszystko inne i nawet jeśli twoja mamusia i tatuś nie są już przyjaciółmi, zawsze będą zadowoleni, że kiedyś nimi byli, bo dzięki temu urodziłaś się ty. A ja dobrze wiem, że twój tatuś przepada za tobą. I bardzo chciałby, żebyś była szczęśliwa. I czasami, kiedy nie jesteś z nim, martwi się o ciebie. Wie, że jesteś dzielną małą dziewczynką i nie lubisz zamartwiać innych swoimi myślami. Więc byłoby wspaniale, gdybyś mu powiedziała, że pogadałyśmy sobie troszeczkę i że wszystko jest ok.

— Tak — odparła Melody. — Wszystko jest ok.

— A w domu? Z mamą? Wszystko ok?

Melody wzruszyła ramionami i kiwnęła głową.

— Mieszkacie w komunie, tak?

Melody uśmiechnęła się nerwowo.

— Nie wiem — odparła.

— Komuna — tłumaczyła Jacqui — to taki dom, w którym mieszka wielu ludzi, choć wcale nie są rodziną. Czy właśnie tak jest tam, gdzie mieszkasz?

Melody pomyślała o dużym, skąpo umeblowanym domu nad morzem, o Kenie i Grace, i Secie, i Mattym, i o tym, że Matty nie był synem Kena i że jego tato też mieszkał w Londynie i doszła do wniosku, że chociaż to nie był normalny dom, to z pewnością nie był tym, o czym mówiła Jacqui.

Potrząsnęła głową.

— Nie, to tylko dom. Dom Kena.

— A ten Ken... czy to przyjaciel twojej mamy?

Melody skinęła głową.

— Tak. Rozmawiał z nami na ulicy, kiedy poszliśmy kupić mi buty, i powiedział, że mama wyglądała na bardzo smutną, i potem mama strasznie pokłóciła się z ciocią Susie, i Ken powiedział, że możemy zamieszkać w jego domu.

— A Ken ma żonę?

— Tak, ma żonę Grace i ona jest dużo starsza niż on. Jej syn Matty ma dziesięć lat, a dzidzius Kena i Grace ma na imię Seth i ma osiem miesięcy.

— Więc Ken nie jest... chłopakiem twojej mamy?

— Nie! — Melody zaśmiała się.

— Więc oni... nie trzymają się za ręce ani nic takiego?

— Nie! — znów się zaśmiała.

— Och — powiedziała Jacqui — to ciekawe. A czy ten Ken ma pracę? Czy wychodzi rano do pracy?

— Chyba tak — odpowiedziała Melody. — On chyba pisze książki. Ale to nie są bajki, tylko książki o... uczuciach.

— Chryste Panie — zdziwiła się Jacqui — to brzmi interesująco. A o jakich uczuciach?

— Nie wiem — odpowiedziała Melody. — Pewnie o szczęśliwych.

— Hmm, przypuszczam, że to muszą być bardzo dobre książki, skoro stać go na duży dom nad morzem i płacenie rachunków za ludzi, którzy w nim mieszkają.

— Tak — zgodziła się Melody — muszą być wspaniałe.

Melody miała wrażenie, że Jacqui próbuje wydusić

z niej więcej słów. Wyglądała jak ktoś, kto ma ochotę na jeszcze jeden kawałek ciasta, ale jest zbyt nieśmiały, by o niego poprosić.

Nastąpiła krótka cisza, którą w końcu przerwało westchnienie Jacqui.

— W każdym razie — odezwała się — naprawdę wierzę, że z czasem odnajdziesz się wśród tych wszystkich zmian. I że wszyscy razem będziemy mogli myśleć o sobie jako o wielkiej, niezwykłej, szczęśliwej rodzinie. Bo — pochyliła się do ucha Melody — kocham twojego tatę aż do bólu i pragnę, byśmy wszyscy byli szczęśliwi. Na zawsze — wyszeptała.

Potem pocałowała Melody w policzek, wstała i odeszła bezszelestnie; gruba gąbczasta wykładzina pochłonięła jej kroki. Jedynie ślad koralowej szminki na policzku Melody i zapach wody l'Air du Temps świadczyły o jej obecności.

ROZDZIAŁ 16

Teraz

W CIĄGU KOLEJNYCH dwóch dni Melody przeszła pod domem na Goodge Place w sumie osiem razy. Za każdym razem przypominała sobie coś nowego. Rosły brodaty mężczyzna w małym sportowym samochodzie; dziewczynka o imieniu Charlotte w za dużych okularach przeciwsłonecznych z tuzinem siatek z zakupami; ona i matka Charlotte siedzące razem na parapecie małego mansardowego okna, zapach słodkich perfum; Girls' World; patchworkowe dzinsy; cytrynowa opaska na włosy, a najważniejszym ze wszystkich wspomnień był pokój z łóżeczkiem i noworodek. Ten obraz pojawił się już wcześniej w jej głowie, było to jedno z dwóch wspomnień, które pamiętała z życia przed pożarem. Pokój z dzieckiem zostawił w niej ślady słodkiej, miodowej woni noworodka i mleka z piersi.

Melody zdawała sobie sprawę, że nieprzypadkowo trafiła pod ten dom. Przyprowadziła ją tutaj rozbudzona podświadomość, korzystając z chwili, gdy jej głowę pochłonęły inne myśli. Była pewna, że nie mieszkała na stałe w tym schludnym małym szeregowcu, leżącym w cichym zakątku w centrum Londynu, a jedynie odwiedzała go. Przyjeżdżała tu często. Przypominała sobie jeszcze jednego mężczyznę. Ojca Charlotte? Wysoki i dobrze zbudowany, miał pociągłą twarz, łagodne oczy i głęboki, delikatny głos. Kiedy o nim myślała, czuła ciepło w sercu; czuła się kochana.

Melody mimo gorączkowych starań nie potrafiła połączyć tych nowych wspomnień ze wspomnieniami, które dostała od rodziców, by wypełnić luki w pamięci po pożarze. Świat, o którym opowiadali jej rodzice, był mały, obracał się w zacisznym zakątku Canterbury. Ten świat zaludniała powściągliwa ciotka, straszny wujek, para przysadzistych kuzynek i przyjaciel o imieniu Aubrey, który, jak się później

okazało, był miłośnikiem turystyki erotycznej, ze szczególnym zamiłowaniem do zielonookich marokańskich chłopców. W werbalnie odtworzonym przez rodziców świecie jej najwcześniejszego dzieciństwa zdarzały się okazjonalne wakacje w hiszpańskiej willi, odwiedziny dziadków w Walii i Torquay i wielkanocne wypady do domów gościnnych w Ramsgate.

W tym świecie nie było mowy o szykownych kobietach z ekstrawaganckimi domami w dzielnicy Fitzrovia, o brodatych hippisach na motorach, pięknych dziewczynkach w baletowych spódniczkach i pachnących drożdżami noworodkach. W dzieciństwie, które Melody dotąd uważała za swoje, wypady do Londynu były rzadkie i wymuszone, ponieważ rodzice nie lubili snobistycznej i szaleńczo rozpędzonej stolicy. Z pewnością nie pozwoliliby jej przebywać w Londynie bez przyzwoitki. Chyba że, ta myśl spadła na nią jak grom z jasnego nieba, chyba że przed rodzicami istniał jeszcze inny świat.

Natychmiast zdała sobie sprawę, że była to prawda. Co więcej, zawsze w głębi serca wiedziała, że istniał tamten świat, i zawsze pragnęła, by tak było.

Nagle wszystkie fragmenty nowo przypominanego sobie życia zaczęły tańczyć w jej głowie, żądając, by ułożyć je w porządku. Odwróciła się wtedy ku drzwiom jednorodzinnego szeregowca, wciągnęła powietrze i nadusiła na dzwonek.

ROZDZIAŁ 17

1978

– SZKODA, ŻE TWÓJ tato się urodził. — Charlotte przeciągnęła plastikową szczotką po splątanych nylonowych włosach lalki Girls' World. — I ty też. Szkoda, że się urodziłaś.

Charlotte miała na sobie różowe sztruksy z aplikacją kwiatka na każdym kolanie. Jej czarne włosy zostały podzielone na środku głowy i związane w dwie kitki grubą różową wstążką. Dziewczynka była piękna. O wiele piękniejsza niż Jacqui, która swoją zaledwie ładną buzię potrafiła podkreślić umiejętnym makijażem i odpowiednim podejściem. Charlotte odziedziczyła po ojcu czarne włosy i ciemną oprawę oczu, orli nos i wszystko wskazywało na to, że również i dorodny wzrost. Przy niej Melody zawsze czuła się bardzo mała i bardzo zwyczajna. Włosy Melody były śliczne, każdy tak mówił. Zdobiły jej plecy długimi orzechowymi strąkami. Ale figura Melody nie oszałamiała (nogi, niestety, odziedziczyła po ojcu), a jej rysy nie zachwycaly taką symetrią jak u Charlotte. Twarz Charlotte wyglądała tak jakby uzbrojony w kątomierz i ostry ołówek artysta spędził wiele godzin nad jej starannym projektem. Rysy Melody zaś zostały nakreślone byle jak, niekonwencjonalnie według mamy. Dziewczynka wcale nie była pewna, czy podobało się jej to określenie. Na tyle, na ile orientowała się w świecie, wszystko, co zaczynało się od „nie”, zazwyczaj odnosiło się do złych rzeczy.

— Właściwie — ciągnęła Charlotte — wolałabym, żeby nikt z twojej rodziny się nie urodził, począwszy od ciebie, a skończywszy na twoich prapraprapradziadkach.

Melody przełknęła ślinę. Nie wiedziała nawet, czy miała praprapradziadków.

— Wtedy — kontynuowała Charlotte — twoi krewni nie mieliby najmniejszych szans spotkać się i ciebie stworzyć, choćby i przypadkowo. — Odwróciła Girls' World i zaczęła czesać tył głowy lalki. — Co powinnam zrobić — zastanawiała się głośno, ciągnąc żółte kosmyki palcami — warkocz czy kok?

— Warkocz — odparła Melody, pewniejsza znaczenia tego słowa.

— Nie traktuj tego osobiście — ciągnęła Charlotte, dzieląc włosy na trzy części. — Jestem pewna, że w innych okolicznościach nie miałabym nic przeciwko tobie. Tylko że ten dom jest taki mały, a ty i twój tato zajmujecie o wiele za dużo miejsca. A poza tym twój tato śmierdzi.

— Nieprawda!

— A właśnie, że tak. Jakoś tak kwaśno, jak maszyna Banda.

— No bo jest drukarzem. Nic na to nie poradzi.

— Przecież wiem. Nie mówię, że to jego wina. Mówię tylko, że chciałabym, żeby sobie poszedł i zabrał ten smród gdzie indziej. Czy ty zdajesz sobie sprawę — kontynuowała Charlotte, grzebiąc dłonią w pudełku w poszukiwaniu elastycznej gumki — że zanim moja mama spotkała twojego śmierdzącego tatę, to prawie już miała pogodzić się z moim tatą?

Melody spojrzała na nią z powątpiewaniem.

— Naprawdę. Gotowała mu kolacje, z szampanem i w ogóle. I właśnie wtedy na scenie pojawił się twój głupi tato.

— A co z Mai?

— Co co z Mai?

— Przecież twój tato ożenił się z nią, prawda?

— No i co z tego? Mai liczy się tyle, co twój głupi ojciec. Gdyby mama pstryknęła palcami, mój tato zostawiłby Mai na środku ulicy i przybiegł bez tchu. Naprawdę. — Owinęła cytrynową, elastyczną opaskę wokół końcówki warkocza i uśmiechnęła się. — Proszę bardzo — powiedziała — właśnie tak wygląda idealny warkocz.

Melody wpatrywała się w dzieło Charlotte. Faktycznie włosy lalki zostały porządnie zaplecione. A potem spojrzała na poobdzierane i poobgryzane paznokcie Charlotte. W zestawieniu z nieskazitelną skórą i perfekcyjnie ułożonymi włosami dziewczynki wyglądały absurdalnie. Patrząc na nie, Melody poczuła smutek. Wyciągnęła rękę i koniuszkami palców dotknęła dłoni Charlotte.

Charlotte spojrzała na nią w osłupieniu.

— Jezu Chryste, dziecko — krzyknęła — zabieraj te swoje brudne łapska, zanim krzyknę na cały dom!

Melody gwałtownie cofnęła rękę i pozwoliła jej opaść na kolana.

Melody nie znosiła pożegnań z tatą. Tym bardziej że wiedziała, iż tato zostawał w tym domu, spał w dużym miękkim łóżku z Jacqui, jadł jej przepyszne obiady przy ślicznym jasnym stole pod ogromnym żyrandolem, oglądał, co chciał, w telewizorze, który mieszkał w mahoniowym kredensie, a Charlotte siedziała w fotelu u jego boku, w swojej ślicznej piżamce, z długimi nogami przerzuconymi przez poręcz fotela i wcinała tyle popcornu, ile tylko chciała. Dom Kena wydawał się taki goły i drewniany w porównaniu z pluszowym domem Jacqui. A mama, w porównaniu z kolorową i energiczną Jacqui, wypadła bardzo blado i bez życia. Poza tym podczas gdy życie w domu Jacqui miało kompletny sens — Jacqui kochała tatusia, tatuś kochał Jacqui, Charlotte nienawidziła Melody, a Jacqui udawała, że lubi Melody — w domu Kena życie toczyło się jedynie w stronę ślepych zaułków i dziwnych pustych pokojów.

O 14.30 na Victoria Station czekała na nią mama. Ich pociąg do Broadstairs odjeżdżał o 15.05. Melody lubiła czekać z mamą na dworcu kolejowym. Podobała jej się ta prostota, to, że były tylko we dwie, że pochłaniał je cyklon ludzkiej aktywności. Lubiała wsłuchiwać się w tę dziwną ciszę, która zapadała na moment po zapowiedziach przyjazdów i odjazdów, i w pisk hamujących pociągów.

Matka zmarszczyła twarz na jej widok.

— Wszystko w porządku? — ton jej głosu sugerował, że uważała, iż coś jest nie tak.

— W porządku — odpowiedziała Melody.

— Wyglądasz na zmęczoną.

Melody nie odpowiedziała. Rzeczywiście była zmęczona, bo zeszłej nocy oglądały z Charlotte film aż do północy. Miała ochotę opowiedzieć o tym mamie, ale wiedziała, że nie może, bo była to jedna z tych rzeczy, która sprawiała, że mama zaczynała się trząść i reagowała bardzo emocjonalnie.

— Jadłaś coś?

Mama pytała o to za każdym razem, kiedy spotykały się na dworcu, jakby podejrzewała, że pewnego dnia Jacqui będzie na tyle zajęta byciem egoistką i podłą kobietą, że po prostu zapomni nakarmić jej córkę.

— Tak — odparła Melody.

— Co jadłaś?

— Spaghetti bolognese — odparła. — I sałatkę.

— Sałatkę?

— Tak.

— Jaką sałatkę?

— No sałatkę sałatkę. Z pomidorami. I ogórkiem.

— Hmm. — Jej mama wydeła wargi, jakby powątpiewając w wiarygodność historii z sałatką. — Z sosem?

Melody kiwnęła głową.

— Tak, z przepysznyim sosem. Całym różowym. Ale nie pamiętam, jak się nazywał.

— Thousand Island?

— Tak! — krzyknęła Melody. — Właśnie tak.

— Hmm — mruknęła znów mama.

Usiadły na ławce na peronie 12 i wpatrywały się w tablicę z zapowiedziami przyjazdów pociągów.

— Dziesięć minut — powiedziała mama. — Ciepło ci?

Melody kiwnęła głową. Pragnęła wymyślić coś, co sprawiłoby, że mama zapomniałaby zachowywać się tak sztywno i dziwnie, uśmiechnęłaby się, przytuliła ją i nazwała „dziecinką”.

— Właściwie — powiedziała po chwili — to mi zimno.

— No to nałóż płaszcz. Gdzie jest?

— Zostawiłam go w domu Jacqui.

Mama uniosła brwi.

— No to w takim razie będziesz marznąć.

Melody westchnęła. Wcale nie było jej zimno. Ale tak bardzo chciała się przekonać, czy mama otuli ją swoim dużym miękkim kardiganem.

Wtuliła się w ciało matki, mając nadzieję na objęcie, na to, że ciężkie ramię owinie się wokół jej ramion, na jakikolwiek znak uczucia. Nie doczekała się niczego.

TLR

ROZDZIAŁ 18

Teraz

Do DRZWI domu na Goodge Place podszedł chłopiec. Miał może z dziesięć lat i ubrany był w białą piżamkę karateki. Przyglądał się Melody z zaciekawieniem.

— Dzień dobry — przywitała się Melody cichym głosem, czując drżenie wciśniętych w kieszenie swetra dłoni. — Jest twoja mama?

Potrząsnął głową na boki.

Za jego plecami pojawiła się kobieta, młoda blondynka ubrana w taki sam pomarszczony top, jaki Melody kisiła w szafie.

— Witam — powiedziała Melody.

— Mogę w czymś pomóc? — zapytała kobieta z australijskim akcentem.

— Nie wiem — odpowiedziała Melody — być może. Mieszkałam tutaj kiedyś, w tym domu, jak byłam dzieckiem... — Uśmiechnęła się nieco zbyt promiennie, próbując w ten sposób przewyciężyć uczucia dziwności i głupoty, które również towarzyszyły jej podczas zwiedzania pensjonatu w Broadstairs.

Twarz kobiety złagodniała.

— Naprawdę? — zapytała. — Niesamowite.

— Tak, ale nie pamiętam za wiele z tamtego okresu, i zastanawiałam się właśnie, jak długo pani tu mieszka?

— Ja? — zapytała kobieta. — Za ledwie od sześciu miesięcy, ale ja jestem tylko opiekunką. Moja szefowa i jej mąż są tu od, och, właściwie to nie wiem dokładnie...

— Dziewięć i pół roku — odezwał się chłopiec z delikatnym amerykańskim akcentem.

— O tak, oczywiście, od momentu kiedy urodził się Danny.

— A czy twoja szefowa i jej mąż są w domu?

— Nie — kobieta objęła ramionami kark Dannego i przytuliła go do siebie — oboje są w pracy.

— Szkoda — westchnęła Melody. — Chciałabym zadać im kilka pytań na temat domu.

— Możesz zapytać mnie — zaproponował chłopiec.

Melody uśmiechnęła się.

— Hmm, nie jestem pewna czy byłbyś w stanie odpowiedzieć na pytania, które chciałam zadać.

Chłopiec uśmiechnął się i wbił wzrok w swoje stopy.

— A czy mogłabym zostawić swój numer telefonu? Może twoja szefowa i jej mąż mogliby do mnie zadzwonić...?

Opiekunka uśmiechnęła się.

— Nie liczyłabym na to — odpowiedziała głosem pełnym wątpliwości — ale jeśli wrócisz około osiemnastej, osiemnastej trzydzieści, to szefowa powinna już być w domu. — Mrugnęła okiem, a Melody uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością.

— Dobra — powiedziała — właśnie tak zrobię.

Szefową opiekunki była potężna Amerykanka o imieniu Pippa. Nie zdążyła się przebrać po pracy i otworzyła drzwi w konwencjonalnym

granatowym garniturze, z wykrochmaloną bluzką pod spodem, a jej jasne włosy uporządkował praktyczny kok. Wprowadziła Melody do przedpokoju, a potem zaprosiła do, jak to sama nazwała, salonu.

Wnętrze domu miało się nijak do wspomnień Melody. Podłogi pokrywał lakierowany parkiet i przeważały eleganckie meble w beżowym kolorze. Mało śladów wskazywało na obecność dzieci, chociaż z zakamarków domu dolatywały dziecięce hałasy.

— Tak więc — odezwała się Pippa, sadowiąc się na kremowej sofie — podobno mieszkałaś tu kiedyś?

— Tak — odpowiedziała Melody, czując, że nie musi podawać zbyt wielu szczegółów. — Jakies trzydzieści lat temu.

— Och, więc kiedy byłaś małeńka?

— Tak. Prawie nic nie pamiętam, poza tym, że tu przebywałam i że w jednym z pokoi leżał niemowlak, a tutaj na ścianach wisiało mnóstwo obrazków, a na tamtej ścianie była skóra tygrysa z głową, szklany stolik tam i kremowe wykładziny wszędzie. — Przerwała, by zaczerpnąć tchu. Pippa dziwnie się jej przyglądała.

— Nie jesteś chyba Charlotte, prawda?

Melody oniemiała. Wypowiedziała to imię! Powiedziała Charlotte! A to oznaczało, że to była prawda! Że nie straciła zmysłów! Nie popadła w obłęd! A jeśli Charlotte była prawdziwa, to tak samo i Ken, niemowlę i kobieta o imieniu Jane. Melody poczuła, jak poczucie ulgi zdusiło dręczące ją zwątpienie. — Czy ty... — zaczęła. — Czy ty ją znasz?

— Nie, właściwie to nie, nigdy się nie spotkałyśmy, ale ten dom kupiliśmy od niej, w 1996 roku.

— O mój Boże, więc ona jest prawdziwa! — Melody przerwała na moment. — Przepraszam cię, tylko te wspomnienia są takie mgliste, a

ja straciłam kontakt z wszystkimi, którzy tu mieszkali, i to wspomniałam dowiedzieć się, że, no, że ich sobie nie zmyśliłam! A Charlotte, gdzie ona teraz mieszka?

— Gdy kupowaliśmy dom, mieszkała w Los Angeles. Czy nadal, to nie mam pojęcia. Ten dom należał do jej matki...

— Jacqui?

— Tak, tak mi się wydaje. Z tego, co pamiętam, to znana makijażystka, mieszka w Hollywood. Jacqui podarowała ten dom córce w prezencie na dwudzieste pierwsze urodziny, kiedy był wart, sama wiesz, jakieś kilka pensów. Nie wiem, dlaczego go sprzedała, nie chciałam pytać...

— A czy był ktoś jeszcze, jakiś brat albo siostra?

Pippa wzruszyła ramionami i kopnęła swój pantofel.

— Naprawdę nie mam pojęcia — odpowiedziała. — Tak jak mówiłam wcześniej, nie spotkałam się z Charlotte. Dom był zupełnie pusty, kiedy go kupiliśmy. Wynajmowała go. Nigdy ani nie widziałam, ani nie rozmawiałam z kimś z jej rodziny. Obawiam się, że za bardzo nie mogę ci pomóc.

Melody westchnęła.

— Czy... czy chciałabyś się rozejrzeć? — zaproponowała Pippa.

Melody widziała, że w gruncie rzeczy Pippa nie miała najmniejszej ochoty pokazywać domu zupełnie obcej osobie, ale ciekawość zwyciężyła nad uprzejmością i z entuzjazmem przyjęła propozycję.

— Wszystko wygląda mniej więcej tak jak wtedy, gdy kupowaliśmy dom — powiedziała Pippa, oprowadzając ją po pokojach na piętrze. — Zmieniliśmy jedynie tapety. Tu były pokoje dzieci, kiedy się wprowadziliśmy, i jak widzisz; wciąż nimi są, a tu była i jest sypialnia. Dorobiliśmy tylko łazienkę...

Zapaliła światło, a Melody znów oniemiała: to był ten pokój, pokój z niemowlęciem! Olśnienie było tak realne, że niemal poczuła ten specyficzny zapach, mieszaninę spalonego kurzu na szalu zarzuconym na lampę, kwiatowych perfum i starego mleka.

— Tam stało łóżko! — opowiadała podekscytowana. — I stolik z lampką, przykrytą czymś w rodzaju szyfonowej chusty, a tu łóżeczko z dzieckiem. A ja je trzymałam, trzymałam ją. Przypomniałam sobie, dobrze pamiętam. Myślę, że to była moja siostra... — Jak tylko wypowiedziała te słowa, poczuła, że pod naporem ogromnego, niesamowitego smutku stanęło jej serce, przestała oddychać. Oczy wypełniły się łzami i zdławiła łkanie.

A potem ujrzała kolejny obraz:

Wysoka szklanka z lemoniadą.

Wygięta słomka.

Tata siedzący naprzeciwko niej, częściowo zasłonięty dużą paczką grissini owiniętą papierem. Zapach czosnku.

Obrus w kratkę.

Jacqui, w futrzanej kurtce i dużych okularach przeciwsłonecznych, uśmiecha się do niej.

Słowa: „Jacqui i ja będziemy mieli dzidziusia. Będiesz miała małego braciszka albo siostrzyczkę!”

Chwila ciszy.

— Co myślisz?

Znów cisza.

— Cieszysz się?

Po chwili z ust Melody eksplodowały, niczym bąbelki z potrząśniętej butelki lemoniady, słowa:

— Tak. Chyba tak. Ale mamusia nie będzie się cieszyć.

TLR

ROZDZIAŁ 19

1978

EMILY ELIZABETH RIBBLESDALE urodziła się w październiku 1978 roku, dokładnie miesiąc przed szóstymi urodzinami Melody Przyszła na świat w poniedziałek, więc Melody musiała czekać całe pięć dni na podróż pociągiem do Londynu, by zobaczyć siostrzyczkę.

Mama chorowała przez cały tydzień. Ta dziwna, nietypowa choroba objawiała się najsilniej przy każdej wzmiance Melody o nadchodzącym weekendzie. Dziewczynka pomyślała nawet, że mama rozchorowała się ze smutku, że tacie urodził się dzidzius, który nie zmarł, ale zdecydowała się nie zgłębiać tej teorii. Mama, nawet w najlepszym humorze, nie miała ochoty rozmawiać o dziecku, a teraz, Melody wiedziała z całą pewnością, nie była w dobrej formie.

W piątek mama pojawiła się w szkole po lekcjach. Wyglądała na załamana.

— Naprawdę mi przykro, ale nie będziesz mogła jutro pojechać zobaczyć się z ojcem.

Melody zbladła z rozczarowania.

— Dlaczego nie?

— Rano listonosz przyniósł bardzo wysoki rachunek i Ken poprosił nas wszystkich, byśmy się na niego złożyli, i nie zostało mi nic na bilet.

— Ale mamoo... — Melody poczuła, jak jej oczy wypełniły się gorącymi łzami.

— Nie odzywaj się do mnie tym skomlącym głosem! Przestań, bo przez ciebie czuję się jeszcze gorzej!

— Ale mammo...

— Czego ode mnie oczekujesz? Że sprzedam moje mizerne ciało na ulicy za kilka funtów, żebyś ty mogła sobie pojechać na spotkanie ze swoim ukochanym tatusiem?

Melody przełknęła ślinę, wstydziła się, bo mama krzyczała na nią przed koleżankami i kolegami ze szkoły. Czuła się też lekko zszokowana na wieść o tym, że po ulicach chodzili ludzie, którzy gotowi byli zapłacić za ciało mamy. Nie bardzo wiedziała, co mieliby z nim robić.

— Zadzwoń do niego — odezwała się Melody chwilę później, po dogłębnej analizie całego problemu. — Zadzwoń do niego i zapytam, czy mógłby mi przysłać trochę pieniędzy.

— I na co ci to? Pieniądze przyjdą tu dopiero w przyszłym tygodniu.

— No to poproszę, żeby po mnie przyjechał.

— Melody, twojemu ojcu właśnie urodziło się dziecko. Jacqui nie pozwoli, by zniknął gdzieś na pół dnia. A już na pewno nie po to, żeby tu po ciebie przyjechać. Nie pojedziesz i koniec. Musisz poczekać. I przestań już się tak guzdrać. W takim tempie nigdy nie dojdziemy do domu.

Melody dostosowała swe kroki do prędkości mamy. Nie mogła czekać kolejnego tygodnia, by zobaczyć siostrzyczkę. Coś małego i bardzo bolesnego ścisnęło ją w żołądku i wiedziała, że nie przestanie, dopóki nie poczuje oddechu nowo narodzonej Emily na swoim policzku.

Melody przyjechała do Londynu w przyczepie motocyklowej Ken-a. Nie wiedziała nawet, że Ken posiadał motor, do piątkowego wieczoru, kiedy to zwierzyła się mu ze swojej trudnej sytuacji. Następnego ranka zabrał ją do garażu.

Oprócz roweru ubranego w zieloną plandekę, stało tam kilka kartonów pełnych ulotek i duże transparenty na kijach, których treści nie zdążyła przeczytać.

Ken wyłożył siedzenie przyczepki miękkim kocem, a na jej głowę wcisnął potężny i niezgrabny zielony kask.

Podróż do Londynu była emocjonująca. Wiatr smagał policzki Melody i targał wystające! kosmyki włosów. Za każdym razem, kiedy zatrzymywali się na światłach, Ken obracał się i uśmiechał się do niej, a ona patrzyła na niego roześmianymi oczyma i czuła się jak najważniejsza dziewczynka na ziemi. Wypatrywała innych pięciolatek w przyczepkach, ale nie znalazła ani jednej. Gdyby miała przyjaciółki w szkole, to z wypiekami na twarzy opowiedziałaby im o swojej przygodzie. Charlotte z pewnością będzie udawać, że ją to w ogóle nie obchodzi.

Ken wysadził ją przed domem. Powiedział, że musi jechać i spotkać się z kilkoma znajomymi i że wróci po nią o osiemnastej.

— Ucałuj ode mnie swoją siostrzyczkę — zawołał. A potem wcisnął na głowę kask, motor zawył i niczym John Wayne okręcający swojego wierzchowca w rogu kinowego ekranu, zniknął za zakretem.

Jacqui leżała w łóżku. W sypialni panował mrok, okna były zasłonięte, a pokój przesiąkł drożdżowym, mlecznym zapachem podobnym do Ovaltine. Jacqui miała na sobie zwiewny szlafrok z puszystymi kremowymi lamówkami i turkusową koszulę nocną. Musiała leżeć w łóżku, bo ktos przeciął jej brzuch nożem, żeby wyjąć z niego dzidziusia. Uśmiechnęła się na widok Melody, która nerwowo odwzajemniła uśmiech.

— Chodź — powiedziała Jacqui, klepiąc jedwabne okrycie łóżka — chodź i poznaj Emily.

Przy łóżku stało małe białe łóżeczko. Melody trzymając tatę za rękę, ostrożnie okrążyła łóżko. Wzięła głęboki oddech i zerknęła do łó-

żeczka. W środku leżało maleńkie stworzenie z gęstą czarną czupryną i z pełnymi czerwonymi usteczkami wygiętymi w podkówkę.

— I jak ci się podoba siostrzyczka? — zapytał tato.

— Czy to naprawdę moja siostrzyczka? — Melody spojrzała na tatę z niedowierzaniem.

— Tak, oczywiście, że tak — zaśmiała się Jacqui. Melody dokładnie przyjrzała się siostrze. Może nie była

najpiękniejszym, ale z pewnością bardzo słodkim dzieckiem. Uniosła jedną z maleńkich rączek i pogłaskała ją.

— Wygląda jak czerwony Indianin.

Jacqui i tato wymienili spojrzenia i uśmiechnęli się.

— Wygląda dokładnie tak samo jak ty po urodzeniu — powiedział tato.

— Wyglądałam jak czerwony Indianin?

— Tak, dokładnie jak czerwony Indianin.

— A czy Romany też wyglądała jak czerwony Indianin po urodzeniu?

Tato uśmiechnął się smutno.

— Nie — odpowiedział. — Romany wcale nie miała włosów. Za to jej usteczka były takie maleńkie, jak pączek róży. Bardziej przypominała małego krasnała.

— Naprawdę? — powiedziała Melody, malując w wyobraźni po raz pierwszy w życiu obraz zmarłej siostrzyczki.

— A miała brązowe oczy? Czy niebieskie?

— No wiesz, po urodzeniu wszystkie dzieci mają taki sam kolor oczu. Taki sam jak Emily. Spójrz. Ciemnoniebieski. Dopiero po kilku miesiącach oczy nabierają właściwego koloru.

— A ja też miałam ciemnoniebieskie oczy, jak się urodziłam?

— Tak.

— A potem zmieniły się w orzechowe?

— Właśnie tak.

— Ciekawe, jakiego koloru oczka miałyby Romany.

— Hmm — odezwał się tato — to przykre, ale tego nikt z nas już się nie dowie.

Melody wpatrywała się w dzidziusia i równocześnie próbowała przywołać w głowie obraz drugiej siostrzyczki. Ale na rozmazany wizerunek Romany o twarzy krasnala z różanymi ustami, który istniał jedynie w wyobraźni Melody, nakładały się wyraziste i realne cechy tej nowej siostrzyczki. Świeżo zarysowane wspomnienie o zmarłym dzidziusiu zaczęło blaknąć.

ROZDZIAŁ 20

1978

MELODY KOPNĘŁA tenisową piłeczkę, która przeleciała przez podwórko i zatrzymała się między dwoma donicami.

— Więc — odezwał się Matty, strugając ostry koniuszek grubej witki nożem Stanley — o co poszło z twoim tatą?

— Słucham?

— Pytam, dlaczego on i twoja mama się rozstali?

— Bo byli na siebie źli.

— O co?

— Chyba o mnie.

Matty przestał strugać i spojrzał na nią uważnie.

— Jesteś pewna?

— Tak. No prawie tak. Miałam siostrę Romany i ona zmarła po dwóch dniach, i mama i tato bardzo się smucili z tego powodu, a potem zezłościła się na mnie. Szczególnie mama.

Matty pokiwał mądrze głową.

— Mama była na mnie zła, bo nie smuciłam się porządnie i wciąż chciałam robić rzeczy, takie jak pieczenie ciast i chodzenie na plac zabaw. A potem zezłościła się na mojego tatę, bo on też już nie chciał się dłużej smucić i chciał mieć znowu dziecko.

— Dlaczego to ją zezłościło?

Melody wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Po prostu. Może myślałaś że to dziecko też umrze albo coś.

Matty znów skinął głową i wrócił do strugania patyka.

— Dostała szału, kiedy o tym powiedział..

— Myślałbym, że to ją raczej ucieszy

— Tak — przytaknęła energicznie Melody — ja też.

— Ale dorośli to pieprzone dziwaki. Na przykład moja mama.

Melody spojrzała na niego wyczekująco.

— Nie, naprawdę, no sama zobacz.

Melody zmarszczyła brwi, martwiła się, że jej głowa tak wolno trawiła myśli.

Westchnął.

— Sorry. Głupi kawał. Nieważne.

— Powiedz mi — powiedziała Melody. — Powiedz mi, dlaczego twoja mama jest dziwna?

Wzruszył ramionami.

— Po prostu jest. Mój tato, właśnie, mój tato to wspaniały, naprawdę super facet. Jest duży i silny, zabawny i w ogóle. Mieszkaliśmy w takim super domu w Londynie i tato miał mnóstwo pieniędzy i zabierał nas w tyle fajnych miejsc i w ogóle. A potem mama zdecydowała się odejść.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Powiedziała, że ma dość jego picia, ale wiesz, on naprawdę nie pił tak dużo. Nigdy nie widziałem go pijanego, tak naprawdę, czasami tylko zachowywał się tak śmiesznie. A teraz mój tato

jest smutny i samotny, a mama wyszła za jakiegoś idiotę, który uważa się za Jezusa pieprzonego Chrystusa.

Melody przez chwilę zastanawiała się, o kim mówi.

— Chodzi ci o Kena?

— Tak, o Kena.

— A skąd wiesz, że on uważa się za Jezusa?

— Daj spokój, spójrz tylko na niego. Z tą jego głupią kitką i tą bródką, i tymi wiecznie wytrzeszczonymi gałami.

— Och — Melody jęknęła trochę przybita. — Ale ja go naprawdę lubię.

— No to w takim razie jesteś idiotką, Melody Ribblesdale.

Melody zbladła. Po raz pierwszy w życiu została nazwana idiotką.

— Ken to frajer, po prostu frajer. Ukradł ten dom, nigdy nie musiał pracować, bo ma na pęczki głupich, naiwnych bab, które zrobią dla niego wszystko, jak tylko wytrzeszczy w ich stronę te swoje głupie gały.

— Och — Melody znów jęknęła.

— O Boże — Matty spojrzał na nią — ciebie też już przerobił, tak? No to słuchaj, Melody Ribblesdale, posłuchaj, bo jesteś bystra i młoda. Skorzystaj z mojej rady. Zabieraj swoją mamę jak najdalej od niego, zanim zacznie mu szorować plecy i rodzić dzieciaki.

Obmacał palcami ostre zakończenie patyka, potem uniósł go w stronę słońca, sprawdził z każdej strony i zaczął się zbierać.

— Dokąd idziesz? — zawołała za nim Melody.

— Na ryby — odkrzyknął. — Do zobaczenia.

Matty zniknął, a Melody utkwiała wzrok w żółtej tenisowej piłce i nie spuszczała go do momentu, aż zaczęły ją boleć gałki oczne. Myśli i pytania wirowały w jej głowie jak kawałki gazety na wietrznej ulicy. Co Matty miał na myśli, mówiąc o szorowaniu pleców i dzieciakach? Na co mu ostry patyk przy łowieniu ryb? I czy ktoś zamierza jej porządnie wytłumaczyć, co się właściwie dzieje?

TLR

ROZDZIAŁ 21

Teraz

WSPINAJĄC się na platformę pociągu do Broadstairs kilka dni później, Melody czuła się znacznie pewniejsza. Uzbroiła się w określone cele i w pewność, że ta dziwna historia, która łątami zszywała jej świadomość, była prawdziwa.

Rozejrzała się po skąpo zaludnionym przedziale. Uśmiechnęła się do siebie. Miała ochotę krzyknąć: „Witajcie! Jestem Melody! Jadę do domu!” Powstrzymała się jednak i spojrzała na wyświetlacz telefonu, na którym dziesięć minut temu pojawiła się wiadomość od Bena: „Cześć, nieznajoma. Nie prześladuję cię, tylko się martwię. Mam nadzieję, że wszystko jest ok. Fajnie, jakbyś się odezwała (ale nie wstrzymam oddechu). Ben :*“.

Melody zastygła między westchnieniem a uśmiechem. Z całą pewnością miała do czynienia z wytrwałym zawodnikiem, ale wcale nie była pewna, czyjej się to podoba, czy nie. Gdy po chwili trochę zmiękła, zaczęła pisać: „Cześć. Sorry, że nie odpisałam na inne SMS-y, żyję w szalonym tempie i”.

Przerwała. Właściwie to co ona wyprawia? Kontynuowała dialog, podtrzymywała życie bardzo delikatnej, świeżo upieczonej znajomości w momencie, kiedy nie miała pojęcia, kim, do diabła, była. Nie, pomyślała, zamykając nie skończoną wiadomość, nie teraz, jeszcze nie. Może później.

W Broadstairs przywitały ją jeszcze bardziej niż ty dzień wcześniej zatłoczone ulice. Szare, chłodnawe tony dnia nie osłabiły entuzjazmu turystów na bezcelową włóczęgę po uliczkach centrum. Paradowali w nieprzemakalnych kurtkach, z ich zgiętych rąk zwisały parasolki go-

towe na przyjęcie pierwszych, smutnych kropli deszczu. Melody, z klarownym celem, maszerowała zdecydowanym krokiem w kierunku domu na placu.

Gdy stanęła przed domem, zamknęła oczy i spróbowała przypomnieć sobie, co jeszcze mogło się wydarzyć za tymi drzwiami trzydzieści lat temu. Zobaczyła kolejne dziecko, tym razem chłopca, grubego i mocnego, z łyżeczką w buzi. Ujrzała też chłopca o oliwkowej cerze i potarganymi włosami. A potem przed oczami stanęła jej młoda, długowłosa kobieta w żółtym szlafroku, blada i wymizerowana. Melody poczuła miękkość litery „L” bawiącej się na jej języku, lelele... Laura.

ROZDZIAŁ 22

1978

PEWNEGO DNIA, mniej więcej tydzień przed narodzinami Emily, do domu Kena wprowadziła się kobieta o imieniu Laura. Melody nie miała pojęcia, że w domu przebywa nowa osoba do momentu, gdy rano zobaczyła wychodzącą z łazienki, w żółtym pluszowym szlafroku i z kosmetyczką w dłoni, kobietę o nieco nerwowym wyrazie twarzy.

— Witaj — odezwała się, mijając dziewczynkę na podeście. — Kto ty jesteś?

— Melody.

— Melody? — powtórzyła. — Co za śliczne imię.

— Dziękuję — odparła Melody, przyzwyczajona do częstych komplementów imienia.

— A ja jestem Laura. Miło mi ciebie poznać.

— Mnie też jest miło — odparła Melody.

Laura miała długie brązowe włosy, z przedziałkiem na środku głowy, opadające na ramiona. Na jej bladej i błyszczącej skórze twarzy i szyi rozsiane były duże piegami.

Melody stała przez chwilę na podeście, bo chciała się przekonać, do którego pokoju wejdzie ta nowa osoba. Osłupiała, gdy Laura otworzyła bez wahania drzwi sypialni Kena i Grace i weszła do środka.

— Mamo! Mamo! — Przeskakiwała po dwa stopnie w drodze do pokoju na strychu. — Tam jest kobieta!

Mama wynurzyła się zza drzwi od szafy, ścisnęła zielony sweter i wyglądała na nieco opuchniętą.

— Co?

— Kobieta. W pokoju Kena! Ma na imię Laura!

— A tak, Laura. Poznałam ją wczoraj.

— Kto to? I dlaczego mieszka w sypialni Kena i Grace?

— Och, jestem pewna, że tam jej nie ma.

— A właśnie, że tak. Miała na sobie szlafrok i po prostu weszła do ich pokoju bez pukania.

— No, może pomyliła pokoje.

— Hmm. — Melody usiadła na skraju łóżka i wpatrywała się w swoje palce. — Mamo — zapytała — dlaczego mieszkamy w tym domu?

— A masz pomysł, gdzie indziej mogłybyśmy zamieszkać? — mama odpowiedziała rozzłoszczonym tonem.

— Nie wiem — odparła Melody. — Z ciocią Maggie?

Mama cmoknęła i ciężko westchnęła.

— Maggie ma teraz swoje własne problemy. Ostatnia rzecz, jakiej jej potrzeba, to wrak siostry z kolejną gębą do karmienia.

— A co z ciocią Susie?

— Myślałam, że nie podobało ci się u cioci Susie.

Melody wzruszyła ramionami i złączyła stopy.

— Nie podobało mi się. Ale przynajmniej.

— Przynajmniej co?

— Przynajmniej to była rodzina.

Jane głośno wciągnęła powietrze.

— Melody — odezwała się po chwili — jestem bardzo zmęczona. A ty za dużo gadasz. Dlaczego nie pójdziesz się pobawić?

— Nie chcę się bawić.

— No to idź poczytać książkę.

— Nie chcę czytać książki.

— No to idź i zrób cokolwiek. Tylko zostaw mnie w spokoju.

Melody siedziała na krawędzi łóżka jeszcze przez chwilę i wpatrywała się ze smutkiem w swoje stopy. Potem podeszła do drzwi i wyszła. Szła na tyle wolno, by mama mogła zmienić zdanie, zapomnieć o złym humorze i zawołać ją, by się przytuliły. Ale na próżno. Mama stała w tym samym miejscu z zielonym swetrem w rękach i wyglądała tak, jakby o czymś zapomniała.

Melody przez chwilę siedziała przed drzwiami do ich pokoju i słuchała łkania matki, cichego i delikatnego jak szeptana modlitwa.

ROZDZIAŁ 23

Teraz

MELODY NIGDZIE nie natknęła się na mężczyznę o imieniu Matthew. Obeszła miasto trzy razy, zaglądała przez okna pachnących smalcem pubów i wędrowała wzdłuż półek z alkoholami w sklepach monopolowych. Przeszukała wzrokiem plaże i ławki, ale mężczyzna przepadł. Pod promenadą przy plaży znalazła pachnącą stęchlizną jamę, w której dwóch młodych mężczyzn z puszkami jabłkowego wina leżało na ławkach z drewnianych listew. Nie wyglądali na bezdomnych czy włóczęgów, ale doszła do wniosku, że byli jedynymi ludźmi, których spotkała w ciągu minionych dwóch godzin, którzy mogli mieć pojęcie na temat pijaka o imieniu Matthew. Zatrzymała się i poczekała, aż ją zaczepią.

— Wszystko w porządku? — zawołał starszy z wyglądu chłopak. Wyglądał na zdenerwowanego i Melody pomyślała, że być może wzięli ją za policjantkę w cywilnym ubraniu.

— Tak — odpowiedziała. — Szukam kogoś. Mężczyzny o imieniu Matthew.

Młodzi spojrzeli na siebie i zmarszczyli czoła.

— Matthew? A jak wygląda?

— Około czterdziestki — powiedziała Melody — ciemne włosy. Pijany.

Znów spojrzeli na siebie.

— Aaa — odezwał się bardziej pryszczaty — ten Matthew. Ochłopus, tak?

— Najprawdopodobniej — odpowiedziała Melody.

— Powinien być w mieście. Zwykle tam jest.

— Czy jest jakieś szczególne miejsce, w którym najczęściej przebywa? — zapytała.

— Nie. Szwenda się wszędzie, tak naprawdę.

— Tak — zawtórował drugi. — Odstrasza turystów.

— A gdzie mieszka?

— Nie wiem — odpowiedział starszy. — Gdzie popadnie. Najprawdopodobniej gdzieś tutaj. Wieczorami do tych jaskiń złażą się włóczędzy.

— A czego od niego chcesz? — zapytał pryszczaty.

— Mieszkałam kiedyś w Broadstairs. Myślę, że on mnie znał.

— Taa. Matthew jest tutaj od zawsze.

— Zawsze pije?

— Przeważnie. Czasem trzeźwieje. Co kilka tygodni. Znika i wraca z przystrzyżoną głową i nowymi ubraniami i potem znów zaczyna pić.

— Aha, to może go teraz nie być?

Pryszczaty wzruszył ramionami.

— Jeśli go nie ma w mieście, to pewnie tak.

— I nie macie pojęcia, dokąd wyjeżdża?

Wzruszyli ramionami.

— Może do matki? Może do szpitala? Nie wiem. Nigdy nie pytałem.

— No dobrze. — Melody zagryzła wargi. — Rozmawiacie z nim?

— Eee, niezupełnie. Czasem w przelocie wymienimy parę słów, jak się masz i takie tam. Tak naprawdę nikt z nim nie gada.

— Dlaczego nie?

Oboje się zaśmiali.

— Bo to ochlapus i już!

Melody uśmiechnęła się i pokiwała głową. Nic tu po niej. Mężczyzna o imieniu Matthew wyjechał z miasta. Będzie musiała wrócić kiedy indziej.

Melody stała na plaży z rękoma w kieszeniach, wzrokiem błędziła po zarysach miasta. Miała wrażenie, że czołga się w jej kierunku z szeroko rozpostartymi ramionami. Dostrzegła budynek w samym środku. Była to lodziarnia z różową fasadą i chromowaną tablicą w stylu lat pięćdziesiątych. Melody natychmiast się ruszyła, wspięła się po kamiennych schodach, przeskakując co dwa stopnie i chwilę później, cała zasapana, pchnęła ciężkie szklane drzwi w stylu art deco. Rozświetlony i błyszczący wystrój lodziarni przypominał lata trzydzieste. Chromowane dodatki, laminaty Formica i Bakelite w odcieniach mięty i łososiowego różu. Melody zatrzymała się na moment w progu i rozejrzała się dookoła, obejmując wzrokiem całe pomieszczenie, gdzie siedział z tuzin rodzin w kurtkach przeciwdeszczowych. Obok niej przeszła kobieta z tacką, na której stały cztery okazałe pucharki, a w każdym piętrzyły się kolorowe góry lodów, z posypką, waflami i sosami. Deser lodowy z owocami i bitą śmietaną.

To było to. Natychmiast zdała sobie sprawę, że w tym miejscu siedziała kiedyś z Kenem.

ROZDZIAŁ 24

1978

Po PIERWSZYM spotkaniu z siostrzyczką Melody i Ken wrócili z Londynu o dwudziestej. Zbliżając się do wybrzeża, ujrzeli rozlane nad morzem brzoskwiniovym i złotym blaskiem październikowe słońce. Linie horyzontu przecinał wolno oddalający się od brzegu prom, rozświetlony od środka niczym lampion. Dojechali do promenady, mijali błyszczące neony na pustych arkadach, smażalnię ryb i słodko mdlące sklepy z pamiątkami. Zatrzymali się przed lodziarnią Morelli.

— Masz ochotę na deser lodowy? — zapytał Ken, zdejmując kask.

— Teraz? — zdziwiła się Melody.

— Tak, dlaczego by nie?

— Ale powiedzieliśmy mamie, że będę w domu o ósmej.

— No to powiemy, że utknęliśmy w jakimś korku. No dalej, nie daj się prosić.

Melody wpatrywała się w pastelową utopię wnętrza lodziarni. Widziała szczęśliwe rodziny okupujące różowe stoliczki, długie łyżki zanurzały się w przeogromnych pucharach. Wielokrotnie mijała lodziarnię w ostatnim roku, ale mama zawsze powtarzała, że nie miały pieniędzy na takie „niepotrzebne fanaberie” jak desery lodowe.

— Ja stawiam. — Ken odczytał jej myśli.

Melody weszła do środka i od razu poczuła się, jakby była innym człowiekiem. Nie spodziewała się, że po zmroku może usiąść w lodziarni z przystojnym mężczyzną i kaskiem motorowym w dłoni. Takie rzeczy pasowały do Charlotte.

Zamówiła deser malinowy, a Ken wybrał lody waniliowe z czekoladowym sosem i filiżankę kawy. Kask potargał jego włosy, a jesienny

wiatr zaróżowił mu policzki. Nie wyglądał już jak Jezus, bardziej przypominał misia, dzięki czemu Melody nie czuła się tak bardzo onieśmiewiona faktem, że razem siedzieli w restauracji.

— I jak, podobała ci się siostrzyczka?

— Uhm — pokiwała głową. — Jest słodka.

— Nie wątpię. To musi być wspaniałe uczucie mieć siostrę.

Znów pokiwała głową.

— Ale byłaś smutna, kiedy musiałaś się pożegnać, prawda?

Melody pochyliła głowę i uśmiechnęła się. Nie cierpiała wyjeżdżać z domu Jacqui, nawet w te okropne dni, podczas których Charlotte zachowywała się jak świnia, a Jacqui ledwo zwracała na nią uwagę. Ale dzisiejsze popołudniowe pożegnanie było najgorsze ze wszystkich. Cały dzień spędziła z Emily, pomogła zmienić pieluszkę, a Jacqui pozwoliła jej nawet nakarmić siostrzyczkę butelką. Sypialnia taty i Jacqui z każdą godziną stawała się coraz bardziej magiczna. Późnym popołudniem, gdy słońce zaczęło tonać, tata zapalił nocne lampki i wszyscy usiedli na wielkim, miękkim łóżku i wpatrywali się w niemowlę.

— Wiesz, w pewnym sensie to cieszę się, że musiałaś mieć cesarkę — odezwał się tato do Jacqui. — Przynajmniej musisz siedzieć w jednym miejscu i cieszyć się tymi chwilami.

Jacqui uśmiechnęła się do niego.

— Wiem, wiem, masz rację. Gdyby nie to, to pewnie próbowałabym teraz odkurzać mieszkanie. Ja też się cieszę, bo to najprzyjemniejszy czas. Do takich chwil wraca starzejący się człowiek, gdy pragnie cofnąć czas...

Melody już teraz pragnęła cofnąć czas. Najbardziej na świecie chciała, by jej skóra nasiąkła siostrzyczką, kropla po kropli, i została tam na zawsze. Nie miała ochoty zostawiać jej w Londynie i czekać ca-

ły długi tydzień, by znów ją zobaczyć. Chciała z nią mieszkać, spać z nią, a rankami patrzeć, jak się przebudza. Marzyła, by móc przyglądać się, jak dorasta, dzień po dniu, jak rośnie każdy skraweczek jej paznokcia, każdy milimetr włosów. Pragnęła, by Emily ją znała, w taki sam sposób, jak będzie znała Charlotte.

Spojrzała w łagodne szare oczy Kena i poczuła, że jej broda staje się miękka i zaczyna drżeć. A potem z jej oczu popłynęły ciche i ciężkie łzy.

— Och, dobrze, już dobrze. — Ken podał jej papierową serwetkę.
— Och, Melody, biedna, kochana istotko.

— Kocham ją tak bardzo, tak bardzo — łkała dziewczynka. — Kocham ją, a ona mieszka w Londynie, a ja jestem tutaj i ona mnie zapomni.

— Nie zapomni ciebie.

— Na pewno tak. Będzie widziała tylko Charlotte i pomyśli, że to jej jedyna siostra, a kiedy ja przyjadę, to będzie płakać, bo nie będzie wiedzieć, kim jestem!

— Nie, naprawdę tak nie będzie, uwierz mi. Takie małe dzieci są bardzo mądre. Zobaczysz, Emily zapamięta twój zapach, a potem, kiedy urośnie, zapamięta też twoją twarz i wiesz co, swoje najlepsze uśmiechy będzie trzymała tylko dla ciebie, bo twój widok będzie dla niej jak wyjątkowa nagroda. Nie jak z Charlotte.

— Naprawdę?

— Naprawdę. A ponieważ nie będziesz się z nią widywać tak często, będziesz dla niej o wiele miłsza niż Charlotte. Właściwie to mogę się założyć o cokolwiek chcesz, że ty i Emily będziecie najlepszymi przyjaciółkami.

Melody pociągnęła nosem i zakreśliła łyżeczką kółka na dnie szklanego pucharka. Podobało jej się to, co mówił Ken. Podobał się jej pomysł bycia najlepszą przyjaciółką Emily.

Uświadomiła sobie, że nie pamięta nawet, kiedy ostatnim razem usłyszała słowa, dzięki którym poczuła się lepiej, a nie gorzej, słowa, które nadały sens jej światu. Poczuła, jak coś twardego i ciężkiego, coś, czego obecności nawet sobie nie uświadomiła, unosi się z jej klatki piersiowej. Ogarnęła ją lekkość i poczucie, że mimo wszystko istniało jakieś centrum. I siedząc tam w parującym ciepłe lodziarni, uświadomiła sobie, że tym centrum w jej rozbitym na dziesiątki kawałków świecie był Ken.

Wierzchem dłoni wytarła łzę z policzka i uśmiechnęła się do Kena. Potem ujęła jego rękę i ścisnęła ją, naprawdę mocno.

— Jesteś moim przyjacielem? — zapytała.

— Oczywiście, że jestem — odparł.

— I zawsze będziesz moim przyjacielem?

— Będę twoim przyjacielem tak długo, jak tylko będziesz tego chciała.

— W takim razie — odparła Melody — będziesz nim na zawsze.

Ken uścisnął jej dłoń i uśmiechnął się.

— To dobrze — powiedział. — To dobrze.

Do domu wrócili o dwudziestej pierwszej. Melody wyobrażała sobie mamę na wejściowych stopniach, bladą i zatroskaną, przestępującą z nogi na nogę i zamartwiającą się, gdzie podziewa się jej córka. Ale na stopniach nikogo nie było. Nie znalazła mamy ani w kuchni, ani w łazience, ani w pokoju na strychu. Razem z Kenem obiegła dom dwa razy, zajrzała do wszystkich pokoiów i tych dziwnych zakamarków jak suszarnia i spiżarnia. Potem Melody zauważyła, że z korytarza zniknęła

torebka mamy. A Laura powiedziała, że około siedemnastej słyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych, więc wszyscy się uspokoili i stwierdzili, że Jane wyszła gdzieś zjeść kolację albo umówiła się z ciocią Susie.

Melody umyła się w chłodnej łazience i próbowała wyobrazić sobie roześmianą i ubawioną mamę, która straciła poczucie czasu przy stole cioci Susie. Nie wyglądało to ani trochę przekonująco, więc spróbowała zobaczyć mamę z twarzą oświetloną blaskiem świec, siedzącą samotnie w restauracji, delektującą się stekiem i frytkami. Ten obraz był równie niedorzeczny.

Wsunęła się pod kołdrę, zamknęła oczy i przy akompaniamencie przytłaczającej ciszy panującej w pokoju w jej głowie zaczęły się pojawiać przeróżne obrazy. Mama rozjechana pod kołami wielkiej ciężarówki. Zielononiebieska twarz mamy w morzu. Mama pocięta na kawałki przez metalowe koła pospiesznego pociągu. Nie miała pojęcia, skąd wzięły się te obrazy. Nigdy wcześniej nie myślała o podobnych rzeczach. Ale nigdy wcześniej nie zdarzyło się, że nie wiedziała, gdzie przebywa mama.

W końcu, po bardzo długim czasie zasnęła, ale po chwili znów wpatrywała się rozbudzonymi oczyma w ciemność, a łóżko mamy nadal było puste. Doszła do wniosku, że nie chce już dłużej leżeć sama w ciemnościach i że musi kogoś zobaczyć. Zeszła więc bezszelestnie po schodach do pokoju Kena i Grace.

Otworzyła drzwi i zobaczyła niecodzienny widok. W wielkim białym łóżku leżeli nadzy i przytuleni Ken z Laurą, a Grace, w długiej niebieskiej koszuli, spała na rozłożonym na podłodze materacu z Sethem. Nieskrępowane zasłonami w oknach światło księżyca skąpało ich wszystkich w swojej poświacie. I chociaż wszystko było nie tak, Melody zachwyciła się nieuchwytnym pięknem tej sceny, podobnej do jednego z aktów przedstawienia *Sen nocy letniej*, na które wybrała się razem z tatą i Jacqui do Regent **s** Park Open Air Theatre.

Jedynie Laura usłyszała jej wejście do pokoju i patrzyła na Melody szklanym wzrokiem przez jedno otwarte oko. Potarła palcami brwi i przesunęła się w kierunku dziewczynki. Miała niewielkie, sterczące piersi, które wyglądały jak małe ciasteczka, a jej koścista klatka piersiowa przypominała szkielet kurczaka. Wpatrywała się przez sen w Melody, aż w końcu otwarte oko zamknęło się, kobieta odwróciła się na plecy, a Melody wyszła na paluszkach z pokoju.

Obok znajdował się pokój Matty'ego. Zapukała cicho i weszła do środka. Matty chrapał cicho przez sen, leżał na boku, a jedna noga zwiisała mu z łóżka.

Przyglądała mu się przez chwilę i zastanawiała się, o czym śni. Po chwili stwierdziła, że nie chce zakłócać spokojnego snu chłopca, położyła się więc na niechlujnym dywaniku z owczej skóry, przykryła się ręcznikiem i w końcu zasnęła.

Następnego ranka Ken wezwał policję. Do domu weszło dwóch mężczyzn w policyjnych kaskach i zaczęli zadawać pytania, na które nikt nie potrafił odpowiedzieć. Nie, nikomu nie powiedziała, dokąd poszła; nie, nikt nie widział, jak wychodziła. Zanotowali opis miejsca zamieszkania cioci Susie podany przez Melody („bungalow, dookoła żywopłot, niezbyt blisko morza, ale niezbyt daleko od morza, niebieskie drzwi wejściowe, powiewające zasłony”), a potem w pokoju na poddaszu przejrzyli wszystkie rzeczy mamy.

— Czy miała jakikolwiek powód, żeby zniknąć? — zapytał młodszy z dwóch policjantów.

Melody spojrzała na Kena, który nie spuszczał z niej oczu.

— Cóż — zaczął — ostatnio żyła w stresie. Jej mąż mieszka z inną kobietą, która właśnie urodziła dziecko. I, eee... myślę, że cierpi na... hmm... — spojrzał znów na Melody — ...inne dolegliwości. Emocjonalną huśtawkę.

— Chce pan powiedzieć, że jest nie zrównoważona?

— Nie, niezupełnie nie zrównoważona, ale...

— Dobrze, w takim razie myślę, że powinniśmy odczekać dwadzieścia cztery godziny, a potem sprawdzić plażę. Szczególnie wokół Ramsgate.

— Sądzi pan, że...?

Tym razem zarówno policjant, jak i Ken spojrzeli na Melody.

— Nie wiem, proszę pana, ale to możliwe. Wiele się tego dzieje, no wie pan, z kobietami. Hormony potrafią czynić cuda. Jeśli do jutra nie będzie żadnych wiadomości o pani Ribblesdale, zaczniemy poszukiwania.

Zapisał numer telefonu ojca Melody, jedyny numer na całym świecie, jaki dziewczynka znała na pamięć, i sobie poszli.

Pięć minut później na dole pojawił się Matty i chciał znać każde jedno słowo, które padło z ust policjantów.

— Próbowałem podsłuchać pod drzwiami, ale dźwięk był zbyt stłumiony!

— Oni myślą, że może być na plaży. Przez hormony.

— Sądzą, że nie żyje?

— Nie, no co ty. Tylko że jest zła. Ale zaczną jej szukać dopiero jutro.

— Dlaczego?

Melody wzruszyła ramionami.

— Nie wiem — odparła.

— Co za bzdury — powiedział Matty. — Wszystko może się wydarzyć od dzisiaj do jutra. Tu chodzi o życie lub śmierć. Pieprzę czekanie. Idziemy teraz.

Zniknął na kilka chwil i wrócił ze szmacianą torbą, którą przewiesił przez ramię.

— Co będziemy robić? — zapytała Melody.

— Znajdziemy twoją mamę.

Maszerowali przez miasto w kierunku wilgotnych, pokrytych wodorostami piasków zatoki Viking. Ulice były puste. Przemierzyli promenadę, minęli wyludnione kafejki. Matty zatrzymywał się co pewien czas i skanował wzrokiem horyzont przez sfatygowaną, żołnierską lornetkę, którą wcześniej zapakował do swej dużej torby.

— Domyślasz się, w co mogła być ubrana? — zapytał.

Melody potrząsnęła głową.

— Jak wyjeżdżaliśmy do Londynu, wciąż miała na sobie piżamę.

— Kolor?

— Co?

— No jej piżama. W jakim była kolorze?

— Zielonym. A tu miała trochę kremowego. — Dotknęła klatki piersiowej.

— Dobra. A jej włosy są brązowe. I jest średniej budowy. Prawda?

— Prawda — odparła Melody.

— Ok. Tutaj nic, idziemy dalej.

Opuścił lornetkę i ruszyli z powrotem do miasta.

Melody szła za nim bez słowa przez, jak się jej wydawało, bardzo długi czas. Matty zatrzymywał się niekiedy, by przyjrzeć się jakimś porzucanym szczątkom materiałów i śmieci.

— Co lubi robić twoja mama? zapytał po pewnym czasie.

— Eee, czytać?

— Hmm, moglibyśmy spróbować w księgarniach albo w bibliotece, ale nie przypuszczam, że spędziła tam całą noc. Coś jeszcze?

Melody zamyśliła się.

— Lubi koty.

— Nie, to nic nie da. Chryste. Jest ciężko. Pomyśl, Matty, pomyśl. — Uderzał w głowę wierzchem dłoni. — Kobieta, trzydzieści lat, smutna, co by zrobiła? Gdzie mogła pójść? Wiem! Wiem! Dalej, chodź ze mną.

Kiedy doszli do dworca, zaczęło padać, a Melody była głodna i zmęczona. Nie zjadła ani śniadania, ani lunchu, a dochodziła czternaście.

Cieszył i ekscytował ją ten czas spędzany wspólnie z Mattym, ale jednocześnie chciała wrócić do domu, bo im dłużej o tym myślała, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że mama właśnie tam na nią czeka. Nie chciała jednak złościć Matty ego, więc podążała za nim wzdłuż peronów, bocznicy, przez most i przejście podziemne i czekała cierpliwie, kiedy grzebał dużym kijem między pustymi puszkami piwa i siatkami.

O szesnastej Matty w końcu się poddał.

Stopy Melody, wepchnięte w za małe tenisówki, były poobdzierane do mięsa, a jej żołądek wydawał groźne pomruki, zwijając się z głodu.

Wolnym krokiem wracali do miasta, kierując się na High Street. Melody spojrzała w witrynę sklepu Woolworths wprost na ich odbicie. Wyglądali jak dwie małe sieroty, zaniedbani i wychudzeni. Melody przełknęła ślinę. Przeraziła się, bo jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak, jakby nie miała rodziców.

Od domu dzieliły ich zaledwie dwie przecznice, gdy coś przyciągnęło wzrok Melody. Był to ledwo widoczny przez zaparowane okna kawiarni skrawek materiału. Należał do kurtki, którą bardzo dobrze знаła. Niebieska kurtka w czarne kwiaty. Kurtka mamy.

— Matty! Ona jest tutaj! Zobacz!

Przyłożyli ręce do szyby. Jane siedziała plecami do okna, przy jej lewej ręce stał czerwony kubek, a przy prawej leżał bukiet zwiędłych kwiatów. Siedziała bez ruchu, a kątem oka, pod jakim zwróciła głowę, sugerował, że intensywnie się w kogoś wpatrywała.

Weszli do środka i Melody zauważyła, że wcale nie przyglądała się komuś, tylko zawiesiła wzrok w pustce, z taką determinacją, że nie zauważyła nawet dwójki małych dzieci stojących przy niej.

— Mamusiu. — Melody dotknęła jej ramienia.

Jane nadal wpatrywała się przed siebie.

Miała poplątane i zmierzwione włosy, zabrudzoną kurtkę. Za pazurek schowało się błoto, pachniała wilgocią i morską tonią.

— Mamusiu. — Melody pociągnęła ją trochę mocniej za rękaw.

Jane w końcu ocknęła się i bardzo wolno odwróciła głowę w stronę Melody.

— Tak? — zapytała.

— Co ty robisz?

— Co? — odpowiedziała niejasno.

— Co ty robisz? Gdzie byłaś?

— Melody?

— Tak. To ja.

— Co ty tu robisz?

— Szukamy ciebie. Zgubiłaś się. Wezwaliśmy policję! Gdzie byłaś?

— No tutaj, chyba, tak mi się wydaje.

— Ale całą noc, zeszłej nocy gdzie byłaś?

Mama przerwała i potarła łokieć.

— Gdzieś, myślę. Na plaży...?

Melody przerwała i spróbowała uporządkować myśli. Mama dziwnie pachniała i odpowiadała niejasno, siedziała sama w kawiarni i spędziła noc na plaży. W październiku.

Spojrzała na zabłocone palce mamy, a potem na zwiędłe kwiaty.

— Mamo, czy ty jesteś niezrównowazona?

Miło było mieć mamę z powrotem w sypialni, widzieć zarys jej śpiącego ciała, słyszeć jej rytmiczny oddech i szelest prześcieradła, gdy się poruszała. Ale Melody nie mogła zasnąć. Za każdym razem, gdy poczuła zbyt ciężkie powieki i splątane myśli w głowie, gwałtownie przechodziła w stan rozbudzenia. Nie chciała spać, na wypadek gdyby miała się obudzić i zastać puste łóżko mamy. Leżała więc w swoim piętrowym łóżku, w pokoju pod niebem i, mając zaledwie pięć lat, wpatrywała się w śpiącą mamę do chwili, gdy następnego ranka wzeszło słońce.

ROZDZIAŁ 25

Teraz

MELODY ZLIZAŁA ostatnie ślady lodów karmelowych z łyżeczki i odłożyła ją do pucharka. Zapomniała o śniadaniu tego ranka i nie zdała sobie sprawy, jak bardzo jest głodna, dopóki pięć minut temu nie przestąpiła progu lodziarni Morelli.

Lodziarnia, ze wszystkich miejsc, które odwiedziła od chwili odblokowania pamięci dwa tygodnie temu, wywoływała najsilniejsze wspomnienia. Nigdzie nie odczuwała takiej pewności miejsca. Wiedziała, że spędziła tu wyjątkowe chwile, że była to oaza szczęścia w, jak się przekonywała, burzliwym i niespokojnym świecie jej dzieciństwa. Potrafiła się zobaczyć przy każdym stoliku, mała rączka trzymała długą łyżeczkę, na papierowej podkładce stała lemoniada, na języku rozpuszczała się słodka posypka, a na krześle obok siedział Ken.

Wizyta w Morelli wzmocniła tylko jej determinację do odkrycia kolejnych sekretów tego miasta, więc obrała kurs na bibliotekę, gdzie zamierzała pogrzebać w dziale lokalnej historii. Ed podsunął jej ten pomysł. „Biblioteka to nie tylko książki, mamuś, zbierają tam różne rzeczy. Gazety i takie tam. Wszystko, co się tyczy lokalnego życia”. Przecięła Chandos Square, przemierzyła kilka nowych uliczek i kiedy tak spacerowała, znów poczuła, że przypomina sobie szlak zakrętów w lewo i prawo, rytm miękkich uderzeń stóp o chodnik, zmienionych pod powierzchnią przecinanego asfaltu. Zreflektowała się, że wielokrotnie pokonywała już ten szlak. I przypomniała sobie, co było celem tej wędrówki.

Przysadzisty budynek Upton Junior School z fasadą z żółtej cegły rozwiązał wszelkie wątpliwości. Zobaczyła szary wełniany płaszcz, rozdarcie w kieszeni kurtki i boisko zakłęte w ciszę przez trujące szyderstwa wysokiej smutnej dziewczyny z warkoczami.

ROZDZIAŁ 26

1978

PENNY CLARKE, wyrosnięta jak na swój wiek dziewczynka, rozpoczęła naukę o rok później z powodu edukacyjnego opóźnienia. Była wysoka, miała szorstkie jasne włosy, zaplecione w dwa grube warkoczki, które zwisały z ramion. Na jej bardzo tłustym czole widniała zmarszczka.

— To smutne widzieć siedmiolatkę z taką zmarszczką na czole — stwierdziła mama, gdy po raz pierwszy zobaczyła Penny za szkolną bramą.

Penny przyjaźniła się z sięgającą jej mniej więcej do pasa i przeźliwie chudą Daną, która zawsze miała plamę z przodu szkolnego sweterka. Podczas przerw stały we dwie w kącie boiska i z rozzłoszczonym wyrazem twarzy przyglądały się reszcie dzieci. Czasami żuły gumę. Rzadko się do siebie odzywały.

Jednego ranka, krótko po znalezieniu mamy w kawiarni, Penny i Dana podeszły do Melody na boisku. Dana miała na sobie szary wełniany płaszcz, a jej włosy były spięte w cieką kitkę. Czarna kurtka Penny marki Harringtonn była rozdarta tuż nad kieszenią.

— Ty, jak ty się niby nazywasz? — zapytała Penny.

Melody zdziwiła się tym pytaniem. Penny chodziła z nią przecież do jednej klasy prawie od dwóch miesięcy i codziennie słyszała listę obecności odczytywaną przez panią Knott.

— Melody — odparła.

— A tak, no właśnie. Wiedziałam, że to coś odpicowanego.

Przez jakiś czas szurały bez słowa nogami i Melody nagle doznała olśnienia, że za chwilę z pewnością wydarzy się coś złego.

— Skąd jesteś?

— Nie wiem — powiedziała Melody.

Dziewczynki wymieniły ze sobą pogardliwe spojrzenia.

— Nie wiesz, skąd jesteś? — wycedziła Penny.

— Nie.

Penny zaśmiała się — powietrze przeszył okropny dźwięk, jakby metalowy dźwigar uderzył małego psa.

— Bez sensu — powiedziała. — Każdy wie, skąd pochodzi.

Melody przełknęła ślinę. Wiedziała, że jak najszybciej musi powiedzieć coś rozsądnego.

— Mój tatuś mieszka w Londynie. Ja mieszkam tutaj.

— Aha. Więc twoi rodzice są rozwiedzeni?

Melody potrząsnęła głową i spojrzała na swoje stopy.

— No to dlaczego nie mieszkają razem?

— Bo są na siebie źli.

— Aha. — Penny prychnęła i rzuciła Melody dziwne spojrzenie.

— Mieszkasz w tej hippisowskiej spelunie w mieście, prawda?

Melody nie bardzo wiedziała, co znaczyły słowa „hip- pisowska speluna”, ale domyśliła się, że chodziło o dom Kena.

— Mieszkam w domu Kena — odpowiedziała.

— Tak, tego hippisa, co się szwenda po mieście. Wiem, który to. Nie zaszkodziłaby mu kąpiel. Naciąga ludzi na kasę za te swoje bezna-
dziejne ulotki. Moja mama mówi, że to zboczeniec.

— Co to jest zboczeniec? — zapytała Dana.

Penny rzuciła jej pogardliwe spojrzenie.

— To ktoś — wycedziła — kto lubi robić z innymi różne świństwa. Seks i takie tam.

Melody potrząsnęła głową.

— Nie. Mylisz się. Ken jest bardzo miły.

— Hmm, moja mama mówi co innego. Mówi, że do jego łóżka wskakuje co rusz inna kobieta, a czasem to nawet dwie naraz. Mama mówi, że on robi im wodę z mózgu, urabia je, a potem używa do różnych świństw. Mama mówi, że on jest obrzydliwy. A ty z nim mieszkasz. Więc i ty jesteś obrzydliwa.

Melody przełknęła ślinę.

— I twoja mama też — dodała Dana.

— Tak — zawtórowała Penny. — I twoja mama też.

Stały przez chwilę bez słowa i wpatrywały się w nią wyczekująco.

W głowie Melody wirowały słowa, które chciała powiedzieć, czuła się upokorzona i przerażona. Wiedziała, że Penny kłamała. Wiedziała, że Ken był dobrym i miłym człowiekiem. Wiedziała też, że w domu działy się rzeczy, których nie potrafiła wytłumaczyć, które, jak się domyślała, nie były stosowne, ale w kontekście domu Kena wydawały się jak najbardziej właściwe.

— To nie jest tak — odezwała się w końcu. — To nie jest tak.

— Tak? No to jak jest?

— Ken jest naprawdę miły. Pozwolił nam zamieszkać w swoim domu, kiedy mama była bardzo smutna, i zabiera mnie do Londynu na swoim motorze i ma wspaniałą żonę, która gotuje dla wszystkich, i jest łagodny i hojny.

— O mój Boże — powiedziała Penny z wrednym uśmiechem czającym się na jej twarzy — kochasz się w nim, prawda? O mój Boże, ty też robisz z nim te rzeczy? Prawda, że tak? Ty i twoja mama, i ten hippis, wszyscy razem. Boże, to obrzydliwe.

Melody uświadomiła sobie, że na boisku zapadła cisza, reszta dzieci przerwała zabawę i wsłuchiwała się w słowa Penny.

Dziewczynka zauważyła publiczność i zwróciła się do niej.

— Ona jest brudna! — krzyknęła, wskazując na Melody. — Nie zbliżajcie się do niej. Bo złapiecie trypra.

Inne dzieci wpatrywały się w Melody z obojętnym wyrazem twarzy, a oczy Penny świeciły tryumfalnie.

Niemiłosiernie przedłużającą się ciszę przerwał dźwięk dzwonka sygnalizującego koniec przerwy.

Penny i Dana zmierzyły Melody raz jeszcze, zanim się odwróciły. Melody powolnym i tępym krokiem pokonała drogę do klasy.

Wkrótce po tym zdarzeniu mama wyprowadziła się z pokoju na poddaszu. Nie wyjaśniła dokładnie, gdzie zamierza teraz spać, ale Melody poznała odpowiedź już wieczorem, gdy do jej pokoju weszła Grace i Seth.

O wiele łatwiej było pytać Grace niż mamę, więc Melody wyczekała chwili, gdy tylko we dwie znalazły się w kuchni następnego ranka.

— Grace?

Grace oderwała wzrok od podrapanego i zakrwawionego od upadku na podwórku łokcia Seta.

— Tak, kochanie?

— Dlaczego ty i Seth śpicie w moim pokoju, a mama śpi w pokoju Kena?

— No cóż. — Grace przerwała na chwilę i oddała papier z plastrą. — Twoja mama przechodzi teraz przez trudny okres. — Przykleiła plaster na łokieć Setha. — Jest trochę zagubiona i Ken chce mieć ją blisko siebie. Dlatego więc będzie dzieliła z nim pokój. I mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że Seth i ja zajęliśmy łóżko twojej mamy. To tylko na chwilę.

Melody pokręciła głową, chociaż te zmiany wcale się jej nie podobały.

— A ty nie masz nic przeciwko temu? — zapytała. — Nie masz nic przeciwko temu, że ktoś śpi w twoim łóżku?

— Widzisz, moja piękna dziewczynko, w tym domu nikt nie traktuje rzeczy jak swoją własność. Nie ma tylko twoich czy moich rzeczy. Nie wierzymy w posiadanie czegokolwiek na własność. Łóżko, w którym śpię ja i Ken, należy do wszystkich. A teraz twoja mama potrzebuje go bardziej niż ja.

Melody zastanawiała się nad tym przez chwilę. Z tego, co wiedziała, łóżko w pokoju na strychu było bardzo wygodne. Dobrze pamiętała, jak mama wielokrotnie zachwycała się tym wygodnym łóżkiem. Dlaczego więc musiała je zmienić?

— Czy łóżko Kena jest bardzo wygodne? — zapytała w końcu.

Na twarzy Grace zagościł jeden z tych dziwnych dorosłych uśmiechów, trudny do zinterpretowania i dlatego tak bardzo niepokojący.

— Tak — odpowiedziała — jest wygodne. Bardzo stabilne.

— I dlatego mama woli tam spać?

— Jestem pewna, że to jeden z powodów.

Melody zamilkła na chwilę. Jeśli były jeszcze „inne” powody, dla których mama znalazła się w łóżku Kena, to chciała je znać.

— A dlaczego jeszcze?

— Mówiłam ci już — odpowiedziała Grace — mama czuje się zagubiona. A Ken chce ją... pocieszyć.

Melody wzdrygnęła się. Słowo „pocieszyć” nabrało nagle tych wszystkich mglistych podtekstów i niedomówień.

— Dlaczego Laura też chce spać z Kenem? — zapytała. — Czy ona też potrzebuje pocieszenia?

Grace znów uśmiechnęła się w ten szczególny sposób, ale tym razem uśmiech tylko rozzłościł Melody. Może miała zaledwie sześć lat, ale naprawdę nie była głupia.

— Tak — odparła Grace — czasami tak. Czasami Laura czuje się samotna i wtedy przychodzi do naszego pokoju.

— Hmm. — Melody wzięła z kuchennego stołu jeden z gryzaczków Seta i ścisnęła go w dłoni. Było coś pocieszającego w dotykaniu dziecięcej zabawki, coś uspokajającego w łagodnym ruchu pływających koralików w środku.

— Co to jest tryper?

— Co?

— Jedna dziewczynka w szkole tak mi powiedziała.

— Dziewczynka w szkole? Co to za dziewczynka?

— Penny. Jest od nas o rok starsza. Ma prawie siedem lat. Czy to choroba?

— Tryper? Tak. Ale tylko dorośli mogą się nią zarazić.

Melody kiwnęła głową i przełożyła gryzaka do drugiej

ręki. Chciała powiedzieć Grace, że Penny powiedziała, że dzieci mogą się tym od niej zarazić, ale coś jej podpowiadało, że wpakowała-by się w jeszcze większe kłopoty.

— Co się dzieje, kiedy dostaje się tryper?

— No wiele różnych... rzeźączkowatych rzeczy. Ale głównie wokół siusi.

— Siusi?

— Tak. Pochwy. I penisa. I kobiety zarażają się tym od ...mężczyzn, a mężczyźni od kobiet. Ale tylko dorośli.

— Dorośli, którzy dzielą łóżka?

— Tak. Ci dorośli, którzy dzielą łóżka.

— Więc mama może zarazić się od Kena?

Grace zaśmiała się i zdjęła Seta z kolana.

— Nie — odpowiedziała. — To niemożliwe. W ogóle bym się o to nie martwiła. Ale naprawdę, jestem w szoku, że sześćioletnia dziewczynka opowiada o takich rzeczach w szkole.

— Ona ma prawie siedem lat. Jest najstarsza w klasie.

— Ale mimo wszystko. Powiedziałaś nauczycielce?

Melody potrząsnęła głową i podała gryzak stojącemu przy jej nogach i wpatrującemu się w nią wyczekująco Sethowi.

— Następnym razem, kiedy ta dziewczyna przyjdzie do ciebie i zaczniesz ci opowiadać o takich rzeczach, po prostu odejdz. Odejdz natychmiast. I zaraz mi o tym powiedz. Bo to nie jest w porządku. To wcale nie jest w porządku. Nie ma innego miejsca na świecie, gdzie byłabyś bardziej bezpieczna i bardziej kochana niż ten dom i każdy, kto mówi co innego, po prostu opowiada bzdury, ok?

Melody uśmiechnęła się i pokiwała głową.

— Tutaj dzieją się dobre rzeczy — ciągnęła Grace — szczęśliwe rzeczy. Jest jak w niebie. A teraz chodź tu do mnie się przytulić, kochana, słodka istotko.

Melody poddała się długiemu i mocnemu uściskowi Grace. Doceeniła ten gest, ale w skrytości ducha pragnęła ponad wszystko, by zamiast kościstej klatki piersiowej Grace i jej naleśnikowatego biustu poczuć ciepło i bezpieczeństwo na twarzy przyciśniętej do miękkich sterzących piersi Jane Ribblesdale.

TLR

ROZDZIAŁ 27

Teraz

BIBLIOTEKA BROADSTAIRS znajdowała się w ohydny budynku z czerwonej cegły. Melody znalazła dział z lokalną historią i zaczęła losowo kartkować mroczne księgi o tytułach takich jak *Broadstairs* i *St Peters podczas pierwszej wojny światowej 1914-1918*. Po chwili dotarło do niej, że takie poszukiwania nie miały żadnego sensu. Szukała przecież informacji na temat sątu z późnych lat osiemdziesiątych, a nie o połowach ryb w zatoce Viking w XVIII wieku. Wzrok Melody przykuła schludna drobna kobieta w średnim wieku, w szarych spodniach i golfie. Wokół szyi miała łańcuszek z okularami i przeglądała książkę o okolicy.

— Przepraszam panią — odezwała się Melody — czy pani mieszka w Broadstairs?

— Tak — opowiedziała kobieta.

— Och, to dobrze, tak się właśnie zastanawiałam, czy będzie pani w stanie mi pomóc. Mieszkałam tu przez krótki okres, kiedy byłam mała. Na Chandos Square, tutaj niedaleko. Czy pamięta pani coś o Chandos Square sprzed trzydziestu lat?

— To zależy...

— Dom, w którym mieszkałam, teraz to pensjonat, nazywany Dom na Placu. Taki bardzo elegancki, kojarzy pani?

— O tak, pamiętam ten dom dokładnie. — Kobieta stłumiła śmiech i zamknęła książkę. — Ten dom był zmorą wszystkich mieszkańców.

— No właśnie, to był squat, prawda?

Kobieta pochyliła się konspiracyjnie.

— To zaledwie połowa prawdy — oznajmiła.

Melody wstrzymała oddech, szykując się na nieznane fakty.

— Był tam taki jeden mężczyzna, taki hippis, i on zarządzał całym domem...

— Jak miał na imię?

— Ken — odpowiedziała natychmiast. — Ken Stone.

Melody gwałtownie wciągnęła powietrze. Kolejny jasny kawałek układanki z chaotycznego wrażenia zmienił się w fakt.

— Ten Ken był kimś w rodzaju... — kontynuowała kobieta — jak ich nazywają, kimś w rodzaju politycznego aktywisty, taki, co wiecznie udziela się na wiecach, ale nic nie zmienia, wie pani, co to za typ. Był też orędownikiem tak zwanej „wolnej miłości”. Na modę z lat siedemdziesiątych. Pisał te wszystkie zwariowane pamflety o uwolnieniu umysłu, o zrzuceniu kajdan konformizmu. Te wszystkie bzdury. Mnóstwo gadania, zero działania, no, chyba że chodziło o kobiety... A czy ten cały Ken — zapytała kobieta, zdejmując okulary i odkładając je na kolana — miał z panią cokolwiek wspólnego?

— Mieszkałam tam jako dziecko i był moim przyjacielem.

— Ale nie jest pani z nim spokrewniona?

— Nie, nie, jestem pewna, że nie. — Melody zaśmiała się szorstko, uświadamiając sobie nagle, że wcale nie mogła mieć takiej pewności.

— W każdym razie on miał żonę, przynajmniej ona nazywała siebie jego żoną, chociaż nie potrafię sobie wyobrazić, że pokusili się na coś tak konwencjonalnego jak ślub. Była to przedziwna osoba, zawsze wyglądała mi na jeden z tych posążków w stylu art deco, taka musku-

larna, pozawijana w te wszystkie chusty i bransolety. Mieli razem małego chłopca...

— Kiedy?

— Boże, nie wiem kiedy. Przypuszczam, że mniej więcej, kiedy urodziło się nasze najmłodsze dziecko, jakieś trzydzieści lat temu.

Dziecko na podłodze ssące plastikową łyżeczkę.

— W każdym razie w tym domu zawsze kręciło się mnóstwo ludzi, przychodzili i odchodzili, a w mieście mówiło się, że organizowali sobie tam masowe orgie, jak spotkania dzieci kwiatów.

Melody pomyślała o Laurze, którą przypomniała sobie tego ranka. Czy ta kobieta także należała do tej dziwnej orgiastycznej komuny? Uderzyła ją też inna, wydawało się jak najbardziej naturalna myśl: czy mogła zostać wykorzystana w tym podejrzanym domu? Czy to możliwe, że Ken Stone skrzywdził ją w jakiś sposób, że doświadczyła ciemnych i niewyobrażalnych zachowań, wskutek których straciła pamięć? Czy mogła być wykorzystywana, nie jak sugerował Ed, przez ojca, ale przez tego obcego człowieka, którego ledwie pamiętała? Nagle jej głowę wypełniły dziesiątki okropnych scenariuszy: została porwana z bezpiecznego domu w Canterbury przez kobietę o imieniu Jane, przetrzymywano ją w domu na placu i wykorzystywano w najgorszy sposób. Być może ten sam scenariusz powtórzył się w domu w Fitzrovia. Może została oddana mężczyźnie o miłej twarzy przez kobietę o imieniu Jacqui. Może było jeszcze więcej domów, więcej historii, może trafiała z miejsca na miejsce, może, choć wydawało się to nieprawdopodobne, ale czytała o takich rzeczach w gazetach, wszystkim dyrygowali rodzice? To tłumaczyłoby jej nienormalnie ambiwalentny stosunek do nich, dziury w jej historii. Szybko jednak zdusiła te myśli. To się nie wydarzyło. Po prostu nie. Nie pamiętała za wiele, ale wiedziała, że Ken był dobry i mężczyzna w Fitzrovia też był dobry, i pamiętała również, ponad wszystko inne, że bez względu na to, jak bardzo napięte stosunki

łączyły ją z rodzicami, oboje głęboko i szczerze się o nią troszczyli. Za drzwiami domów na Chandos Square i Goodge Place kryła się zupełnie inna historia i Melody nie miała najmniejszych wątpliwości, że ta mała zadbana kobieta w balerinkach z Marksa & Spencera i z nadmorskim akcentem miała właśnie przewrócić kartkę następnego rozdziału.

TLR

ROZDZIAŁ 28

1979

ZIMNY STYCZNIOWY ranek, oddech Melody kłębił się w lodowatych chmurach dookoła jej twarzy.

Obrotowe drzwi, góra walizek, nieogolony taksówkarz w szarej sportowej bluzie, pali papierosa i zatrząskuje bagażnik samochodu.

Charlotte w długim brązowym futrze i czerwonej czapce z pomporem, narzekająca na zimno.

Tata, smutny i zmęczony, wyciąga ze sfatygowanego portfela dziesięciofuntowy banknot.

Emily, cała w bieli, w zaciąganym na zamek śpiworku, sztywna i wyprostowana w ramionach Jacqui.

Nagła fala gorąca uderzająca z lotniczego terminalu za obrotowymi drzwiami.

Ramię taty dookoła jej ramion, huk zapowiedzi odlotów, wirujący rozgardiasz tysięcy ludzi.

Melody po raz pierwszy w życiu jest na lotnisku.

Ale nigdzie się nie wybiera.

Gdy Melody miała sześć lat i kilka miesięcy, tato, Jacqui, Charlotte i Emily przeprowadzili się do Hollywood.

Jacqui podpisała kontrakt z dużym studiem filmowym i miała robić makijaże w trzech produkcjach kręconych w ciągu kolejnego roku. Miała zarobić tyle, ile tato zarobiłby w ciągu dekady, więc bez chwili wahania zabrano Charlotte ze szkoły, tato wystąpił o urlop, dom w Fitzrovia został wynajęty i natychmiast podjęto decyzję o emigracji.

— Przyjedziesz do nas na Wielkanoc. A potem my przyjedziemy na dwa tygodnie w lipcu. Jeśli spojrzysz na to z szerszej perspektywy, rok to nie jest aż tak długo.

Melody skinęła głową, z całego serca pragnęła w to uwierzyć, ale instynktownie przeczuwała, że rok, szczególnie dla dziecka, to był bardzo, bardzo długi czas.

Na monitorze ukazała się wiadomość o odprawie i nagle okazało się, że przyszedł czas na pospieszne pożegnanie, ale Melody czuła, że dla niej było to o wiele za wcześnie.

Pocałowała wyperfumowany policzek Jacqui, potem przytuliła Charlotte, która odpowiedziała na tyle mocnym uściskiem, że można by podejrzewać, iż właściwie było jej przykro. Potem zarzuciła ramiona wokół szyi taty i pozwoliła ukołysać się przez chwilę, a na koniec zwróciła się w stronę Emily.

Siostrzyczka miała cztery miesiące. Jej główkę otaczała ładna czupryna złocistobrazowych włosów, a oczy zaczynały nabierać orzechowego odcienia. Była poważnym, spokojnym dzieckiem, które lubiło przyglądać się ludziom i wpatrywać się w obrazki w książkach. „Nie mam pojęcia, skąd wzięło się to dziecko” mawiała Jacqui. „Taka cicha, taka spokojna. W niczym do mnie niepodobna”.

Melody nie rozumiała, dlaczego Jacqui oczekiwała, by Emily była do niej podobna. Zupełnie jakby zapomniała, że tato Melody również przyczynił się do istnienia dziewczynki, jakby uważała, że prawo do stemplowania wszystkiego, czego się dotknęła, miały jedynie jej lepsze i potężniejsze geny. A Melody nie miała wątpliwości, skąd wzięła się Emily. Przybyła od niej. Zostały ulepione z tej samej gliny, z tych samych składników, jak dwa identyczne ciastka.

Melody zrobiła wszystko, co tylko możliwe, by wryć się w pamięć siostry. Pocierała nosem o jej mały nosek, łaskotała ją swoimi włosami, dmuchała i całowała jej brzusek i niemal bez przerwy ją przytulała.

Tato uważał te zachowania za słodkie. „Popatrz tylko — mawiał. — To mini- mamusia”.

Ale Jacqui uważała wprost przeciwnie.

„Za gwałtownie! Bądź delikatna! Nie trącaj jej! Nie dotykaj jej! Zostaw ją! Zostaw ją!”

Melody niemal nieustannie słyszała ten refren przez pierwsze kilka miesięcy życia Emily za każdym razem, gdy próbowała, w nieco za bardzo entuzjastyczny i dziecinny sposób, poznać siostrzyczkę. Widziała strach w oczach Jacqui, szczególnie w pierwszych dniach. Jacqui patrzyła na nią tak, jakby była wilkiem z wyszczerzonymi kłami i ciekająca śliną, czyhającym tylko na to, by zedrzeć mięso z kości jej dziecka. Melody niemalże wyczuwała wstręt, jaki Jacqui miała w stosunku do niej, słyszała go w używanym przez nią słownictwie.

„Zabieraj te swoje wielkie nogi z jej łóżeczka”.

„Trzymaj swoje brudne ręce z daleka od jej buzi”.

„Melody, czuć od ciebie czosnek. Mała tego nie lubi”.

Za to Charlotte przejawiała mało zainteresowania dzieckiem, poza okazjonalnymi sytuacjami, takimi jak wybór ubranek czy popisywanie się siostrą przed odwiedzającymi ją po szkole koleżankami lub marudzeniem, że mała płakała całą noc. Kiedy Melody przebywała w domu Jacqui, miała Emily tylko dla siebie. I tak lubiła najbardziej. Nie chciała się nią dzielić. Nie lubiła nawet, kiedy Jacqui dotykała Emily, chociaż nigdy nie dała tego po sobie poznać, na wypadek gdyby kobieta się zezłościła i nie pozwoliłaby jej przyjeżdżać do siostry.

Gdy tato powiedział jej o wyjeździe, Melody natychmiast pomyślała: „Emily! A co z Emily?” Dopiero po sekundzie czy dwóch uświadomiła sobie, że traciła również i jego, a po dłuższej chwili dotarło do niej, że nie zostanie jej już nic innego poza Broadstairs i matką.

Melody rzuciła się do przodu i zanurzyła twarz w szyjce Emily.

— Pa, pa, Milly — powiedziała. — Kocham cię, moja najdroższa Milly.

Melody starała się ze wszystkich sił powstrzymać łzy, ale nie dała rady, gdy poczuła zapach dziecinnego oddechu i delikatny dotyk rączek na swojej skórze. Jej ramiona zaczęły się trząść, broda zadrżała i właśnie tam, na środku lotniska, przed tysiącem obcych ludzi, Melody zaczęła płakać.

Płakała, gdy odwrócili się w kierunku kolejki do odprawy celnej, pchając przed sobą wózki z bagażami, płakała w drodze powrotnej do taksówki i nieogolonego taksówkarza i płakała całą drogę na dworzec kolejowy wtulona w tylne siedzenie. Ciche i ciężkie łzy wypływały z każdego zakamarka jej ciała.

Na dworcu czekała na nią mama, ale nawet nieoczekiwany widok jej wymuszonego uśmiechu i torebka czekoladowych orzeszków nie wystarczyły, by uśmierzyć ból Melody. Za każdym razem, gdy zamykała oczy, widziała tył głowy Emily, widziała, jak jej śliczna, złocista głowa kiwała się na wszystkie strony, małe ciało zapięte w ciepłutki biały śpiworek, wchłonięta przez swoją rodzinę, widziała, jak oddala się od niej. I za każdym razem, gdy Melody spoglądała na ziemistą, udreżoną twarz mamy, czuła się coraz bardziej samotna w tym dziwnym i nieprzewidywalnym świecie.

ROZDZIAŁ 29

1979

MAMA MELODY gwizdała.

Melody przerwała swoje zajęcie w kuchni i spojrzała na nią.

Mama zamiatała podłogę i gwizdała.

Gwizdała pierwszy raz od dwóch lat.

— Mamusiu? Dobrze się czujesz?

Mama podniosła wzrok i uśmiechnęła się.

— Tak, nic mi nie jest.

— No to dlaczego gwizdzesz?

— Naprawdę?

— Tak. Gwizdałaś hymn.

— Och — odpowiedziała beztrosko. — Nawet nie zauważyłam.

Gwizdanie nie było jedynym dziwnym zachowaniem mamy w ostatnich dniach. We wtorek pomalowała usta. A wczoraj upiekła ciasto. Melody nie miała wątpliwości, że mama czuła się szczęśliwsza, i doszła do wniosku, że jedynym możliwym wytłumaczeniem był fakt, że tata, Jacqui i Emily przestali być częścią ich życia.

Od ich wyjazdu minęło dwadzieścia jeden dni i od dwudziestu jeden dni Melody czuła się skończona. Uważała, że było to bardzo nie w porządku, że coś, co sprawiło jej tyle smutku, równocześnie uszczęśliwiło mamę do tego stopnia, że chciała gwizdać i piec. W końcu jednak mama tańcząca z miotłą, jej beztroska i blask włosów pokonały w Melody poczucie niesprawiedliwości i sprawiły, że dziewczynka zastygła

w niecierpliwym wyczekiwaniu. Nagle zachowania, które przez ostatnie trzy lata wydawały się niemożliwe, wypełzły z najciemniejszych zakątków jej wyobraźni i ujrzały światło dzienne:

Wymyślanie bajek na dobranoc.

Huśtanie się obok siebie, wyścigi, która pierwsza dosięgnie nieba.

Miseczki pełne przeróżnych ciasteczek.

Kołysanie w ramionach.

Przytulanki.

Całusy.

Rozmowy.

— Mamusiu, pójdziemy do sklepu z włóczkami? — zapytała, wykorzystując dogodny moment.

— Oczywiście — zaszcebiotała mama. — Poczekaj, tylko to skończę. Pójdziemy gdzieś na obiad, a potem do cukierni na drożdżówkę, jeśli tylko chcesz?

Melody wstrzymała oddech i pokiwała głową. Przez moment zamiana siostry na właściwą mamę wydawała się całkiem dobrym interesem.

W sklepie z włóczkami wybrała kłębek niebieskiej angory z wyprzedaży za 20 pensów i duży motek białej wełny za 48 pensów. Grace uczyła ją robić na drutach. Było to bardzo trudne i nie szło jej jeszcze najlepiej, ale bardzo chciała zrobić szalik dla swojej lalki Baby Blue Eyes (charytatywnie ofiarowanej przez Charlotte podczas jednego z jej okazjonalnych, niepokojąco przyjemnych humorów) i kapelusz dla króliczka, który towarzyszył jej od urodzenia. Melody przebierała zawartość dużych pojemników i przysłuchiwała się mamie paplającej ze sprzedawczynią. Pomyślała sobie, że minęło bardzo dużo czasu, odkąd

mama tak swobodnie i serdecznie rozmawiała z nieznajomą i że jej szczęśliwy głos brzmiał zupełnie inaczej.

Do tej pory otwieranie portmonetki było niezwykle bolesnym doświadczeniem, okraszonym licznymi cmoknięciami, jękami i pełnymi bólu minami, więc Melody z niedowierzaniem patrzyła na mamę, która podawała sprzedawczyni jednofuntowy banknot, nie spojrzawszy nawet w jego stronę.

Melody przytuliła papierową torebkę z wełną do klatki piersiowej.

— No dobrze — odezwała się mama — ja to wezmę. — Delikatnie wyjęła pakunek z rączek Melody i zanim wrzuciła ją do swojej torby na ramię, uśmiechnęła się serdecznie. — Chodź — powiedziała, łapiąc zaskoczona, niespodziewającą się rączkę Melody. — Idziemy na drożdżówkę z lukrem.

Melody przepęniało poczucie dumy i nadziei, gdy trzymając mamę za rękę, przemierzały chłodne, zatłoczone ulice Broadstairs w sobotnie popołudnie.

W kawiarni rozmawiały o szkole, cioci Susie, fryzurach i o wszystkim innym, co tylko Melody zdołała wymyślić i co nie zepsułoby tej odrodzonej pogody ducha mamy.

— Wiesz — powiedziała mama, skrobiąc z talerza opuszką palca resztkę śnieżnego lukru — jesteś bardzo grzeczną dziewczynką. Naprawdę kochaną. Wiesz o tym, prawda?

Melody wzruszyła ramionami.

— Wiem, że nie mówię ci o tym za często, i wiem, że dużo się wydarzyło przez te ostatnie lata i nie zawsze byłam... obecna. I chociaż czasami mogłoby wydawać się inaczej, ja cię naprawdę kocham i jesteś moim skarbem. Nie przesłabym przez to wszystko, gdyby nie ty.

Melody pozwoliła sobie na uśmiech.

— Ja też cię kocham — powiedziała.

— Ach, ale czy myślisz, że jestem najlepszą mamą na świecie? — Mama uśmiechnęła się z zaciśniętymi ustami, a Melody przełknęła ślinę. Dawno temu, jeszcze w Londynie, gdy mieszkały z tatą i w domu wyprawiano przyjęcia i wszyscy się lubili, tak do siebie mówiły. „Jesteś najlepszą mamą na świecie!” A Jane uśmiechała się wtedy, przytulała ją i szeptała: „A ty jesteś najlepszą córeczką na świecie!”

Melody przyjrzała się mamie. Nie wyglądała już jak tamta mamusia. Nadal trochę grubsza, włosy, chociaż zaczęła je zapuszczać i traciły kwadratowy kształt, nie były już tak ładne, jej twarz zestarzała się, posmutniała, a ona sama nie wybuchała gromkim, spontanicznym śmiechem przy najmniejszej okazji, ale mimo to, pomyślała Melody, była miłą mamą. Nie biła jej ani nie krzyczała na nią i kupiła jej dokładnie taką lalkę Pippa na urodziny, o jaką poprosiła, i zawsze mówiła „przepraszam” przy czesaniu, jeśli szarpnęła za splątane włosy. Ale czy była „najlepszą” mamą? Melody pomyślała o wiecznie ruchliwej Jacqui, o tym, jak śmigała po pokoju Charlotte w amoku sprzątanania, nie zatrzymawszy się nawet na przywitanie, jak biegała rozgorączkowana po domu i zapominała się pożegnać, że zauważała jedynie błędy, rzeczy, które się nie udały, rozlały, złamały, i zdecydowała, że i tak, biorąc pod uwagę wszystko inne, najprawdopodobniej była wciąż najlepszą mamą na świecie.

Ale dopiero teraz.

— Tak — odpowiedziała. — Oczywiście. Najlepszą. Jane uśmiechnęła się, a Melody dostrzegła łzy w jej oczach.

— Dziękuję ci, córeczko, dziękuję.

Spotkały się w uścisku nad stołem, rękawy Jane zanurzyły się w cukiernicze, twarz Melody utonęła w miękkim ramieniu mamy i dziewczynka po raz pierwszy, odkąd skończyła trzy lata, poczuła się bezpiecznie.

ROZDZIAŁ 30

1979

DOBRY HUMOR Jane trwał osiem tygodni. Podczas czwartego tygodnia szczęścia Jane i Melody wsiadły do pociągu do Londynu, następnie przesiadły się do metra i po półgodzinie dotarły do domu cioci Maggie na Ealing. Po raz pierwszy od wyprowadzki z Londynu odwiedzały ciocię Maggie i Melody poczuła się bardzo dziwnie, przebywając w miejscu, które w ogóle się nie zmieniło, podczas gdy cały świat został wywrócony do góry nogami.

Maggie przywitała je w drzwiach ozdobionych ornamentowym witrażem. Wydawało się, że nie wypuszczała ich z objęć przez całe wieki. Pachniała kotami i woskiem i miała za długie włosy. Nicola i Claire przeobraziły się w długonogie nastolatki, rozprawiały o ciuchach, a ściany w ich pokojach pokrywały plakaty z różnymi chłopakami. W samym wnętrzu nic się nie zmieniło, na parapecie wciąż stała ta sama waza z jedwabistymi orchideami, światła na suficie przykrywały te same chińskie papierowe kule, a na stoliku w korytarzu leżał ten sam zielony telefon Trimphone.

— Uplęnęło o wiele za dużo czasu — powiedziała Maggie, prowadząc je przez pokój dzienny na tyły domu, skąd roztaczał się widok na ogród z jabłonkami i drzewami figowymi. — Dwa lata. Dwa lata, Janie!

— Hmm — odpowiedziała Jane, układając płaszcz na oparciu sofy — nawet nie poczułam, że minęło tyle czasu.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Żyłam, no wiesz, jak we mgle.

— A ja nie. Dla mnie to było długie, przykre czekanie. I spójrzmy na ciebie! — Chwyliła kolano Melody swoimi kościstymi dłońmi. — Taka duża, taka śliczna, taka dojrzała. Co się stało z tymi pulchnymi policzkami?

Melody nie wiedziała, co stało się z pulchnymi policzkami. Przede wszystkim nie była świadoma, że kiedykolwiek je miała.

— Nie wiem — uśmiechnęła się. Chciała być uprzejma i, z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu, miała nadzieję, że ciocia Maggie pomyśli sobie, że ich życie przypominało szczęśliwe i cudowne show telewizyjne, a nie dziwny i pobrzmiewający echem film z dreszczykiem. — Może odpadły!

Ciocia Melody roześmiała się głośno i wyglądała na ubawioną.

— Pewnie tak. Roztrzaskały się na chodniku. A potem ktoś je pozamiatał i wyrzucił! Ha, ha, ha!

Melody wsłuchiwała się w trochę za głośny śmiech cioci i pomyślała sobie, że ciocia wyglądała na nieco zdenerwowaną.

Claire i Nicola zerkały na nią nieśmiało. Oczy Claire zdobiły kreski z eyelinera, a Nicola miała na sobie bardzo krótką spódniczkę. Melody przeczuwała, że żadna z nich nie zaproponuje, by poszły do góry i pobawiły się lalkami.

— Dziewczynki, a może pójdziecie na trochę do ogrodu? — zapytała Maggie. — Mamy z ciocią Jane tyle rzeczy do obgadania.

Melody podążyła za kuzynkami na ogród, ale stanęła na tyle blisko okna, by słyszeć rozmowę kobiet.

— Powiedziałaś mu? — zapytała Maggie.

— Tak — odparła mama. — Powiedziałam mu wczoraj wieczorem.

— I?

— I jest zachwycony.

— A ty?

— Nigdy nie byłam szczęśliwsza.

— Cieszę się, że jesteś szczęśliwa. Ale mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

— O co ci chodzi?

— No nie wiem. Ten Ken. Kto to jest?

— On jest inny niż wszyscy. Jest wyjątkowy. Potrafi oddziaływać na ludzi.

— Hmm — mruknęła sceptycznie Maggie.

— Ale w dobrym sensie — wyjaśniła pośpiesznie mama. — Nie jest arogancki. Ani okrutny. On jest... on sprawia, że życie staje się prostsze. Żadnych decyzji. Żadnych opcji.

— Chcesz powiedzieć, że on po prostu mówi ci, co masz robić, i ty to robisz?

— Nie! Wprost przeciwnie. On niczego nie oczekuje. Akceptuje mnie. Taką, jaka jestem. Nieważne, że gruba, rozsypana, pełna tej głównianej wściekłości, smutku i... i... bólu. Przyjmuje wszystko. Wchłania. To wspaniały człowiek. Szczerze.

Nastąpiła krótka cisza. Melody wstrzymała oddech.

— Cóż — powiedziała Maggie — muszę uwierzyć ci na słowo. Muszę, bo nigdy się z nim nie spotkam. A Melody? Powiedziałaś już Melody?

— Nie! Ależ skąd. Jeszcze nie.

— Lubi go?

— Uwielbia. Idealizuje go.

— To dobrze — stwierdziła Maggie. — To dobrze.

— A co z tobą? Jak ty sobie radzisz?

— No wiesz, raz lepiej, raz gorzej.

— Widziałaś się z nim? Odwiedziłaś Michaela w więzieniu?

— Nie. Jeszcze nie. Nie jestem gotowa.

— A zrobisz to?

— Nie wiem. To prawdziwy koszmar. Czasami on mi się śni. Że nic takiego się nie wydarzyło, że wszystko jest po staremu. Ale przecież nic nie było tym, czym się wydawało, prawda? Żyliśmy w jednej wielkiej iluzji, Jane, moje idealne życie, idealny mąż, wszystko jedna wielka chora iluzja. Od czasu do czasu dręczą mnie koszmary. Widzę te dziewczyny, te śliczne, małe dziewczynki i...

Melody domyśliła się, że ciocia płacze.

— ...I czuję się taka winna, Janey, jestem okropnie, okropnie chora z poczucia winy. Przecież mam dwie córki i sama myśl o... o...

Melody usłyszała, jak mama wzdycha ze współczuciem.

— Maggie — powiedziała. — Nie wyrzucaj sobie tego. Nie mogłaś nic zrobić.

— A właśnie że tak, Janey, właśnie że tak. Powinnam się więcej nad tym wszystkim zastanawiać, powinnam wypytywać o różne rzeczy: o jego nieobecności, humory, dystans... ale teraz jest już za późno, teraz to już nic nie mogę zrobić. Życie tych biednych dziewczyn jest zrujnowane na zawsze, a ja nie zapomnę o tym do końca życia.

Melody pociągnęła za sukienkę mamy.

— Siusiu — szepnęła.

Mama uśmiechnęła się.

— Pamiętasz, gdzie u cioci jest łazienka?

Melody potrząsnęła głową.

— Zaprowadzę cię — powiedziała Nicola, która weszła za nią do środka.

Melody podążyła za kuzynką na piętro. Na podeście zobaczyła ten sam obraz owłosionej krowy w smaganej wiatrem dolinie, a w łazience to samo lustro w sosnowej ramie, wiszące nad tą samą ciężką umywalką w stylu art deco.

— Nicola — zapytała chwilę później po wyjściu z łazienki — czy mogę zobaczyć coś w twoim pokoju?

Nicola uśmiechnęła się słodko.

— Nie mam już lalek — powiedziała. — Oddaliśmy je do szpitala, dla chorych dzieci.

— Nie chodzi mi o lalki — odpowiedziała Melody. — Chciałabym zobaczyć coś innego.

Tak jak się spodziewała, wciąż tam wisiał między plakatami Davida Bowie i Queen: obrazek z hiszpańską dziewczyną z niebieskimi oczami i czarnymi włosami, w upstrzonej kropkami sukience. Wpatrywała się w milczeniu w obraz i poczuła, jak coś gorącego i zimnego zaczęło się ślizgać wzdłuż jej kręgosłupa.

— Wszystko w porządku? — zapytała Nicola.

— Uhm — kiwnęła głową Melody.

— Lubisz Davida Bowie? — zapytała Nicola.

Melody nie odpowiedziała. Stała nieruchomo, zahipnotyzowana obrazem i zaskoczona swoją reakcją.

— Masz ten obraz od zawsze? — zapytała po chwili.

— Tak — odparła Nicola. — Odkąd byłam dzieckiem. Dlaczego?

Melody westchnęła.

— Nie wiem — odparła. — Po prostu... przypomina mi o czymś.

— Podoba ci się?

Pokiwała głową.

— Tak. I to bardzo. Uwielbiam go.

— No to możesz go sobie wziąć, jeśli chcesz.

— Naprawdę?

— Tak. Mnie już się znudził.

— Ale co powie twoja mama?

— Nic — odparła Nicola. — Mama nie dba o takie rzeczy. Już nie.

Melody usłyszała smutną nutę w głosie Nicoli i przypomniała się jej rozmowa cioci z mamą. Zrozumiała, że tata kuzynek zrobił coś naprawdę strasznego i trafił do więzienia, ale zdecydowała się o to nie pytać.

Nicola wskoczyła na łóżko, stanęła na palcach i sięgnęła obrazek.

— Dlaczego mieszkasz teraz tak daleko? — zapytała.

Melody wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Wolałabym nadal mieszkać w Londynie.

— Może teraz wróćcie — powiedziała Nicola, zdmuchując grubą warstwę kurzu z obrazka i wycierając szybę ręką. — Może twoja mama zmieni zdanie.

Melody pokiwała głową.

— Właśnie, może.

Nicola podała jej obraz.

— Dziękuję ci — Melody nie odrywała wzroku od obrazka. — Jest taki śliczny. Już na zawsze będzie u mnie. I zawsze będzie mi o tobie przypominał.

Nicola uśmiechnęła się i objęła Melody.

— Jesteś taka słodka — powiedziała, przytulając ją — taka słodka.

Melody przytuliła się do kuzynki. Odurzył ją zapach włosów dorastającej dziewczyny i arbuzowego błyszczyka do ust i zadziwił fakt, że po dwóch latach znów dotykała kogoś z krwi i ciała, stabilnego i prawdziwego, należącego do jej rodziny. Nie do udawanej rodziny, jaką stworzyli Ken, Grace i Laura, nie do patchworkowej rodziny Jacqui, taty i Charlotte, ale tej prawdziwej rodziny, którą posiadała, zanim wszystko się zmieniło. Ucisnęła kuzynkę i miała nadzieję, że jej łzy nie zostawią mokrej plamy na ramieniu ślicznego swetra Chelsea Girl.

ROZDZIAŁ 31

1979

NADESZŁA WIELKANOC i w towarzystwie pani o imieniu Janice Melody leciała do Los Angeles. Janice opowiedziała Melody, że jej córeczka Rebecca też miała sześć i pół roku.

— Gdzie ona teraz jest? — zapytała Melody.

— W domu — odparła Janice — z tatą.

Melody uśmiechnęła się i przyciągnęła do siebie koc. Czuła, że chociaż nie siedzi teraz ani w domu, ani na kolanach taty, tylko w niebie, setki kilometrów nad ziemią, znajdowała się dokładnie w połowie drogi między jednym a drugim i to było dobre miejsce.

— Już niedługo będę z moim tatusiem — powiedziała.

— Tak, to prawda — przytaknęła Janice. — Cieszysz się?

Melody pokiwała głową i uśmiechnęła się.

— Naprawdę, naprawdę, naprawdę, naprawdę, naprawdę się cieszę! Nie widziałam się z nim od stycznia.

— Ojej. Trzy miesiące. To bardzo długa rozłąka z tatusiem, prawda?

— I z siostrzyczką — odpowiedziała. — Moją małą siostrzyczką Emily. Potrafi już siedzieć. I bawić się zabawkami.

— Ojej — powtórzyła Janice. — Założę się, że i ona cieszy się na twój przyjazd.

— Mam nadzieję — powiedziała Melody. — Mam taką nadzieję.

W pokoju Charlotte stało łóżko z połączanym baldachimem, podobne do tego, które Melody widziała w królewskich sypialniach w Sandringham zeszłego lata. Z połączanego okapu zwisał kaskadami biały szyfon, udrapowany dookoła łóżka niczym ślubna sukienka. Na podłodze leżał miękki, kosmaty, kremowy dywan, a w kącie stała toaletka ozdobiona w złote esy-floresy i trzyczęściowym lustrem na szczycie. Drzwi na lewo prowadziły do małej łazienki, nazywanej tutaj dziwacznie „ą sjut”, z kabiną prysznicową, bidetem i dwoma umywalkami, których najwyraźniej używała jedynie Charlotte.

— A spójrz na to — powiedziała Charlotte, ciągnąc Melody przez włochaty dywan w kierunku szklanych drzwi w tylnej części pokoju. — Mój własny taras słoneczny!

Na tarasie w kształcie półkola stał tekowy fotel ogrodowy i olbrzymi pomarańczowy parasol. Roztaczał się z niego widok na mały turkusowy basen w tyle ogrodu i lampę, która kliknięciem sygnalizowała obecność każdego, kto stanął obok.

— Nikt nie ma prawa przebywać na moim tarasie. Ty możesz, jeśli powiem, że to ok. No i co myślisz?

Melody rozejrzała się jeszcze raz po wspaniałym apartamencie i wypuściła powietrze. Nigdy dotąd nie miała styczności z takim przepychem, bogactwem i elegancją. Nie był to duży dom, nie w standardach wytyczonych przez otaczające posesje i hacjendy, ale był niezwykle nowoczesny i fascynujący.

— To najpiękniejszy pokój na świecie.

— Dobrze. — Charlotte uśmiechnęła się z satysfakcją i opadła tyłem na swoje duże, podwójne łóżko. — A wiesz, że niektóre przyjaciółki z mojej nowej szkoły mają o wiele ładniejsze pokoje niż ten? Christie ma dwa podwójne łóżka i własny basen. I jeszcze diamentowy

naszyjnik. No, ale jej tato to znany producent, a ona jest jedynaczką, więc wiesz, dostaje więcej rzeczy.

Melody pokiwała w milczeniu głową. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że w okolicy znajdował się jeszcze ładniejszy pokój niż ten. Melody miała spać w czymś, co Jacqui niezyczliwie i nietaktownie nazwała „pokojem służącej”. Było to maleńkie, śnieżnobiałe pomieszczenie obok skrytki, za kuchnią, z małym oknem wychodzącym na podjazd. Ktoś (Melody przez chwilę podejrzewała Jacqui, ale szybko zwątpiła w ten pomysł), spróbował rozweselić wnętrze meksykańskim kocem i wazonem z pomarańczowymi kwiatami z ogrodu, ale nadal jej nowa sypialnia przypominała ponure pudełko tylko nazywane pokojem.

— Gdzie śpi Emily? — zapytała Melody.

— W pokoju dla dzieci.

— Mogę go zobaczyć?

Charlotte spojrzała na nią z konsternacją, zupełnie jakby uważała, że po obejrzeniu ósmego cudu świata, czyli jej pokoju, Melody nie powinna mieć ochoty na oglądanie czegokolwiek innego do końca życia.

— Jak chcesz — odparła — jest obok.

W dużym i przewiewnym pokoju Emily znajdowały się okna w kształcie łuku z okiennicami, które również wychodziły na basen. Nad dużym białym łóżeczkiem wisiała ruchoma karuzela, a ściany zostały ozdobione ogromnymi naklejkami bohaterów bajek Disneya. Melody głęboko wciągnęła oddech, delektując się wonią talku i mydła, pikantną nutą pieluszki i skóry.

Na ścianie, za drzwiami do pokoju Emily, wisiało duże, oprawione zdjęcie wykonane w studio, na którym Charlotte, w kremowej, szydełkowej minispódnicy i warkoczami do pasa, zakończonymi wełnianymi pomponikami, trzymała Emily na kolanach. Charlotte prezentowała się pięknie, świadoma swej urody, Emily zaś, w dopasowanej

kremowej sukience i opasce przytrzymującej jej loki, wyglądała nieco niepewnie.

Melody przełknęła ślinę. Dwie siostry: skończone dzieło. Ktokolwiek popatrzy na to zdjęcie, nie będzie się zastanawiał, gdzie się podziała trzecia dziewczynka. Nikt nie pomyśli, że na zdjęciu brakuje siostrzyczki Emily, z tymi samymi orzechowymi oczami, ostrym podbródkiem, tym samym marzycielskim, głębokim spojrzeniem identycznym duchem. Każdy, kto popatrzy na to zdjęcie, pomyśli jedynie: co za śliczne siostrzyczki, piękności, cudowna rodzinka.

— Kiedy zrobiono wam to zdjęcie? — spytała Melody.

Charlotte spojrzała na zdjęcie, jakby zobaczyła je po raz pierwszy w życiu.

— A, to — powiedziała. — Kilka tygodni temu. To prezent twojego taty na urodziny mamy. Podoba ci się?

Melody pokiwała głową.

— Jest piękne.

— No tak — powiedziała Charlotte — chociaż moje zęby wyglądają ohydnie. Zobacz, jak ten włazi na tego. — Wzdrygnęła się z obrzydzenia. — Okropnie. Więc w przyszłym tygodniu idę do ortodonty. Najprawdopodobniej założą mi aparat. A może nawet wyrwą mi jednego albo i dwa zęby, ale dla ładnego uśmiechu warto się poświęcić...

Melody już nie słuchała. Patrzyła na zdjęcie Charlotte i Emily i zastanawiała się: skoro chodziło zaledwie o kilka tygodni, dlaczego nie poczekali na mnie?

Kolację, na którą Jacqui przygotowała sałatkę z awokado i kurczaka, jedli przy długim marmurowym stole na tarasie przy basenie. Emily siedziała w wysokim, plastikowym krzeselku i żuła kawałek bagietki.

Tato usiadł na czołowym miejscu przy stole, wyglądał swobodnie w rozpiętej lnianej koszuli i krótkich dżinsowych spodniach. Miał dłuższe niż zazwyczaj włosy i zarost na brodzie. Wyglądał na niespokojnego i ciągle się wiercił i Melody zastanawiała się, czy mama miała rację, mówiąc, że to dlatego, że nie chodził do pracy i całymi dniami opiekował się Emily.

Jacqui, w luźnej szyfonowej bluzce i białych rozszerzanych dżinsach, usiadła obok niego. Cykady koncertowały na kwiatowych rabatach, a w tle przyjemnie szumiał ogrodowy zraszacz, rozpylający wodę nad pomarańczowymi drzewami i kaktusami. Charlotte, w pomarszczonej gumkami, muślinowej bluzeczce i dopasowanej cygańskiej spódnicy, kopała w nogi stołu i dziobała widelcem sałatkę.

Melody wpatrywała się w nich w zachwycie. Ta rodzina ze wzgórz Hollywood, opalona, porządna i zagraniczna, wyglądała jak z telewizyjnego programu.

— Jak się miewa twoja mama? — zapytała Jacqui, dolewając wina do kieliszka taty.

— Dobrze — odparła Melody.

— To miło — powiedziała Jacqui. — Już lepiej po tym...?

— Jacqui ma na myśli tamten dzień, kiedy mama zaginęła — odpowiedział tato, widząc konsternację na twarzy Melody.

— Tak — pokiwała głową. — Już nie jest niezrównoważona.

Jacqui i tato wymienili jeden z tych irytujących uśmiechów, na widok których Melody miała ochotę rzucić sztuczkami i krzyknąć: „To nie jest zabawne!”

— Och, to dobrze — powiedziała Jacqui. — Cieszę się. A jak reszta? Jak szkoła?

— Może być — odparła Melody. — Chociaż jest tam taka jedna dziewczyna, ma na imię Penny i mnie nie znosi.

— Och, jestem pewna, że nie jest tak źle...

— Właśnie, że tak. Mówi mi takie okropne rzeczy, o mamie i o Kenie.

— Jakie okropne rzeczy?

— No wiesz, że są obrzydliwi, a ja złapię trypra. Uśmiech na ustach Jacqui zgasł.

— Co?

— Mówią, że ja, mama i Ken robimy różne świństwa i że ja złapię trypra.

Charlotte parsknęła w swoją serwetkę, a Jacqui skarciła ją spojrzeniem.

— Powiedziałaś o tym mamie? — zapytał tata.

— Nie! Oczywiście, że nie!

— Dlaczego nie?

— Bo powiedziałyby o tym w szkole i Penny znienawidziłyby mnie jeszcze bardziej.

— Powiedziałaś o tym komuś?

— Powiedziałam Grace.

— A co ona na to?

— Powiedziała, że to źle tak mówić i że jeśli Penny tak powie jeszcze raz, to mam szybko odejść. I próbowałam tak robić, ale wtedy oni za mną idą i mówią jeszcze więcej takich rzeczy.

— Ale dlaczego mówią takie rzeczy? — zapytał tata. — Nie rozumiem.

Melody wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Bo po prostu mnie nie lubią.

— Och — zachnął się tata — to jakieś głupoty. Oczywiście, że cię lubią. Wszyscy cię lubią.

— Nie, to nieprawda. Tylko dorośli mnie lubią. Wszystkie dzieci mnie nienawidzą. Mówią, że jestem brudna, że śmierdzę i że żyję jak tramp.

Twarz ojca pobladła.

— Ale kochanie, jak, dlaczego oni... w jakim sensie... czy w domu jest coś nie tak? Coś, co sprawia, że nie jesteś szczęśliwa?

Melody ponownie wzruszyła ramionami.

— Nie lubię kiedy Ken ma swoje zebrania.

— Zebrania? — zapytał zatroskanym głosem.

— Tak, kiedy przychodzą ci wszyscy ludzie i rozmawiają o różnych sprawach, mówią bardzo głośno, a potem zaczynają krzyczeć. I nie podoba mi się, kiedy Seth zaczyna płakać w środku nocy...

— Kto to jest Seth? — przerwała Jacqui.

— To mały synek Grace. Dużo płacze. Ale oprócz tego wszystko inne mi się podoba.

Tato milczał przez chwilę, potem oblizał usta.

— Więc mama i Ken, czy oni wciąż są... przyjaciółmi?

Melody kiwnęła głową i przeżuła czosnkowy liść sałaty.

— Tak, i dzielą teraz łóżko, bo Ken chce ją mieć pod ręką.

Jacqui i tato wymienili dziwne spojrzenia.

— Chcesz powiedzieć — zapytał ostrożnie tato — że oni razem śpią?

— Tak. W pokoju Kena. Laura spała w pokoju Kena, ale wypro-
wadziła się i zamieszkała z czarodziejem, a Grace i Seth śpią w moim
pokoju, w łóżku mamy, a Matty wciąż ma swój pokój, bo zagroził, że
jeśli ktokolwiek będzie go próbował ruszyć, to on spakuje swoje ma-
natki i pojedzie w siną dal.

Melody zatrzymała się na chwilę, by złapać oddech, i rozejrzała
się. Jacqui, Charlotte i tato patrzyli na nią w osłupieniu. Dobrze wie-
działa, że powiedziała kilka rzeczy, których nie spodziewali się usły-
szyć. Podejrzewała, że sześciopółletnie dziewczynki raczej nie opo-
wiadają o takich rzeczach przy kolacji, ale ona przez tak długi czas nie
mogła się nimi z nikim podzielić. Teraz zaś przebywała w niebie, mi-
liony kilometrów od domu, nagą skórę ogrzewało ciepłe, zwilżone po-
wietrze o rumiankowym zapachu, jej nowiuteńkie japonki trącały pod-
łogę, a dookoła stołu siedziała urzeczona publiczność. Chciała zrobić
wrażenie na tej błyszczącej rodzinie ze wzgórz Hollywood, pragnęła,
żeby usiedli prosto i zauważyli ją. Więc kontynuowała.

— A Matty powiedział, że Ken jest zły, że jedyne, czego chce od
kobiet, to żeby mu szorowały plecy i rodziły dzieciaki, ale ja wiem, że
to nieprawda, bo on zawsze był dla nas taki dobry i mama nie rodziła
mu dzieci ani nie szorowała go w wannie. Matty jest po prostu smutny,
bo Ken nie jest jego tatą, a on nie może spotykać się ze swoim praw-
dziwym tatą, bo on za dużo pije i raz nawet wybił szybę w pubie, trzy-
mając kogoś za głowę. Myślę, że gdyby Matty dał Kenowi jedną jedy-
ną szansę, to sam by się przekonał, że to dobry człowiek. I gdyby Pen-
ny przyszła do mojego domu, to też by zobaczyła, że wszyscy są mili i
dobrzy i nikt nie robi żadnych świństw. Oprócz tego, że Matty poluje
na szczury harpunem, który sam sobie zrobił.

Przerwała na chwilę i uśmiechnęła się.

— Czasami wraca z zakrwawionymi rękoma — zakończyła.

— No cóż — odezwał się tata — wygląda na to, że prowadzisz bardzo barwne życie.

— Tak — przytaknęła.

— A ta cała Penny ma chyba paskudny charakterek.

— Bo tak jest. Ja też jej nienawidzę.

— Właściwie to powinno ci być jej żal. To raczej smutne, że sześcioletnia dziewczynka...

— Ona ma siedem lat.

— Ok, że siedmioletnia dziewczynka rozmyśla i opowiada o takich rzeczach. Musi pochodzić z bardzo nie zrównoważonego domu.

Melody pokiwała głową w zadumie. Nie była pewna, jak wyglądał nie zrównoważony dom. Pomyślała o krótkim doświadczeniu z nie zrównoważoną mamą, która spędziła noc na plaży, i doszła do wniosku, że faktycznie musiała to być okropna rzecz.

— Spotkaliśmy się z cicią Maggie kilka tygodni temu — zmieniła temat. — Wsiadliśmy do pociągu i pojechaliśmy do jej domu.

— Och — powiedział tata. — Maggie. Co u niej?

— Wyglądała na smutną. Ma koszmary.

— Ojej.

— Ale spędziłyśmy tam naprawdę miły czas i Nicola dała mi swój obraz, a mama była taka szczęśliwa, kiedy wróciłyśmy do domu. Pewnie wkrótce znowu tam pojedziemy. A Nicola mówi, że może znów zamieszkamy w Londynie.

— Chciałabyś tego, prawda?

Melody pokiwała głową.

— Tak, wtedy byłabym bliżej ich i bliżej ciebie i mogłabym spotykać się z Emily codziennie!

Odwróciła się, by uśmiechnąć się do siostry, która próbowała pokroić swój chleb plastikową łyżeczką. Uścisnęła małą rączkę i musnęła ją ustami.

— Czy jutro — powiedziała, czując w sobie odwagę — moglibyśmy pójść tam, gdzie zabrałeś Charlotte i Emily, żeby nam też zrobili takie zdjęcie?

Tato spojrzał na Jacqui.

— O tak, cóż — powiedział — nie jestem pewien, czy się uda. Sporo to kosztowało, poza tym najpierw trzeba zrobić rezerwację.

— Ale — Melody poczuła, jak łzy napływają jej do oczu — to nie fair, że Charlotte ma śliczne zdjęcie z Emily, a ja nie mam żadnego. Ja też jestem jej siostrą.

Tato uśmiechnął się i położył rękę na jej ramieniu.

— Oczywiście — zgodził się. — Masz absolutną rację. Poczekajcie tu chwilkę. Wrócę za sekundę.

Wrócił dwie minuty później, trzymając duży aparat.

— To — powiedział — jest magiczny aparat. A teraz stań przy Emily, o właśnie tak. Dobra, uśmiechnijcie się!

Melody otworzyła usta, wyszczerzyła zęby i uśmiechnęła się tak mocno, jak tylko potrafiła. Rozległo się pyknięcie, potem błysnęła lampa, rozległ się dziwny warkot i coś wyszło z aparatu. Tato to wyciągnął i zaczął tym machać.

— Proszę bardzo — powiedział chwilę później — zaraz zobaczysz.

Wpatrywała się w błyszczący biały papier w jego dłoni, na którym najpierw pojawiły się duchy, które szybko przeistoczyły się w jasny zarys małej dziewczynki i dziecka. Zaczęły się ukazywać detale, jeden po drugim, guziki jej spódnicy, spinka we włosach Emily.

— To my — wysapała Melody.

— Zgadza się — powiedziała tata. — Ten aparat nazywa się polaroid.

Delikatnie wzięła zdjęcie z jego rąk i przyglądała się, jak kolory nabierają intensywności. Wpatrywała się w dwie, prawie identyczne dziewczynki, z pasującymi do siebie nieśmiałymi uśmiechami i ciemnymi oczyma.

— Popatrz, Emily — powiedziała, pokazując zdjęcie siostrzyczce — popatrz. To my. Ty i ja. Popatrz.

Emily spojrzała z zaciekawiona na zdjęcie i pisnęła.

— Czy mogę je zatrzymać? — zapytała Melody.

— Oczywiście, że tak — powiedział tata. — Jest twoje. Na zawsze.

Melody uśmiechnęła się i oparła je o szklanekę stojącą na stole. W skrytości ducha pomyślała sobie, że była to prawdziwie zaczarowana fotografia, sto razy lepsza niż głupi portret wiszący przed drzwiami do pokoju Emily.

Melody nie mogła zasnąć w małym pokoiku w tyle domu. Drogą, przechodzącą obok podjazdu, wciąż mknęły samochody, a w dodatku jakaś głośna cykada usadowiła się tuż pod jej oknem. Mniej więcej po półgodzinie zabrała poduszkę i meksykański koc i wspięła się po ciuchtku schodami na pierwsze piętro. Przeszła na palcach po parkietowym podeście, dotarła do pokoju Emily i otworzyła drzwi.

Emily, z rączkami przy głowie, spała w łóžeczku i cichutko pochrapywała. Melody wpatrywała się w nią przez minutę czy dwie i zanim położyła się na podłodze przy łóžeczku i okryła kocem, uległa pokusie i pogłaskała cudowny policzek.

Z tego miejsca Melody słyszała jedynie łagodny chłopot basenu, stłumione cykanie i przyciszony głos Jacqui i taty, którzy wciąż rozmawiali na tarasie. Zapadała w spokojny sen, gdy nagle rozbudził ją dźwięk jej imienia.

— Melody to tylko dziecko — usłyszała głos ojca. — Ma sześć lat. Nie ma pojęcia o seksie ani o manipulacji.

— Ależ oczywiście, że tak. Może nie wie dokładnie, co to seks, ale potrafi odróżnić dobro od zła.

— Jak możesz tak mówić? — zachnął się tata. — Gdyby faktycznie tak było, nie mielibyśmy tylu przypadków wykorzystywania seksualnego. Wystarczy gładki język...

— Chcesz powiedzieć, że ona jest wykorzystywana seksualnie?

— Nie — powiedział zniecierpliwiony — mówię, że mieszka w domu z ludźmi prowadzącymi bogate życie seksualne i z matką, która przestała się nią właściwie opiekować, odkąd skończyła cztery lata. Chcę powiedzieć, że jest... podatna.

— Hmm... — ustąpiła Jacqui.

— Wyobraź sobie, że to Charlotte — mówił tata. — Albo Emily. Wyobraź sobie, że to jedna z nich mieszka tysiące kilometrów od ciebie, z depresyjnym rodzicem, w domu pełnym hippisów i politycznych aktywistów. Bóg jeden wie, kto jeszcze się tam kręci.

— Oczywiście, że bym się martwiła — przemówiła łagodnie Jacqui. — Ale John, to ty podjąłeś tę decyzję, oddałeś się nam, tej rodzinie. Musisz teraz żyć z konsekwencjami tego wyboru.

— Nie, Jacqui, nie muszę. Melody może przyjechać tutaj. I zamieszkać z nami.

— Jak, John, jak? Czy naprawdę wierzysz, że Jane ją puści? I gdzie miałyby spać? Nie może na zawsze spać w pokoju służącej. Właściwie to chciałabym, żeby służąca się tam wprowadziła.

— Mogłaby dzielić pokój z Charlotte.

— Z Charlotte! Żartujesz sobie! Wyobrażasz sobie, co Charlotte by na to powiedziała?

— No to może z Emily?

— Hmm, może. — Jej ton znów złagodniał. — Ale co ze szkołą? Ledwo starcza na czesne Charlotte. I przykro mi, John, bardzo lubię Melody, naprawdę ją lubię, ale to nie jest moje dziecko. Nie będę rezygnować z czegokolwiek dla moich dzieci, by płacić za edukację twojej córki.

— Więc stać cię, by opłacać służącą, ale nie szkolne wydatki mojej córki? — powiedział John podniesionym głosem.

— Tak — warknęła Jacqui. — Płacę służącej, by wysprzątała mój dom i ugotowała posiłki dla moich dzieci i faceta. Bym nie musiała po piętnastu godzinach na planie wracać do brudnego domu i sprzątać. To nie jest luksus, tylko konieczność.

Nastąpiła krótka cisza, a potem Melody usłyszała jak tata zapala zapalnik i zaciąga się papierosem.

— No to wdepnąłem w gówno, z którego nie mam jak się ruszyć — powiedział cicho. — Bo chcę, żeby moja córka przyjechała tutaj i zamieszkała z nami, ale nie stać mnie na jej utrzymanie. A jeśli wyjadę do Anglii, by się nią zaopiekować, to nie będę z tobą i z Emily.

Jacqui westchnęła.

— Tak to mniej więcej wygląda.

— Kurde. Co za pieprzony burdel.

— Uhm — powiedziała Jacqui. — To twoja bajka.

— Biedna Melody — powiedział. — Moja biedna mała Melody.
— A potem zaczął płakać.

Melody usiadła. Nigdy wcześniej nie słyszała płaczu taty. To był dziwny dźwięk, skojarzył się jej ze skomlącym przy kości psem.

— Tyle przeszła przez ostatnie kilka lat i jest taka dzielna, taki mały dzielny żołnierz, taka słodka, na nic nie narzeka, a przecież w niczym nie zawiniła. To wszystko jest niesprawiedliwe, takie niesprawiedliwe. Dla wszystkich...

— Och, John — Melody usłyszała pocieszenie Jacqui. — Wszystko będzie dobrze. Za osiem miesięcy wrócimy do domu. Jeszcze tylko osiem miesięcy i zajmiemy się Melody. Ona da sobie radę, zobaczysz, da sobie radę.

Melody położyła się na podłodze przy łóżeczku Emily i zamknęła oczy.

Osiem miesięcy, pomyślała, jeszcze tylko osiem miesięcy. A potem będzie mogła zamieszkać z tatusiem.

*

Melody cieszyła się w pełni każdą chwilą przyjemności podczas tych dwóch tygodni w Ameryce. Codziennie jadła lody, nauczyła Emily trzymać kredkę, poszła na mecz koszykówki, dotrzymała Charlotte towarzystwa podczas jej wizyty u ortodonta i grała w piłkę nożną na plaży w Santa Monica z tatą. Ale przede wszystkim spędzała czas z Emily, pomagała jej bawić się zabawkami i próbowała uczyć ją różnych rzeczy.

— Moja mała baby-sitter — mawiała Jacqui, kiedy tylko natknęła się na dwie pochłonięte zabawą dziewczynki. — Co ja bez ciebie zrobię?

Jacqui i tata pozwolili jej spać na podłodze w pokoju Emily i nawet ułożyli tam kilka poduszek, które zastępowały jej łóżko.

Pod koniec dwóch tygodni skóra Melody zbrązowiała, brzuch się zaokrąglił, a w jej torbie leżała piękna cygańska spódnica, identyczna jak ta, którą posiadała Charlotte, pożegnalny prezent od Jacqui.

Pożegnanie na lotnisku nie było aż tak smutne jak to sprzed trzech miesięcy. Melody nie smuciła się tak bardzo, bo wiedziała, że tato przyjedzie do domu na dwa tygodnie latem i że w przyszłym roku zamieszka z nimi w Londynie.

Janice ponownie dotrzymywała jej towarzystwa w drodze do domu.

— Specjalnie wybrałam ten lot, gdy dowiedziałam się, że cię znów zobaczę — powiedziała, uśmiechając się. — W tamtą stronę podróż minęła tak miło. O proszę, zaokrągliłaś się!

— Wiem — powiedziała Melody, klepiąc brzusek. — Jadłam za dużo lodów.

— No to chyba dobrze się bawiłaś, co?

— Było wspaniale. Codziennie bawiłam się z Emily. I niech pani zobaczy — wyjęła cenny polaroid z torby podróżnej — tatuś zrobił nam zdjęcie zaczarowanym aparatem.

— Och, wyglądacie prześlicznie — stwierdziła Janice. — Twoja siostrzyczka jest bardzo do ciebie podobna.

— No właśnie. Jesteśmy takie same. Wyglądamy tak samo i lubimy robić te same rzeczy, chociaż ona ma dopiero sześć miesięcy, a ja sześć lat. I tatuś chce, żebym przyjechała i zamieszkała z nimi w Ame-

ryce, ale Jacqui nie stać na opłacenie mojej szkoły, więc zamieszkać z nimi, kiedy wrócą do Londynu.

— Och, to dobre wieści. A co z twoją mamą? Nie będzie jej przykro?

— Nie — Melody potrząsnęła głową. — Ona nie troszczy się o mnie, właściwie odkąd skończyłam cztery lata. Myślę, że się ucieszy.

— Och, nie, to nie może być prawda.

— Ale naprawdę. Ona kocha mnie i w ogóle. Ale wydaje mi się, że nieszczególnie lubi się mną zajmować. Tak

— Melody pokiwała stanowczo głową — naprawdę się ucieszy.

Janice pokręciła wolno głową z napiętym uśmiechem na ustach i odwróciła się do okna.

Nie odezwała się do Melody słowem przez następne dziesięć minut, a kiedy w końcu się odwróciła, pod jej oczami widniały dwie strużki rozmazanego tuszu.

ROZDZIAŁ 32

1979

WYGLĄDAŁO NA TO, że podczas pobytu Melody w Ameryce w domu nastąpiło totalne przetasowanie. Mama zamieszkała w pokoju Mattyego, który przeprowadził się do pokoju na poddaszu, Grace i Seth wrócili do sypialni Kena, a Kate i Michael, nowi lokatorzy, zajęli wolny pokój.

Melody odkryła te zmiany, gdy po podróży wbiegła po schodach do swego pokoju i w środku zastała Mattyego. Chłopak siedział po turecku na podłodze i przeprowadzał sekcję zwłok żaby za pomocą skalpela i chirurgicznej pęsety.

— Proszę, proszę, czyż to nie Melody Ribblesdale we własnej osobie po podróży za Ocean Atlantycki?

— Co ty tutaj robisz? — zapytała, puszczając na podłogę torbę podróżną.

— Twoja mama dała mi pięć funtów za mój pokój.

— Co?

— Nie chciała już dłużej spać z tym gnojkiem, a potem ci pyzaci idioci wprowadzili się do wolnego pokoju, więc przekupiła mnie piątkiem, żebym jej oddał pokój. Kupiłem za to ten cały sprzęt — pokazał na zestaw błyszczących narzędzi chirurgicznych — więc się opłaciło.

— Ale... dlaczego nie chciała mieszkać ze mną?

Matty wzruszył ramionami.

— Nie zadawałem zbyt wielu pytań. Wziąłem pieniądze i dałem nogę. Sama ją o to zapytaj.

Melody migiem pokonała dwa skrzydła schodów i wbiegła do pokoju dziennego, w którym mama rozmawiała z nową lokatorką, Kate.

— Mamo! Dlaczego oddałaś nasz pokój Matty'emu? I skąd miałaś pięć funtów?

Mama westchnęła i rzuciła kobiecie długie cierpiętnicze spojrzenie.

— Nie „oddałam” naszego pokoju Matty'emu, Melody. Poprosiłam, żebyśmy się zamienili. Tylko na jakiś czas.

— Ale dlaczego?

— Dlatego — westchnęła znów matka — że mam trzydzieści jeden lat i od dwóch lat nie spałam sama. Dlatego, że potrzebuję trochę przestrzeni. Dlatego, że chcę być... sama. Nie bierz tego do siebie, kochanie. To nie ma z tobą nic wspólnego. Poza tym pomyślałam, że ucieszysz się, że będziesz dzieliła pokój z Mattym. Będziecie mogli sobie pobrykać po zgaszeniu świateł.

— Tak, ale ja lubię inne brykanie niż Matty.

— No to w takim razie nie będziecie razem brykać, ale proszę, pozwól mi zachować tę przestrzeń dla siebie. Czy naprawdę proszę o tak wiele? Tylko na krótki czas. Na kilka miesięcy.

Melody wykrzywiła się. Tego było za wiele. To było nie fair. Nie chciała spać w pokoju z Mattym, jego skalpelami i poćwiartowanymi zwierzętami. Ale potem przypomniała sobie, że za kilka miesięcy wraca tata i Jacqui, a ona się do nich przeprowadzi i wtedy mama będzie miała pokój na poddaszu tylko dla siebie i to powinno ją uszczęśliwić, więc zdecydowała się nie narzekać.

Zamiast tego uśmiechnęła się.

— Ok. W porządku — powiedziała i poszła szukać Kena.

*

Ken był jedyną osobą, za którą tęskniła w Ameryce.

Ken był jedyną osobą na całym świecie, oprócz Emily, przy której czuła się ważna i podekscytowana. Gdy patrzyli na nią Jacqui, mama, Charlotte, Matty czy Penny, a nawet tata, miała wrażenie, że widzą jedynie plażę pełną nudnych kamieni, że ich wzrok błądzi w bezkresnej, nie- inspirującej, szarej przestrzeni i nie znajduje niczego, co mogłoby go zatrzymać. Wpatrzone w nią oczy Kena pokazywały, że dostrzegł on coś błyszczącego i fascynującego, coś, czego nie spodziewał się zobaczyć. Wydawało się, że rozmowa z Melody była dla niego najbardziej fascynującym przeżyciem, a widok dziewczynki w drzwiach pracowni najpiękniejszym obrazem.

Znalazła go na balkonie, gdzie delektował się wiosennym słońcem. Miał na sobie wielki kapelusz i obszerny poszarpany, chyba wojskowy płaszcz zapinany na ogromne i błyszczące guziki. Odwrócił się na dźwięk jej kroków, a gdy zobaczył dziewczynkę, rozpląnął się w uśmiechu.

— O mój Boże, wróciłaś! Dzięki Bogu! Tęskniłem za tobą tak bardzo! Nie miałem z kim chodzić na lody ani jeździć na motorze, ani z kim prowadzić interesujących rozmów!

Odłożył książkę, zdjął przeogromny kapelusz i kręcił się z nią w kółko, aż poczuła, że jej głowa zaraz odpadnie i wyleci przez okno.

— Podoba mi się twój płaszcz — powiedziała, dotykając szorstkiej wełny na jego rękawie. — Nowy?

— W rzeczy samej. Kupiłem go na targu za dwadzieścia pięć pensów. Co za okazja! Zobacz, co za jakość!

Melody przejechała dłonią po wełnie i uśmiechnęła się do niego nieśmiało.

— I jak — przechylił głowę — szczęśliwa, że z powrotem w domu? Skinęła bardzo niepewnym i delikatnym ruchem.

— Tęskniłaś za nami?

Znów przytaknęła.

— Za tobą tęskniłam najbardziej.

— No, ma się rozumieć — uśmiechnął się. — Chodź. Jest piękny dzień, nie mam nic do roboty. A najlepszym sposobem na rozprostowanie nóg po długiej podróży jest świeże powietrze. Zapraszam na motorową przejażdżkę.

Wszystkie myśli o pociętych żabach, siostrach za oceanem i matkach, które nie chciały z nią spać, wyleciały z głowy Melody, gdy usadowiona w małej raketowej kapsule obok Kena pędziła wzdłuż wybrzeża. Zdziwił ją fakt, że jeszcze kilka godzin temu spała smacznie w niebie, a teraz, dobudzona, ścigała się z wiatrem na motorze wzdłuż morza.

Po mniej więcej godzinie Ken zawrócił w kierunku Broadstairs i zatrzymał się przed lodziarnią Morelli. Pod oknem siedziała starsza para i z zaciekawieniem obserwowała Kena i Melody ściągających kaski. Melody pomyślała, że twarze starszusków wyglądały dziwnie i kwaśno, zupełnie jak pyski dużych ryb, które zjadły coś niesmacznego. Nie odrywali wzroku od Kena, który składał zamówienie, a potem kobieta powiedziała coś mężczyźnie, oboje cmoknęli i ponownie zwrócili się w ich stronę.

— Dlaczego ci ludzie tak się na nas gapią? — zapytała Melody.

— Jacy ludzie?

— Ci starzy, o, tam.

— Och. Nie zwracaj na nich uwagi. Mają puste głowy i puste dusze.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Niektórzy po prostu się tacy rodzą. Otchłań. Próżnia. Nikogo nie dotykają, nic nie zmieniają, egzystują i umierają.

Melody nie miała pojęcia, co znaczyły słowa „otchłań” i „próżnia”, ale pomyślała, że brzmiały okropnie. Spojrzała na starszą parę, na ściągnięte szare twarze, liche ubrania w czarnych i granatowych odcieniach, ich zakurzone poczucie wyższości, i uśmiechnęła się do nich.

Kobieta natychmiast odwróciła wzrok, ale stary mężczyzna mruknął do niej chytrze. Melody uśmiechnęła się do siebie i skierowała uwagę na mniej depresyjny temat: deser lodowy z bitą śmietaną.

— To co? — Ken zwrócił się do Melody, gdy chwilę później usadowili się przy stoliku. — Dobrze się bawiłaś w Ameryce?

Melody pokiwała główką.

— Było wspaniale — odpowiedziała. — Wszystko było wspaniale.

— Chciałabyś tam teraz być?

Melody zastanowiła się nad tym pytaniem. Z chęcią popływałaby w małym turkusowym basenie i poukładała puzzle w pokoju Emily, posiedziała na kolanach taty i pobawiła się włosami na jego opalonym czole. Ale nie pragnęła być tam na zawsze, nie w głębi serca. To nie był jej dom. Była tam jedynie gościem.

— Nie — odpowiedziała po chwili — cieszę się, że jestem z powrotem w domu. Chociaż nie podoba mi się to, że Matty mieszka w moim pokoju.

— Tak myślałem — powiedział Ken. — Ale to tylko na jakiś czas. Kate i Mike zatrzymali się na kilka tygodni.

— Kim oni są?

— Moimi przyjaciółmi.

— A dlaczego nie mieszkają we własnym domu?

— Bo nie mają własnego domu.

— Więc gdzie mieszkają przez resztę czasu?

— Tak naprawdę to na całym świecie. Właśnie wrócili z Indii na kilka miesięcy, bo zmarła mama Kate, a potem ruszają do Pakistanu.

— Ale dlaczego tam mieszkają, skoro nie są Hindusami?

— Bo niektórzy już tak mają. Rodzą się z tym w sercu, jak z małym groszkiem albo ziarenkiem piasku, które drapie i drapie, i mimo że jest maleńkie, to jest naprawdę uciążliwe i człowiek myśli jedynie o tym, żeby się wyrwać, zobaczyć coś nowego, poczuć coś innego. Niektórzy ludzie lubią podróżować. To karmi ich dusze. A znów inni ludzie, jak ta dwójka tutaj — spojrzał na starą parę przy oknie — niektórzy ludzie lubią po prostu siedzieć, pienić się i wygłaszać opinie na tematy, o których nie mają pojęcia, ale są zbyt leniwi i małostkowi, żeby ruszyć swoje tyłki i znaleźć coś dla siebie.

Melody zastanowiła się nad tym przez chwilę.

— Lubię podróżować — stwierdziła. — Podobała mi się podróż do Ameryki i lubię siedzieć w pociągach i oglądać domy różnych ludzi. I lubię jeździć motorem, i przyglądać się tym wszystkim rzeczom, które mijamy w pędzie.

— Hmm, wcale mnie to nie dziwi, że tak mówisz, Melody. Jesteś bardzo interesującą małą dziewczynką i spodziewam się po tobie samych wspaniałych rzeczy. Założę się, że gdy w roku... 2034 przejdę obok lodziarni Morelli, nie będziesz siedziała przy oknie z nieszczęśliwą miną i robiła kwaśne miny na widok ślicznych dziewczynek.

— A czego się spodziewasz?

— Och, Melody, jak będziesz miała tyle lat co oni, mnie już pewnie nie będzie na tym świecie, ale mam nadzieję, że przemienisz się w

cudowną, pogodną staruszkę, otoczoną szczęśliwymi wnukami. Twoja twarz wypełni się doświadczeniem i radością, nie znajdzie się tam choćby odrobina żalu czy niespełnienia. Taki żal za tym, czego się nie zrobiło, jest gorszy niż jakiegokolwiek błędy, które popełniamy, doświadczając różnych rzeczy. O wiele, wiele gorszy. ..

Melody pokiwała mądrze głową i z lubością przyglądała się swojemu starszemu odbiciu, które Ken właśnie namalował w jej głowie.

— Czy wciąż będę mieszkać w Broadstairs?

— Och, bardzo w to wątpię — odpowiedział Ken. — Nikt nie powinien mieszkać w Broadstairs na zawsze.

— A co z tobą? Ty zostaniesz tu na zawsze, prawda?

Ken zamilkł na chwilę.

— Może tak, może nie. Zostanę, póki będzie tu dla mnie zajęcie. Dopóki ludzie mnie potrzebują. Ale jeśli kiedykolwiek okaże się, że jestem tu niepotrzebny, też ruszę dalej.

— A co z moją mamą? Jak myślisz, co stanie się z moją mamą?

— Hmm — zastanowił się. — Ona przebyła bardzo trudną podróż, ale widać już metę. Myślę, że przed twoją mamą otwiera się nowy, jaśniejszy etap. Naprawdę tak myślę.

Melody uśmiechnęła się do tej optymistycznej wizji i z nowym zapalem zaatakowała swój lodowy puchar.

Wszystko wskazywało na to, że rozsypane elementy z układanki jej życia wreszcie zaczynają do siebie pasować.

ROZDZIAŁ 33

1979

INNE WSPOMNIENIE:

Jane siedzi na łóżku, w dawnym pokoju Matty ego, gruba, ze skrzyżowanymi nogami, włosy zaplecione w warkocz, stopy w chodakach.

Otwarte, okno wychodzące na ulicę, wpuszcza do środka zapach smażonych frytek i śmiech londyńskich turystów.

Gruby motek akwamarynowej wełny przy jej stopach.

Pies biegający po schodach, *klikklikklik* towarzyszy każdemu uderzeniu łapy o drewnianą podłogę.

Poranne słońce maluje przeciwległą ścianę w prążki.

Z pokoju obok dobiega stłumiony dźwięk radia.

Mama, uśmiechnięta, wpatruje się w swój gruby brzuch i wypowiada słowa: „Mamusia będzie miała dzidziusia”.

Melody, głęboko zanurzona w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, jak to możliwe, że mama będzie miała dzidziusia, skoro tatuś mieszka w Ameryce? A potem sama, bez pomocy żadnego dorosłego, uświadamia sobie, że tata nie był tatą dzidziusia w brzuchu mamy. Był nim Ken.

Dziecko Jane miało się urodzić w listopadzie. Jane przytyła w zawrotnym tempie. Przez cały dzień jadła chleb, ser i banany i bardzo często wymiotowała, głośno i obficie. Lato minęło bardzo szybko i we wrześniu, gdy Melody wróciła do szkoły, mama osiągnęła rozmiary kamienicy i znów nosiła kwadratową fryzurę.

Na widok mamy Melody w środowy poranek twarz Penny zrobiła najdziwniejszą rzecz.

Najpierw zamrugały oczy, potem opadła szczeka i uniosły się brwi, nozdrza rozszerzyły się i zadrżały i wyglądało to tak, jakby cała twarz próbowała wyskoczyć z głowy Penny.

— Twoja mama urodzi hippisowskie dziecko! — ogłosiła ze złośliwą satysfakcją na korytarzu przed klasą chwilę później. — Urodzi jego pieprzone dziecko! Chyba zaraz zwymiotuję.

Melody patrzyła na drzwi klasy.

— Nie ignoruj mnie — syknęła Penny. — Mówię do ciebie.

— Ale ja nie chcę z tobą rozmawiać.

— Oczywiście — powiedziała Penny, pochylając się nad nią jak sęp — że nie chcesz rozmawiać. Ja nie śmiałabym otworzyć buzi do kogokolwiek, gdyby mojej mamie dał wycisk jakiś brudny stary hippis.

— On nie jest brudny — powiedziała Melody. — Dlaczego wciąż powtarzasz, że on jest brudny?

— Bo jest. Oni wszyscy są, ci hippisi. Moja mama tak mówi.

— Widać twoja mama nic nie wie o hippisach. A poza tym Ken nie jest hippisem. Jest poktylicznym atywistą.

— Na jedno wychodzi — stwierdziła Penny — na jedno wychodzi. Wszystko to brudasy. Zboczeńcy. Pieprzone obrzydliwe popaprańce. Tylko pomyśl — jej twarz wykrzywiła się w okropnym uśmiechu — będziesz miała małego brudnego hippisa lub hippiskę. Ha, ha, ha... — Roześmiała się tryumfująco i przepchnęła się obok Melody w drodze do klasy.

Melody bez słowa podążyła za resztą dzieci, wpatrywała się w gruby żółty warkocz Penny i ze wszystkich rzeczy na świecie najbar-

dziej pragnęła złapać go i pociągnąć tak mocno, by ohydna głowa Pen-ny stoczyła się z jej ramion na podłogę, a potem poturlała się przez korytarz i wyleciała wprost na zatłoczoną ulicę przed szkołą.

— Jak dasz na imię dziecku? — Melody huśtała się w bambusowym fotelu, który zwisał z sufitu w pokoju gościnnym.

Mama uniosła wzrok znad krzyżówki i uśmiechnęła się nieprzytomnie.

— Och, tak naprawdę nie zastanawiałam się nad tym.

— A na przykład Jonathan?

— To ładne imię.

— A dla dziewczynki może Rowena?

— Hmm...

— Albo Bettina? Lub Matilda?

— O, widzę, że się nad tym zastanawiałaś.

— Tak. Chociaż mam o wiele więcej pomysłów na imiona dla dziewczynek niż dla chłopców. Jakoś łatwiej przychodzą mi do głowy.

— To prawda — zgodziła się mama.

— Dlaczego dałaś mi na imię Melody?

— Ach — twarz mamy na chwilę złagodniała. — Nazwaliśmy cię Melody, ponieważ uważaliśmy, że nazwisko Ribblesdale jest trochę szorstkie i trzeba je było jakoś zmiękczyć. Już mieliśmy cię nazwać Emerald.

— Emerald?

— Tak jak ten zielony kamień, szmaragd.

Melody zamilkła na chwilę i spróbowała wyobrazić sobie drugą wersję siebie, tę, która nigdy nie zaistniała i miała na imię Emerald. Emerald była egzotyczna i fascynująca, miała kruczoczarne włosy i wyniosłą postawę. Taka świnia jak Penny nie śmiałaby zaczepiać Emerald. Emerald miałaby Charlotte w garści. Emerald była wyjątkowa.

— No to może nazwiemy ją Emerald, jeśli to dziewczynka? — zaproponowała.

— Och, nie wiem. Spojrzymy na nią i same się przekonamy. Nie wszystkie dziewczynki mogą nosić imię takie jak Emerald...

Melody zastanowiła się nad słowami mamy przez chwilę. Spojrzała na pękaty brzuch i doszła do wniosku, że bez względu na to, kim było dziecko w środku, to zasługiwało ono na imię Emerald, choćby nawet z początku wyglądało tak, jakby nie mogło „nosić” takiego imienia, a obdarowanie go takim imieniem mogło mu tylko pomóc do niego dojrzeć.

— A co z nazwiskiem dziecka? — zapytała.

Mama przez moment milczała i patrzyła gdzieś przed siebie.

— Hmm — odezwała się po chwili — dobre pytanie. Przypuszczam, że skoro nie jesteśmy z Kenem małżeństwem, dziecko powinno mieć moje nazwisko. Moje panięskie nazwisko. Newsome.

— A jakie jest nazwisko Kena?

— Stone.

Emerald Stone. Idealnie.

— A gdzie będziemy wszyscy spali, kiedy urodzi się dzidzius? Czy ty i dziecko będziecie spali z Kenem? I Grace z Sethem też?

— Och, Melody, ty i twoje pytania, pytania, pytania. Czy ty kiedykolwiek przestaniesz? Nie wiem, co się wydarzy, dobrze? Nie mam pojęcia, co będzie jutro, nie wspominając nawet o przyszłym miesiącu.

— Ale w pokoju Matty ego nie ma miejsca na łóżeczko dla dziecka, więc będziesz musiała spać gdzie indziej i...

— Melody! Na litość boską! Proszę!

— Ale...

— Uch! — Mama rzuciła na stół gazetę i długopis. — Posłuchaj, Melody, nie ma odpowiedzi na wszystkie pytania! Nie wiem, co się stanie! Nic nie wiem! Ledwo co pamiętam własne imię przez połowę cholernego dnia! A teraz proszę, bądź cicho i zostaw mnie w spokoju.

Melody zamknęła buzię, naprawdę mocno, tak by żadne pytania nie mogły się z niej wydostać. A potem pozwoliła, by bambusowy fotel powoli rozbijał ją jak najdalej od mamy

Pod koniec października, gdy Melody miała prawie siedem lat i mama pękała w szwach, Ken zabrał ją na lody.

Dzień miał przedziwny balsamiczny charakter, łagodny wiatr, gdzieś spoza białych plaż i palmowych drzew, omiatał szare i wyludnione miasto. Szli pieszo w serdecznej ciszy, bo motor się zepsuł i naprawiał go mężczyzna o imieniu Pablo. Melody uwielbiała to, że Ken, w odróżnieniu od pozostałych dorosłych, nie uważał, że trzeba było cały czas prowadzić rozmowę. Odzywał się, gdy miał coś interesującego do powiedzenia albo chciał o coś zapytać. A przede wszystkim słuchał Melody.

Ale dzisiaj cisza wydawała się bardziej znacząca, jakby Ken zamilkł z określonego powodu. Bez słowa usiedli przy swoim stoliku i wydawało się, że upłynęło sporo czasu, zanim Ken zadał pytanie.

— Cóż — zaczął — twoja mama jest już prawie gotowa na urodzenie dzidziusia, prawda?

Melody pokiwała głową i skubnęła wafelek.

— Dzidzius jest już bardzo duży, wiesz? Gdyby mama urodziła już teraz, to można by go nawet przytulić.

Melody znów pokiwała głową.

— To śmieszne, kiedy brzuchy mam robią się takie duże i grube, prawda? Wyglądają trochę dziwnie, jak wielkie balony!

Melody zachichotała.

— Czulaś już, jak się rusza dziecko?

Melody spojrzała zdziwiona na Kena, by się przekonać, czy żartował.

— Jak miałam to zrobić?

— O tak — powiedział, przykrywając dłonią brzuch. — Kiedy dzieci są już tak duże jak to w brzuchu mamy, to można poczuć, jak się ruszają w środku.

— Nie — Melody potrząsnęła głową — to nieprawda.

— Ależ tak. Kiedy Seth był w brzuchu Grace, cały czas czułem, jak się rusza. Lubił mnie kopać, a kiedyś nawet zobaczyłem na skórze Grace zarys jego nóżki.

— Nie! — Melody spojrzała na Kena w niemym zachwycie.

— Naprawdę. Więc mama nie dała ci dotknąć brzucha, byś poczuła, jak się rusza dzidzius?

Melody potrząsnęła głową.

— Dzieci najbardziej lubią się ruszać, gdy ich mamusie siedzą spokojnie, więc dzisiaj wieczorem, jak mama będzie odpoczywać i

wszystko ucichnie, zapytaj ją, czy możesz poczuć, jak się rusza dzi-
dziuś.

— Dobra — powiedziała Melody — ale nie sądzę, że mi pozwoli.

— Dlaczego nie?

Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Po prostu nie i już. Może pomyśli, że zrobię mu
krzywdę.

Ken zaśmiał się.

— Nie można zrobić krzywdy dziecku, trzymając rączkę na brzu-
chu!

Znów wzruszyła ramionami.

— Ty to wiesz i ja to wiem, ale mama... zamartwia się z byle po-
wodu, prawda?

Ken uśmiechnął się i pogładził ją po włosach.

— To akurat prawda — powiedział. — Tak właśnie jest.

Tego wieczora mama nie pozwoliła Melody poczuć ruchów dziec-
ka.

— Nie — powiedziała — dziecko śpi. Nie chcę, żebyś je obudziła.

Następnego wieczora również nie zgodziła się na dotknięcie brzu-
cha.

— Nie — powiedziała — dziecko znów śpi. Nic nie poczujesz.

Melody doszła do wniosku, że dziecko lubiło spać wieczorami,
poprosiła więc z samego rana.

Tym razem mama uśmiechnęła się.

— Skąd ta nagła potrzeba, by poczuć, jak się rusza dziecko? — zapytała.

Melody wzruszyła ramionami.

— Nie wiem — odparła. — Po prostu chciałabym.

— Słuchaj, coś ci powiem, ten dzidzius nie jest taką wiercipiętą, jaką ty byłaś. Ty wierciłaś się i kopiałaś prawie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ale ten — poklepała delikatnie ogromny brzuch — ten maluszek leży sobie spokojniutko i kontempluje swój pepek. Ale kiedy poczuje, że kopie, to ci powiem, ok?

Melody uśmiechnęła się i pocałowała brzuch mamy.

— Ok — powiedziała. — A ty — zwróciła się do brzucha — obudź się już!

Mama zaśmiała się wtedy i razem, z zadowolonymi minami, wolniutko podreptały do szkoły.

ROZDZIAŁ 34

1979

DZIDZIUS POJAWIŁ się w domu następnego dnia. Do porodu zostały jeszcze trzy tygodnie, więc nikt nie spodziewał się jeszcze dziecka, ale oto w pokoju leżała dziewczynka, różowa, gruba i zadziwiająco duża jak na noworodka.

W środku dnia w szkole pojawił się Ken. Melody została wywołana w czasie lekcji matematyki i do drzwi odprowadziło ją dwadzieścia osiem zaciekawionych par oczu.

— Jest już z nami! — wołał Ken, podskakując na korytarzu i śmiejąc się od ucha do ucha. — Dzidzius się urodził!

Pędem puścili się w stronę domu, nie zatrzymując się po drodze ani na chwilę i choć dotarli do niego zasapani i bez tchu, pokonali schody do pokoju Jane, przeskakując po dwa stopnie.

Jane siedziała na łóżku w wielgachnej koszuli i piła herbatę. Dziecko, ubrane w różowe śpioszki i dzierganą na drutach czapkę, leżało w nogach łóżka, wpatrywało się w sufit i kopało powietrze grubymi nogami.

— No i co — powiedziała, uśmiechając się półprzytomnie — i co myślicie?

Melody wpatrywała się w dziecko na łóżku i zdziwiła się, że z wyglądu tak bardzo różniło się od Emily, którą zobaczyła po raz pierwszy kilka dni po urodzeniu. Emily, delikatna i krucha, bujała w zaświatach niczym mistyczne stworzenie z bajki. To dziecko miało solidny i ukształtowany wygląd. Spojrzało na Melody, zatrzymało na niej wzrok i uśmiechnęło się, a dziewczynka od razu pomyślała, że coś tu nie pa-

suje. Ale nie odezwała się słowem. Zamiast tego uśmiechnęła się i pogładziła delikatne brązowe włoski dziecka.

— Jest piękna — powiedziała.

— Twoja mama — powiedział Ken, przysiadając na łóżku i głaszcząc stopkę dziecka — jest boginią. A wiesz, dlaczego?

Melody potrząsnęła głową.

— Zaraz po tym, jak odprowadziła cię dzisiaj do szkoły, wyciekły jej wody płodowe i pieszo poszła do szpitala, co jest wyczynem szalonym, ale i spektakularnym. A potem wyskoczyło z niej to niezwykle dziecko, całe pięć kilogramów, a mama wypła herbatkę i wróciła do domu! Nigdy wcześniej o czymś takim nie słyszałem!

Melody spojrzała na dziecko, a potem na mamę. Takich komplementów pod jej adresem nie słyszała już bardzo dawno, nie pamiętała też, kiedy ostatnim razem mama wyglądała tak dumnie i szczęśliwie. Podobało jej się porównanie mamy do bogini, stworzenia godnego uwielbienia i szacunku. Podobała się jej atmosfera panująca w pokoju, rozradowana twarz Kena, mdlący zapach nowego życia, sposób, w jaki nowo narodzone dzieci pojawiały się i na chwilę oczyszczały rzeczywistość z wszelkich plam. Z uśmiechem na twarzy położyła się obok nowej siostry, pocałowała jej policzek i próbowała wypędzić te wszystkie, kotłujące się w jej głowie, niepokojące uczucia w najdalsze zakątki świadomości.

— Nazwiemy ją Emerald? — zapytała bez przekonania, czy to imię pasowało do dużego dziecka o okrągłej twarzy.

Mama uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

— Nie — powiedziała. — Nie Emerald. Ale blisko. Też jak kamień szlachetny. Zgadniesz?

— Eee, Diamond?

— Nie, próbuj dalej.

— Ruby? Sapphire?

— Nie — nazwiemy ją Amber, jak bursztyn. Amber Rose Newsome. Podoba ci się?

Melody ponownie przyjrzała się siostrze i zastanowiła się. Pomyślała, że choć imię nie było aż tak elektryzujące jak Emerald Stone, to bardziej pasowało do dziecka. Kiwnęła głową i ponownie pocałowała pucołowaty policzek.

— Tak. Podoba mi się. Bardzo mi się podoba.

Dziecko odwróciło się na dźwięk jej głosu i wyciągnęło

pulchną rączkę w kierunku policzka Melody i przez chwilę dwie siostry patrzyły sobie głęboko i z namysłem w oczy. Melody podała siostrze palec, a dziecko objęło go piąstką i mocno zacisnęło. Melody wpatrywała się w ten cielesny węzeł zapleciony z ich dłoni i poczuła niezwykle głębokie i mocne pragnienie czegoś trwałego, znaczącego i stabilnego. Zostań ze mną, zaklinała małą dziewczynkę, zostań ze mną. Proszę.

Wtedy jednak Amber zaczęła płakać i Jane przepędziła Melody; Ken został wysłany do kuchni po butelkę mleka, pojawiła się Grace, by udobruchać dziecko, a zaklęcie zostało przerwane. Ale przez tę jedną chwilę Melody poczuła więź z tym małym człowiekiem, więź, która pozostała z nią znacznie dłużej niż sama Amber.

ROZDZIAŁ 35

1979

HISTORIĘ DZIECKA, które zostało skradzione sprzed kiosku na Nelson Place, Melody usłyszała po raz pierwszy dwa dni po narodzinach Amber. Po całym Broadstairs porozklejano plakaty opieczętowane napisem: „Dziesięcioletniowe niemowlę porwane, kiedy mama robiła zakupy”.

Poszukiwane dziecko nazywało się Edward Thomas Mason i zostało skradzione sprzed kiosku, w którym jego mama kupowała gazetę i paczkę kopert. Tego dnia smutna twarz kobiety zerknęła na Melody z każdej pierwszej strony wszystkich gazet. Młoda, zaledwie dziewiętnastoletnia mama przyciskała do piersi niewyraźną fotografię zaginionego dziecka. Obok mąż, osiemnastolatek o ziemistej twarzy, obcięty na pazia i w drucianych okularach. „Wyskoczyłam do kiosku tylko na minutę”, opowiadała na konferencji prasowej w Londynie. „Broadstairs to takie bezpieczne miejsce. Nigdy nie przypuszczałam, że coś takiego mogłoby się wydarzyć”.

Według opisu dziecko było ubrane w białe spodenki, niebieską bluzę i niebieskie buciki, a głowę przykrywała „bardzo charakterystyczna” kremowa wełniana czapeczka, wydziergana na drutach przez babcię ze strony matki. Chłopczyk miał brązowe włosy, niebieskie oczy i ważył około siedmiu kilogramów. Złodziej zabrał tylko dziecko, zostawił duży wózek Silver Cross, całą pościel i drewnianą grzechotkę.

— Ktoś musiał coś widzieć — stwierdził detektyw inspektor Philip Henderson. — Do zdarzenia doszło na ruchliwej ulicy o dziesiątej rano. Dziecko zostało zabrane z wózka, więc widok osoby, najprawdopodobniej w stanie silnego wzburzenia, niosącej małe dziecko przez ulice Broadstairs musiał być dość szczególny. Jeśli ktokolwiek przypomina

sobie takie wydarzenie, mające miejsce w środę przed południem dwudziestego czwartego października, prosimy o pilny kontakt ze Scotland Yardem.

Pod artykułem znajdowało się niewielkie, czarno-białe zdjęcie małego Edwarda, trochę niewyraźne i zamazane. Dziecko miało na głowie dzierganą czapeczkę i wpatrywało się obojętnie w dal.

— Ponoć spał bardzo głęboko. — Kate podała gazetę Grace przez kuchenny stół. — Co za człowiek mógł tak po prostu wyjąć śpiące dziecko z wózka?

Grace spojrzała na zdjęcie i westchnęła.

— Biedne maleństwo. Wyobraź sobie tylko. W jednym momencie śpisz sobie w najlepsze, a za chwilę wita cię twarz jakiegoś obcego człowieka. Okropność, naprawdę okropność.

Mama Melody siedziała w kącie stołu, dzieciątko Amber spało na jej ramieniu, a ona milczącym potakiwaniem wyrażała swoją zgodę.

— W głowie mi się to nie mieści. Pomyśleć, że nie można nawet zostawić dziecka na moment przed sklepem. Dokąd zmierza ten świat?

Trzy kobiety westchnęły i potrzęsnęły głowami, a Melody wpatrywała się w każdą po kolei i zadawała w głowie pytanie: Wy nic nie widzicie? Czy żadna z was nie wie, co tu się dzieje?

Bo Melody wiedziała. Dokładnie wiedziała, co się działo. Amber wcale nie była tą Amber. Była dzieckiem o imieniu Edward. Nie były to jedynie podejrzenia, ale stuprocentowa pewność, bo wczoraj wieczorem, korzystając z chwili nieuwagi mamy, odpięła zatrzaski śpioszków, wepchnęła palec w wilgotną pieluszkę, rozchyliła ją nieznacznie i na własne oczy zobaczyła parę pokrytych skórą czerwonych jąderek i małego penisa.

Potem, zainspirowana detalami podanymi w wiadomościach, przeszukała pokój mamy, gdy ta się kąpała, i w koszu na śmieci pod wczorajszą gazetą i kłębkim starych włosów znalazła małą, dzierganą na drutach czapeczkę i parę niebieskich bucików.

O tym odkryciu nie powiedziała jeszcze nikomu. Na razie żyło ono w jej głowie i jak kula ognia paliło, dręczyło i zżerało jej świadomość. Nigdy wcześniej nie została wtajemniczona w tak niezwykły sekret. Miała wrażenie, że ta sprawa przerasta wszystkie inne wydarzenia z jej życia razem wzięte i pomnożone przez sto. Nie miała pojęcia, co robić. Sekret wydawał się tak potężny, że w każdej chwili mógł wybuchnąć w jej głowie, rozlać się po podłodze i zalać ulice Broadstairs czystą, niepodkolorowaną sensacją. Chciała powiedzieć Kenowi, ale Ken z pewnością byłby bardzo rozczarowany, że Amber nie była tak naprawdę Amber. Chciała powiedzieć tacie, ale on mieszkał teraz w Ameryce, a dzisiaj, podczas lekcji wuefu, przez ułamek sekundy zapragnęła podzielić się sekretem z Penny, by jeszcze raz zobaczyć te dziwne rzeczy, jakie robiła twarz dziewczyny, i mieć satysfakcję, że to ona powiedziała Penny najbardziej szokującą rzecz, jaką usłyszała w życiu.

Melody zdawała sobie sprawę, że nie powinna ekscytować się swoim odkryciem. Czuła się bardzo źle, myśląc o tej biednej matce, bo wiedziała, że między złamanym sercem kobiety a podekscytowaniem dziewczynki stała jedynie Melody i jej sekret. Nie chciała się z nim rozstawać. Nie chciała rozstawać się z dzieckiem i radością, które wniosło do tego dziwnego domu.

Melody nie potrafiła zrozumieć, że nikt inny nie zreflektował się, że coś jest bardzo, ale to bardzo nie w porządku. Nikt nie zauważył, że dziecko potrafi się uśmiechać i trzymać różne przedmioty w ręczce, a także dostrzegać rzeczy w przeciwległym kącie pokoju. Nikt nie zwrócił uwagi na to, że Jane odtrącała wszelkie propozycje pomocy przy zmianie pieluszki czy wieczornej kąpieli. Nikt też nie zastanawiał się

nad faktem, dlaczego Jane urodziła dziecko zupełnie sama w szpitalu dokładnie w dniu porwania małego Edwarda sprzed sklepu.

Myślała już, że przyjdzie jej zmagać się z tym szokującym sekretem w przytłaczającej samotności, aż późnym wieczorem obudził ją szept Matty'ego.

— Co? — zapytała.

— Obudź się — powiedział.

— Nie śpię. Czego chcesz?

— Chodzi o dziecko — szepnął. — Wiem coś o dziecku.

Melody usiadła w łóżku i zapaliła lampkę nocną.

Matty wpatrywał się w nią wybałuszonymi oczami i miał zjeżone włosy na głowie.

— Dziecko twojej mamy! To on! Ten, którego skradziono!

Melody westchnęła. Te słowa należały do niej, sekret należał do niej, do niej należało to obwieszczenie niezwykłych faktów.

— Wiem — powiedziała. — Wiem już od dawna.

Twarz Mattyego wyrażała rozczarowanie.

— Skąd?

Wzruszyła ramionami.

— Miałam takie przeczucie. Więc zajrzałam do jego pieluszki i on miał, no wiesz... to od chłopaka.

Matty wytrzeszczył oczy z osłupienia.

— A potem znalazłam niebieskie buciki i czapkę w koszu na śmieci w pokoju mamy. A ty skąd wiesz?

— Bo usłyszałem, jak mama coś mówiła.

— Co mówiła?

— Rozmawiała z Kate w kuchni, jak twoja mama poszła spać, a ja byłem w toalecie i one nie wiedziały, że słyszę, i ona powiedziała: „Coś jest nie tak z tym dzieckiem. Czy myślisz o tym samym co ja?“, a potem przez przypadek uderzyłem łańcuchem o ścianę i usłyszały mnie, i nic więcej nie powiedziały, ale to dało mi do myślenia, bo tu nic nie pasuje, prawda? Przecież od samego początku dziecko wydawało się za duże jak na noworodka, więc zakradłem się do pokoju twojej mamy z prosiaczkiem Seta, bo pamiętam, że kiedy urodził się Seth, to był dokładnie wielkości prosiaczka, i położyłem prosiaczka obok dziecka w łóżeczku i to dziecko w porównaniu z prosiaczkiem było olbrzymie. I teraz wszystko jasne, prawda? Sprawa czysta jak łza. Twoja mama ukradła dziecko sprzed sklepu, Melody Ribblesdale, a my jesteśmy jedynymi ludźmi na świecie, którzy o tym wiedzą.

Melody przełknęła ślinę i pokiwała głową.

— Ale wiesz, że dorośli za chwilę się pokapują, nie? I zaraz pójda na policję, dziecko zostanie zabrane, a twoja mama wyląduje w więzieniu i Kena też wsadzą za współudział. Za chwilę wszystko się wyda, a ty musisz podjąć szybką decyzję, co chcesz z tym zrobić.

— Zrobić? — Melody poczuła, jak wstrzymuje oddech.

— Tak. Masz dwa wyjścia: uciekać i schować się albo zostać i stawić temu czoło.

— Nie wiem — wyszeptała bez tchu. — Co ty byś zrobił?

— Uciekał. Uciekał w siną dal.

— A co z dzieckiem?

Matty wzruszył ramionami.

— Zostawcie je tutaj — powiedział rzeczowo. — Policja wszystko załatwi. Ale ty i twoja mama powinniście spakować manatki i wynosić się. Natychmiast. Dziś w nocy. Uciekać jak najdalej stąd. Nie pisnę słowa. — Zamknął sobie usta palcem i spojrzał na nią uroczystym wzrokiem.

Serce Melody biło jak szalone. Wielki sekret nie wydawał się już popisowym prezentem, ale gnijącą trucizną. Nie brała pod uwagę możliwości zamknięcia mamy w więzieniu. Skupiła się jedynie na smutku, który zapadnie po odejściu dziecka. Skoro mama i Ken trafią do więzienia, to kto się nią zajmie? Odeślą ją do Ameryki, gdzie zamieszka w klitce ze służącą, nie opłacą jej szkoły i ubiorą w łachmany, jak Kopicuska. A może zamieszkałaby z ciocią Maggie w Londynie, co nawet byłoby ok, tyle że i tam nie mieli dla niej pokoju, więc spałaby na podłodze, a u cioci wcale nie było tak czysto i luksusowo jak w domu w Hollywood. Została jeszcze ciocia Susie, oczywiście, ona miała mnóstwo miejsca, tyle że nic nie wiedziała o dzieciach, albo mogła zostać tutaj, z Grace, Sethem i Mattym, ale pewnie nie pozwoli jej na to, bo to nie była jej rodzina.

Westchnęła ciężko i spojrzała na Matty ego.

— Masz rację. Pójdę ją obudzić.

Mama leżała skulona obok dzidziusia na małym, pojedynczym łóżku. Niewtajemniczony obserwator pomyślałby, że ma przed sobą idealną mamę z ukochanym dzieckiem, pogrążonych w spokojnym śnie, dzielących swoje oddechy. Na dźwięk otwieranych drzwi Jane poderwała się przestraszona.

— Ciiii — wyszeptała nerwowo — nie obudź dziecka!

— Mamusiu — Melody podeszła do łóżka — musimy iść. Musimy natychmiast iść. Wiemy o dziecku. Wszyscy już wiedzą. I jeśli teraz nie pójdziemy, to oni wezwą policję i ty i Ken pójdziecie do więzienia.

— Melody, o czym ty mówisz?

— Wiemy, że dziecko to Edward Mason. Ja wiem. Matty wie. I wiem, że Grace i Kate też się domyślają. Zostaw dziecko i chodź!

— Naprawdę nie mam pojęcia, o czym ty mówisz.

— Wezwą policję! Wsadzą cię do więzienia! — Płakała Melody, ciągnąc mamę za rękę. — Nie rozumiesz? Mamusiu! Nie rozumiesz?

Jane cmoknęła ze złością i wyrwała rękę z uścisku Melody.

— Melody, czy możesz się uspokoić? Mówię poważnie. Obudzisz Amber.

Melody zamilkła i spojrzała na mamę. Mama oszalała. Melody nagle uświadomiła sobie tę bolesną prawdę. Mama nie była nieźrównoważona ani rozchwiana emocjonalnie. Mama naprawdę oszalała, jak ta staruszka, co spacerowała na promenadzie z wypchaną fretką i krynoliną. Przez chwilę milczała i rozważała kolejny ruch. Zdała sobie sprawę, że nawet gdyby przez kolejne półtora godziny powtarzała w kółko: „To dziecko to Edward Mason”, nie miałyby to żadnego wpływu na mamę pogrążoną w stanie kompletnego postradania zmysłów. Westchnęła tylko i pogłaskała mamę po policzku.

— Wszystko ok, mamusiu. Połóż się spać.

Mama spojrzała na córkę, oddychała głęboko, wyraz paniki powoli opuszczał jej twarz.

— Tak — wyszeptała — tak właśnie zrobię. Zobaczymy się rano, kochanie. Idź spać.

Melody obserwowała, jak mama ułożyła głowę na poduszce i podciągnęła kocyk na ramionach dziecka, a potem wycofała się z pokoju.

Na palcach, powolutku, podreptała na poddasze.

Matty siedział sztywno wyprostowany na łóżku.

— No i co? — zapytał przejęty. — Co się dzieje? Uciekacie?

Melody potrząsnęła głową.

— Nie — odpowiedziała smutno. — Ona nie chce iść. Spróbuję jutro.

Matty cmoknął zniecierpliwiony.

— Nie będzie żadnego jutra, nie rozumiesz tego? Jutro jest oficjalnie odwołane z powodu aresztowania twojej mamy i wywiezienia jej cholernym radiowozem!

— Wiem — zachnęła się dziewczynka — ale ona nie chce iść, a ja jej do tego nie zmuszę. Musimy to tak zostawić.

Matty znów cmoknął i potrząsnął głową.

— To twój problem, Melody Ribblesdale, twoje życie. Ale jeszcze tego pożałujesz, jak cię położą na cienkim materacu w sierocińcu, a na obiad dostaniesz jakąś breję. Zobaczysz.

Odwrócił się, a Melody przez chwilę kontemplowała plecy chłopca i myślała o tym, co powiedział. Zatrwożyła ją wizja sierocińca. Ale jeszcze bardziej przerażała ją myśl o zniknięciu w ciemnej, zimnej czełusci nocy z oszalałą mamą, z jedną parą rzeczy do przebrania i pustym portfelem. Melody zamknęła więc oczy i pozwoliła sobie odpłynąć we śnie.

ROZDZIAŁ 36

1979

MELODY OBUDZIŁA się następnego ranka i przez chwilę pragnęła uwierzyć, że wszystko, co się wydarzyło poprzedniej nocy, było jedynie snem. Mama siedziała przy kuchennym stole ze śpiącym dzieckiem na ramieniu, jadła tost z pełnoziarnistego chleba i czytała gazetę. Grace rozlewała do kubków herbatę z ogromnego dzbanka. Seth ujeżdżał na wykafelkowanej podłodze swojego włochatego psa. Kate siedziała na kolanach Michaela i oboje czytali książki z pozaginanymi w narożnikach stronami. A Ken pucował swoje wielkie stare oficerki z pomocą żółtej szmatki i puszki Cherry.

Na pierwszy rzut oka wszystko przypominało najnormalniejszy poranek. Ale w powietrzu wyczuwało się napięcie, swoiste oczekiwanie. Nikt się nie uśmiechał. Nikt się nie ruszał. Jakby wszyscy zamarli w oczekiwaniu na taksówkę.

O godzinie dziesiątej rozległ się dzwonek do drzwi. Dorośli wymienili ze sobą nerwowe spojrzenia, a Ken poszedł otworzyć. Chwilę później do kuchni weszło trzech policjantów, a Ken wskazał na Jane.

— Pani Jane Victoria Ribblesdale? — zapytał jeden z nich.

Jane kiwnęła głową.

— Jest pani aresztowana pod zarzutem uprowadzenia i przetrzymywania Edwarda Jamesa Masona. Ma pani prawo zachować milczenie. Wszystko, co pani powie, może być wykorzystane przeciwko pani. Czy pani mnie rozumie?

Mama pokiwała bez słowa głową i policjantka z białym kocykiem w dłoniach podeszła bliżej.

— Dobrze, pani Ribblesdale — przemówiła łagodnie

— proszę oddać mi dziecko. Może to pani zrobić?

Twarz Jane zaczęła drżeć. Przytuliła dziecko do siebie jeszcze mocniej.

— Ona teraz śpi — odpowiedziała. — Nie możecie zaczekać, aż się obudzi?

— Przykro mi, pani Ribblesdale, ale musimy go teraz zabrać. Jego matka bardzo się niepokoi. Proszę mi go oddać.

Po policzku Jane spłynęła łza. Ujęła dziecko przed siebie i spojrzała na nie. Mała główka opadła żałośnie, dziecko wykrzywiło twarz i próbowało spać dalej.

— Musisz już iść, mój piękny aniołku — zwróciła się do dziecka, a jej głos drżał przy każdym słowie. — Spędziliśmy razem cudowne chwile, ale teraz musisz już odejść.

— Spojrzała na policjantkę. — Potrzebny jej płaszczyk. Na dworze jest zimno.

— W porządku — uprzejmie odpowiedziała policjantka. — Mam tu kocyk. Nic mu nie będzie.

Jane pokiwała bez słowa głową i zanim podała policjantce dziecko, pocałowała je jeszcze raz w policzek.

— Żegnaj, Amber Rose — wyszeptała, a policjantka z dzieckiem opuściła pokój. — Żegnaj, moje śliczne dzieciątko.

Dwóch pozostałych policjantów spojrzało na Jane.

— Musi pani iść z nami na przesłuchanie. Czy przed wyjściem chciałaby pani coś zrobić?

Jane rozejrzała się nieobecny wzrokiem po pokoju, spojrzała na zmartwione twarze przyjaciół i córki i potrząsnęła głową.

— Nie — odpowiedziała. — Możemy już iść?

Wstała i uśmiechnęła się do wszystkich.

— W porządku — powiedziała. — Nic nie szkodzi. Nic nie szkodzi.

Grace podała jej płaszcz i uśmiechnęła się do niej. Wszyscy odprowadzili ją do schodów i do drzwi wejściowych i kiedy już miała wsiadać do policyjnego radiowozu, młodszy z dwóch policjantów zwrócił się do Jane:

— A co z pani córką?

Jane podniosła nieco zdziwiony wzrok i spojrzała wprost na Melody.

— Och, nic jej nie będzie. Dasz tu sobie radę, prawda, kochanie? — uśmiechnęła się blado i pozwoliła, by policjant pomógł jej wsiąść do samochodu.

Melody stała w drzwiach wejściowych, obserwowała odjeżdżający samochód i czekała, aż mama odwróci się i choć raz pomacha. Ale Jane nie zrobiła tego. Uparcie patrzyła przed siebie z łagodnym uśmiechem, nie przejmowała się pozbawioną rodziców córką. Na jej twarzy nie odmalował się ani strach, ani zdenerwowanie, jedynie głęboka ulga.

ROZDZIAŁ 37

Teraz

MELODY MASZEROWAŁA The Mail w kierunku Charing Cross, a o jej dzinsy ocierały się zapakowane w siatkę, szeleszczące, pokserowane kartki. Zadziwiało ją to, że ludzie, których mijiała, szli jakby nigdy nic do domu, na drinka, spieszyli się na pociągi i nie mieli pojęcia, co kryło się w tej niewinnie wyglądającej plastikowej siatce. Podobnie czuła się na początku niewidocznej jeszcze ciąży. Miała świadomość, że nosi w sobie niezwykły sekret, tak wielki, że gdyby wyszedł na jaw, mógłby obrócić świat dookoła osi. W tej siatce niosła dowód, niepodważalny, czarno na białym, że tak naprawdę nazywała się Melody Ribblesdale, że jej mama miała na imię Jane, że jako dziecko mieszkała w squ- acie z mężczyzną o imieniu Ken, a jej cierpiąca na depresję mama ukradła dziecko sprzed kiosku. Faktem było i to, że jej tato miał na imię John i mieszkał w Los Angeles z kobietą o imieniu Jacqui Sonningfeld i drugą córką, Emily. W siatce miała wszystko, każdy detal swojego życia, swojej egzystencji w roku 1979, dwa lata przed pożarem domu w Canterbury, który pochłoniął jej pamięć i uratował przed okrutną prawdą. W jej historii było jeszcze coś, przeczuwała to, bo natknęła się na pewne wzmianki, ale przestała czytać. Czuła, że wchłonęła już wystarczająco dużo, wystarczająco na chwilę obecną, i wszystko inne mogło zaczekać.

Do pustego domu dotarła półtorej godziny później. Odetchnęła z ulgą. Nie chciała widzieć się teraz z synem.

Nie miała ochoty opowiadać, że pochodził z rodziny szaleńców i kryminalistów, ani tłumaczyć czegokolwiek.

Otworzyła korek butelki z białym winem, które stało w lodówce od babskiego wieczoru ze Stacey sprzed wielu tygodni, i nałała sobie spo-

ry kieliszek. Zanurzyła drżące ręce w torebce i wyciągnęła marlboro lights. Wcale nie miała ochoty palić, ale czuła, że musi wykonać jakąś rutynową czynność, by dodać sobie otuchy na przebrnięcie przez kolejne kilka momentów. Nie wzięła papierosa do ust, ale jej świadomość z ulgą przyjęła natychmiastową nikotynową łagodność, rozmazującą zbyt mocną dawkę rzeczywistości.

Rozłożyła wycinki na kuchennym stole i ułożyła je w chronologicznym porządku. Chciała przejść tę drogę od początku do końca. Chciała przeczytać swoją historię właściwie.

TLR

ROZDZIAŁ 38

1979

DZIEŃ PO ARESZTOWANIU Jane, w domu zjawiała się pracownica socjalna o imieniu Beverly, policjantka Cheryl i ciocia Susie, by porozmawiać o przyszłości Melody. Ken również przyłączył się do spotkania.

Melody nałożyła swoją najlepszą cygańską spódnicę, którą podarowała jej Jacqui w Ameryce. Mama nie lubiła, jak ją wkładała, ale odkąd nie było jej w domu, Melody mogła ubierać się w cokolwiek zechciała. Założyła też brązowy prążkowany golf oraz brązowe rajstopy i zawiązywane buciki. Wybrała też naszyjnik mamy z owiniętych włóczką koralików, a usta maznęła błyszcznikiem Green Apple, który dostała od Charlotte. Chciała wyglądać dorośle i elegancko, tak jak rozważna mała dziewczynka, która potrafiła się o siebie zatroszczyć, bardzo więc państwu dziękuję.

Ciocia Susie wyraźnie przeżywała fakt, że przebywa w obcym domu. Miała na sobie żółto-zielony kaftan i zielonkawę sandały, a ufarbowane na blond włosy, spięte na czubku głowy, wyglądały niczym bita śmietana na sałatce owocowej. „Coś okropnego” — powtarzała w kółko, siakając nosem w haftowaną chusteczkę. „Coś okropnego”.

Beverly, pracownica socjalna, o równie korpulentnych kształtach, w brązowej workowatej sukni i grubych prążkowanych rajstopach, wyglądała znacznie poważniej niż Susie. Nosiła okulary w rogowej oprawie i miała kwadratową fryzurę w kolorze jabłek w sosie toffi. Nie uśmiechała się za często i nieustannie rzucała Melody podejrzliwe spojrzenia, jakby uważała, że dziewczynka zaraz popełni jakieś okropne przestępstwo tuż przed jej nosem.

Pracownica nalegała, by spotkanie odbyło się bez udziału Melody, ale Ken się uparł. „To bardzo mądra dziewczynka, niezwykle rozsądna jak na swój wiek. Musi wiedzieć dokładnie, co się dzieje”.

Beverly wydeła usta i nie odezwała się słowem, więc Melody została tam, gdzie siedziała, wciśnięta w taboret od pianina.

— A więc — zaczęła Beverly — skontaktowaliśmy się z ojcem Melody w Los Angeles. Przyleci do Wielkiej Brytanii możliwie jak najwcześniej. Być może nawet dzisiaj, jutro najpóźniej. Do tego czasu, wedle życzenia pani Ribblesdale, dziecko ma znaleźć się pod opieką jej siostry, pani Susan Newsome.

— Nie!

Wszyscy dorośli odwrócili się i spojrzeli na Melody, która przeknęła ślinę.

— Przepraszam — bąknęła.

Ciocia poklepała ją po dłoni.

— Wiem — wysapała — wiem, że to wszystko musi być dla ciebie okropne. Ale nie martw się. Dobrze się tobą zaopiekuję.

Melody czuła się winna, że nie chciała zamieszkać z ciocią, ale naprawdę dostawała gęsiej skórki na samą myśl o tych wszystkich tłustych potrawach, nudnych wieczorach i rozmowach o Jezusie Chrystusie Naszym Panu.

— Ale — Melody przemówiła swoim najbardziej zorganizowanym głosem — martwię się o jedną rzecz. Jeśli mam zamieszkać z ciocią Susie, to kto będzie mnie odprowadzał do szkoły?

Dorośli wymienili spojrzenia, a potem wszyscy utkwili wzrok w cioci Susie.

— Cóż — zaczęła pracownica socjalna — wydaje mi się, że twoja ciocia...

— No tak, ale widzi pani, ciocia nie może maszerować ze względu na swoje biodra.

Ciocia Susie spojrzała na pracownicę przepaszającym wzrokiem.

— To prawda — powiedziała. — Nie jestem zbyt mobilna.

— Ja mogę odprowadzać Melody — odezwał się Ken. — Właściwie to codziennie mogę zabierać ją do szkoły i przywozić ją z powrotem. Mam motor — dodał.

Ciocia Susie zmierzyła go wymownym spojrzeniem.

— Nie jestem pewna, czy tylne siedzenie na motorze to odpowiednie miejsce dla sześciolatki.

— W przyszłym tygodniu będę miała siedem lat — wtrąciła Melody.

— Albo siedmiolatki — kontynuowała ciocia.

— To nie tylne siedzenie. Mam specjalną przyczepkę.

— Och — ciocia jęknęła i głęboko wciągnęła powietrze, dając do zrozumienia, że motorowa przyczepa była uosobieniem zła.

— Zgadzam się z opinią pani Newsome — stwierdziła pracownica socjalna. — Czy mamy inną opcję?

— W takim razie możemy chodzić pieszo. Chociaż marsz z domu pani Newsome do szkoły zajmie jakieś pół godziny.

— Za pozwoleniem, panie Stone, właściwie to kim pan dokładnie jest, jeśli chodzi o pokrewieństwo z nieletnią?

— Jestem j ej, j jestem j ej...

— Jest moim przyjacielem — przerwała Melody. — Moim najlepszym przyjacielem.

— Jestem jej opiekunem — uśmiechnął się Ken, — Opiekowałem się nią podczas choroby jej mamy.

— A ty, Melody, gdzie chciałabyś zostać do przyjazdu taty?

— Tutaj — odpowiedziała uszczęśliwiona, że ktoś wreszcie zwrócił się do niej bezpośrednio. — Chcę zostać tutaj, z Kenem, Grace, Mattym i Sethem.

Pracownica socjalna zamilkła i zanotowała coś w swoim notesie.

— Problem w tym, Melody — odezwała się chwilę później — że zarówno dla twojej mamy, jak i dla wszystkich osób odpowiedzialnych za twoje dobro jest bardzo ważne, byś przebywała teraz z kimś spokrewnionym z tobą najbliżej, jak to możliwe. Doceniam to, że jest ci tu dobrze, że nazywasz to miejsce domem, ale tego rodzaju środowisko, nielegalnie zamieszkiwany budynek, nie może być odpowiednim miejscem dla ciebie pod nieobecność matki. A biorąc pod uwagę, że twoja ciocia pochodzi z tej okolicy oraz dysponuje miejscem dla ciebie w domu, uważam, że w najlepszym interesie nas wszystkich powinnaś pozostać pod jej opieką do powrotu twojego ojca. A teraz proszę, żebyś poszła na górę i spakowała małą torbę, zawieziemy cię do cioci najszybciej, jak to możliwe.

— A co ze szkołą? — zapytała Melody.

— Pan Stone będzie odpowiedzialny za odprowadzanie cię do szkoły i przyprowadzanie z powrotem. To tylko na dzień lub dwa. Do czasu, kiedy wróci twój ojciec. Potem przyjrzymy się sytuacji jeszcze raz. Ok? — Uśmiechnęła się, dając jednocześnie do zrozumienia, że nie zadawała pytań, tylko stwierdzała fakty.

Melody przez moment miała wrażenie, że zalewa ją czerń, że odrywa się od wszystkiego, co tak dobrze знаła.

Ale potem pomyślała o tacie, który być może siedział właśnie w samolocie do Anglii, w drodze do niej. Uśmiechnęła się.

— Ok — powiedziała pogodnie.

— Czy chciałabyś, żeby ktoś pomógł ci się spakować? — zapytała Beverly.

— Nie. — Melody potrząsnęła głową. — Wolę zrobić to sama.

Chwilę później weszła do pokoju, w którym przywitał ją Matty pytającym wzrokiem.

— I co? — zapytał. — Wysyłają cię do sierocińca?

— Nie — odpowiedziała, sięgając do szuflady po dużą, tkaną z grubego płótna torbę mamy i zaczęła wypełniać ją rzeczami, które uznała za niezbędne. — Jadę do mojej cioci Susie.

— Co, do tej wielkiej, grubej kobiety, która nie potrafi właściwie oddychać?

— Tak.

— Hmm, to i tak lepiej niż ten dom.

— Powiedziałam, że chcę zostać tutaj, ale nikt mnie nie słuchał.

— Mówiłem ci, że nie będą. Za żadne skarby by cię tu nie zostawili. Nie z bandą starych hippisów i z niezamężnymi matkami i Bóg jeden wie, z kim jeszcze. To nie mogło się zdarzyć. — Potrząsnął mądrze głową.

— Trudno. Ale mój tato przyjedzie wkrótce, więc najprawdopodobniej wyląduję w jego domu w Ameryce, więc to tylko na chwilę. Nie szkodzi, jeśli tylko na chwilę.

Uśmiechnęła się dzielnie, ale kąciki jej oczu wypełniły się łzami, a w gardle poczuła grudę wielkości grejpfruta.

Matty wstał i wziął od niej torbę.

— Daj, potrzymam ją.

— Dziękuję.

Do środka włożyła majtki, skarpetki, podkoszulki i rajtuzy. Sięgnęła po dwie sukienki, szkolny mundurak, kilka książek, klamrę do włosów i w ostatnim odruchu po sweter mamy, przesiąknięty jej zapachem.

— A co z bluzą? — odezwał się Matty pomocnie. — W końcu mamy zimę.

Melody uśmiechnęła się z wdzięcznością i spakowała dwa swetry. Wyciągnęła rękę po torbę, ale Matty przewiesił ją przez ramię.

— W porządku — powiedział — Zniosę ją.

Gdy schodzili po schodach, Melody przypomniała sobie nagle, jak dwa lata temu po raz pierwszy pokonywała z mamą te stopnie. Wtedy zastanawiała się, co to jest za miejsce i co, do diabła, tu robią. A teraz opuszczała ten dziwny dom bez mamy i nie miała najmniejszego pojęcia, czy go jeszcze kiedykolwiek zobaczy.

Wszyscy całowali ją i przytulali na pożegnanie. Grace upewniła się, czy ma zapięty płaszcz, a Ken wręczył jej pięćdziesięciofuntowy banknot i zapisany na kawałku papieru numer telefonu do domu. Melody wsiała do samochodu z pracownicą socjalną, policjantką i ciocią Susie, która potrzebowała pomocy, by usadzić się w środku niewielkiego auta. Na chodniku stali jej przyjaciele i choć uśmiechali się, wyglądali na smutnych.

— Będę jutro u ciebie z samego rana i pójdziemy razem do szkoły — żegnał ją Ken, próbując ukryć wzruszenie w głosie. Jego oczy zwilgotniały od łez.

Matty przycisnął buzię do okna samochodu.

— *Arrivederci*, Melody Ribblesdale! — krzyknął, przyciskając buzię do szyby, i Melody zaśmiała się, chociaż w głębi serca pragnęła, by się tak nie zachowywał, bo za bardzo przypominało jej to, jakim był zabawnym chłopcem i jak bardzo będzie za nim tęsknić.

Obróciła się w ich kierunku i wpatrywała się w grupę machających łudzi, powoli znikających z jej widoku. A potem spojrzała przed siebie i zaczęła wypatrywać przyszłości.

TLR

ROZDZIAŁ 39

Teraz

— Co u CIEBIE?

Ed wrócił z parku po dniu spędzonym ze znajomymi. Nadmierna ilość słońca i piwa zaróżowiła jego twarz. Melody bardziej martwiła się przedawkowaniem słońca niż piwa.

Pospiesznie zgarnęła papierowe wycinki i wsunęła je pod kieliszek wina.

— Nic takiego — odpowiedziała, rozluźniając napięte mięśnie szyi — same rachunki i takie tam. Wyglądasz na szczęśliwego.

— A bo jestem. Tiffany Baxter właśnie pogłaskała mnie po włosach.

Melody uśmiechnęła się.

— Naprawdę?

— Tak. O, właśnie tak... — Położył dłoń na głowie Melody i potrząsnął nią.

— To raczej zmierzwienie — uśmiechnęła się Melody.

— No może i zmierzwienie. Ale znaczące zmierzwienie.

— Więc sprawy nabierają tempa?

Ed uśmiechnął się i wyjął z lodówki colę.

— Tak jakby. Zaprosiłem ją na moją osiemnastkę. Mówi, że przyjdzie. A ten drugi chłopak, ten z samochodem, wybiera się na północ do ojca na miesiąc, co oznacza zero konkurencji.

— Super — uśmiechnęła się Melody, sięgając po stary numer „Exchange & Mart”, którym przykryła stertę papierów i przesunęła ją na drugi koniec stołu.

— No i co? — zapytał, siadając obok niej. — Jak było w Broadstairs? Znalazłaś tego Matthew?

— Nie — odparła. — Szukałam wszędzie. Ani śladu. Pytałam o niego i zdaje się, że on od czasu do czasu zapada się pod ziemię, pewnie trzeźwieje gdzieś w domu.

— Och — Ed wyglądał na nieco rozczarowanego. — A coś innego?

Potrząsnęła głową, nie cierpiała okłamywać syna. Tak bardzo pragnął być na bieżąco. Traktował to doświadczenie jak wspaniałą przygodę, historię z telenoweli *Życie w Hollyoaks*. Melody z całego serca pragnęła podzielić się z nim wszystkimi rewelacjami, ale musiała poznać zakończenie. Pełen obraz. Prawda musi poczekać.

— Nie — powiedziała, uśmiechając się z żalem. — Nic nowego.

— Próbowałaś w bibliotece?

— Uhm. Nic nie znalazłam. Tylko stopy starych artykułów na temat statków i takich tam.

— No to w takim razie — Ed wstał i wyprostował się — wygląda na to, że będziesz musiała zadzwonić do swoich rodziców. Albo przez resztę życia zostaniesz w błogiej nieświadomości.

Wyszedł, a Melody spojrzała na stół i pozwoliła wzrokowi podążyć za tytułem artykułu, którego jeszcze nie przeczytała, ale który sugerował prawdę tak okrutną, że być może błoga nieświadomość była lepszą opcją.

ROZDZIAŁ 40

1979

KOLEJNE WSPOMNIENIE:

Lisek Basil Brush w telewizji.

Bach bach.

W jej ręce obrana do połowy mandarynka.

Późne, popołudniowe słońce migocze między koronkowymi zasłonami cioci Susie, podświetla drobinki kurzu i wypełnia pokój promykami.

Dziura w jej jedynych rajtuzach.

Nieco przerażający zapach przygotowywanej kolacji, która miała się okazać *sole meuniere* i marchewkami w miodowym sosie.

Dzwonek telefonu z korytarza.

Ciężkie kroki cioci Susie.

— Dzień dobry, przy telefonie Susan Newsome. Kto mówi?

Potem cisza.

— Rozumiem. Rozumiem. Tak, rozumiem. Jak to się stało? Aha, rozumiem.

Ciocia Susie, w fartuchu z różanym nadrukiem, staje w drzwiach, ściska kuchenną szmatkę w biało-niebieskie pasy i powtarza słowa: „Kochanie, mam straszne wiadomości. Strasznie złe wiadomości”.

Bach bach.

Rozprawa Jane zaczęła się trzy miesiące później w Canterbury Crown Court. Nikt nie nazywał już mamy Melody Jane. Była znana ja-

ko Złodziejka Dzieci z Broadstairs. Albo Podła Jane. Podobnie, nikt nie nazywał dziewczynki jej imieniem. Stała się biedną Melody. Albo tragiczną Melody. Albo biedną, tragiczną córką Podłej Jane, Złodziejki Dzieci z Broadstairs.

Opis świata Melody poszerzył się o całą gamę nowych przymiotników. Stanowiła teraz część Przeklętej Rodziny, którą dotknęły Tragiczne i Straszne Rzeczy. Na przykład takie, że trzy dni po aresztowaniu mamy i w przeddzień długo wyczekiwanych siódmych urodzin, telefonicznie powiadomiono ciocię Susie o tragicznej śmierci taty Melody, który zginął w kolizji samochodowej na autostradzie przy wylocie z Hollywood w kierunku Międzynarodowego Lotniska w Los Angeles.

I właśnie za to Melody nienawidziła teraz mamę. Nie za te wszystkie lata obojętnego macierzyństwa czy fakt, że nie była darzona miłością, tak jak zasługuje na to kochana mała dziewczynka, ani za to, że mama zachowywała się wobec taty okropnie, gdy ją zostawił, pojechał do Ameryki i zamieszkał tam z Jacqui, ani też nie za to, że ukradła dziecko i pozwoliła jej uwierzyć, że w końcu ma siostrzyczkę, którą mogła zatrzymać. Nienawidziła mamy, bo gdyby nie doszło do jej aresztowania, tato nie musiałby jechać autostradą w stronę lotniska, by się nią zaopiekować, i wciąż by żył, i może z czasem jej życie ułożyłoby się w coś przypominającego normalność. Normalność, nawet ta z życia-w-squacie-z-obcymi-i-dziwnymi-seksualnymi- -praktykami, wydawała się mglista i nierealna.

Melody zdała sobie sprawę, że fundamentem normalności byli rodzice, nawet jeśli oni sami dalece odbiegali od normalności. Rodzice, nawet ci zagubieni i nieco niezrównoważeni czy ambiwalentni w uczuciach, służyli jako swoiste sitko, przez które przelewało się życie. Zawsze gotowi na przechwycenie wszelkich grudkowatych kawałków. Bez rodzica życie wydawało się pokrętnie i pozbawione kierunku. Bez rodzica błędziło się nad przepaścią.

Wiele osób opiekowało się Melody. Z pełnym oddaniem troszczyli się o nią ciocia Susie, ciocia Maggie, Ken, Grace, Kate i Michael. Nauczyciele w szkole traktowali ją nadzwyczajnie miło i nawet Penny uznała, że torturowanie dziewczynki, która w przeciągu tygodnia straciła oboje rodziców, było przegięciem. Beverly, pracownica socjalna, odwiedzała ją regularnie i przyjechała nawet babcia, matka taty, która przekroczyła granicę Irlandii po raz pierwszy od śmierci męża dwadzieścia dwa lata temu, by spędzić z nią tydzień w domu cioci Susie.

Wszyscy o nią dbali. A cioci Susie, pod pewnymi względami, wychodziło to lepiej niż mamie, szczególnie odkąd Beverly wytłumaczyła jej, że kaczka i potrawka z winogron niekoniecznie stanowiły najodpowiedniejszy posiłek na kolację dla siedmiolatki i że dzieci wolały zjeść kielbaski i duszone ziemniaki. Ciocia nie rozumiała jednak, że dzieci powinno się zachęcać do samodzielności, i dosłownie we wszystkim wyręczała Melody, zapinała jej nawet buciki i szorowała zęby. Czasem Melody czuła, że powinna powiedzieć cioci, iż potrafi wykonać te czynności sama, ale powstrzymywała się, bo gdzieś w głębi serca lubiła być traktowana jak trzylatka.

Mimo całego tego zamieszania i poświęcanej jej uwagi, mimo obecności tych wszystkich dorosłych, którzy tak o nią dbali i martwili się, Melody nie czuła się bezpieczna. Wciąż miała wrażenie, że stąpa z zawiązanymi oczami przy krawędzi bardzo dużej i głębokiej dziury. Wciąż dopominała się obecności mamusi.

Ale niestety, dostęp do mamusi został bardzo ograniczony.

Zrezygnowano ze zwolnienia Jane za kaucją po tym, gdy kobieta powiedziała policji, że jeśli zostanie wypuszczona, to uda się prosto do Ramsgate i rzuci się ze skał. Od tego czasu została zatrzymana na oddziale wzmożonego nadzoru w Rochester do momentu rozprawy.

Oczywiście, Melody nie wiedziała, że mama groziła popełnieniem samobójstwa. Nie wiedziała również, że mama rzadko kiedy myślała o

córcie między kolejnymi wizytami, bo głównie siedziała w swoim pokoju i rozmyślała na temat swoich utraconych dzieci (do tej grupy zaliczyła również Melody, bo przeczytała gdzieś, że dziecko około siódmego roku życia opuszcza nie w pełni uformowany świat dzieciństwa z jego nieokreślonymi granicami i wchodzi w bardziej wyrazisty, surowy świat dorosłych). Jak zawsze miliony innych rzeczy, o których istnieniu Melody nie miała pojęcia, nakręcały swe sprężyny w ciemnych zaułkach, by wyrzucić jeszcze większy wpływ na całe życie. Ale w chwili obecnej wiedziała jedynie tyle: była środa. Styczeń. Mróz. Na śniadanie zjadła płatki. A dzisiaj zamiast lekcji wuefu i środowiska wybierała się odwiedzić mamę w więzieniu.

Pewnego razu żyła sobie mała dziewczynka o imieniu Melody. Miała długie kręcone włosy w kolorze orzecha, oczy o barwie polerowanego złota i z roześmianą twarzą mieszkała sobie nad morzem w dużym domu z mamusią Jane i mężczyzną o imieniu Ken. Melody miała też tatusia. Był drukarzem i mieszkał w Londynie z makijażystką Jacqui, córką Jacqui Charlotte i śliczną maleńką dziewczynką o imieniu Emily Elizabeth, jedyną siostrzyczką Melody. Czasami Melody spędzała czas z tą drugą rodziną w Londynie i zawsze ze smutkiem wracała nad morze, ponieważ, o czym trzeba powiedzieć, mamusia Melody była bardzo nieszczęśliwa i rzadko całowała i przytulała Melody. Ale dziewczynka była szczęśliwa nad morzem, bo jej przyjaciel Ken miał dobre serce i każdego tygodnia zabierał ją w przy- czepce motorowej na lody.

Pewnego dnia zdarzyło się coś bardzo smutnego. John i Jacqui wyjechali do bardzo odległej krainy i zabrali ze sobą maleńką siostrzyczkę Melody. Melody była bardzo smutna i płakała przez wiele dni i nocy. Ale wtedy wydarzyło się coś bardzo radosnego. Mamusia przyniosła do domu nową siostrzyczkę. Wszyscy ją bardzo kochali, szczególnie Ken, ale Melody przeczuwała, że coś było nie tak. Małe dziecko nie wyglądało jak noworodek. A potem w gazetach napisali, że ukradziono dziecko przed sklepem, i Melody wiedziała już, co się wydarzyło.

Następnego dnia policja zabrała dziecko i mamę Melody. Powiedziano, że mama czuła się bardzo źle, i nie pozwolono jej wrócić do domu, bo obawiano się, że zrobi sobie krzywdę. Tatuś Melody chciał wtedy przylecieć nad morze, by zabrać Melody do odległej krainy, ale wydarzył się okropny wypadek i tata zginął na autostradzie w drodze do córki. Więc teraz Melody nie miała już nikogo oprócz swojej dziwnej cioci Susie.

Po trzech miesiącach mama poszła do sądu i sędzia powiedział, że zostanie w więzieniu przez dwa lata.

Melody już nigdy więcej nie zobaczyła mamy.

Obudziła się, leżąc na plecach przed palącym się domem. Nad nią pochylali się inni ludzie, którzy nazywali się Mama i Tata.

I potem żyli już długo i szczęśliwie...

ROZDZIAŁ 41

Teraz

NASTĘPNEGO DNIA odbywało się przyjęcie urodzinowe Cleo. Melody włożyła do torby dwa zapakowane prezenty: komplet bielizny marki Ted Baker i wysadzany kryształkami srebrny krzyżyk od H. Samuel. Potem otworzyła okolicznościową kartkę i pozwoliła długopisowi wisieć nad nią przez chwilę, podczas której próbowała znaleźć właściwe słowa. Nie wiedziała, od czego zacząć. Tamta osoba, ta o imieniu Melody Browne, ta, która stała przy łóżku Stacey w szpitalu te wszystkie lata wstecz, w wieku piętnastu lat, w dziewiątym miesiącu ciąży, przerażona i zachwycona, ta, która trzymała nowe życie w ramionach, ten maleńki, malutki okruszek, którego przeznaczeniem było stać się kobietą o imieniu Cleo, ta osoba już nie istniała. Została wymazana, zniknęła wraz z pstryknięciem palców Juliusa Sardo, z szumem maszyny ksero w bibliotece w Broadstairs.

Melody Browne przestała istnieć, kim więc była ta kobieta, pochylona nad urodzinową kartką dla pierwszego dziecka jej najstarszej i najdroższej przyjaciółki? Melody próbowała sobie wyobrazić życzenia, które napisałyby dwa tygodnie temu, zanim jej życie zostało wzburzone w sensacyjną falę, ale nie potrafiła już umiejscowić się w tamtym czasie. Chciała wypełnić życzenia wzruszeniem, znaczeniem, miłością. Obserwowała rozwój Cleo z nieporadnego bobasa ze sterczącą czupryną w szczupłe dziecko o iksowa-tych nogach, które rozkwitło z czasem z tyczkowatej nastolatki w zachwycającą rudą piękność o wzroście metr sześćdziesiąt i z podwójną miseczką D. Kochała dziewczynę jak własną córkę. I właśnie wtedy usłyszała echo słów Eda, zanim wszystko się zmieniło. Przyłożyła długopis do kartki i napisała: „Dla Pięknej Cleo, córki, której nigdy nie miałam i o jakiej mogłam tylko marzyć.

Jestem z Ciebie taka dumna. Wszystkiego najlepszego od Twojej Kochającej cioci Mel".

Jak zawsze, Pete i Stacey zdołali wygrzebać skądś pieniądze na wynajęcie sali nad najelegantszą włoską restauracją w Hackney i wypełnienie jej balonami z helem, sztandarami i liliami (drugim imieniem Cleo było Liii). Wysokie, otwierane pionowo okna wpuszczały hałas Mare Street, a przykryte papierowymi obrusami stoły uginały się pod ciężarem misek z makaronem, półmisek z mięsem na zimno i stertami ciabat. Melody i Ed przybyli pierwsi, całe pół godziny wcześniej przed zaplanowanym na dziewiętnastą trzydzieści startem imprezy.

Niezwykłe osiemnastoletnie ciało Cleo zostało odziane w obcisłą purpurową satynową sukienkę tk Maxx, a jej rude włosy, misternie ułożone przez fryzjerkę, wiły się niczym węże wokół jej głowy, odsłaniały kark, przykrywając jedynie zatrzask zachwycającego naszyjnika Swarovski. Jej mocno pomalowane oczy błyszczały i według Melody Cleo wyglądała dokładnie jak gwiazdy z głupkowatych czasopism o celebrytach, które zawsze walały się po domu Stacey.

Przytuliła dziewczynę mocno, wciągnęła zapach jej perfum i przez chwilę szukała zapachu noworodka i dziecka, tak długo przez nią rozraczanego. Oczywiście ulotnił się bezpowrotnie, a poza tym byłby nie do odróżnienia pod przytłaczającą wonią Agent Provocateur, jej ulubionych perfum.

— Wszystkiego najlepszego — powiedziała Melody, głaszcząc gołą skórę na plecach Cleo, tych samych, które masowała tyle lat temu, gdy pomagała uporać się dziewczynce z uporczywymi kolkami. — Wyglądasz przepięknie, Clee, naprawdę, jak gwiazda filmowa!

— Och, dzięki, Mel! — Cleo przytuliła się do niej.

Stacey ganiała tam i z powrotem w obcisłej czerwonej

podróbce sukienki Roland Mouret Galaxy z asos i profesjonalnie ułożoną fryzurą, a z jej umalowanych ust zwisał papieros. Pocałowała w przelocie Melody i skierowała ją do stolika po drugiej stronie sali, gdzie miały zostać złożone prezenty. Ed rozmawiał z Cleo. Melody przyglądała się im z czułością. Jej syn i córka jej najlepszej przyjaciółki. Oczywiście, przez te wszystkie lata fantazjowały sobie ze Stacey, że ich dzieci zakochają się w sobie, pobiorą się i dadzą im piękne wnuki, którymi mogłyby wspólnie się opiekować, ale niechybnie skazanie na swoje towarzystwo, przez lata wypełnione sprzeczkami, awanturami i zaciętym ignorowaniem się, doprowadziło do tego, że obecnie widywali się bardzo rzadko. Poza tym Cleo miała teraz chłopaka o imieniu Jade, wysokiego i muskularnego dwudziestolatka, z mocno zarysowanymi kośćmi policzkowymi i bardzo gęstymi włosami, w którym była zakochana po uszy.

— Nic ci nie jest? — Stacey przyglądała się jej spod zmrużonych powiek.

— Wszystko w porządku.

— Jesteś pewna? Wyglądasz na trochę.

— Jaka?

— Sama nie wiem. Trochę nie w sosie.

— Naprawdę — zapewniła Melody. — Nic mi nie jest. — Pragnęła podzielić się ze Stacey prawdą, teraz gdy miała pewność, że nie oszalała, że niezbite dowody świadczyły o dobrym stanie jej głowy. Nie był to jednak czas ani miejsce na takie wyznania.

— Och, Mel — jęknęła Stacey i przytuliła się do Melody. — Moja córeczka! Spójrz na nią! Nie jest już dzieckiem. — Stacey pachniała nikotyną i piwem, wydawała się taka drobna.

— Ach! — Melody przypomniła sobie coś bardzo ważnego, na tyle ważnego, że wydawało się to niemożliwe, iż nie zapytała o to wcześniej. — Test! Zrobiłaś test?

Stacey wyrwała się z uścisku i przyłożyła palec do ust przyjaciółki.

— Nie — odpowiedziała łagodnie — jeszcze nie. Wpierw chciałam mieć z głowy ten tydzień. Zrobię go w poniedziałek. Kilka dni nie zaszkodzi.

Melody skinęła odruchowo głową, choć wcale się nie zgadzała. To dziecko, jeśli faktycznie zostało poczęte, było kolejnym darem w pełnym po brzegi koszu życia Stacey. Od pierwszego dnia powinna uważać je za skarb, pielęgnować, szanować i okazywać wdzięczność za te wszystkie niezliczone błogosławieństwa.

Stacey spojrzała na wydęte usta przyjaciółki i uśmiechnęła się.

— Tylko mi tu nie puszczaj umoralniającej gadki, Melody Browne! Ty wiesz i ja to wiem, że jeszcze nic tam nie ma oprócz sterty pecherzyków. Nie mogę się teraz skupić na rozmyślaniach o kolejnym dziecku. A dzisiejszy wieczór to wielkie święto mojego pierwszego dziecka i nie zamierzam z niego rezygnować tylko dlatego, że podejrzewam, że mogę być w ciąży. Więc przestań się tak nadymać i napij się piwa.

Melody przez cały wieczór czuła się oderwana od imprezy. Miała wrażenie, że zabawa stała się obrazem w galerii czy sceną z przedstawienia z bohaterami, których obserwowała z widowni. Widziała Cleo, piękną księżniczkę, jej matkę, Królową Stacey, i ojca, Króla Petea, w garniturze Burton i koszuli Paul Smith, którą Stacey kupiła na wyprzedazach zeszłego lata. Obserwowała, jak Księżniczka Cleo stanęła obok ojca i przytuliła się do niego, widziała, jak Król Pete pochylił się i pocałował głowę swojej nie-biologicznej, ale pod każdym innym względem córki. Widziała nową księżniczkę, Clover, w fioletowo-różowej, aksamitnej sukni z Monsoon, którą pomogła wybrać Stacey w

zeszłą sobotę. Księżniczka miała zaczesane do tyłu włosy ozdobione atlasową różą, tańczyła z kuzynami, a jej drobna buzia promieniała z ekscytacji. Widziała też mamę Stacey, Pat, Królową Matkę. Niechlujna, zagubiona, siedziała na krześle w kącie i opierała się o swój balkonik do chodzenia. Był też brat Stacey, Paul, jak zawsze niestosownie ubrany w obcisłe dżinsy i bluzę Nike, chudy jak pajak, ale radosny i rozbawiony. Obok stała jego ciężarna żona z puszką coli w dłoniach i obserwowała swoje dzieci pływające z Clover; jej oczy wypełniała dumą.

Melody raczyła się tym widokiem, a po chwili, nieświadomie, zaczęła naklejać na te znajome twarze obce nowe oblicza. Na twarz Pete'a nałożyła łagodną, końską twarz Johna Ribblesdale'a, a na Stacey wystraszoną, opuchniętą, ale wyjątkowo ładną twarz kobiety o imieniu Jane Ribblesdale. Na dzieci nakleiła twarze maleńkiego łysego, pomarszczonego noworodka Edwarda Thomasa i uroczej dziewczynki o imieniu Emily Elizabeth, której rysy musiała sobie wyobrazić, bo nie dysponowała żadnymi jej zdjęciami. Widziała smutne, wyblakłe twarze tych drugich rodziców, tych, którzy uratowali ją przed pożarem, a także piękne, podobne do wizerunku Jezusa, rysy Kena. Jej rodzina. Jej prawdziwa rodzina. Nie ta pożyczona, z którą żyła pośrednio przez ostatnie osiemnaście lat, i nie ta maleńka, dwuosobowa rodzina, którą stworzyła sama, ale inna, duża rodzina, która należała jedynie do niej, rodzina z korzeniami, nogami i rękoma, rodzina, która rozpadła się na drobne kawałki i została rozdmuchana po świecie przez okrutny wichur.

Tak mogłoby wyglądać jej życie, myślała sobie, ten bogaty, oszalamiający wir ludzi ze wszystkimi swoimi błędami, dziwactwami i osobliwościami. Ale coś smutnego i nieodwracalnego wydarzyło się, gdy była zbyt młoda i nieukształtowana, żeby zrozumieć czy choćby pamiętać, a teraz tkwiła w stanie zawieszenia, między miejscem, które myślała, że znała, a tym, które może poznała. Spojrzała ponownie na dużego, silnego Petea, miłego i nieśmiałego, i pomyślała o mężczyźnie,

który zginął na autostradzie w Ameryce dwadzieścia siedem lat temu w drodze po nią. Najbardziej w świecie pragnęła, by pojawił się w drzwiach, w swoim najlepszym garniturze i butach, uśmiechnął się i zapytał: „Witaj, Melody, gdzie ty się podziewałaś?”

Przyjęcie przeciągnęło się do momentu, gdy po północy mocno zakręcone węże z włosów Cleo rozwinęły się we włochate kosmyki, a cienie na powiekach rozmazały się na szaro. Melody wsiadła do taksówki i odetchnęła z ulgą. Ed postanowił bawić się dalej w domu Stacey, dokąd przeniesiono imprezę, a Melody cieszyła się samotnością. Azjatycki taksówkarz milczał. Pod wpływem złagodzonego ciepłem imprezy nastroju Melody wyjęła z torebki komórkę i otworzyła ostatnią wiadomość od Bena, którą wczoraj przeczytała w pociągu do Broadstairs. Wyobraziła go sobie, czytając sms-a: jego imię pasowało do tego łagodnego mężczyzny. Uśmiechnęła się. A potem wyobraziła sobie, że czeka na nią w mieszkaniu, z nogami skrzyżowanymi na sofie, z książką w ręku (wyglądał na człowieka, który lubił czytać). Na dźwięk jej kroków w korytarzu podnosi wzrok, odkłada książkę, uśmiecha się: „Jak się masz? Jak się udało przyjęcie?” A ona zwinnym kopnięciem pozbywa się tych głupich obcasów, wtula się w niego, układa zmęczoną, ciężką głowę na jego silnym ramieniu i mówi: „Wspaniale, naprawdę wspaniale. Szkoda, że cię nie było”. Melody otrząsnęła się z tych fantazji i nagle poczuła, po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu, przestrzeń do wypełnienia drugim człowiekiem. Już wkrótce, gdy dowie się dokładnie, kim jest, nadusi na klawisz „odpowiedz” i pozwoli przeznaczeniu podyktować resztę.

Wyłączyła telefon, zostawiła go na kolanach i spojrzała przez okno na mijaną scenę.

Neonowe światła na East Endzie rozświetlały sobotnią noc i mrugały do niej przez okno taksówki. Melody rozmyślała na temat dziewczyny, Emily, jej siostry, która żyła sobie gdzieś na tym świecie. Pomysłała też o Edwardzie, dorosłym teraz mężczyźnie, którego przed

laty jej mama uprowadziła sprzed sklepu. Gdzieś tam, właśnie teraz, może nawet w tej tureckiej restauracji, siedziała Jacqui, kobieta, która mieszkała z jej ojcem przez dwa lata. I może gdzieś tutaj żyła inna kobieta o imieniu Jane, jej biologiczna mama.

Przez ostatnie kilka dni w kółko czytała swoją historię, przeglądała skserowane wycinki, a jej ciekawe palce wycierały z nich farbę drukarską i teraz wiedziała już prawie wszystko. Poznała swoje życie między czwartym a siódmym rokiem. Brakowało elementów przed i po tym okresie. Nie miała pojęcia, dlaczego nieprzewidywalny los zesłał ją do squatu w Broadstairs, a potem umieścił w Canterbury, w zacisznym domu z parą obcych ludzi zwanych Mama i Tata.

ROZDZIAŁ 42

1980

NA SPOTKANIE Z mamą w więzieniu pojechała z Kenem w motorowej przyczepie.

Ken poświęcił kilka godzin w ciągu ostatnich miesięcy na słodkie pogawędki z ciotką Susie, która nie uważała go już za „nieodpowiedniego towarzysza dla małego dziecka”, ale miała go teraz za „porządnego młodego mężczyznę”, do którego zwracała się nawet per „Złotko”. Pozwalała Kenowi odprowadzać Melody do szkoły każdego ranka i przyprowadzać ją po południu do domu (szczególnie gdy jej próba spaceru z dziewczynką została okraszona przez teatralny szept zatrzymujących się gapiów i wytykających Melody palcami: „To ona, córka porywaczki dzieci”) i dwa razy w tygodniu zabierać Melody na lody do Morelli albo na obiad do jego domu z Mattym i Sethem.

Mama siedziała w sali odwiedzin na dużym wzorzystym krześle z plastikowymi nakładkami na oparciach. Melody i Ken usiedli na taboretach bez oparcí i popijali wodę z plastikowych kubeczków.

— Jak się masz, kochanie? — zapytała matka.

— Dobrze — odpowiedziała Melody, próbując nie spieszyć się dziwnym zachowaniem mamy. Ken uprzedził ją wcześniej, że mama dostaje specjalne lekarstwa na poprawę nastroju, po których nie do końca jest sobą, ale dziewczynka nie spodziewała się, że mama będzie taka opuchnięta i szara. Skóra na jej ściągniętej twarzy świeciła się, zapadnięte oczy błędziły świdrującym wzrokiem i wyglądały jak rodzynki utkwione w cieście. Matowe włosy związała w tłustą kitkę i miała na sobie szare więzienne ubranie, w którym przypominała kogoś, kto czyści ulice. A najgorszy był ślad brzoskwiniowej szminki, niedbale rozmazany na ustach. Mama prawie nigdy nie malowała ust i Melody wie-

działa, że zrobiła to dlatego, że: a) była szalona lub b) myślała, że będzie ładnie wyglądać. A tak wcale się nie stało. Wyglądała jak gruba, szalona, tłusta kobieta ze szminką na ustach.

— A jak szkoła?

— W porządku — odpowiedziała Melody.

— Czy wszyscy są dla ciebie mili?

— Tak — przytaknęła dziewczynka — nawet Penny.

— Penny? — zapytała matka słabym głosem. — Czy ja znam Penny?

— Nie sędę — powiedziała Melody. — Nie opowiadałam ci o niej, bo myślałam, że zrobisz w szkole scenę. Penny czepiała się mnie całe wieki o to, że mieszkam w sąuacie z tobą i Kenem i o wszystko inne. Ale odkąd ukradłaś dziecko, dała mi spokój.

— To dobrze. — Mama pokiwała nieobecnie głową i wyglądała tak, jakby była zadowolona z siebie, że uwolniła Melody od zaczepiek Penny. — A jak ci się układa z ciocią Susie?

— Dobrze — odpowiedziała Melody, wpatrując się w zawijas na wytartej wykładzinie Axminster, który skojarzył się jej z twarzą Indianina. — Czasami przygotowuje mi właściwe posiłki. I kupiła mi trochę ubrań na święta. Są naprawdę ładne.

— Och — powiedziała Jane — to miło. Cieszę się, że wam się układa. A przekazała ci prezent ode mnie?

— Tak — kiwnęła głową Melody i pomyślała o bardzo dziecinnej maskotce szympansa, która dotarła pocztą trzy dni po Bożym Narodzeniu w sfatygowanej, byle jak zapakowanej paczce z karteczką „Z pozdrowieniami od Mamy (i Świętego Mikołaja)”, a przecież wszyscy dobrze wiedzieli, że ktoś taki jak Święty Mikołaj w ogóle nie istniał. — Dziękuję.

— Przepraszam, że prezent się spóźnił, ale tutaj tak trudno się zorganizować. No wiesz. Tyle przepisów i regulacji.

Zaśmiała się i położyła rękę na jej włosach, a Melody wzdrygnęła się i pomyślała, że chciałaby już iść. Ta kobieta nie była jej mamą. To nie z nią mieszkała w Londynie, ona nie miała gardłowego śmiechu i słabości do rumowego ponczu. Nie była też mamą z Broadstairs, zamysloną i smutną, często zapominającą o różnych rzeczach, takich jak na przykład ugotowanie obiadu dla córki. Ta dziwna kobieta w gumowym kaftanie jedynie kiepsko naśladowała mamę. Nie, właściwie była jedynie gumowym kaftanem, pozbawionym ciała. Ta kobieta była pusta.

— A jak ty się masz, Ken? — Jane odwróciła się i zatrzymała na nim swój niepokojący uśmiech.

— Dobrze — odpowiedział. — W porządku.

— A jak cała reszta? Grace? Matty?

— W porządku — powtórzył.

Przez chwilę zaległa cisza i Melody rozejrzała się po pokoju. Nie była tutaj jedynym dzieckiem. W więzieniu siedziały same kobiety i wiele z nich widziało się dzisiaj ze swoimi dziećmi. Przy samym oknie siedziała dziewczynka, mniej więcej w wieku Melody, ze znacznie mniejszym, może dwuletnim braciszkiem. Ich mama nie patrzyła na nich tym dziwnym szklanym wzrokiem. Płakała, a jednocześnie próbowała wyglądać na dzielną. Miętosila w dłoniach chusteczkę i wciąż ściskała ręce swoich dzieci. Ta mama wyglądała na przerażoną faktem, że musiała rozmawiać z dziećmi w więziennej sali.

Melody przez chwilę przypatrywała się dłoniom matki. Były bardzo blade, a na jednej z żył wypatrzyła małego siniaka i strupek.

— Co to jest? — zapytała, wskazując na zadrapanie.

Mama spojrzała odruchowo w dół.

— To? Och, sama nie wiem, ślad po jakimś zastrzyku. Bez przerw wkluwają mi tu jakieś igły. Jeśli nie da rady przez przełyk, to wpompują to w żyłę. — Zaśmiała się niezręcznie.

Melody postanowiła zamilknąć i przekonać się, czy mama choć słowem napomknie coś na temat taty, ale Jane uśmiechnęła się tylko do Kena.

— A jak się miewa reszta? — zapytała po raz drugi, zupełnie jakby zapomniała, że już go o to pytała.

— Czy ty wiesz? — Melody przerwała zniecierpliwiona. — Czy ty wiesz o tacie?

— Tak — odpowiedziała Jane. — To bardzo, bardzo smutne. A ty... — spojrzała z lekkim zdziwieniem na Melody, jakby właśnie zdała sobie z czegoś sprawę — ..tobie jest chyba bardzo przykro, prawda?

Melody pokiwała chmurnie głową.

— Ale widzisz, po pierwsze nie powinien tam za nią jechać, porzucać w ten sposób pracę, życie i córkę, tylko po to, by całymi dniami sterczeć przy basenie.

— A ty — krzyknęła Melody — nie powinnaś kraść dziecka i zmuszać taty, by po mnie wracał!

— No cóż — mama przemówiła miękko i rozważnym tonem — być może nie. Ale teraz wszyscy płacimy za nasze błędy, prawda? — powiedziała to z takim mądrym przekonaniem w głosie, jakby w ich życiu zadziałała boska sprawiedliwość, a nie chaos, szaleństwo i tragedia.

Dziesięć minut później zegnali się z mamą, ale Melody nie chciała się do niej przytulić ani pocałować choćby w policzek. Pragnęła jedynie wsiąść do przyczepki Kena i schłodzić rozpalone policzki lodowatym powietrzem. Chciała poczuć się czysta i wolna. W ciągu ostatnich

kilku lat wiele się wydarzyło, ale Melody rzadko wracała myślami do trzylatki kolorującej w żółtym pokoju w Lambeth. Jak przez mgłę pamiętała pogrzeb i mężczyznę ze śmiesznymi włosami i wydawało jej się, że mama zaczęła rodzić w jej obecności. Przede wszystkim jednak, jak większość dzieci, Melody żyła teraźniejszością i przyszłością, okazjonalnie zapuszczając się we wspomnienia z zeszłego roku. Była już wystarczająco duża, by zrozumieć, że już nigdy nie będzie prowadzić normalnego życia z mamą i tatą, a czekająca ją przyszłość była niekonwencjonalna i trochę przerażająca. Nie widziała sensu w rozmyślniach na temat tego, jak mogłoby być. Jej pobożne życzenia nie miały szans na ziszczenie, więc w chwili obecnej najbardziej martwiła się, czy pracownica socjalna pozwoli jej mieszkać z Kenem i Grace i uratuje ją przed życiem Jezusa Chrystusa i nadmierną dawką ogrzewania centralnego u cioci Susie. Melody nie chciała złotej perfekcji, potrafiła zadowolić się srebrem.

Niestety, nawet i tę opcję los wyrwał z jej życia w okrutny sposób tego popołudnia, bo w czasie gdy motor Kena pokonywał serpentyny w drodze powrotnej ku wybrzeżu, w domu cioci Susie wydarzyły się okropne rzeczy. Po raz kolejny przeznaczenie zostało wyrwane z rąk Melody i rozsypane na wietrze.

— O Boże, zabierz ją stąd, Ken, zabierz ją stąd natychmiast! — Ciocia Susie stała przed domem, w letniej sukience i sandałach, owinięta kocem. — Na miłość boską, nie pozwól, by to zobaczyła!

Ale było już za późno. Melody zdążyła wszystko zobaczyć.

Na froncie nieskazitelnego kremowego bungalowu cioci Susie pojawiły się namalowane białą i czerwoną farbą napisy takie jak: „Nasienie gwałciciela” i „Przeklęte dziecko”, „Niedaleko pada jabłko od jabłoni!!!” A co najgorsze, weranda została zniszczona przez jakąś eksplozję.

— To była butelka z benzyną — łkała ciocia Susie, popijając słodką herbatę podaną przez jakiegoś uprzejmego sąsiada. — Wyobraź sobie tylko! Ktoś przygotował wcześniej bombę i wepchnął ją do środka przez otwór na listy! Tutaj, w moim domu, ja siedziałam w środku i dzięki Bogu, że nie było Melody!

Ściana, w której kiedyś stały drzwi, przemieniła się w czarną dziurę, a z bocznych, zniszczonych wybuchem okien, wciąż unosił się dym.

— Spójrz — powiedziała, wskazując na opustoszałe dziury. — Moje witraże! Przepadły! Były oryginalne, wiesz, takich rzeczy nie da się zastąpić. Co za człowiek, no powiedz tylko, co za człowiek...

Kilkoro sąsiadów koczowało na zimnym chodniku, w międzyczasie straż pożarna zdążyła przyjechać i odjechać, policja miała wrócić później, by spisać zeznania. Susie stała pozostawiona sama sobie, trzęsła się zimna i wpatrywała się w swój zniszczony i okradziony z poczucia bezpieczeństwa dom.

— No dobra — powiedział Ken — potrzebujemy trochę drewna, żeby zabić deskami te drzwi. Słuchajcie — odwrócił się do zbulwersowanych sąsiadów — czy ktoś z was ma jakieś drewno?

Ken poszedł do szopy jednego z sąsiadów, podczas gdy Susie i Melody uspokajały się i pocieszały w obitym drewnem tekowym pokoju gościnnym starszej pani o imieniu Evelyn.

— Paskudna sprawa — kobieta cmokała z cichym niezadowolaniem — paskudna, okropna sprawa. — Ton jej głosu zdradzał, że miała w zwyczaju spodziewać się różnych paskudnych spraw, więc kiedy faktycznie miały one miejsce, była jedynie w połowie zdziwiona.

Melody nie przejmowała się całym zdarzeniem tak bardzo jak jednym szczegółem. Dlaczego ktoś nazwał ją nasieniem gwałciciela? Wiedziała, kim był gwałciciel. Usłyszała kiedyś to słowo w radiu i

Grace wytłumaczyła jej, co ono oznaczało. Gwałciciel uprawiał seks z kimś, kto tego nie chciał. Gwałciciel był bardzo, bardzo złym człowiekiem. Ten dziwny szczegół nie dawał jej spokoju i przez chwilę chciała nawet o to zapytać, ale intuicja podpowiadała jej, że nie byłoby to zbyt miłe rozmawiać o takich rzeczach przy starszej pani. I właśnie wtedy jej wzrok zatrzymał się na numerze „Kentish Gazette” leżącym na fotelu Evelyn i omal nie straciła tchu w piersi, przeczytawszy jeden z nagłówków.

Porywaczka dzieci jest szwagierką gwałciciela młodocianych opiekunek!

Melody dyskretnie usadowiła się na fotelu i odwróciła się, by przeczytać tekst pod nagłówkiem:

Okazało się dzisiaj, że Jane Ribblesdale, Porywaczka Dzieci z Broadstairs, jest szwagierką Michaela Radletta, okrytego złą sławą gwałciciela opiekunek do dzieci. Radlett, 41 lat, jest mężem starszej siostry Jane Ribblesdale, Margaret Radlett, lat 37. W zeszłym roku Radlett uznano winnym sześciu gwałtów popełnionych na młodych kobietach w Crown Court. Został nazwany „gwałcicielem opiekunek”, gdyż pięć z jego sześciu ofiar pracowało w tym zawodzie. Został skazany na dożywocie i obecnie odbywa wyrok w Pentonville Prison w północnym Londynie. Pani Radlett, zajmująca dom w Ealing, zachodni Londyn, odmówiła komentarza w tej sprawie.

Melody nie zdołała przeczytać wszystkiego, ale przyswoiła sobie wystarczająco dużo, by zrozumieć już, dlaczego na murach domu cioci Susie pojawiły się napisy. Położyła ręce na kolanach i westchnęła. Pomyślała o kuzynkach, Nicoli i Claire, i zapragnęła znowu się z nimi spotkać. Pomyślała o biednej, smutnej cioci Maggie podczas ich ostatniej wizyty. Pomyślała o wszystkich dorosłych, których znała, i o tym, jak bardzo komplikowali codzienność zwyczajnego życia. A potem pomyślała o Kenie, jedynym człowieku na świecie, dzięki któremu chciała się kiedyś stać dorosła. Miała głęboką nadzieję, że ten okropny

przebieg wypadków wyjdzie jej na dobre, że może ktoś z opieki społecznej pomyśli, że powinna zostać zabrana z domu cioci Susie i odesłana z powrotem do domu nad morzem.

Melody została zabrana od cioci kilka dni później, po tym jak ktoś wepchnął przez otwór na listy w świeżo wyremontowanych drzwiach paczkę z ludzkimi odchodami. Nie trafiła jednak do domu Kena nad morzem, ale gdzieś zupełnie indziej. Wysłano ją do Canterbury, gdzie miała zamieszkać z Clive'em i Glorią Browne.

TLR

ROZDZIAŁ 43

Teraz

MELODY PO RAZ pierwszy w życiu siedziała w kafejce internetowej. Nigdy wcześniej nie miała do czynienia z Internetem. Stacey spędzała połowę dnia w biurze i większość zakupów robiła w sieci i zawsze naśmiewała się z przyjaciółki: „Ale jesteś zacofana, Melody Browne!”

Melody czuła więc lekkie podenerwowanie, gdy w niedzielne popołudnie położyła torebkę na wytartej niebieskiej wykładzinie w kafejce easyInternet na Trafalgar Square. Mniej więcej połowa komputerów została zajęta przez europejskie nastolatki w dżinsach i T-shirtach, z matową od kiepskiego mycia w obskurnych hostelach skórą i włosami; turystów w szortach i sandałach; imigrantów rozsyłających wnioski o pracę i wiadomości do przyjaciół i rodzin.

Spojrzała na monitor komputera. Zapłaciła z góry za godzinę. Doszła do wniosku, że godzina powinna wystarczyć, chociaż nigdy nie używała komputera i nie miała pojęcia, ile czasu może jej to zabrać. Wpatrywała się w monitor i odliczający minuty zegar i nie wiedziała, od czego zacząć.

— Przepraszam — zaczepiła chińską otyłą nastolatkę siedzącą po lewej stronie. — Jak się szuka informacji w Internecie?

Dziewczyna zostawiła na chwilę swój monitor i bez słowa nadusiła kilka klawiszy na klawiaturze Melody.

— Tutaj — powiedziała, wskazując na ramkę na środku monitora — wpisz, co chcesz znaleźć. Wpisz te... — palcami pokazała cudzy-

słów — ...przy słowach, które najbardziej akuratnie opiszą twoje hasło.
Ok?

Melody pokiwała głową z wdzięcznością.

— Dziękuję — odpowiedziała. — Uratowałeś mi życie.

— *No problem* — uśmiechnęła się dziewczyna i wróciła do strony internetowej z ofertami strojów do tańczenia.

Melody otworzyła zeszyt, w którym zrobiła rano notatki przy antykacowym śniadaniu składającym się z coca-coli i czterech grzanek.

ODNALEŹĆ:

Emily Elizabeth Ribblesdale/Sonningfeld?

Charlotte (Sonningfeld?)

Jacqui Sonningfeld

Ken Stone

Grace (Stone?)

Seth (Stone?)

Matty??

JANE RIBBLESDALE (NEWSOME?)

Susie/Susan Newsome

Mama i Tato(?)

Melody zaczęła wpisywać hasła. Dla Emily Elizabeth nie wyskoczyły żadne wyniki. Podobnie jak i dla Charlotte, czego się w sumie spodziewała, bo nie była pewna jej nazwiska. Za to Jacqui Sonningfeld objawiła się na kilku stronach.

Przeglądając poszczególne strony, Melody dowiedziała się, że Jacqui urodziła się w 1950 roku w Leicester, że w 1994 została nomino-

wana do Oscara za makijaż w filmie *Beatlemania* i że mieszkała w Beverly Hills z mężem Tonym Parrym, producentem filmowym, i ich dwójką nastoletnich dzieci. Melody nie doszukała się żadnych wzmianek na temat jej poprzednich mężów ani starszych dzieci, a na jednym ze zdjęć zobaczyła pofarbowaną blondynkę w modnych okularach i wąskich ustach pokrytych grubą warstwą szminki, i właśnie z tą kobietą, co do czego nie miała wątpliwości, spędzała czas w domu w Fitzrovia.

Zapisała sobie telefon i adres agenta Jacqui Sonningfeld i zaczęła szukać Kena Stonea. Było to o tyle trudniejsze, że podczas gdy w Internecie istniała tylko jedna Jacqui Sonningfeld, Ken Stone pojawił się w dziesiątkach wcieleń. Melody uznała, że nie ma większych szans trafić na tego jedyne Kena Stonea spośród setek rezultatów, więc spróbowała z Grace Stone. Na monitorze pojawiła się ciekawa selekcja rezultatów i między zestawami do grilla a kapami na łóżko znalazła szczególnie ciekawy wynik: instruktorka jogi w Folkestone. Miejsce i zawód się zgadzały. Melody zapisała podany numer komórki i głęboko wciągnęła powietrze. Miała się właśnie zabrać do szukania mamy.

Tak jak przypuszczała, na świecie istniała jedna jedyna Jane Ribblesdale, która w życiu dokonała tylko jednej jedynej rzeczy godnej odnotowania — ukradła dziecko. Przeszukała kilka stron z artykułami, ale nigdzie nie natknęła się na informacje, co stało się z kobietą od momentu wyroku ogłoszonego dwadzieścia lat temu. Sprawdziła więc tylko nazwę więzienia, w którym mama odsiadywała wyrok, i zapisała numer telefonu.

Nie znalazła żadnej wzmianki o Susie lub Susan Newsome. Tuż przed wrzuceniem notesu z powrotem do torebki zdała sobie sprawę, że nie sprawdziła jeszcze jednej osoby z listy. Wpisała więc „Seth Stone” i ku jej zdziwieniu Google pokazał ponad trzydzieści tysięcy wyników. Seth Stone był sławny! Seth Stone był liderem zespołu The Mercury. Melody słyszała o tym zespole. A nawet słyszała głos Seta Stonea.

Szybko sprawdziła jego biografię na jednej ze stron fanów, tylko by się upewnić, i znalazła: Seth Stone urodził się w 1977 w Broadstairs, Kent.

Przeczesała strony w poszukiwaniu numeru kontaktowego czy adresu. Przebrnęła przez szczegółowe opisy jego firmy fonograficznej i agencji, a kiedy dotarła do bardziej wnikliwych artykułów biograficznych, monitor zrobił się czarny. Godzina minęła.

Trzydzieści minut później dotarła do domu. Ed gdzieś wyszedł. Za oknem panowało brudne szare letnie popołudnie, na horyzoncie kłębiły się deszczowe chmury, a wilgotny wiatr bawił się śmieciem na ziemi. Melody skusiła się ciepłym powietrzem, wzięła kuchenne krzesło i puszkę spritea i usiadła na schodach przeciwpożarowych. Na kolanach położyła notatnik, a zębami zsunęła zakrętkę z długopisu. Chciała napisać list do Setha Stonea. Zdecydowała, że to właśnie od niego rozpocznie poszukiwania. Musiał wiedzieć, gdzie przebywali jego rodzice i brat. Melody była przekonana, że jak tylko odnajdzie Kena, uda jej się ułożyć resztę rozsypanej układanki.

„Witaj, Seth” — zaczęła. „Jestem pewna, że mnie nie pamiętasz, bo kiedy widziałam cię po raz ostatni, byłeś jeszcze małym dzieckiem, ale...”

Przerwała, cmoknęła z niezadowoleniem. Nie miała pojęcia, jak kontynuować list. Wydawało się, że nie ma nic prostszego od pytania: „Co się stało z moją rodziną? Co się stało z moimi przyjaciółmi? Co się stało ze mną?” Nie potrafiła jednak znaleźć właściwych słów, a im dłużej wpatrywała się w kartkę, tym mniej pomysłów przychodziło jej do głowy.

W końcu odłożyła notatnik na podłogę i zaczęła obserwować tętniący pod jej stopami dom. Dwóch chłopców z Etiopii grało w piłkę nożną; starsza kobieta, Violet, siedziała na leżaku w cukierkoworóżowe prążki i opierała pomarszczone dłonie o laskę; Peewee, mężczyzna cierpiący na autyzm, siedział w słonecznej plamie i szorował buty, a

mała dziewczynka z Kambodży leżała w wózku, ssała duży różowy smoczek i wpatrywała się w niebo, podczas gdy jej mama rozprawiała w przyspieszonym tempie z przyjaciółką z mieszkania obok. Nie miała komu pomachać czy wesoło zagadać.

Melody spędziła tu blisko połowę swojego życia, a mimo to, oprócz kilku przelotnych znajomości, nie nawiązała żadnych bliższych kontaktów. Zwykle ludzie przychodzili i odchodzili. Wystrzegała się towarzystwa tych, którzy utknęli tu na dłużej. Unikała więc samotnych mężczyzn, na wypadek gdyby opacznie zrozumieli jej intencje, unikała par, ponieważ uważała, że mogą na nią patrzeć z góry, unikała starszych ludzi, by nie próbowali jej wykorzystywać, a imigrantów i obco-krajowców też unikała, ponieważ nie znała ich języków. Przez te wszystkie lata ograniczyła życie do swoich czterech ścian, ale teraz, gdy poznawała kolejne warstwy jej własnej, prawdziwej historii, zaczęła się zastanawiać, dlaczego tak bardzo odizolowała się od reszty świata. Po chwili zrozumiała, że dystans chronił ją przed pytaniami ludzi, którzy chcieli się do niej zbliżyć. Im więcej pytań zadawali, tym bardziej niezręcznie się czuła. Zdała sobie sprawę, że poznawała właśnie odpowiedzi, choć dopiero w połowie ukształtowane, na wiele z tych pytań. Wreszcie stawała się prawie kimś.

Następnego dnia Melody zrobiła dwie niezwykle rzeczy: po pierwsze zostawiła wiadomość sekretarce agencji w Los Angeles reprezentującej Jacqui Sonningfeld. „Nazywam się Melody Ribblesdale — powiedziała. — Jestem pewna, że będzie mnie pamiętać. Kiedyś była moją macochą”. A potem, pół godziny później, z zaciśniętymi kciukami na szczęście, wrzuciła list do skrzynki na Endell Street, zaadresowany do Seta Stonea. Po wszystkim usiadła na chwilę na schodach przeciwpożarowych, wdychała głęboko powietrze i rozkoszowała się ciszą przed burzą. Początek miała już za sobą, piłka była w grze. W jej życiu nadszedł czas na wielkie zmiany.

ROZDZIAŁ 44

Teraz

ŻYCIE MELODY wypełniło się znakami zapytania. Jej głowa nieustannie pulsowała od pytań, które chciała zadać; w myślach układała listy do Jane Ribblesdale, rodziców, Jacqui Sonningfeld i siostry. Czeakała na nią cała plejada postaci, stali w szeregu w pełnej gotowości na spotkanie z nią, ale na razie byli jedynie postaciami.

Aż do 9.17 we wtorkowy poranek.

Melody siedziała przed telewizorem, oglądała telewizję śniadaniową i zastanawiała się, jak spędzić resztę dnia, gdy zadzwonił telefon. Wyświetlił się nieznany numer.

— Halo?

— Halo, rozmawiam z Melody? — zapytał ostry kobiecy głos, z amerykańskim akcentem.

— Tak, przy telefonie.

— O Boże, to nie do wiary! Mówi Jacqui, Jacqui Sonningfeld! Właśnie dostałam twoją wiadomość!

— O Boże, Jacqui, ja... — Melody poderwała się z sofy i przeczesła włosy dłonią.

— Nie obudziłam cię, mam nadzieję?

— Nie, nie! — zawołała. — W porządku! Nie śpię już...

— Mój Boże! Co u ciebie?

— W porządku, dobrze. To niesamowite. A co u ciebie?

— Fantastycznie. Omal nie padłam, kiedy dostałam twoją wiadomość. Co za szok. Przez te wszystkie lata zastanawiałam się, co się z

tobą stało. Słuchaj, Emily jest w Londynie! Dwa lata temu przeprowadziła się, pracuje teraz dla bbc. Musisz ją odnaleźć. W naszym domu traktujemy cię jak jakąś mitologiczną postać! Mówiła o tobie przez całe swoje dzieciństwo! Już ci daję jej numer, zadzwoń do niej, będzie totalnie zaskoczona!

— Och, dobrze, tak... — Melody przetrząsała szufladę w poszukiwaniu długopisu. — A Charlotte? — zapytała. — Co u Charlotte?

— Ach, Charlotte... Charlotte nic się nie zmieniła. Wypełnia papiery rozwodowe z mężem numer dwa, wciąż nie doczekałam się od niej żadnych wnuków, wciąż czeka na swój wielki przełom, wciąż jest jak wrzód na dupie. A ty? Powiedz, co się z tobą działo?

— Och, nie ma co za dużo opowiadać. Urodziłam syna, bardzo wcześnie, pracuję w szkole, jestem sama.

— A co stało się z tobą, po, no wiesz...

— Po śmierci taty?

— Tak, po śmierci taty.

— No właśnie tego nie wiem, nie jestem pewna. Moje dzieciństwo jest całe zamazane. — Dopiero teraz przypomniałam sobie ciebie i Emily. Przechodziłam obok domu na Goodge Street...

— Och, stary dom w Londynie! Jak wygląda?

— Dobrze, świetnie. Rozmawiałam z nową właścicielką. Powiedziała, że kupili dom od Charlotte...

— Więc wciąż tam są, ta amerykańska rodzina?

— Uhm. Ale zajęło mi to trochę czasu, by wszystko poukładać w całość.

— Nie dziwię się. Twoje dzieciństwo było jednym wielkim chaosem. Ale co stało się z tobą po, no wiesz, po tym jak twoja mama...? Zostałaś z ciocią, tak?

— Tak mi się wydaje, ale potem trafiłam do rodziny, do Clive'a i Glorii Browne.

— Zostałaś adoptowana?

— Nie wiem. Tak przypuszczam...

— Hmm... — głos Jacqui zastygł. — Kurczę, tak mi przykro, nie zdawałam sobie sprawy, ja... — Przerwała i Melody słyszała, jak zaciąga się papierosem. — Słuchaj, tutaj jest już późno, za cztery godziny mam być na planie. Muszę się kimnąć. Ale posłuchaj, zadzwoń do Emily, zadzwoń do niej natychmiast. Będzie najszcześniejsza na świecie! I bądźmy w kontakcie. Proszę. Przecież, można by w sumie powiedzieć, jesteśmy prawie rodziną...

Melody rozłączyła się i pozwoliła telefonowi osunąć się na sofę. Lorraine Kelly wciąż gorączkowo rozprawiała na temat jakiegoś podrabianego produktu do opalania. Melody wyłączyła telewizor. A potem pozwoliła wyrwać się z piersi okrzykowi podniecenia.

— O mój Boże — szeptała do siebie. — O mój Boże. Odnalazłam siostrę! Odnalazłam siostrę! O mój Boże! — Kilka razy okrążyła biegiem mieszkanie, nie była w stanie usiąść czy postać w jednym miejscu, co chwila pokrzykiwała i biegła dalej. W końcu opadła bez tchu na skraj sofy i wpatrywała się oszołomiona w telefon. Mogła go podnieść w każdej chwili, nacisnąć jedenaście guzików i minutę później usłyszy głos siostry, jej prawdziwej siostry. I właśnie gdy wpatrywała się w telefon, ten zaczął głośno i agresywnie dzwonić. Podskoczyła i uniosła go. Nie rozpoznała numeru. Może to ona? Czy to Emily? Nacisnęła przycisk „Odbierz”.

— Halo?

— Cześć, czy to Melody? — To nie była Emily. Mówił do niej męski głos z akcentem sugerującym londyńskie przedmieścia.

— Tak.

— Cześć! To ja, Seth. Seth Stone.

— O Boże, Seth, nie sądziłam, że dostaniesz mój list...

— No, nasza sekretarka dostała go dzisiaj rano, cała się nakręciła i zaraz do mnie zadzwoniła. Co u ciebie?

— W porządku... Mam... co za poranek. Czy ty w ogóle mnie pamiętasz? Nie przypuszczam.

— Nie, nie pamiętam ciebie, ale znam cię ze zdjęć.

— Naprawdę?

— Tak, mama zachowała kilka z czasów sąratu. Jedno jest super, zrobił ci je tata, na plaży w Viking Bay. Masz czerwone okulary przeciwsłoneczne i różowe plastikowe sandały. Zawsze wisiało na naszej korkowej tablicy w domu...

— Mówisz serio?

— Tak, mama uwielbiała to zdjęcie. Kiedyś to nawet dotykała je za każdym razem, gdy przechodziła obok. Myślę, że czuła się źle, no wiesz, że cię wywieźli, a ona straciła kontakt.

— Czy mama wciąż...?

— Żyje? O Boże, tak i to dobrze i prawdziwie. Zbliża się do siedemdziesiątki, ale wciąż uczy jogi.

— W Folkestone?

— Tak, w Folkestone? Skąd wiesz?

— Z Internetu. Ze strony z nauczycielami jogi.

— No więc uczy, potrafi zrobić szpagat, wciąż jest pełna werwy, sama wiesz. Boże, musisz do niej zadzwonić. Nie uwierzy, jak cię usłyszy. Będzie taka szczęśliwa, przysięgam...

Melody wzięła głęboki oddech przed zadaniem kolejnego pytania, którego serce obawiało się najbardziej.

— A co z twoim tatą? Co stało się z Kenem? Wciąż mieszka w Broadstairs?

— No niezupełnie, kochany staruszek mieszka teraz w Hiszpanii, wyniósł się tam, kiedy miałem ze trzy lata, po tym jak odnalazł się właściciel domu. Miał dosyć Wysp. Odechciało mu się walki z wiatrakami i ze znajomymi Kate i Michaela kupili za jakieś dziesięć funciaków farmę i zmienili ją w eko-letnisko. Minęło ze sto lat, zanim interes chwycił. Wcinają tylko to, co sami uprawiają i wyhodują, żadnej chemii i takie tam. Ożenił się z Hiszpanką, mają szóstkę dzieciaków. Do tego przez dom przewijają się tłumy. Wydaje mi się, że za chwilę na świecie pojawią się kolejne dwa dzieciaki Kena.

— Widujesz się z nim?

— Tak, oczywiście. Przyjeżdżam tam na każde Boże Narodzenie. I zawsze wpadam na kilka dni, kiedy muszę trochę wyluzować, po trasie koncertowej czy coś. Powinnaś pojechać i się z nim spotkać, będzie w siódmym niebie, serio.

— Więc mnie pamięta?

— Boże, no pewnie, że tak. Myślę, że on wciąż wierzy, że pewnego dnia po prostu staniesz w jego drzwiach. Zawsze powtarza, że łączyła was ta cała więź, że znów się odnajdziecie. I wygląda na to, że miał rację...

Melody uśmiechnęła się zwycięsko. Oczywiście. Oczywiście! To poczucie wyjątkowości, głębokiej miłości, serdeczności, które zawsze towarzyszyły jej rozmyślaniom na temat relacji z Kenem, i to od pierw-

szej chwili, gdy dwa tygodnie temu ponownie zawitał w jej świadomości; wszystko było prawdziwe!

— A co z Mattym? Co się stało z Mattym?

— A tak, Matty. No cóż, historia Mattyego nie jest taka słodka. Zgubił swoją drogę.

Dlaczego? Co się stało?

— Wiele rzeczy. Zmarł jego ojciec, małżeństwo szybko mu się rozsypało, zaczął pić.

— Jak jego ojciec?

— Dokładnie tak. Głównie mieszka z mamą, z przerwami, gdy puszcza się w tango.

— A wtedy co?

— Wtedy robi, co chce, znika, z nikim się nie kontaktuje przez kilka tygodni, śpi byle gdzie, podejrzewam, że gdzieś w Broadstairs.

— Och! — powiedziała Melody, dopasowując nagle dwa elementy układanki. — Matthew!

— Tak, teraz to Matthew, od lat jest Matthew.

— Ale ja go znam! To znaczy spotkałam go w Broadstairs. To on jest mężczyzną z kręconymi włosami, rozmawiałam z nim.

— I co? Jak wyglądał?

— Był pijany

— No to z pewnością był Matthew.

— Boże, nie mogę uwierzyć, że go nie rozpoznałam.

— Tak, no cóż, od czasu, gdy był małym chłopcem z torbą pełną skalpeli i króliczych łapek, przeszedł długą drogę.

Melody przypomniała sobie strzępy wspomnień na temat chłopca z domu nad morzem. Był poważny, miał oliwkową cerę, zawsze wypatrywał sensacji i szukał ciekawych historii w życiu. Najwyraźniej zarzucił te poszukiwania i pozwolił, by jego życie kompletnie się pogmatwało.

— To bardzo smutne.

— Tak. Trochę jak nieszczęśliwe zakończenie. Nie wiem, co z nim będzie, jak mama odejdzie, no wiesz. Boję się tego dnia, bo wtedy nigdzie nie znajdzie bezpiecznego kąta, nikt się nim nie zajmie... — Przerwał. — Słuchaj, muszę lecieć, jesteśmy w studio i chłopaki na mnie czekają, ale odezwij się do mamy. Zamuruje ją na amen.

— A twój tata, jak mogę się z nim skontaktować?

— A to już trochę trudniejsza sprawa, żadnych telefonów czy komputerów. Możesz do niego napisać, a najlepiej zarezerwuj bilet lotniczy. Po prostu stań w jego drzwiach. Spełnij jego marzenie.

Melody rozłączyła się chwilę później i wpatrywała się w notes. W przeciągu pół godziny zdobyła telefon siostry, Grace i adres Kena Stonea w Andaluzji. Rozmawiała ze swoją byłą macochą i chłopakiem, z którym mieszkała w sąsiedztwie w Broadstairs. Zdała sobie sprawę, że spotkała się z Mattym, choć nie była tego świadoma. Ale w całym tym rozgorączkowaniu i podenerwowaniu z nowych odkryć nie zrobiła najważniejszej rzeczy. Nie zapytała nikogo, co się stało z jej mamą.

Wieczorem, przeczuwając zbliżający się moment ułożenia układanki, Melody chwyciła telefon i otworzyła ostatni sms od Bena. Wystukała odpowiedź: „Cześć. Sorry, że zniknęłam bez śladu. Mam teraz za dużo na głowie. Co byś powiedział na kolację w przyszłym tygodniu?”

Ekran rozświecił się, jak tylko zdążyła odłożyć telefon na stoliczek.

„Za zniknięcie nie przepraszaj. Doskonale rozumiem. Mam wielką ochotę zjeść kolację u ciebie. Poniedziałek to trochę za wcześnie?”

„Poniedziałek może być. Będzie też Ed. Mam nadzieję, że to ok”.

„Super. Masz ochotę na pogawędkę?”

Melody wpatrywała się przez chwilę w telefon. Ten pisemny kontakt bardzo jej odpowiadał. Przynajmniej nad tym miała kontrolę. Odpisała: „Innym razem. Mam ochotę spać. Pogadamy sobie w poniedziałek”.

„Pewnie — odpisał Ben. — Dobrych snów. Itd. itd.”

„Chrr... chrr... chrr...”

„.* :.* :.* :.* :.* :.* :.* :.*”

Melody uśmiechnęła się, wyłączyła telefon i zgasiła nocną lampkę.

ROZDZIAŁ 45

1980

MELODY WPATRYWAŁA SIĘ w mały schludny dom w Spinners Way. Parter wykończony czerwoną cegłą i obite białymi plastikowymi panelami piętro nadawały budynkowi świeży i nowoczesny charakter. Na dachu królował komin zbudowany z cegieł w różnych kolorach. Dom leżał w sąsiedztwie podobnych budynków, przy ulicy w kształcie podkowy. Krótki podjazd prowadził do garażu z niebieskimi drzwiami obrotowymi, a w ogrodzie rosła araukaria. Ładny i czysty dom kojarzył się z niezmaconym szczęściem.

Na ziemi obok Melody stały jej rzeczy: niewielka walizka wypełniona wszystkimi ładnymi ubraniami od cioci Susie, przewiązany sznurkiem obrazek hiszpańskiej dziewczyny, mały plecak pełen książek i pamiątek, takich jak na przykład wysuszona mysz, którą dostała od Mattyego.

Ciocia Susie położyła lepką dłoń na ramieniu dziewczynki.

— No to co, zadzwonimy?

Drzwi otworzyła kobieta z jasnymi włosami, utapirowanymi na kształt tulipana. Miała na sobie kardigan w płowym kolorze, płową spódnicę, płowe rajstopy i płowe mokasyny, a dookoła szyi naszyjnik z pereł. Zaprosiła gości do środka, pocałowała ciocię Susie dwa razy, po raz w każdy policzek, a potem pochyliła się i zwróciła się do Melody.

— Witaj, Melody — przemówiła bardzo cienkim głosem małej dziewczynki. — Jestem Gloria. Bardzo się cieszę, że mogę cię poznać.

Melody uśmiechnęła się. Nie wiedziała, co powinna powiedzieć.

— Jak wam minęła droga? — Gloria zwróciła się do cioci Susie.

— Och, dobrze, dobrze. Piękny dzień, prawda?

Faktycznie, dzień był ładny, ciepły i wiosenny. Delikatne powietrze zapowiadało lato. W takie dni Melody miała ochotę nałożyć sandały i pobiec na plażę z wiaderkiem i łopatką i wepchnąć spódnicę w majtki, by móc brodzić w wodzie. Ale dzisiaj mogła zapomnieć o pluśkaniu w wodzie czy zamkach z piasku, ponieważ dzisiaj rano pożegnała się z Broadstairs. Co prawda Canterbury od Broadstairs dzieliło zaledwie kilka mil, ale według Melody równie dobrze mogła być teraz w Timbuktu.

— Bardzo ci dziękuję, Glorio — Susie mówiła do płowej kobiety. — To wszystko odbyło się prawie bez uprzedzenia. Naprawdę to doceniam. Ale tam nie jest bezpieczna, już nie.

— Oczywiście, rozumiem doskonale. — Gloria spojrzała na Melody i uśmiechnęła się życzliwie. — Tutaj nic ci nie grozi. Dopilnujemy tego.

Poprowadziła ich do ładnego pokoju dziennego umeblowanego dwiema sofami z kwiecistym nadrukiem i niebieskim fotelem z uszankami Dralon. Na środku pokoju stał stół z trzema talerzami. Na jednym leżało osiem ćwiartek jajek i kanapki bez skórek z rzeżuchą, na drugim kwintet kokosowych makaroników, a na trzecim mała kawa i ciasto orzechowe ze srebrnym nożem do krojenia obok. Z kuchni wyszedł wysoki i chudy mężczyzna. Jego rzadkie i popielate włosy, starannie zaczesane, przykrywały łysy placek na szczycie głowy. W rękach trzymał tacę z imbrykiem nakrytym pikowanym ocieplaczem, udekorowanym ilustracjami małych angielskich ptaków, czterema filiżankami, czterema talerzykami, miseczką z kostkami cukru, małym dzbanuszkim z mlekiem i stertą niezwykle błyszczących łyżeczek.

— Witajcie! — powiedział mężczyzna, kładąc tacę i uśmiechając się ciepło do dziewczynki. — Ty musisz być Melody.

Melody kiwnęła głową.

— Ja jestem Clive. — Wyciągnął do niej dużą, suchą dłoń. — Bardzo się cieszę, że mogę cię poznać. Słyszałem, że prześladowuje cię ostatnio pech.

Melody wzruszyła ramionami i wepchnęła dłonie pod siebie.

— Ale tutaj — kontynuował — jest miło i spokojnie. Nie zdarzy się nic nieprzewidzianego. Czy mogę wam nalać herbaty?

Melody rozejrzała się po pokoju. Wnętrze przypominało jej trochę dom cioci Susie, bo tu również panowała cisza, którą rozpraszało jedynie tykanie zegara, ale było dużo ładniejsze. Na ścianach prezentowały się śliczne obrazy, meble wyglądały jak antyki, a w oknach wisiały grube przytulne zasłony. Melody pomyślała, że tutaj często przychodzili goście, podczas gdy w domu cioci Susie nie było nawet imbryka, bo tam nikt nie wpadał z wizytą.

— Wiesz, Melody — odezwała się Gloria, wygładzając płową spódnice — zadzwoniłam dzisiaj rano do lokalnej szkoły i szczęśliwym trafem mają dla ciebie wolne miejsce, więc po południu możemy pojechać do miasta kupić ci mundurek. Możesz zacząć od jutra rana. To dobrze, prawda?

Melody kiwnęła sztywno głową i uśmiechnęła się. Miała tu spędzić kilka tygodni i perspektywa uczenia się w szkole bez Penny była niemal warta opuszczenia Broadstairs.

— A twoja ciocia Susan powiedziała mi, że lubisz rysować, więc zapisałam cię na zajęcia plastyczne w sali parafialnej i, jeśli tylko zechcesz, możesz dołączyć do drużyny skautów. Jestem Brown Owi w lokalnym zastępie, więc służę jako ekspert. — Przerwała i znów się uśmiechnęła. Wydawało się, że dostała zadyszki, jakby bardzo się spieszyła. — Chcesz zobaczyć swój pokój? — Pokiwała potakująco i niemal jednocześnie zaprzeczyła głową, potem zaśmiała się nerwowo. Zupełnie jakby miała jakiś problem i nie mogła przestać mówić. — Może później — odpowiedziała sobie na to pytanie niemal natychmiast. —

W każdym razie jestem pewna, że wszystko się ułoży. — Odwróciła się do męża i mocno chwyciła jego dłoń. — Prawda, Clive?

Clive kiwnął głową i objął Glorię ramieniem, co natychmiast uspokoiło Melody.

— Tak sędzę. W tym domu do pełni szczęścia brakuje jedynie dziecka. Och, a obok mieszkają dwie dziewczynki, mają po dziesięć i jedenaście lat. Będziesz miała towarzystwo do zabawy.

Trójka dorosłych odwróciła się i uśmiechnęła do Melody, a ona czuła, że oczekują, by się teraz odezwała, najlepiej w dziękczynnym tonie. Ale to nie było łatwe, bo Melody wcale nie czuła wdzięczności. Nie przejmowała się ludźmi wrzucającymi kupę do skrzynki albo malującymi nieprzyzwoite napisy, no przynajmniej nie tak bardzo, jak przejmowała się tym, że siedziała w tym dziwnym domu, wiele mil od Kena i od całego dobrze znanego jej świata.

— Dziękuję — bąknęła w końcu — dziękuję za goszczenie mnie tutaj.

Trzy dorosłe twarze uśmiechnęły się do niej. Ulga wyraźnie złagodziła ich rysy, najwyraźniej doszli do wniosku, że pomimo powściągliwości dziewczynka była tu szczęśliwa.

— To przyjemność mieć cię tutaj — Clive zapewniał wylewnie — prawdziwa przyjemność. I nie martw się, zadbamy o to, by nic złego ci się nie stało, nic a nic.

Melody uśmiechnęła się powściągliwie, wbiła palce w uda i pomyślała, że akurat na to było już o wiele za późno.

Ciocia Susie została w domu Clive'a i Glorii przez trzy dni, a potem, w nieco łzawym nastroju, zebrała się w powrotną podróż do Broadstairs.

— Bądź grzeczna — powiedziała, mierzwiąc włosy Melody dużą gumowatą dłonią. — Zresztą dobrze wiem, że będziesz, bo zawsze jesteś grzeczna. I przyślę po ciebie, jak tylko wszystko się uspokoi. Kiedy ci wszyscy okropni ludzie znajdą sobie lepsze zajęcie niż naprzykrzanie się niewinnej siedmiolatce. Rozstajemy się tylko na jakiś czas, na kilka tygodni. — Wyciągnęła brudną chusteczkę z rękawa przeogromnej sukni i bardzo głośno wydmuchała w nią nos. — Jesteś cudowną, cudowną dziewczynką, Melody Ribblesdale. Będę za tobą tęskniła.

Melody objęła ramionami miękką talię cioci Susie i pozwoliła jej na niezręczny, szorstki od kilkudniowego zarostu, pocałunek w policzek.

— Do zobaczenia wkrótce — Melody spojrzała na ciocię — naprawdę, naprawdę, naprawdę wkrótce.

Susie pokiwała głową i wytarła łzę starą chusteczką.

— Oczywiście, że tak — przytaknęła. — A teraz wracaj do środka, pozwól mi się pożegnać z Clive'em i Glorią.

Melody stała przy drzwiach wejściowych, wsłuchiwała się w niskie i poważne głosy dorosłych rozprawiających na ścieżce przed domem.

— Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze — ciocia Susie oddychała z trudem. — Lekarz mówi, że to bardzo powszechne, szczególnie u ludzi o większej posturze, i cały ten dramat, cały ten stres, to nie pomaga. Kilka dni spokoju i ciszy i będę zdrowa jak rydz.

— Wiesz, że możesz zostać z nami tak długo, jak chcesz. Nie ma potrzeby, żebyś się spieszyła, w domu jest mnóstwo miejsca.

— Nie, muszę wracać do siebie. Potrzebuję moich wygod. Wiecie, jak to jest. Ale dziękuję wam, dziękuję wam za wszystko. Jestem pew-

na, że Melody nie sprawi żadnych kłopotów. To taka dobra dziewczynka, naprawdę.

Słyszając ryk silnika samochodu cioci Susie, Melody uniosła ciężką zasłonę w pokoju gościnnym. Obserwowała walczącą o obrót przez ramię ciocię, obwód karku skutecznie ograniczał zakres jej ruchów. A potem patrzyła, jak ciocia wycofuje samochód z podjazdu, z trudem włącza pierwszy bieg, by po chwili wolno i ostrożnie wytoczyć się ze ślepej uliczki w kierunku morza.

Melody podobało się w domu Clive'a i Glorii. Gloria dokładała wszelkich starań, by dziewczynka przez cały czas miała zajęcie. Wozila ją w pachnącym fiacie panda przez śliczne miasto Canterbury, ozdobione kościelnymi iglicami i starymi grubymi murami, do szkoły, na lekcje tańca i spotkania w zaprzyjaźnionych domach skautów. Melody miała wrażenie, że Gloria całe życie czekała na towarzystwo małej dziewczynki. Była perfekcyjnie przygotowana. A Clive zachowywał się tak zabawnie. Zawsze robił głupkowate rzeczy, by ją rozśmieszyć, bawił się z nią w ogrodzie piłką albo proponował grę w swingball. Przypominał rozbrykanego Lurchera, sprężysty i żwawy, wiecznie nienasycony świeżym powietrzem i aktywnością fizyczną.

Melody nie mogła się nadziwić, że Clive i Gloria nie mieli swoich dzieci.

— Dlaczego nie macie dzieci? — zapytała Glorię w kuchni, gdy pewnego popołudnia malowała ugotowane na twardo jajka wielkanocne.

— Ach — Gloria pisnęła dziewczęcym głosem. Miała na sobie obszyty falbanką fartuch z wymalowanymi gałązkami kwitnącej wiśni. — Niestety nie wszyscy mogą mieć dzieci.

— Dlaczego? — zapytała Melody, wypełniając farbą płatki maleńkiej stokrotki.

— To ma związek z biologią. — Gloria przerwała i wytarła odruchowo ręce w świeży, modny fartuch. — Znasz się na biologii?

— Wiem, co może wyrosnąć w szalkach Petriego, i słyszałam o bakteriach i takich tam.

— Te sprawy dotyczą ludzkiej biologii. Naszych wnętrzności, tego, jak funkcjonują nasze ciała, i problem w tym, że z moją biologią jest coś nie tak. Nie funkcjonuje prawidłowo i nie robi pewnych... rzeczy, tych, które są potrzebne do urodzenia dzieci...

— Jak jajeczka?

Gloria spojrzała na nią zdziwiona.

— Tak — odpowiedziała — jak jajeczka. Moje ciało przestało robić jajeczka ciut za wcześnie i kiedy poznałam Clive'a było już za późno. Więc dlatego nie mamy dzieci.

— Jest ci smutno z tego powodu?

Gloria uśmiechnęła się, ale tylko ustami.

— Tak, jest mi z tego powodu bardzo smutno. No dobrze — zmieniła temat, wyjmując energicznie kolejny garnek z ostudzonymi jajkami — co namalujemy na tych? Myślę, że szczęśliwe twarze, co? Tak, mnóstwo ślicznych, roześmianych twarzy.

Melody wpatrywała się w Glorię, w jej wąską talię i cienkie włosy i myślała o wnętrzu kobiety, o jej biologii, o tych biednych pustych miejscach, które powinny być wypełnione jajeczkami, a później dziećmi. A potem pomyślała

zmarłej siostrzyczce Romany i o dziecku, które ukradła mama, by wypełnić swoją pustkę, i o siostrze w Ameryce, której być może już nigdy nie zobaczy, i doszła do wniosku, że tak naprawdę, kiedy przyszło co do czego, to z dziećmi były same kłopoty.

Po dwóch tygodniach w domu Clive'a i Glorii pojawił się Ken. Przyjechał na motorze, ubrany w szorstki płaszcz i owinięty chustką, która wyglądała jak kuchenna ścierka. Ściągnął kask i Melody zobaczyła, że zapuścił brodę, nie taką normalną, zakrywającą twarz, ale cienką i spiczastą.

Przytuliła się do niego bardzo mocno. Przez chwilę delectowała się jego zapachem skomponowanym z kurzu, wilgoci i ziołowego aromatu domu.

— To jest Ken — przedstawiła przyjaciela Clive'owi i Glorii.

— Miło nam cię poznać — odpowiedział Clive, a Gloria uśmiechnęła się poprawnie i porządnie ułożyła małe dłonie na kolanach.

Ken wyglądał dziwnie w tym domu, w starych rzeczach, potarganych włosach i wyblakłych tatuażach. Kwiaty na sofach państwa Browne niemalże wzdrygały się z przerażenia. Ken zaproponował, że zabierze Melody na przejażdżkę do miasta i na filiżankę lemoniady, ale Gloria zawetowała ten pomysł, stwierdzając, że było „trochę chłodno” i że Melody już ma „lekki katar”. Siedzieli więc w ładnym pokoju gościnnym, opróżniali talerz pełnoziarnistych ciasteczek i dzbanek herbaty, krążyli wśród przedziwnych tematów rozmów.

— Czym się zajmujesz, Ken?

Ken odstawił z brzękiem filiżankę herbaty.

— Tym i tamtym, tak naprawdę. Myślę, że możesz mnie nazwać agentem zmian.

Clive uniósł brwi i pochylił się do przodu.

— Agentem zmian? Sorry, ale musisz mnie oświecić.

— Za młodu byłem aktywistą, bojownikiem, no wiesz, próbowałem zmienić bieg świata, uczynić go lepszym dla moich dzieci, więc maszerowałem z durnymi, wielkimi plakatami i zawracałem głowę po-

litykom, ale dzisiaj, no cóż, można powiedzieć, że zmiękłem. Dzisiaj jestem bardziej... subtelny. Listy publikowane w strategicznie ważnych gazetach, kilka inteligentnych, dobrze skleconych broszur wsuniętych — udał wysyłanie listu — przez drzwi wejściowe. Jestem za stary, by prowadzić rozwrzeszczane spotkania. — Uśmiechnął się i unióś filiżankę. — Efekt odpuszczania — zakończył z mrugnięciem.

— I mieszkasz w sąuacie, tak?

— Można to nazwać sąuatem albo pustym domem, którym z miłością zaopiekowała się grupa porządnych, szanujących się ludzi. — Powiedział to tak, jak mówił wszystko inne, tak czarującym tonem głosu, że nikt, nawet lekko spięta Gloria nie mogła się obrazić. — Ale to już koniec. — Odwrócił się i ujął dłoń Melody. — Złe wieści dla domu — patrzył na dziewczynkę smutnymi i wilgotnymi od łez oczyma. — Odnalazł się właściciel, dom przejął jego daleki siostrzeniec, który chce go sprzedać. Wysłał nam nakaz sądowy i do końca tygodnia musimy się wynieść.

Melody zeszywniała.

— Co? Chcesz powiedzieć, że wy wszyscy? Grace i Matty, i Seth, i Kate, i Michael, i... — miała powiedzieć „mama i ja”, ale powstrzymała się w samą porę.

— Niestety tak. To już koniec.

Melody wbiła paznokcie w kolana, naprawdę mocno. Chciała krzyczeć. Chciała coś zniszczyć. Chciała wydłubać sobie oczy. To już koniec. To już koniec. Nie ma Kena, nie ma Grace, Matty ego ani Setha. Trzymała paznokcie wbite w ciało tak długo, aż przestała czuć ból, i uniosła wzrok.

— Ale dokąd pójdziecie? — zdołała zapytać tak słabym głosem, że nie była pewna, czy w ogóle wypowiedziała jakieś słowa.

Ken wzruszył ramionami i podrapał policzki brudnymi paznokciami.

— Gracie zabiera chłopaków do Folkestone na jakiś czas, do mieszkania po swojej mamie. A ja, Kate i Michael ruszamy do Hiszpanii na kilka tygodni, żeby złapać oddech, no wiesz.

Melody pokiwała głową, ale tak naprawdę to nie wiedziała. Dlaczego Grace zostawała tutaj i nie jechała do Hiszpanii z Kenem? O jakim oddechu mówił?

— Ale co z mamą? — czuła narastającą panikę. — Co stanie się z mamą, kiedy wyjdzie z więzienia?

Ken znów objął jej rękę i uścisnął ją naprawdę mocno.

— Słuchaj, nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. To trudne, bo... bo chodzi o to, że nikt tak naprawdę nie wie, co stanie się z mamą.

Melody nie spuszczała z niego wzroku, pragnęła, by swoim zwyczajem obrócił wszystko na lepsze. To, co mówił, nie miało najmniejszego sensu. Jak to nikt nie wiedział, co stanie się z mamą? Została skazana na dwa lata. W więzieniu odsiedziała już sześć tygodni. Według obliczeń Melody oznaczało to, że miała wyjść za rok, dziesięć miesięcy i dwa tygodnie. Melody zawsze głęboko wierzyła, że pewnego dnia ona i mama, trzymając się za ręce, wrócą do domu na Chandos Square i poproszą o cienisty pokój na strychu. Ale teraz słyszy, że ten dom przestaje istnieć, a mama być może nigdy już nie wyjdzie z więzienia.

— Widziałeś się z nią? — zapytała najmocniejszym głosem, na jaki potrafiła się zdobyć.

— Tak, w zeszłym tygodniu. Ona nie czuje się najlepiej, Melody. Być może upłynie sporo czasu, zanim uznają, że poprawiło jej się na tyle, że będzie mogła wrócić do domu.

Melody przełknęła ślinę.

— Co to znaczy sporo czasu?

— Tak naprawdę to nie wiem, ale oni robią wszystko, żeby znowu się dobrze czuła. Chciałbym, żebyś po prostu niczego nie oczekiwała. Wszystko może się zdarzyć.

Słowa Kena sprawiły, że Melody zrobiło się zimno i poczuła strach, jakby siedziała zupełnie sama w dużym pokoju przesiąkniętym echem, oblepionym pajęczynami, z trzeszczącymi głosami w ścianach i z drzwiami bez klamek. Czuła się zbyt smutna, by zapłakać, i zbyt przestraszona, by poprosić o pomoc, zamiast tego więc sięgnęła po ciasteczko i podała je Kenowi, który wziął je z jej wyciągniętej dłoni z bardzo smutnym uśmiechem.

Ken wyszedł pół godziny później. Spieszył się do biura paszportowego. Musiał zdążyć przed zamknięciem, ale zanim poszedł, stał przez chwilę w ogrodzie z Melody, palił nierównego skręta i wpatrywał się z zamyśleniem w drzewa nad ich głowami. Po chwili odchrząknął i zwrócił się do dziewczynki.

— Wydają się całkiem mili, ci dwoje. — Niezgrabnie wskazał na drzwi domu.

— Tak, są bardzo mili. Nie mogą mieć własnego dziecka, więc są dla mnie ekstra mili.

— Mogłaś trafić o wiele gorzej.

Pokiwała głową, nie rozumiejąc tak naprawdę pełnego znaczenia tych słów. Zadarli głowy i wpatrywali się w szeleszczące liście na zwi-sających nad nimi gałęziach. Melody oblizwała usta.

— Mogę jechać z tobą? — wyszeptała w ramię Kena, cichutko, tak by jej słowa nie zdenerwowały Clive'a i Glorii. — Mogę pojechać do Hiszpanii, z tobą i Kate, i Michael'em?

Ken odwrócił się i spojrzał na Melody. Jego twarz była bardzo smutna. Ukucnął i wziął jej rękę.

— Melody — przemówił delikatnym głosem — niczego nie pragnę równie mocno jak tego, bym mógł cię zabrać ze sobą do Hiszpanii, do diabła, bym mógł cię zabrać do Broadstairs. Chciałbym cię zabrać ze sobą wszędzie, zawsze i na zawsze. Ale ludzie, którzy rządzą tym wielkim, starym, ohydny światem, nie pozwalają mi na to. Z jakichś powodów, zupełnie dla mnie niezrozumiałych, nie mogę być za ciebie odpowiedzialny. Nie mogę wpisać ciebie do swojego paszportu. Nie mogę z tobą mieszkać. Tego — machnął w stronę nieskazitelnych rabat kwiatowych w ogrodzie Clive'a i Glorii — tego chcą dla ciebie. Nie ma znaczenia, co ty czujesz i co ja czuję, „oni” definiują to, co niby jest dla nas najlepsze. Przynajmniej na teraz. Więc póki co musisz nadal być dzielną, wyjątkową dziewczynką, taką jak zawsze byłaś, być miłą dla tych dobrych ludzi i pracować ciężko w szkole i może pewnego dnia oni zmienią zdanie.

— Oni?

— Tak. Oni. Tresowane małpy i laboratoryjne szczury, którzy mówią nam, jak mamy żyć. Ale znasz mnie, wiecznego wojownika, jeszcze się nie poddałem. Zawsze znajdzie się jakiś sposób, żeby pokonać system, zawsze znajdzie się sposób, żeby zrobić to, czego się pragnie, więc trzymaj się, moja mała, trzymaj się i bądź silna. Dla mnie. — Pocałował jej dłoń swoimi aksamitnymi ustami, potem pocałował czubek jej głowy, całkiem mocno, jakby chciał wyssać coś z jej duszy, a potem wstał. — Och — przypomniał sobie coś nagle, włożył skręta w usta i chwycił się za kieszeń płaszcza. — Przywiozłem ci trochę rzeczy, poczekaj, są gdzieś tutaj. — Po chwili udało mu się wygrzebać książkę, pudełko od zapalek i czerwoną klamrę. Książka nosiła tytuł *Ania z Zielonego Wzgórza*. — Grace kupiła ją z myślą o tobie, pomyślała, że to coś dla ciebie. — W pudełku od zapalek leżała mała, zdechła żaba, skrupulatnie powleczone złotym liściem. — Matty zrobił to dla ciebie,

znalazł tę żabę na torach. — A czerwona klamra należała do niej i została znaleziona przy łóżku w pokoju na poddaszu.

— Czy... czy mama przekazała coś dla mnie? — zapytała, zamykając pudełko od zapalek.

— Nie, nic od twojej mamy, przykro mi. W tej chwili mama nie jest zdolna do myślenia o takich rzeczach.

— A czy pytała o mnie?

Ken spojrzał na nią z ukosa.

— O tak, oczywiście. Chciała wiedzieć, czy u ciebie wszystko w porządku.

— I co jej powiedziałaś? Powiedziałaś jej, że jestem tutaj? Czy ona wie, gdzie mieszkam?

— Tak, wie, że tu jesteś.

— I co powiedziała? Miała coś przeciwko? Była zła?

— Nie sędzę... — Ken łagodnie strząsnął spalony kawałek skręta na ziemię pod schludnym trawnikiem państwa Browne i wsunął niedopałek do kieszeni — ...żeby twoja mama czuła się na tyle dobrze, by rozzłościć się o cokolwiek. Chodź — wyciągnął do niej dłoń — muszę już iść. Chodź i pomachaj mi.

Melody musiała użyć całej siły, by nie rozplakać się na widok Kena zakładającego stary kask i odpalającego motor chwilę później. Wpatrywała się z tęsknotą w pustą przyczepkę i wyobrażała sobie siebie w futrzanym płaszczku, który ciocia Susie kupiła jej w zeszłym miesiącu w Fenwicks, i w nowych rękawiczkach Fair Isle, jak wciśnięta obok Kena rusza ku przygodzie, w której z pewnością pojawiłaby się lemoniada i lody, a potem wracają do domu w Broadstairs z różowymi policzkami i brzuchem pełnym cukru.

Uśmiechnęła się dzielnie na dźwięk zwiększonych obrotów motorowego silnika i machała w stronę Kena ze wszystkich sił. Gdy zniknął już zupełnie, odwróciła się i pobiegła prosto do swojego pokoju, gdzie wylądowała ze skrzyżowanymi nogami na podłodze i zaczęła płakać. Rozejrzała się po pokoju wilgotnymi oczyma i jej wzrok zatrzymał się na obrazku hiszpańskiej dziewczyny. Patrzyła z otuchą na Melody. Jej szeroko otwarte oczy wciąż mieniły się niewiarygodnym, opalizującym odcieniem niebieskiego, podobnego do tego ze skrzydeł motyla. Jej ciemne i błyszczące włosy nadal przypominały salaterkę z roztopioną czekoladą, a szkarłatna sukienka dalej kojarzyła się z malinowym sosem.

— To nie fair — szlochała Melody — to nie fair. Wszystko jest nie fair. Wszystko. Wszystko. — Hiszpanka uśmiechnęła się współczująco. — Chcę wracać do domu. Chcę do mamusi i do tatusia i chcę wracać do domu!!!

Melody zamknęła oczy i pozwoliła łzom spływać po twarzy. Kiedy je znów otworzyła, zobaczyła Glorię, która z twarzą złamaną bolesnym smutkiem cicho i powoli zamknęła drzwi sypialni i zeszła po schodach.

ROZDZIAŁ 46

Teraz

W SOBOTĘ RANO Melody wysuszyła włosy ale nie jak to miała w zwyczaju, w pospieszny, rozwichrzony sposób, ale porządnie ułożyła włosy za pomocą okrągłej szczotki, gratisowo dodanej do suszarki. Tapirowała i okręcała orzechowe pukle, aż przykryły jej ramiona lśnjącymi kaskadami. Potem sięgnęła po starą torebkę z kosmetykami do makijażu i pociągnęła eyelinerem wzdłuż powiek, wklepała korektor pod oczy, a rzęsy pomalowała brązowym tuszem. Rześki poranek zatarł wszelkie ślady lata w powietrzu, wciągnęła więc džinsy, biały top na ramiączkach i otuliła się kardiganem w gruby prążek, w słodkim, błękitnym kolorze. Wsunęła stopy w nowusieńkie adidas Geox, a w uszach zawiesiła duże srebrne koła. Przyglądała się odbiciu w lustrze i zastanawiała się, jakie może wyrzeć wrażenie. Nie wyglądała jak pomoc kuchenna ani jak matka samotnie wychowująca dziecko, zajmująca mieszkanie komunalne, ale nie wyglądała też jak dziewczyna z Los Angeles o imieniu Emily, która pracowała dla bbc i której mama została nominowana do Oscara. Westchnęła i zaczesła błyszczący kosmyk za ucho. Radiobudzik zakomunikował, że była 11.58. Spóźniała się.

Zobaczyła Emily siedzącą na ławce przed kawiarnią w Lad-broke Grove.

— Cześć — zwróciła się do niej łagodnie. — Emily?

Emily odwróciła twarz i uśmiechnęła się, a serce Melody zastygło. Orzechowe włosy, orzechowe oczy, delikatne, okrągłe rysy, jasne brwi

i uśmiech, który zmienił jej wyniosłość w słodycz. Patrzyła w lustro, pochlebne lustro.

— Melody! O ja cię kręcę! — Emily zerwała się na równe nogi i Melody odkryła, że były równego wzrostu. Emily stała przez chwilę z szeroko otwartą buzią i wpatrywała się w siostrę, jej oczy chłoneły każdy detal twarzy Melody. — To. Nie. Dzieje. Się. Naprawdę.

Melody pokiwała głową i wpatrywała się w młodszą siostrę. Dostrzegła śnieżnobiałe zęby, podwójnie przekłute uszy, spiczaste zielone czółenka i szare džinsowe rurki.

— Jejku, to niesamowite — zgodziła się.

— Dokładnie tak sobie ciebie wyobrażałam. Wyglądasz jak tata, jak...

— Ty?

Emily zaśmiała się.

— Tak, jak ja.

— A ile masz teraz lat?

— Prawie dwadzieścia osiem! Starzeję się!

— Och, dwadzieścia osiem, wciąż jesteś dzieckiem.

— Już się nim nie czuję. Chociaż styl życia, jaki prowadzę, może sugerować kogoś znacznie młodszego. Wejdziemy na kawę?

Skierowały się do kawiarni na rogu ulicy, pełnej sobotnich rodzin i entuzjastów zakupów Portobello. Melody zamówiła cappuccino, a Emily ziołową herbatę.

— To był najbardziej niesamowity telefon w moim życiu — szczebiotała Emily, zdejmując džinsowy zakiet i odsłaniając śliwkowy bawełniany top i kamizelkę w wąski prążek. — Serio. Siedziałam z

moimi współlokatorkami i one wszystkie... ja cię kręcę, nie mogę uwierzyć, że to się właśnie stało, a ja, no, wiesz, moja prawdziwa siostra, i wszystkie krzyczałyśmy, bo jesteś jak legenda, wiesz?

Melody uśmiechnęła się i podciągnęła rękawy kardi- ganu.

— No ja bym tak o sobie nie powiedziała.

— Ale serio, kiedy dorastałam, w pokoju mojej siostry było takie zdjęcie...

— Co, w pokoju Charlotte?

— Tak, u Charlotte, za lustrem przy jej toalecie. Masz na sobie taką cygańską spódnicę i kamelię we włosach i śmiejesz się do aparatu, i wyglądasz jak najbardziej interesująca dziewczynka, wiesz, jak ktoś, kogo chce się zaraz poznać, porozmawiać. A ja... och, kurde, to trochę zawstydzające. .. zrobiłam z ciebie moją przyjaciółkę. Naprawdę. Rozmawiałam z tobą cały czas, w mojej sypialni, opowiadałam ci, co robiłam z moimi lalkami, a ty, przysięgam, odpowiadałaś mi. Mama wysłała mnie do terapeuty, bo myślała, że zbzikowałam. I pewnie byłam trochę odmień- cem... nie miałam prawdziwych przyjaciółek, tylko ciebie. .. — Uśmiechnęła się do Melody, prawie przepaszająco. — Więc możesz sobie wyobrazić, jakie to dla mnie dziwne. Moja wyimaginowana przyjaciółka ożyła. Niesamowite!

Melody patrzyła na nią zdumiona.

— A to zdjęcie, skąd ono się wzięło?

— Boże, nie wiem. Mój tata, kurde, nasz tata zrobił je, kiedy przyjechałaś nas odwiedzić.

— Przyjechałam? Do Goodge Place?

— Nie, do Los Angeles.

— Przyjechałam do Los Angeles?

— Tak! I to zupełnie sama, przyleciałaś samolotem! Zawsze uważałam, że jesteś najodważniejszą, najfajniejszą dziewczynką, bo sama poleciałaś samolotem.

— Poleciałam samolotem do Los Angeles?

— Tak! Nie pamiętasz?

Melody potrząsnęła głową i sięgnęła po filiżankę kawy.

— Nie. Tak naprawdę, to nic nie pamiętam. — Na chwilę zamilkła i wpatrywała się w stół, po raz pierwszy odczuwając przykrą rzeczywistość złamanej pamięci. Zapomnieć inną matkę, ojca, dom, inne życie to była jedna rzecz, ale zapomnieć podróż do Los Angeles naprawdę ją przerażało.

— Jejku. To dziwne. Spędziłaś z nami jakieś dwa tygodnie. Spałaś na podłodze, w moim pokoju.

— Naprawdę?

— Uhm. Mama zawsze o tym opowiadała. Mówiła, że byłaś „małą babysitter”, że siedziałaś ze mną przez cały czas, nie odchodziłaś ode mnie na krok.

I wtedy podświadomość Melody olśniła ją wyrazistym obrazem: biały pokój, Tweetypie przyklejona do ściany, karuzelka kołysząca się delikatnie na wietrze, otwarte okno, leniwa symfonia cykad, zmierzwione palmy, bulgot filtra w basenie i pogłos właśnie usłyszanej rozmowy dorosłych. Poczwała twardą kamienną podłogę i obecność cennego, młodego życia, pod drewnianą karuzelką z wyciętymi zwierzątkami. Jej siostra.

— Przypomniałam sobie! — zawołała radośnie i głośno odstawiła filiżankę. — Pamiętam! Miałaś Tweetypie na ścianie. I był tam basen, a w powietrzu unosił się zapach... — Pociągnęła nosem. — Zapach...

— Jaśminu?

— Nie, nie jaśminu... chloru! Pamiętam!

— Jejku, nie mogę uwierzyć, że pamiętasz kalkomanię Tweetypie! Miałam jeszcze Myszkę Miki, na drugiej ścianie. Pamiętasz? Zostały tam, chyba do moich dziesiątych urodzin! Potem sama je zeszkrobałam łopatką i cały pokój przemaalowałam w kolorze oberżyny. Mama nie była zachwycona. A czy... — Emily spuściła wzrok na podłogę

— ..czy pamiętasz dobrze tatę?

Melody uśmiechnęła się smutno.

— Tak naprawdę to nie. Wszystko, co sobie przypominam, jest wciąż bardzo świeże, ale pamiętam, że miał miłą twarz, że był wysoki i kochał nas obie, bardzo.

Emily uśmiechnęła się i bawiła się torebką z cukrem.

— Tak — westchnęła — to samo mówi mama. Przecież ja miałam roczek, kiedy zginął. W ogóle go nie pamiętam, wiesz, ani troszeczkę. Znam go tylko ze zdjęć. I wygląda mi na najmiłszego i najserdeczniejszego człowieka pod słońcem. Tak bardzo żałuję, że go nie poznałam.

— Tak — przytaknęła Melody — ja też.

— Ale ty miałaś, no wiesz, ze sześć lat?

Melody smutno potrząsnęła głową.

— To nic. Nie pamiętam niczego, co wydarzyło się przez pierwsze dziewięć lat mojego życia.

— Co?! Nic a nic?

— Nie — potrząsnęła głową i uśmiechnęła się blado.

— Jeszcze tydzień temu nazywałam się Melody Browne, a moimi rodzicami byli Clive i Gloria i wierzyłam, że całe moje życie spędziłam w domu w Canterbury.

Emily spojrzała na nią z konsternacją.

— Mówisz serio?

— Uhm. Miałam jakąś amnezję i wszystko wskazuje na to, że kiedy moja mama siedziała w więzieniu, a tata zginął w wypadku, zostałam adoptowana przez parę obcych ludzi, którzy okłamywali mnie całe życie.

— Żartujesz, tak?

— Nie — odpowiedziała Melody — nie żartuję. Choć bardzo bym chciała.

*

Spędziły w kawiarni kolejną godzinę, zamówiły więcej herbaty, więcej kawy i rozmawiały gorączkowo, niemalże w amoku, dosłownie o wszystkim. Emily wynajmowała mieszkanie z trzema współlokatorami przy Golborne Road, pracowała dla bbc w dziale marketingu, a w wolnym czasie pisała książkę o dziewczynie, która próbowała odnaleźć dawno zaginioną siostrę.

— Wiesz — spojrzała na Melody — przyjechałam do Londynu, by być bliżej ciebie. Chciałam wdychać to samo powietrze. Chciałam spróbować, czy może szczęśliwym trafem...

Emily szczerze lubiła nowego partnera mamy i dwóch młodszych przyrodnych braci, ale nie układało się jej z Charlotte, bez względu na to, jak bardzo się starała. „Ona ma się po prostu za jakąś boginię. I jest taka mądra, ale bez przerwy zachowuje się tak głupkowato. Nie mogę złapać z nią kontaktu, wiesz?”

Lubiła gotować i spędzać czas z ludźmi, a od czternastu miesięcy spotykała się z chłopakiem, z którym zamierzała zerwać, bo „on ma prawie trzydzieści jeden lat i marzy mu się rodzina i ustatkowane życie,

a ja mam dwadzieścia siedem w metryce, ale siedemnaście w głowie i na razie tak mi się podoba".

Zaniemówiła z wrażenia na wieść o synu Melody. „Jesteś matką? Ja cię kręcę! To znaczy, że ja jestem ciocią! W wieku piętnastu lat! Chryste, wiesz, wiedziałam, że będziesz inna i niesamowita, i właśnie taka jesteś, totalnie niesamowita!"

Nim wyszły z kawiarni, Melody miała wrażenie, że wszystkie dziwne i straszne fragmenty zapomnianego dzieciństwa, smutne rewelacje i ponure prawdy, które wypełzły z jej podświadomości i wywlekiły na światło dzienne swoje ohydne oblicza, zebrały się i uformowały w nowy, jasny, błyszczący obraz, wcielony w tę świeżą, piękną, słodką, trzpiotowatą i nieskazitelną dziewczynę. Czowała, że wszystko skropiło się w tę jedną błyszczącą perłę dobroci: jej siostrę. W tej dziewczynie nie widziała jedynie siostry, z którą mogła żyć w tak bliskiej więzi, gdyby tylko los nie pchnął jej na tak wyboistą drogę, ale również kobietę, którą mogłaby być, gdyby tato nie zginął w wypadku na autostradzie w drodze po nią, gdyby zdołał dojechać do Londynu, pomógł zapakować torbę i zabrał z powrotem do Los Angeles.

— Spieszysz się? — Emily ujęła dłoń Melody.

— Nie. Wcale się nie spieszę.

— To dobrze, bo jest coś, co bardzo, bardzo chciałabym ci pokazać.

Zanim dotarły do Tooting, rozpadało się na dobre i obie ścisnęły się pod małą parasolką Hello Kitty, którą Emily wyciągnęła z jednej z przegród przepastnej torby na ramię. Emily nie powiedziała Melody, dokąd idą, ale wyraźnie przycichła, kiedy dotarły pod kremowe mury cmentarza Lambeth.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmiła.

Melody spojrzała na nią pytająco.

— Idziemy zobaczyć się z tatą — powiedziała Emily. — Dobrze?

Melody przełknęła ślinę. Planowała spędzić dzień w Family Records Centre w Clerkenwell, by odnaleźć akt zgonu ojca, odkryć miejsce jego pochówku, ale nie znalazła w sobie siły. A teraz od stanięcia nad jego grobem dzieliły ją tylko chwile. Wzięła głęboki oddech i skinęła głową.

— To dobrze — odetchnęła Emily — to dobrze. Przychodzę tu raz w miesiącu — opowiadała Emily, kiedy meandrowały między kałuzami na pięknym cmentarzu. — Przynajmniej raz w miesiącu. To był kolejny powód, dla którego przyjechałam do Londynu. Żebym mogła się z nim spotykać, kiedy tylko chciałam. I zawsze miałam taką nadzieję, że może pewnego dnia spotkamy się tutaj, no wiesz, że akurat też przyszłaś się pomodlić... Ale teraz, gdy poznałam twoją historię, wiem, że to nie mogło się zdarzyć.

Podczas tej wędrówki Melody poczuła dreszcze przypominające coś znajomego. Zobaczyła kamiennego anioła i ukruszony krzyż, porośnięte bluszczem ściany i spiczaste drzewa iglaste i wiedziała, że widziała je już wcześniej. A potem poczuła ścianę smutku i posępne przekonanie, że było to miejsce osobistej tragedii i desperacji.

— Tutaj. — Emily zatrzymała się przy dwóch rzędach małych kamiennych płyt wpuszczonych w ziemię. — Tutaj leży. Nasz tato.

Melody zatrzymała się i spojrzała na ziemię. Na ciemnoszarej płycie widniały kremowe słowa:

John Baxter Ribblesdale

1944-1979

Ukochany tato, ojczym i mąż

Odszedłeś zbyt prędko

Pozostaniesz na zawsze w naszych sercach

Położyła rękę na wilgotnym kamieniu i pogłaskała go delikatnie. Poczowała, że świat zaczyna miękko owijać się dookoła jej głowy, zamknęła oczy i zobaczyła dziurę w ziemi, małą białą trumnę i kobietę w starej szarej sukni próbującą wskoczyć do dołu. Otworzyła oczy i cały obraz znikł, ale w jej oczach zostały łzy.

— Byłam już tutaj — wyszeptała.

— Oczywiście, że tak — potwierdziła Emily. — Musiałś być na pogrzebie.

— Tak, przypuszczam, że tak. — Rozejrzała się dookoła i zobaczyła znajome drzewo. — Ale mam wrażenie, że to było coś innego. Inny pogrzeb... może... — Zamilkła nagle i gwałtownie wciągnęła powietrze, bo właśnie zobaczyła napis na płycie po lewej stronie grobu ojca. Mała kremowa płyta, naznaczona gdzieś zielonym mchem:

Hornany Hosebud -Ribblesdale

4 stycznia — 6 stycznia 1977

Najsłodsza różyczka

"Nie zdążyła zakwitnąć"

Nasze serca zaciemnione na zawsze

Zanim Melody w pełni uświadomiła sobie znaczenie przeczytanych słów, minęła chwila. Początkowo pomyślała, że leży tu jej daleki przodek, tragicznie zmarłe dziecko, pogrzebane dziesiątki lat temu. Gdy właściwie zinterpretowała daty i zdała sobie sprawę, że kiedy miała cztery latka, w jej rodzinie urodziło się to dziecko, i że najprawdopodobniej kobieta z ostatniego olśnienia, próbująca wskoczyć do grobu, była jej mamą, Jane Ribblesdale, Złodziejką Dzieci z Bro-

adstairs, i że to ona urodziła to przedwcześnie zmarłe dziecko, nagle wszystko nabrało przejmującego, okropnego sensu.

Emily zauważyła wbity w kamienną płytę wzrok siostry i delikatnie dotknęła jej ramienia.

— Biedne małe dziecko, co?

— Wiedziałaś? — zapytała Melody matowym głosem. — Wiedziałaś, że była moją siostrą?

— Naszą siostrą. Tak. Dowiedziałam się, zanim przyjechałam do Londynu. Mama zawsze mówiła, że to był początek wszystkiego. No wiesz.

Melody potrząsnęła głową.

— Nie, nie wiem. Początek czego?

— No wiesz, że twoja mama i tato rozeszli się, twoja mama oszalała, zabrała cię do tej speluny nad morzem, ukradła dziecko, zabiła się...

Melody wydała stłumiony okrzyk, zachwiała się. Mama nie żyła. Podejrzewała to, ale nie miała pewności, a wiedza o śmierci Jane Ribblesdale zabolą ją bardziej, niż sobie wyobrażała.

— O Boże — Emily przerwała i spojrzała na siostrę. — Myślałam, że wiesz.

— Nie, nie wiedziałam.

— O kurde, Melody, bardzo cię przepraszam. Po prostu wyszłam z założenia, że skoro wiedziałaś o kradzieży dziecka i inne...

— Wiedziałam, że zabrała dziecko i że poszła do więzienia, ale myślałam, że może... Nie wiem, co myślałam.

— Tutaj — Emily wskazała na drugą stronę grobu ojca. — Zobacz.

Melody podażyła wzrokiem za ręką siostry i zobaczyła małą szarą płytę, obramowaną zielonym mchem.

Jane Victoria Newsome

1948-1981

Przede i nade wszystko Matka

Kochana i utęskniona

Melody klęknęła i pozwoliła głowie opaść na klatkę piersiową. Rześisty deszcz moczył jej kark i twarz. Podniosła wzrok i wpatrywała się w prostokątne kawałki kamienia, zaznaczające trzy małe urny z popiołem. Jej mama, jej tata, jej siostra. Jej rodzina. Cieniste, obce twarze widziane jedynie na niewyraźnych, biało-czarnych odbitkach, dziecko, którego nigdy nie poznała, które przeżyło zaledwie dwa dni i odeszło, zostawiając rodziców z „na zawsze zaciemnionymi sercami”, maleńki świat uszczypnięty przez los w przeciągu niespełna pięciu lat.

— Co dolegało dziecku? — zapytała.

— Hmm, nie jestem pewna. Chyba wada serca. Zapytam jeszcze mamę.

— A co się stało z Jane? Co się stało z moją mamą?

Emily wzdrygnęła się i wykrzywiła twarz.

— Powiesiła się — powiedziała z żalem.

Melody wciągnęła powietrze, poczuła się nagle tak, jakby została kopnięta w klatkę piersiową. W głowie zobaczyła obraz, bezkształtne ciało kobiety zwisające z sufitu więziennej celi. Czy tam była? Nie, oczywiście, że nie. To był jedynie wytwór jej wyobraźni. Ale ktoś musiał jej powiedzieć. Kto jej powiedział? Jak się czuła? Czy mama zo-

stawiała jej jakąś wiadomość? Czy w jakikolwiek sposób zatroszczyła się przed śmiercią o swoją jedyną córkę?

— A co... co się stało ze mną?

Emily ponownie się wzdrygnęła.

— To największa tajemnica. Jednego dnia wiedzieliśmy, gdzie byłaś, a następnego zapadłaś się pod ziemię. Jakbyś zupełnie zniknęła. Jakbyś — wpatrywała się przez rozwiane liście w rozchmurzające się niebo — jakbyś była tylko snem.

TLR

ROZDZIAŁ 47

1981

WIADOMOŚĆ O MAMIE przyszła pewnego wietrznego sobotniego popołudnia, w czasie gdy Melody grała z Clive'em w chińczyka i czekała na wyjęcie z piekarnika aromatycznej kanapki. Wieści przekazała telefonicznie ciocia Susie.

— Och kochanie, kochanie moje — ciocia oddychała z wielkim trudem. — Nie mogę uwierzyć, że muszę ci to powiedzieć, nie po tym wszystkim, co przeszłaś do tej pory, ale stała się straszna, straszna rzecz i musisz być strasznie, strasznie silna.

Ciocia dzwoniła z oddziału pooperacyjnego ze szpitala Queen Elizabeth, bo na wieść o samobójstwie siostry dostała ataku serca. Jej słowa przerywało elektryczne pobrzękiwanie, łzy, szloch i inne, niepokojące dźwięki, przez które ciocia nie brzmiała jak ciocia, ale raczej jak stworzenie z serialu *Doctor Who*. Na początku Melody zupełnie jej nie rozumiała, bo Susie używała terminów takich jak „odeszła”, „minęła” i „zgasła”, i dziewczynka myślała, że ciocia próbuje jej powiedzieć, że mama uciekła z więzienia. Ale gdy Melody w końcu pojęła znaczenie zawiłych zdań cioci, poczuła, że z pokoju wyleciała grawitacja, że jej nogi zmiękły jak galareta, głowę spowiała mgła, z ciała zaczęło wszystko wyciekać, aż na podłodze pozostała jedynie niewielka sterta, która nie rozpływała się w potokach łez, ale sączyła się kropla po kropli.

*

Świadomość Melody pracowała dobrze; dziewczynka zawsze potrafiła nadać sens większości dotyczących ją zdarzeń. Przy tym była elastyczna: płynęła z nurtem i próbowała nie stawać pod prąd w rzece planów innych ludzi. Jeśli człowiek w sądzie zdecydował, że mama za zabranie dziecka sprzed kiosku zasługiwała na karę dwóch lat więzienia, Melody pomyślała, że musi po prostu poczekać do powrotu mamy

te dwadzieścia cztery miesiące. Skoro mama czuła się na tyle źle, że nie mogła się z nią widywać ani pisać listów lub choćby zabawnych krótkich karteczek, Melody przestawała marzyć o tych wiadomościach od mamy i pogodziła się z faktem, że się ich nie doczeka. Gdy ciocia Susie zdecydowała, że jej dom przestał być bezpiecznym schronieniem dla dziewczynki i że powinna ona zamieszkać z jej „kochanymi, starymi przyjaciółmi” tutaj, w Canterbury, no to też było w porządku. Melody zdołała nawet usprawiedliwić fakt, że mama ukradła dziecko, rozumując, że zrobiła to tylko po to, by być szczęśliwsza, a gdyby czuła się szczęśliwsza, byłaby lepszą mamą dla Melody. Melody potrafiła zaakceptować większość nieprzyjemnych rzeczy, które ją spotkały w ostatnich kilku latach, bo wiedziała, że w gruncie rzeczy każdy robił to, co uważał za najlepsze. Ale nie była w stanie znaleźć sensownego wytłumaczenia na fakt, że mama uznała, iż nie chce już dłużej żyć, bez względu na to, jak długo o tym myślała i jak bardzo starała się zrozumieć mamę. Jak śmierć miała pomóc komukolwiek albo polepszyć czy ułatwić życie? Jak można było pomyśleć, że zostawienie Melody zupełnie samej z obcymi ludźmi było właściwym postępowaniem?

Umysł Melody stracił całą jasność podczas walki o nadanie sensu temu rozwojowi wypadków. Dziewczynka leżąc na wykładzinie Axminster, z policzkami przyciśniętymi do drapiących nitek, z palcami dotykającymi jedwabnej, postrzępionej lamówki kwiecistej sofy, przez chwilę straciła kontakt z otaczającym światem. Wiedziała, gdzie przebywa, że Gloria głaszcze ją po włosach, że Clive próbuje ją przekonać, by się podniosła, że na stoliku za nią leży do połowy rozegrana partia chińczyka, że kanapka najprawdopodobniej spali się w piekarniku, jeśli Gloria natychmiast jej nie wyjmie, ale nie potrafiła powiązać tych faktów z jej osobą. Pod sofą dostrzegła małą piłeczkę z przyczepionym dzwoneczkiem. Domyśliła się, że musiała należeć do grubego, rudego, pręgowanego kota o imieniu Puss, który pełnił rolę substytutu dziecka Glorii do czasu unicestwienia go w zeszłym roku przez koła autokaru National Express pełnego turystów. Wyciągnęła przed siebie rękę i się-

gnęła po piłkę, przyciągnęła ją do siebie i trzymała blisko policzka, obracała chłodny metalowy dzwonek po rozgrzanej skórze i wyobrażała sobie, co by się stało, gdyby spróbowała wstać. Pomyślała, że nie była w stanie tego zrobić. Pomyśl, że nogi miałyby wesprzeć ołowianą głowę i te ciężkie, zdrętwiałe ramiona, wydawał się niemożliwy do zrealizowania. Zdecydowała się leżeć dalej i poczekać na rozwój wypadków.

Wypadki potoczyły się następująco: najpierw rozległ się przeraźliwy krzyk Glorii: „Ciasto!” i kobieta wybiegła z pokoju, a następnie Clive delikatnie pomógł Melody przenieść się z podłogi na sofę. Siedziała na sofie dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej usadowił ją Clive, jakby przeobraziła się w elastyczny, gumowy manekin. W ręce ścisnęła kocią zabawkę, a jej wzrok zatrzymał się na niebieskiej, błyszczącej i delikatnej planszy do chińczyka. Pochyliła się sztywno do przodu i podniosła ją. Mogła w niej zobaczyć swoje odbicie, niebieskomgliste kontury, nierozpoznawalne, podobne do zjawy. Dotarło do niej, że przez całkiem długą chwilę nie myślała o zmarłej mamie, i jak tylko to sobie uświadomiła, poczuła bolesne uszczypnięcie w żołądku, jakby ktoś ścisnął jej wnętrzności. Upuściła planszę na podłogę i wpuściła do głowy kilka głosów z zewnątrz.

— Melody — usłyszała Cliva — Melody, kochanie, proszę, odzwij się do mnie.

Ale dziewczynka nie mogła i nie chciała rozmawiać. Rozmowa oznaczała wznowienie kontaktu ze światem, z tym światem, który krzywdził ją w tak okrutny sposób.

Przez pokój przetoczyła się wstęga dymu, a z kuchni doleciały łagodnie przekleństwa Glorii.

— Przynieś szklanekę wody, Gloria! — zawołał Clive.

Gloria wróciła do pokoju i podała szklanekę, którą Melody odpchnęła. Nie chciała wody. Chciała mamy.

— Tak mi przykro, kochanie. — Gloria odsunęła włosy z oczu Melody. — Tak bardzo mi przykro.

— Co za pech — westchnął Clive. — Jeszcze więcej cholernego pecha.

— Ale ty się o nic nie martw. Naprawimy to jakoś, dostaniesz wszystko, czego tylko będziesz potrzebowała. Jesteśmy tu dla ciebie, Clive i ja, wyłącznie. — Gloria przyciągnęła Melody do siebie i pocałowała jedno odrętwiałe ramię. Po raz pierwszy pocałowała dziewczynkę. Melody w skrytości ducha marzyła o buziaku od Glorii, od pierwszej nocy, którą tu spędziła, chciała, by Gloria przycisnęła ją mocno przed spaniem i pocałowała w policzek, jak to miała w zwyczaju ciocia Susie, Ken, a czasami, w swoich rzadkich fazach szczęścia, robiła tak mama. Ale pocałunek w ramię smakował dziwnie i nieprzyjemnie i Melody wygięła całe ciało.

— Tak, naprawimy wszystko — przytaknął Clive.

— Czy możemy coś dla ciebie teraz zrobić? Chcesz do kogoś zadzwonić? Chcesz z kimś porozmawiać?

Melody obracała w dłoniach kocią piłkę i wpatrywała się w okno naprzeciwko. Silny wiatr targał korony drzew, bawił się porozrzucanymi śmieciami, ktoś w domu po drugiej stronie ulicy odrabiał lekcje. Spojrzała na zabawkę i pomyślała o kocie, którego nigdy nie spotkała, myślała o jego rozjechanym ciele pod przerażającymi oponami autokaru National Express, potem wyobraziła sobie zatrwożone twarze pasażerów, nastawionych na spędzenie miłego dnia w Canterbury, a wpatrzonych w grube rude ciało rozgniecione na miazgę. A potem pomyślała o autostradzie w Los Angeles, przeszył ją dźwięk piszczących hamulców, miażdżonego metalu, zobaczyła twarz taty, rozplaszczoną na roztrzaskanej przedniej szybie, i wtedy poczuła ten ból w brzuchu, ściskanie. W jej głowie otworzyła się mała dziura, o której istnieniu nawet nie wiedziała, pomyślała, że to mały sejf, dobre miejsce do prze-

chowania obrazu taty na autostradzie. Wsunęła więc myśl do pudełka i pchnęła je do dziury w głowie, która natychmiast się zamknęła, a ból w brzuchu ustał.

— Melody — usłyszała łagodną prośbę Glorii. — Melody, proszę, powiedz coś.

Ale Melody nie chciała mówić. Sama myśl, że miałaby wypowiedzieć słowo, sprawiała, że chciała wepchnąć rękę do kontaktu albo w otwarty ogień. Trzymała buzię zamkniętą. Tak było dobrze. W milczeniu odnajdowała łagodność, pocieszenie i siłę. Słowa były takie nieuporządkowane. Myśli, z czego zdała sobie teraz sprawę, były znacznie lepsze. Mogła je wkładać do pudełek, segregować. Słowa zaś były zbyt publiczne, zbyt natychmiastowe. Słowa były dla idiotów.

Wstała, wyszła z salonu i ciężkimi, wolnymi krokami wspięła się po schodach do swojego pokoju.

Została tam przez resztę dnia, odnajdowała w głowie nowe dziury, w których zamykała rzeczy, o których nie chciała myśleć. Zeszła na dół po zmroku, gdy jej żołądek zaczął się zwijać z głodu na tyle mocno, że przypalona kanapka, leżąca na kuchennym blacie, wyglądała na wystarczająco smaczną.

ROZDZIAŁ 48

Teraz

— DOSTAŁAŚ CHYBA ze sto esemesów! — zawołał do Ed z dużego pokoju, gdzie wymieniał kolce w butach sportowych. Melody, która właśnie brała prysznic, owinęła się ręcznikiem i podreptała do kuchni, gdzie ładowała się komórka. Dostała cztery esemesy. Pierwszy był od Bena. Przeczywała, że odwołał spotkanie, ale myliła się.

„Czy dobrze pamiętam, że w przyszłym tygodniu są urodziny twojego syna? Daj mi znać, mam pewien plan... B”.

Uśmiech przegonił grymas z twarzy Melody. Jakim cudem to zapamiętał? Odpisała, uśmiechając się pod nosem:

„Świetne zdolności pamięciowe. Jestem pod wrażeniem. W środę ma 18. Ale co to za plan. Zaczynam się denerwować. ..”

Nacisnęła „wyślij”, a potem otworzyła pozostałe wiadomości. Dostała trzy wiadomości graficzne od nieznanego nadawcy. Zabrała komórkę do sypialni i podczas otwierania się wiadomości nałożyła szybko bieliznę. Potem usiadła na krawędzi łóżka i przeglądała zdjęcia, które przysłała Emily z komentarzem: „Oto dowód, że tam byłaś!”

Na małych ziarnistych obrazkach rysowała się postać dziewczynki i kilkumiesięcznego dziecka, siedzących na podłodze wśród jasnych kawałków ogromnych puzzli, obie zadarły głowę i wpatrywały się w obiektyw ciemnymi, poważnymi oczyma.

Melody natychmiast zadzwoniła do Emily.

— O mój Boże — przywitała siostrę bez tchu. — To my!

— Wiem! — krzyczała Emily. — Mama przysłała mi wczoraj wieczorem te zdjęcia mailem. Boskie, co?

— Cudne! — śmiała się Melody. — Boskie. Kiedyś miałam... — przerwała, nagle niepewna słów, które cisnęły się jej na usta, ale w tej samej chwili zobaczyła w głowie wyblakły polaroid, z wytartymi od czulego ściskania krawędziami. — Kiedyś miałam nasze zdjęcie — kontynuowała pewnym już głosem. — Ty siedziałś w wysokim krzeselku, ja stałam obok, za nami kwitły pomarańczowe kwiaty. Właśnie je sobie przypomniałam. To zdjęcie było moim najcenniejszym skarbem. Przypuszczam... — poczuła w gardle cierpki smak żalu — przypuszczam, że przepadło w pożarze, jak wszystko inne.

Co jeszcze, zastanawiała się, co jeszcze pochłonął ten zmieniający bieg życia pożar? Co jeszcze przepadło? Czy straciła więcej kluczowych wskazówek do swojego dzieciństwa i do samej siebie?

Kilka sekund po skończonej rozmowie z siostrą przysłała wiadomość od Bena. „Nie denerwuj się. A poza tym czy mam ci przysłać swoje zdjęcie przed poniedziałkiem, byś przypomniała sobie, jak wyglądałam?”

Melody uśmiechnęła się i napisała: „Nie ma potrzeby. Niski, gruby, łysy i pryszczaty, prawda?”

W odpowiedzi dostała emotkę z przymrużonym okiem i buziaka.

Przez chwilę Melody zastygła w białiznie na łóżku, z przyciśniętym do rozpalonego policzka telefonem. W środku czuła rozpromienione nieznaną radością mocno bijące serce.

*

Następnego dnia Melody pomimo pochmurnej, rozczarowującej letniej pogody wsiadła do pociągu do Folkestone, gdzie słońce szczęśliwie przedarło się przez chmury nad nadmorskim kurortem w hrabstwie Kent.

Grace mieszkała na trzecim piętrze w podstarzałym bloku z lat pięćdziesiątych, dwie ulice od głównej promenady. Architekt budynku

zdecydował, że brak widoku na morze nie przeszkadza w obwieszeniu frontu niezgrabnymi balkonami i ogromnymi, panoramicznymi oknami, zerkającymi z nadzieją na nieładne tyły tarasów georgiańskich domów.

Melody znalazła dzwonek w chłodnym, lekko przesiąkniętym zapachem tłuszczu korytarzu, z podłogą wyłożoną zielonym marmurowym kamieniem i ścianami oblepionymi wytartą tapetą. Wzięła głęboki oddech i przygotowała się na powitanie muskularnych ramion i bogato ozdobionej głowy w stylu art deco. Drzwi otworzył jednak nieco niechlujnie wyglądający mężczyzna w ciemnozielonej koszuli polo i workowatych szortach, z wypalonym do połowy papierosem w jednej ręce i puszką diet coke w drugiej.

— Kurde! Melody kurde mać Ribblesdale!

Melody dopiero po chwili skojarzyła mężczyznę. Zmyliły ją krótko ostrzyżone włosy i ogolona twarz. Ale to był Matthew. Matty. Chłopiec ze sąratu. Pijak z Broadstairs. Syn Grace.

— Matthew! — Uśmiechnęła się.

— Wow. Kurde. Pamiętasz mnie?

— Tak, spotkaliśmy się całkiem niedawno.

— Naprawdę?

— Tak, w Broadstairs, dwa tygodnie temu.

— Nie! — Na jego twarzy odmalowało się równocześnie przerażenie i brak zaskoczenia. — Chryste, nagadałem ci?

— Nie, nic takiego. Zapytałeś, czy potrzebuję pomocy. Musiałam wyglądać na nieco zagubioną.

— Mam nadzieję, że nie zachowywałem się wstrętnie. Potrafię taki być, no wiesz, kiedy tak piję.

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się.

— Byłeś w porządku — uspokoiła go — naprawdę.

— Dzięki, kurde! Chryste, wchodź do środka, chodź, witaj.

Poprowadził ją boso przez wąski korytarz, w kierunku jasnego pokoju. Małe mieszkanie zostało eklektycznie wypełnione przedmiotami ze wszystkich kontynentów: na ścianach wisiały afrykańskie maski i indiańskie makaty, a z sufitów zwisały chińskie lampiony. Pokój dzienny wieńczyło pełne, niedzielone okno i drzwi na balkon, na którym siedziała majestatyczna dama z filiżanką herbaty i gazetą.

— Melody! — Podniosła się z leżaka i weszła do pokoju dziennego, stąpając cicho bosymi stopami. — Och, Melody!

Bardzo szczupła kobieta miała na sobie szare legginsy i purpurową bluzkę, zebraną w pasie jedwabnym szalem. Zupełnie białe włosy zostały przystrzyżone na krótkiego pazia, a w uszach dyndały ciężkie złote kolczyki z hinduską duszą. ,

Trzymała ramiona Melody długimi silnymi palcami i pilnie szukała czegoś w jej oczach.

— Piękna! — zawołała po chwili. — Piękna. Zawsze wiedziałam, że taka będziesz. — Wypuściła ramiona Melody z mocnego uścisku i westchnęła, niemalże z ulgą. — Chodź, usiądź. Czego się napijesz?

— Z przyjemnością diet coke. — Melody wskazała na puszkę w dłoniach Matthew.

— Matty, przynieś z lodówki colę dla Melody, dobrze, kochanie? Tutaj — Grace poklepała niechlujną sofę okrytą jedwabnym zielonym sari — siadaj. Pozwól mi się na ciebie napatrzeć.

Melody usiadła i pozwoliła wzrokowi Grace pobłądzić po twarzy.

— Taka sama, a jednocześnie zupełnie inna. Wyglądasz. .. — przerwała — dojrzałe. Przeżyłaś życie, co?

Melody wpatrywała się w Grace i próbowała odnaleźć w niej coś znajomego, szukała w głowie tego miejsca, gdzie przechowywała wspomnienia o tej egzotycznej kobiecie, ale na próżno.

— To zależy od twojej definicji życia — uśmiechnęła się Melody. — Przeżyłam dużo, w małym wymiarze.

— Dzieci?

— Jedno, Edward...

— Edward? Edward, jak dziecko... — Grace przerwała niepewnie.

— Jak dziecko, które ukradła mama, tak. Kompletny zbieg okoliczności, czysty przypadek, chociaż...

— .. możliwe, że to podświadomy wybór?

— Tak. Możliwe.

— Interesujące. — Grace podciągnęła jedną sprężystą nogę pod siebie. — A ile ma lat ten twój Edward?

— Siedemnaście — odparła Melody. — Osiemnaście w środę.

— Oj! Bardzo młodo się uwinęłaś.

— W wieku piętnastu lat.

— To w sumie i dobrze. Zawsze trochę żałowałam, że nie urodziłam dzieci wcześniej. Byłam zbyt zajęta „odnajdowaniem siebie”. Sęk w tym, że zbyt młody człowiek sam nie wie, czego szuka. Trzeba było rodzić dzieci, gdy byłam młoda i głupia, a potem szukać siebie, no ale co tam, *c'est la vie*. A jak wam się ułożyło, tobie i Edwardowi?

— Szczerze? Po prostu płynęliśmy do przodu. W rutynie. Ale miłej rutynie.

Melody zaśmiała się nerwowo. Grace świdrowała ją penetrującym wzrokiem, jakby szukała jakiegoś znaczenia w oczach Melody.

— Pracujesz?

— Tak. W szkole Eda. W kuchni.

— Wydajesz obiady? — Matthew uśmiechał się pod nosem, niosąc puszkę coli dla Melody.

— Tak! — odpowiedziała ze śmiechem. — I?

— Boże, nie wpadłem na to, by umieścić pomoc kuchenną na mojej liście, kim stanie się Melody Ribblesdale.

— A co jest nie tak z byciem pomocą kuchenną? — odcięła się, zwalczając pokusę, by powiedzieć, że na jej liście, kim stanie się Matthew, nie było żalosego pijaka.

— Nic — złożył ręce na piersi w obronnym geście i uśmiechnął się. — Uwielbiam te kobiety, gdzie byłbym, gdyby nie one? Ale zawsze myślałem...

— Co?

— Nie wiem, w tobie zawsze było coś wyjątkowego. Myślałem, że staniesz się sławna, no wiesz, że pewnego dnia włączę telewizor, a ty tam będziesz.

— Zamiast mnie jest tam twój młodszy brat!

— Tak, to prawda. Jestem Bratem Bardziej Sławnego Setha.

Melody nie bardzo wiedziała, jak odczytać słowa Matthew, pomyślała więc o małej dziewczynce, Melody Ribblesdale, niezwykle interesującej osobce, w której wszyscy pokładali takie nadzieje, i zastanawiała się, co, u diabła, się z nią stało.

— Więc — przerwała Grace — pracujesz w szkolnej stołówce, a mieszkasz w...?

— Covent Garden.

— Och, jak szykownie — uśmiechnęła się. — Zawsze marzyłam o mieszkaniu w centrum miasta, w samym środku chaosu. Ekscytujące, co?

— Jest ok — odpowiedziała Melody. — To tylko mieszkanie komunalne.

— A ci ludzie, twoi rodzice, Roger i Gloria, czy byli...?

— Clive — poprawiła Melody. — Clive i Gloria.

— Właśnie. Co się z nimi stało? Jak się czują?

Melody wzruszyła ramionami i połknęła łyk coli.

— Nie widziałam się z nimi od dłuższego czasu.

— Och, dlaczego nie?

— Z wielu powodów. Nie widziałam się z nimi, odkąd urodziłam Eda. Wszystko bardzo się zagmatwało. Ale skąd o nich wiesz? Myślałam, że wprowadziłam się do nich długo po tym, jak mieszkałam z wami?

— No tak. Najpierw mieszkałaś z twoją ciocią Susie... biedna, stara cioteczka Susie... a potem ciocia wysłała cię do Canterbury, byś zamieszkała z tamtą parą. Nigdy ich nie spotkałam, z opowieści wydawali się bardzo mili. Ta kobieta, Gloria, była chyba jej dalszą krewną.

— Chcesz powiedzieć, że byłyśmy spokrewnione?

— Tak mi się wydaje, tak. A potem, oczywiście, gdy twoja biedna mama przegrała walkę ze swoimi demonami i zostawiła cię zupełnie samą, wtedy wybuchła mała wojna.

— Wojna?

— Tak. Między Kenem i mną po jednej stronie a tamtą parą po drugiej. Dowiedzieliśmy się, że zarejestrowali się jako prywatna rodzina zastępcza, by mogli cię adoptować, i pomyśleliśmy, że to nie było w porządku, kim byli ci ludzie, zupełnie obcy, trzymali naszą kochaną Melody tylko dla siebie, nie pozwalali nam się z tobą widywać, wiesz, więc też rozpoczęliśmy procedury adopcyjne. Ken nawet obciął włosy. Graliśmy szczęśliwą miejską rodzinę, tutaj, w tym mieszkaniu, wizyta po wizycie, pytania, przesłuchania, jak jakieś pieprzone gestapo. Ken poszedł do pracy, uwierzyłabyś? Tak, zaczął zamiatać ulice. Ja wkładałam spódnice i pieprzony naszyjnik z pereł mojej mamy. Parzyliśmy tym ludziom herbatkę za herbatką, a oni przychodzili i wychodzili i tak przez wiele miesięcy. Wiedzieliśmy, że nie mamy szans, tak naprawdę. Przecież tamci ludzie byli z tobą spokrewnieni, mieszkałaś z nimi, a do tego byli normalni. A my, choć staraliśmy się ze wszystkich sił udawać normalność, nikogo nie zdołaliśmy oszukać. Nasze małżeństwo ucierpiało pod ciężarem stresu. I potem, jak dowiedzieliśmy się, że odrzucili nasze podanie, wszystko się zawaliło. Ken wrócił do Hiszpanii i kupił tam jakąś obskurną norę, a ja... moja mama była już stara, potrzebowała mnie tutaj, więc ja, w pewnym sensie, zatrzymałam się. — Urwała i rozejrzała się po mieszkaniu, opisując je oczami jako coś w rodzaju dobrze urządzonego więzienia. — W każdym razie — kontynuowała — parę miesięcy później pojechaliśmy się z tobą zobaczyć. Mieliśmy dość ignorowania naszych telefonów i odsyłania naszych listów, pojechaliśmy, a dom zniknął! Został zrównany z ziemią! Sąsiad powiedział nam, że wybuchł pożar, ale że ty i para uratowaliście się. Ale nie dowiedzieliśmy się niczego więcej. Nikt nie miał pojęcia, gdzie was wywiało. Zniknęłaś, Melody, po prostu zniknęłaś!

Melody wpatrywała się w Grace bez słowa. Ta obca kobieta, z którą nie miała żadnych wspomnień, próbowała być jej mamą. To niekonwencjonalne stworzenie, ta nonkonformistka, której jedno z dzieci zostało gwiazdą rocka, a drugie pijakiem, nosiła perły i upokarzała się,

by udowodnić, że mogła stać się godnym rodzicem dla dziewczynki. Stres towarzyszący próbie adopcji rozbił jej małżeństwo i kompletnie zmienił kierunek jej życia na zawsze. I to wydawało się Melody zarówno zabawne, jak i przerażające.

— Ale oto jesteś tutaj — uśmiechnęła się Grace, pokazując perfekcyjnie białe zęby i kości policzkowe Audrey Hepburn — piękna, żywa i szczęśliwa. Jesteś szczęśliwa?

Melody przytaknęła.

— Tak, myślę, że tak.

— To dobrze — powiedziała Grace. — Zakochana?

Melody uśmiechnęła się pytająco.

— Emmm, nie.

— Nie ma nikogo w twoim życiu?

— Nie, tak naprawdę nie. To znaczy jest ktoś, ale w poczekalni. Najpierw muszę się w tym wszystkim połapać.

— Masz na myśli to dziwne odkluczenie twojej świadomości?

— Dokładnie tak.

— Niezwykłe — Grace pokiwała głową. — Umysł jest niesamowity, fenomenalny. Nigdy nie przestanie mnie zadziwiać. Więc ten mężczyzna, ten hipnotyzer, po prostu strzelił palcami i nagle wszystko wróciło na miejsce?

— Nie, nie od razu, i nie wszystko na raz. Raczej partiami. Co jakiś czas coś odblokowuje mi wspomnienie.

— A ja, masz jakieś wspomnienia związane ze mną?

Melody potrząsnęła głową.

— Pamiętam, że Ken miał żonę, i pamiętam, że Seth był tłuścioszkiem i siedział na podłodze w kuchni, i pamiętam, że rozmawiałam z Mattym w ogrodzie, ale ciebie nie mogę sobie jeszcze przypomnieć.

— Och, jakie to przykre być tak zapomnianą. — Udała smutek, a potem podniosła wzrok i uśmiechnęła się. — Ja pamiętam cię doskonale, kochana. Każdą jedną rzecz. Uczyłam cię robić na drutach, wiesz?

Melody potrząsnęła głową.

— Ach, nieważne. A pamiętasz, jak opowiadałaś mi o takiej dziewczynie z twojej szkoły, okropnej kreaturze. Penny?

Dźwięk imienia Penny objawił się w głowie Melody konkretnym obrazem. Gruboskórna, grubo ciosana dziewczyna, z głęboką zmarszczką na czole. Penny. Tak się właśnie nazywała ta dziewczynka, którą przypomniiała sobie, stojąc przed budynkiem szkoły w zeszłym tygodniu. Penny.

— Tak — odpowiedziała — przypominam sobie dziewczynę o imieniu Penny. Była wstrętna.

— Bardzo uprzykrzała ci życie. Chciałam iść do szkoły i dać jej po nosie, ale nie pozwoliłaś mi na to. Zawsze chciałaś sama rozgrywać swoje małe bitwy. Zawsze byłaś taka opanowana. Podziwiałam cię z całego serca za to, jak sobie ze wszystkim radziłaś. Szczególnie z twoją mamą. Wspaniale z nią postępowałaś.

— Naprawdę?

— O tak, byłaś nieskończenie cierpliwa i wyrozumiała. Dałaś jej taką swobodę, pozwoliłaś jej być taka...

Melody szukała w oczach Grace wskazówek na dokończenie zdania.

— Taka nieobecna. Oczywiście to nie była jej wina, biedna Jane. Depresja. Czarny Pies. Nieszczęsne schorzenie. A potem strata kolej-

nego dziecka w ten sposób, w dwunastym tygodniu, wielu ludzi pchnęłoby ku przepaści. A twoja mama była słaba, wiesz? Przepraszam, jeśli to brzmi okrutnie, ale tak było. Nigdy nie pozwoliłabym na to, by jakiegokolwiek nieszczęście powstrzymało mnie od bycia dobrą mamą. No ale ulepiono nas z różnych materiałów. A myślę sobie, że twoja mama powstała z bardzo kruchej masy...

Słowa Grace nie zdziwiły Melody. Na podstawie tych kilku wspomnień, wycinków z gazet i faktu, że w grobie na cmentarzu Lambeth leżały szczątki trzydziestotrzyletniej kobiety, Melody nie miała wątpliwości, że mama została stworzona z bardzo kruchej materii. Tyle że Melody liczyła na coś więcej. Miała nadzieję na słowa podziwu, na sugestie, że za historią Jane Ribblesdale kryło się coś więcej niż tylko zmarłe dzieci, szaleństwo i samobójstwo, że potrafiła być dobrą matką i tak naprawdę nigdy nie chciała zostawić swojej kochanej małej Melody.

Matthew przysłuchiwał się rozmowie, siedząc na taborecie przy blacie, który stanowił granicę otwartej kuchni. Jego kolano podskakiwało gorączkowo i wydawało się, że czeka na sposobność, by zadać kolejne pytanie.

— A kim jest ojciec? — zapytał szybko, wykorzystując pauzę, którą Grace zrobiła na złapanie oddechu.

— Słucham?

— Twojego syna. Kto jest ojcem?

— Och, Matthew, to takie niegrzeczne — upomniała go Grace.

— Nic nie szkodzi — powiedziała Melody. — Ojcem był Tiff, chłopak z Irlandii. Starszy ode mnie o dwa lata...

— I się wypiął, tak?

— Tak.

— Więc wychowałaś chłopaka zupełnie sama?

Przytaknęła.

Matthew z podziwem pokiwał głową.

— To cholernie imponujące, Melody Ribblesdale.

— Tak myślisz?

— Boże, no pewnie. Ja nie mógłbym zaopiekować się chomikiem, a co dopiero wychować samotnie dziecko. I z nim wszystko w porządku, z tym twoim chłopakiem?

To nie jeden z tych, co lata po ulicach, trzaska ludziom po mordach albo wymachuje nożem?

Melody uśmiechnęła się.

— Nie, to dobry chłopak. Dobry człowiek. Wychowałam dobrego człowieka.

— To się chwali — spojrzał na nią z szacunkiem. — To się chwali, Melody Ribblesdale.

Melody wbiła wzrok w stopy. Jego komentarz poruszył i dotknął ją w szczególny sposób.

— A co on na to całe gówno, na tych wszystkich dziwaków porwacających zza światów?

Melody odchrząknęła.

— Nie powiedziałam mu jeszcze wszystkiego.

— Nie powiedziałaś? Dlaczego, kurde, nie?

Melody zastanowiła się.

— Właściwie to sama nie wiem. Przypuszczam, że obawiałam się, iż w połowie drogi okaże się, że to wszystko było błędem, no wiesz, że

oszałam, że nic takiego się nie wydarzyło. Chciałabym ofiarować mu to jako zupełnie nowy świat, jak...

— Jak prezent. — Grace uśmiechnęła się i pokiwała głową.

— Tak. — Melody odetchnęła z ulgą, że na świecie był jeszcze ktoś, kto myślał podobnie. — Jak prezent. Na jego urodziny — uśmiechnęła się — gdy staje się dorosłym człowiekiem...

Umilkli na chwilę, którą nagle przerwał Matty, zrywając się na równe nogi.

— Pamiętasz ten dzień? — Usadowił się na sofie obok niej. — Pamiętasz, jak twoja mama zaginęła i poszliśmy jej razem szukać po całym mieście? Pamiętasz?

Melody wzruszyła ramionami.

— Niestety nie.

— A ja pamiętam dobrze. Po tym, jak twojemu tacie urodziło się drugie dziecko, ona zupełnie straciła wątek, wyszła bez słowa z domu, spała na plaży, a ty i ja przetrząsnęliśmy całe miasto i znaleźliśmy ją w końcu w kawiarni.

Melody potrząsnęła głową.

— Tego akurat nie pamiętam, ale kiedy byłam w Broadstairs, to czułam pewne rzeczy, rzeczy, które wydawały mi się znajome.

— Znalazłaś więc stary dom? — zapytała Grace.

— Tak. Tuż przed tym, jak wpadłam na Matty ego. Teraz to pensjonat.

— Tak, pedziowata, cholerna, gówniana nora — syknął Matthew. — Ta właścicielka ma się za jakąś arystokratkę. Kiedyś zapukałem do drzwi, zaraz po tym, jak wyremontowali dom, zapytałem, czy mogę się rozejrzeć. Szkoda, że nie widziałaś, jak na mnie spojrzała. Pewnie nie

wyglądałem najlepiej, ale przecież nie miałem zamiaru prysnąć z jej bibelotami, no wiesz, chciałem tylko rozejrzeć się po starych kątach.

— Mnie udało się wejść do środka.

— Naprawdę?

— Tak. Udawałam, że chciałam wynająć pokój. Dom jest piękny. Ładnie go wyremontowała.

— A pamiętasz, jak wyglądał kiedyś? — zapytała Grace.

— Pamiętam go z zewnątrz, jak zobaczyłam go po raz pierwszy. Pamiętam też Kena na balkonie, w starym płaszczu, i nasz pokój na poddaszu, kuchnię i dziwne obrazy na murze w ogrodzie. To były szczęśliwe czasy, prawda?

— Tak — pokiwała głową Grace — w sumie tak. Oczywiście, wydarzenia związane z twoją mamą kosztowały nas wiele emocji. Zabrało nam to sporo czasu, zanim doszliśmy do siebie po tym incydencie z biednym Edwardem. A potem, jak ciebie zabrano, oczywiście strasznie za tobą tęskniliśmy. Mam tu twoje zdjęcie, zobacz. — Wstała i lekkim krokiem podeszła do korkowej tablicy w kuchni, z której coś odpięła. Tutaj — podała zdjęcie Melody — spójrz na siebie. Spójrz na tę wspa-
niałą małą dziewczynkę.

Melody wpatrywała się w trzymane między palcami zdjęcie. Takiej małej siebie nie widziała jeszcze nigdy; siedziała na kamienistej plaży, opierając plecy o mur upstrzony graffiti. Miała na sobie dzinso-
wą spódniczkę z czerwonymi kieszeniami, czerwone plastikowe sanda-
ły, a na nosie okulary przeciwsłoneczne w różowej oprawce. Włosy miały bardziej czerwony odcień i zwisały z przedziałka na środku w zakręconych splotach.

— Kto je zrobił?

— Ken. Na jednej z waszych wypraw.

I wtedy Melody to zobaczyła, na plaży, tuż przy jej stopach leżał kask motorowy, ten, który przypomniła sobie na samym początku tej dziwnej podróży w przeszłość. Wpatrywała się w to wspomnienie i zobaczyła jeszcze jedną, niezwykłą rzecz: różowe okulary odbijały się w obiektywie aparatu, który trzymał mężczyzna z długimi włosami i piękną twarzą, podobną do twarzy Jezusa.

— Śliczne zdjęcie, prawda?

— Jest... niesamowite. *Nigdy* wcześniej nie widziałam swojego zdjęcia przed ósmym rokiem życia. Nie miałam *pojęcia, jak* wyglądałam, *mając*...? — spojrzała pytająco na Grace.

— Pięć lat — odpowiedziała Grace. — Tutaj miałaś pięć lat.

— Wow — szepnęła Melody, nie odrywając wzroku od małej dziewczynki w okularach i plastikowych sandałkach, których posiadania nie pamiętała. — Mogę je zabrać? — zapytała. — Zrobiłabym odbitkę? Bardzo chciałabym pokazać je synowi. Nigdy nie widział mnie z czasów dzieciństwa. Nie zabrałam ze sobą żadnego zdjęcia, gdy opuszczałam dom.

— Oczywiście — odparła Grace. — Proszę, weź je. Szkoda, że nie mam więcej. Ale Ken na pewno ma. Zawsze wszystko podbierał. Pojedziesz się z nim spotkać?

— Do Hiszpanii?

Grace pokiwała głową.

— Boże, nie wiem. Nie stać mnie...

— Tanie linie! — krzyknęła Grace. — Ostatni raz, kiedy tam poleciałam, za bilet zapłaciłam piętnaście funtów. A na miejscu wszystko jest za darmo. Nie zedrą z ciebie w Puerto Banus, kiedy się mieszka u Kena! Powinnaś pojechać! — wołała entuzjastycznie. — Ken bardzo pragnąłby cię zobaczyć. On by po prostu... odkąd tamci ludzie zabrali

nam ciebie, Ken ma dziurę w duszy. Twój widok uleczyłby go. Byłby znów cały...

Melody pożegnała się godzinę później. Było wczesne popołudnie, a Grace miała lekcje jogi w lokalnej grupie strażników wagi. Objęła Melody w korytarzu i wyszeptała w jej włosy:

— Silna jak zawsze, wiedziałam, że zawsze będziesz silna. Tyle przeszłaś. Pogodziłaś się z tyloma rzeczami. Taka dobra, dobra dziewczynka. — Wypuściła ją i pocałowała mocno w oba policzki. — A teraz idź już i przyj do przodu. Nic już cię nie powstrzyma. Pokaż im wszystkim!

Melody zauważyła nagle brodawkę z boku twarzy Grace, z której wyrastał pojedynczy czarny włos. Ten szczegół raczej szpecił perfekcyjną symetrię pięknych rysów kobiety i Melody pomyślała, że skoro Grace nie zaatakowała brodawki pęsetą, musiała być wyzbyta wszelkiej próżności. I wtedy ją olśniło. Przypomniała sobie wysoką kobietę w kuchni w domu Kena, z turbanem na głowie i pobrzękującymi na ramionach bransoletami z brązu. Przypomniała sobie Grace.

Uśmiechnęła się do siebie i przytuliła Grace jeszcze jeden raz.

Przed podróżą do Londynu Melody chciała odwiedzić jeszcze jedno miejsce, do którego zabrał ją Matthew zdezelowaną astrą vauxhall.

Obserwowała ręce mężczyzny obsługujące dźwignię biegów. Zniszczone pogodą, zabarwione dziwnym żółtym nalotem w miejscach, gdzie trzymał papierosa. Jego paznokcie były połamane i pozdzierane, a nogi pokaleczone i pełne blizn. To był człowiek ulicy. Czowała delikatny niepokój, że przez ruchliwą drogę wiezie ją mężczyzna, którego ostatni raz widziała, jak kompletnie pijany szwendał się po ulicach Broadstairs z puszką jabola za 69 pensów. Ale równocześnie dostrzegła w nim coś prawdziwego, coś, co dawało jej poczucie bez-

pieczeństwa, kiedy myślała o tym, co ją spotkało i co się miało jeszcze wydarzyć.

— Co to za historia z tobą i Broadstairs? Twoim drugim „życiem”?
— zapytała.

Odwrócił się i uśmiechnął, widziała, że z zadowoleniem przyjął jej szczerość.

— No tak, poczciwy stary Matty Włóczęga, moje ał-ter ego. Właściwie to w kółko ta sama historia. Młody facet ma ojca alkoholika, młody facet traci ojca alkoholika, młody facet czuje bolesne rozczarowanie światem, młody facet znajduje zapomnienie w butelce. A raz na jakiś czas ma serdecznie dosyć, chce wrócić do domu, wykąpać się i choć przez chwilę nie czuć się jak kawał gnoja. Po jakimś czasie znowu dopada go bolesne rozczarowanie światem i wtedy słyszy jedynie wołanie butelki, matka wykopuje go z domu i facet wraca do punktu wyjścia.

— Grace nie pozwala ci zostać, kiedy pijesz?

— Nie. Łąduję za drzwiami, jak tylko poczuje zapach wódki. Właściwie to już nawet nie czekam. Kiedy ciągnie mnie do baru, po prostu pakuję manatki i jadę prosto do Broadstairs, prosto do monopolowego.

— A dlaczego do Broadstairs?

Wzruszył ramionami.

— Właściwie to nie jestem pewien. Nie chciałem robić gówna na wycieraczce mamy, no wiesz, żeby wszyscy sąsiedzi zawracali jej głowę, och, zobacz, chłopak Gracie znów jest w ciągu, spójrz tylko na niego, zwymiotował na buty, z rozporka wystaje mu kutas. To nie byłoby fair wobec mamy. Bo, jak sama się przekonałaś, mama jest bardzo wytworną kobitką. — Uśmiechnął się i wyrzucił niedopałek papierosa przez okno. — A Broadstairs jest moim duchowym domem, to tam po raz pierwszy się napiłem, zapaliłem pierwszego papierosa i poznałem

seks. Tam dorastałem. Więc to moje życie, główniana opowieść o dwóch miastach. Tchórzliwy synalek mamusi w Folkestone, żaloszny pijak w Broadstairs. Nie mogę powiedzieć, by te dwie, raczej tragiczne osobowości, napełniały mnie dumą.

Melody patrzyła przed siebie, nie znalazła w głowie odpowiednich słów.

— Próbowałem odwyku, próbowałem prawdziwej miłości, próbowałem nawet kościoła zaszanej Anglii. Nic nie pomogło. Taki już jestem. Tak to już jest. I wiesz co?

Spojrzała na niego.

— Nie jest tak źle. Mam dobrą mamę. Brat zagłada do mnie, kiedy tylko może. Mam ludzi, którzy mnie kochają. Wiesz, po świecie chodzą i tacy, którzy nie mają nikogo. Są ludzie jak wyspy, unoszą się na powierzchni, nie mają gdzie zacumować. W porównaniu z innymi u mnie jest całkiem nieźle. Wybory, których dokonuję, to moje wybory, żadne siły nie zrzucą mi ich na głowę. I wiesz jeszcze co? Lubię być pijany. Naprawdę. Może to brzmi beznadziejnie, ale uwielbiam być tak spity, że świat wywraca się do góry nogami. Uwielbiam tę przypadkowość, szaleństwo. Lubię to, że wyrywam się z równania, wiesz, że nie liczę i że się nie liczę. I lubię wkurzać ludzi, zawsze to robiłem. — Odwrócił się do niej, mrugnął, a Melody uśmiechnęła się. Było w nim coś bezwzględnie szczerego, jego intencje wydawały się przejrzyste, pozbawione wszelkiej przebiegłości. Nagle zobaczyła w nim to dziecko, duże, szorstkie, pokaleczone, zalane, nadpobudliwe i zapatrzone w siebie dziecko, które przejmowało się jedynie opiniami mamy.

Uśmiechnęła się do niego i zwalczyła pokusę uściśnięcia podrapanego kolana.

Włączył lewy kierunkowskaz i zaparkował samochód przy małej przecznicy. Duży drewniany znak przy wjeździe na ulicę zapowiadał Dom Opieki „Elm Trees”.

Na szczycie wjazdu stał duży, pokryty kamyczkowym tynkiem budynek, z wielodzielnymi oknami i kominami z ułożonych w splot kamieni.

W środku Matthew uśmiechnął się do kobiety w kitlu.

— Dzień dobry, przyjechaliśmy odwiedzić Susie Newsome.

— Ok — uśmiechnęła się pielęgniarka. — Zaraz ją dla państwa zlokalizuję.

— Jak długo tu przebywa? — zapytała Melody.

Matthew wzruszył ramionami.

— Od lat — odpowiedział. — Trafiła tu mniej więcej wtedy, kiedy zostałaś adoptowana. Od ataku serca.

— Ataku serca?

— Tak. Przeszła łagodny atak serca przez ten cały stres związany z rozprawą. Potem miała kolejny atak, jak się dowiedziała o samobójstwie mamy, a na końcu dostała rozległego ataku na wieść o pożarze i twoim tajemniczym zniknięciu. Przez pięć minut była w stanie klinicznej śmierci, wyszła z tego z uszkodzonym mózgiem, straciła wzrok i nie kontroluje wypróżniania. Nie widzi, robi w pieluchy i od tamtego czasu jest tutaj. Mama się nią zajęła. Odwiedza ją regularnie.

— Pani Newsome jest na świetlicy — poinformowała pielęgniarka.

Melody podążyła za Matthew przez korytarz do dużej, bogato zdobionej sali z widokiem na wypielegnowany ogród. W rogu pokoju stał telewizor, leciał program *Deal or No Deal* i z tuzin staruszków siedziało na ogromnych krzesłach, patrząc w ekran. Na krześle pod oknem siedziała kobieta o niezwykłym wyglądzie, gruba jak mors, z puszystymi, białymi, utapirowanymi włosami. W zielonkawym dresie i okularach przeciwsłonecznych wyglądała raczej jak człowiek ze wzgórz Hollywood niż mieszkaniec hrabstwa Kent.

— Witam, pani Susie Newsome. To ja, Matty.

Susie podniosła ślepe oczy, wielkie fałdy krepowego ciała zatrzęsły się na boki.

— Matty, jak miło. Z kim przyszedłeś?

— Nigdy pani nie zgadnie.

— Nie — przytaknęła. — Pewnie nie.

— Jest tu ktoś, kogo nie widziała pani bardzo, bardzo długo. Ktoś, o kim myślała pani przez ostatnie trzydzieści lat. Ktoś bardzo wyjątkowy.

— Pozwól mi dotknąć. — Susie wystawiła dwie pulchne ręce. Melody przesunęła się do przodu i pozwoliła cioci dotknąć swojej twarzy. Było to dziwne, ale nie nieprzyjemne uczucie. — Nic — uśmiechnęła się Susie, przesuając dłońmi po włosach Melody. — Nie mam pojęcia. Musisz mi powiedzieć. Kim jesteś?

— To ja, Melody.

Susie skamieniała.

— Melody? — wysapała. — Moja Melody?

Melody kiwnęła głową.

— Tak.

Oczy starej kobiety wypełniły się łzami.

— O mój Boże! Ale skąd ty się wzięłaś?

— Przyjechaliśmy z mieszkania Grace. Właśnie...

— Nie, nie nie! — krzyknęła. — Gdzie byłaś?

Melody wytłumaczyła wszystko, od Juliusa Sardo począwszy, po jej wycieczki do Broadstairs i przedwczorajszą wizytę na cmentarzu, gdzie u boku siostry stanęła nad grobami rodziców.

— I nic z tego nie pamiętałaś? Wszystko jest zupełnie nowe? To wszystko, ten cały świat?

Melody pokiwała głową, potem przypomniała sobie, że musi mówić.

— Tak. Myślałam, że byłam tylko ja i mój syn. Myślałam, że byłam zupełnie sama, ale okazuje się... — zamilkła, emocje zatrzymały słowa w połowie jej gardła — ...że nie jestem. — Zaczęła wtedy płakać łzami nadziei i łzami zadowolenia, bo to była prawda. Nie była sama, już nie.

Susie ujęła jej dłoń i mocno ją ścisnęła.

— Więc co się z tobą stało? — zapytała. — Te wszystkie lata wstecz, po tym jak Browne owie cię zabrali, co się stało?

— Nie wiem — odpowiedziała Melody. — Jestem chodzącą zagadką.

— Dokładnie — przytaknęła Susie. — Ci cholerni ludzie, obiecali, że będą w kontakcie, a dostawałam jedynie tanie kartki na święta, bez adresu zwrotnego, żadnych wiadomości o tobie, tylko ten sam podpis: „Clive, Gloria i Melody”. A potem nawet i to się skończyło. — Jej głos załamał się. — Wiesz, nigdy nie zostawiłabym ciebie z nimi, nigdy nie poparłabym adopcji, gdybym wiedziała, że w taki sposób cię ukradną. Ukradli cię mnie, Grace i Kenowi, twojej biednej siostrze w Ameryce i tym wszystkim, którym tak zależało na tobie! To była najsmutniejsza rzecz, jaka przydarzyła mi się w życiu, a wierz mi, wiele smutnych rzeczy mnie spotkało. — Wymusiła uśmiech na drżących ustach. — Ale to — kontynuowała — to jest prawdziwe szczęście! To moja Melody, zmartwychwstała! To jak cud.

Zabrała Melody do swojego pokoju, ciężar jej przeraźliwie rozdeptego ciała wspierał metalowy balkonik, gdy wolno przesuwała się w kierunku małej windy.

— Tutaj — powiedziała, otwierając drzwi pokoju. Skierowała się prosto do komody — tutaj. Trzymałam to przez te wszystkie lata, mając nadzieję, że pewnego dnia będę miała szansę ci to przekazać i powiem ci zupełnie szczerze, traciłam już nadzieję, że kiedykolwiek przyjdiesz. Ale oto jesteś i w końcu mogę ci to dać. Tutaj... — wyciągnęła z szuflady kartonowe pudełko i położyła je na łóżku. — Chodź. Chodź i zobacz.

Melody wpatrywała się w pudełko.

— Co to jest? — zapytała, siadając na krawędzi łóżka.

— To rzeczy twojej mamy, to, co mi oddali po jej odejściu. I list do ciebie.

— Od...?

— Tak, od mamy, wciąż zamknięty.

Melody zaniemówiła. Nie była pewna, czy w ogóle potrafi mówić. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny zaczęły wibrować w jej głowie. Myśli gęstniały. Wydawało jej się, że zamiast serca miała zabawkowy zegarek, który ktoś przekreślił. Potrzebowała przestrzeni dla tego doświadczenia. Ta starsza gruba kobieta z watą cukrową na głowie wydawała się bardzo miła, ale Melody na próżno szukała jej w odgrzebanych wspomnieniach. Nie pamiętała nic z tygodni spędzonych w jej domu, żadnych bajek na dobranoc ani siedzenia na pulchnych kolanach i wspólnego oglądania telewizji. Nie pamiętała, jak miękkie dłonie delikatnie splatały jej włosy w warkocze przed szkołą. Wzruszała ją świadomość pokrewieństwa z tą kobietą, fascynował fakt, że siedziała obok osoby, z którą dzieliła dna, ale to było wszystko. Tę chwilę chciała zostawić tylko dla siebie. Pragnęła zabrać pudełko do domu i otwo-

rzyć je, siedząc na własnym łóżku, daleko od tego równolegle toczącego się świata obcych i rewelacji.

— Nie musisz otwierać tego teraz. — Susie odczytała jej wahanie. — Zabierz to do domu. Otwórz, kiedy będziesz gotowa. Ale zrobisz coś dla mnie? Powiesz mi, co było napisane w liście? Bardzo chciałabym wiedzieć, to dla mnie jakby ostatnie pożegnanie, wiesz? Bo ja nigdy tak naprawdę z nią nie porozmawiałam, nie po tym, jak ją zabrali; tak naprawdę nigdy jej tam nie było, nie było prawdziwej Jane. A to — dotknęła pudełka — to napisała prawdziwa Jane, wiem, że tak...

Kilka chwil później ciocia Susie przyciągnęła do siebie Melody, by się pożegnać. Dotknęła jej włosów.

— Mmm — przebierała palcami wśród włosów Melody. — Są takie piękne, zawsze miałaś takie piękne włosy. Powiedz mi, czy wciąż mają ten śliczny kasztanowy odcień w słonecznym świetle?

— Nie — uśmiechnęła się Melody — już nie. Rudy wyblakł już dawno temu.

— No tak — Susie przestała mierzwić głowę Melody — z rudym tak to już jest. Łatwo blaknie.

Melody pogłaskała rękę cioci, a potem pocałowała ją w policzek.

— Dziękuję, dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłaś, nawet jeśli tego nie pamiętam.

— Och, nie sędzę, że byłam w tym szczególnie dobra, ale starałam się, jak potrafiłam najbardziej. Żałuję jedynie, że cię oddałam. Gdybym była zdrowsza, znalazłabym sposób, żeby cię wysledzić, ale po zawale, cóż...

— Zrobiłaś dla mnie to, co uważałaś za najlepsze — powiedziała Melody. — I tylko to się liczy.

Susie uśmiechnęła się smutno.

— Mam nadzieję, że to prawda — westchnęła. — Naprawdę mam taką nadzieję, w przeciwnym razie pójdę do grobu z rozdartym sercem i płamą na duszy. Kocham cię, Melody. Zawsze cię kochałam. I odezwij się, proszę. Straciłam cię już raz i nie chcę cię stracić ponownie.

Melody i Matty opuścili dom o szesnastej i pojechali na dworzec kolejowy.

— Dziwne, co? — zagadnął Matthew.

— Mmm — zgodziła się Melody. — Bardzo dziwne, bardzo.

— Siostra twojej mamy, a ty jej nawet nie pamiętasz.

— A ty ją pamiętasz?

— Boże, no pewnie, takiej masy tłuszczu nie zapomina się tak łatwo. Była najgrubszą osobą, jaką widziałem w życiu! Raz, jak mieszkałaś u niej, zaprosiła mnie na obiad. Nie zgadniesz, co nam ugotowała, a pamiętaj, że ja miałem może z dziesięć lat, a ty jakieś siedem? Zrobiła sałatkę z wędzonego łososia i przepiórczych jaj, z ręką na sercu, z anchois z puszki, rzeżuchą i czymś tam jeszcze. Siedzieliśmy przy stole, jak tylko się obracała, to udawaliśmy, że wymiotujemy, i próbowaliśmy przyczepić sobie te przepiórcze kulki do nosów. To było cholernie śmieszne. Ale hej — odwrócił się i uśmiechnął — to pewnie pamiętasz.

Niedaleko dworca kolejowego Matty zatrzymał samochód przy krawężniku i spojrzał przez ramię Melody na mały sklep.

— Spójrz tam.

Melody zobaczyła przez okno zakład fotograficzny z małym wykuszowym oknem wypełnionym zdumiewającymi zdjęciami nieładnych dzieci i sztywnych biznesmenów w garniturach.

— Co? — zapytała.

— Coś ci świta? — zapytał, wskazując na front sklepu.

Wpatrywała się w zakład, ale nie zobaczyła niczego znajomego.

— Nie. Czego powinnam wypatrywać?

— Tego. Nazwy zakładu. — Wskazał na szyld z napisem „E.J. Mason. Zakład Fotograficzny”. Ale jej to wciąż nic nie mówiło.

— E.J. Mason — przeczytał Matthew. — Edward. James. Mason. Znany także jako Amber Rose.

— O mój Boże — oniemiała Melody. — Chcesz powiedzieć, że to jego zakład? Tego dziecka?

— Dokładnie tak. Nasz Eddie to porządny, prawy obywatel. Jest rotarianinem. I fanem golfa. I założę się, że jest żonaty i ma dwoje dzieciaków...

— Skąd to wszystko wiesz?

— Mama. Mama wie wszystko o wszystkich. Jeśli mama o czymś nie wie, to to się nie zdarzyło. I zobacz, oto on we własnej osobie...

Zwrócili głowy w stronę wysokiego, luźno ubranego mężczyzny, niosącego aluminiowe pudło, z dwoma aparatami w nylonowych futerałach zawieszonymi na szyi. Miał ładne włosy i okulary w cienkich oprawkach.

— Boże — Melody patrzyła, jak wchodzi do srebrnej hondy civic — nigdy byś nie zgadł, patrząc na niego...

— Że co, że przez trzy dni miał na imię Amber Rose Newsome i mieszkał w sącuacie w Broadstairs? Nie, nie zgadłbym. Ale wiesz co, nie sadzę, by mu to w ogóle zaszkodziło. A tak naprawdę to dzięki temu mógł się czuć wyjątkowo. No zobacz, wystarczy tylko spojrzeć na niego i od razu widać, że facet ma się za wyjątkowy przypadek, chodząca legenda w tym swoim małym szarym miasteczku nad morzem.

Trochę jak ja, co prawda nie sławny, ale niesławny... Legendarnie Wpieprzony i Przeróżający Matthew Hogan. I ty też, Melody Ribblesdale, Dziewczyna Która Wróciła z Przeszłości. — Włączył silnik i zaczął zjeżdżać z chodnika. — I tak sobie myślę — odwrócił się do niej z uśmiechem — i tak sobie myślę, że może, tylko może, wróciłaś tu z jakiegoś powodu...

Wieczorem w domu Melody nie otworzyła pudełka. Na pewne rzeczy nie była jeszcze gotowa.

TLR

ROZDZIAŁ 49

Teraz

MIMO ŻE DNI pracujące Melody zawsze spędzała w kuchni, sama nie interesowała się gotowaniem. Syna wychowała na diecie ze smażonych paluszków rybnych, tostów, potraw z mikrofalówki i okazjonalnych dań na wynos ze smażalni przy ich ulicy. Kiedyś pokusiła się o przyrządzenie domowego spaghetti bolognese, zainspirowana tym, które Stacey przygotowała na wspólny obiad z pięcioletnimi dziećmi, ale skończyło się to katastrofą. Nie miała w kuchni odpowiednich noży i z cebulą musiała się rozprawić za pomocą zwykłego obiadowego noża, a ponieważ przygotowanie dania zostawiła na ostatnią chwilę, gotowała je zaledwie piętnaście minut. Ed wziął do buzi jedną łyżkę i natychmiast wypluł. „Nie smakuje mi” — krzyczał. „A u Stacey w zeszłym tygodniu ci smakowało” — odpowiedziała. „Tak, ale to było coś innego. Coś smacznego”.

Nigdy więcej nie ugotowała już dla niego. Właściwie to nigdy więcej nie ugotowała już czegokolwiek dla kogokolwiek. Więc z pewnym zaskoczeniem dla samej siebie znalazła się w Marks & Spencer w poniedziałek rano, minęła dział z gotowymi potrawami i skierowała się ku półkom ze świeżymi produktami. W jednym z magazynów znalazła przepis na smażonego tuńczyka z pikantnym makaronem i pomyślała, że danie wyglądało na zarówno pyszne, jak i łatwe do przyrządzenia, i spontanicznie postanowiła przygotować je na dzisiejszą kolację z Edem i Benem. Nie była pewna, skąd przyszła ta nagła, niespodziewana kulinarna inspiracja, ale przyjęła ją śmiało, tak jak przyjmowała teraz każde nowe i niezbadane wrażenie. Stara Melody, ta, która nie patrzyła w lustro przed wyjściem z domu, ta w T-shirtach syna, z papierosem w ustach, nieciekawa świata, ta, której życie ograniczało się do czterech ścian sypialni, zaczynała gdzieś znikać, a w jej miejscu pojawiły się załamki nowej Melody, jeszcze nie ukształtowanej, ale ostrożnie przebija-

jącej się na powierzchnię. Melody czuła to subtelne przeobrażanie się na lepsze podczas snu, i miała właśnie zacząć próbować tych nowych cech, jedna po drugiej. Stała więc w sklepie, w spódnicy, z pęczkiem młodych, wiosennych cebulek. Niby drobiazg, ale w jej świecie wystarczająco duża zmiana, by poczuć w brzuchu dreszcz podniecenia.

W drodze powrotnej do domu, obładowana siatkami, po raz pierwszy w życiu nawiązywała kontakt wzrokowy z mijanymi ludźmi. Zaskoczyła ją liczba osób zauważających jej obecność, a przy tym nie przerażonych tym, co zobaczyli. Czuła się jak ciemne, płaskie i na wpół ślepe stworzenie, stworzone do życia na dnie oceanu, które powoli unosiło się w lodowatej wodzie ku błyszczącemu światłu na powierzchni.

Wróciła do mieszkania i przyjrzała się krytycznie wnętrzu z zalegającymi warstwami i stertami. Omiatała pokoje obiektywnym wzrokiem, zastanawiając się, co o niej mówiły. Zaskoczyło ją, że mieszkanie świadczyło nie tylko o kochającej mamie i małej, ale szczęśliwej rodzinie, ale także o jej obsesji na punkcie przeszłości, o strachu przed mijającym życiem, o braku dumy i wyobraźni. Gruntowne porządki, których zawsze się obawiała, uwolniłyby jej dom od tych wszystkich „wspomnień” i wpuściły świeżość w te ładne pokoje. Czy wyrzucenie trampek Eda, które stały nietknięte od dwóch lat tylko dlatego, że miał je na sobie, odbierając świadectwo ukończenia szkoły średniej, zniszczyłoby wspomnienie o najdumniejszych chwilach w jej życiu? Czy zapomniałaby to uczucie ciepłej satysfakcji, zapach szesnastoletniej głowy, który poczuła, przytulając go do siebie, radosną ulgę, że ciężki czas pracy był już za nimi i że mogli przejść do kolejnego etapu? Nie, oczywiście, że nie zapomni. Te rzeczy zostaną z nią na zawsze. Jej pamięć nie była taka mizerna i zawodna, jak jej się wydawało. Wszystko tam było, w kolorach i detalach. A za porządki musiała się po prostu zabrać.

Przyniosła z kuchni duży worek na śmieci. Bardzo szybko wypełniła go po brzegi starymi trampkami, rzeczami nienoszonymi od pięciu lat, nieużywanyymi talerzami, kalendarzami z 1988 roku i kocami, którymi się nigdy nie owijała, garnkami bez uszek, książkami, których nigdy nie miała zamiaru przeczytać, a na samym wierzchu wylądowała stara, przerośnięta roślina, smutna i zrezygnowana, gotowa na odejście. Zawiązała węzeł na worku, zaciągnęła go na dół do ohydneho betonowego pomieszczenia, gdzie składowano rupiecie, i z satysfakcją słuchała, jak ląduje na dnie zsypu z metalicznym brzdękiem. Po powrocie do mieszkania umyła ręce i wzięła się za kolację, przepełniona wrażeniem, że zbliżyła się kolejne parę metrów do ciepłego, złocistego słońca nad oceanem.

Melody zdjęła buty na wysokim obcasie. Patrząc na odbicie w lustrze, stwierdziła, że bez nich wyglądała lepiej, nie chciała, żeby pomyślał sobie, że bardzo się stara i zależy jej, by jej zapragnął. A poza tym miała wyjątkowo ładne stopy, którymi warto było się pochwalić. Ubrała kilkuwarstwową spódnicę do kostek z brązowej etaminy i turkusowy top bez rękawów. Wyglądała bardzo ładnie. Nie niesamowicie czy spektakularnie, po prostu bardzo ładnie. Podskoczyła na dźwięk domofonu i spojrzała na zegar: 20.01. Minuta spóźnienia. Facet, który pamiętał o urodzinach. Facet, który się nie spóźniał. Zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

Melody wytrząsnęła z głowy negatywne nastawienie. Z tym już koniec. Wzięła głęboki oddech i przywitała go w drzwiach. W rzeczywistości wyglądał lepiej niż w jej wspomnieniach. Nie ogolił się i Melody podobał się ten bardziej szorstki wygląd. Miał na sobie szarą dżersejową bluzę z kapturem i dzinsy w modnym fasonie. Przyniósł złotą kopertę zaadresowaną do Eda.

— Co to jest? — zapytała. — Plan?

— Tak — uśmiechnął się — Oto plan.

— Och, Ben, przecież nie musiałeś przynosić prezentu dla Eda.

— Dlaczego nie? — zapytał swobodnie.

Melody nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie, więc uśmiechnęła się tylko i patrzyła, jak Ed otwiera kopertę. Wyciągnął z niej dwa bilety na koncert Prince'a w O2 pod koniec miesiąca.

— Nie wiem, czy jesteś jego fanem, pewnie twoje pokolenie wsłuchuje się w inne klimaty. Jeśli nie będziesz chciał go posłuchać, to na pewno uda ci się sprzedać dobrze te bilety na aukcji w necie. To są niezłe miejsca, mój brat pracuje w agencji artystycznej.

Ed uśmiechnął się do biletów.

— Dzięki.

— Sam nie wiem — Ben zwrócił się do nich — czy osiemnastolatki słuchają Prince'a?

Ed wzruszył ramionami.

— Nie znam jego muzyki, ale pewnie pójdę, bo to tak, jakbym nie poszedł na Elvise'a Presleya.

Ben roześmiał się, a Melody poczuła, że uścisk w jej żołądku zaczyna się rozluźniać. Najgorsze miała za sobą i wydawało się, że poszło dobrze. W kuchni poliała sałatkę sosem i zaczęła rozgrzewać patelnię z oliwą. Z lodówki wyjęła dwie butelki piwa i zaniósła je do Bena i Eda.

— Mieszkacie w świetnym miejscu! — zachwycił się Ben. — Boże, wszystko masz pod nosem. Niesamowite.

Ludzie od zawsze powtarzali Melody, że mieszkała w niesamowitym punkcie, ale ona nie podzielała tego entuzjazmu. Melody nie mieszkała w Covent Garden, mieszkała w tym mieszkaniu. Jej życie ograniczało się do czterech ścian i tego, co się w nich wydarzyło. Loka-

lizacja tego mieszkania akurat na niej się marnowała. Równie dobrze, myślała sobie, mogła zostać w Canterbury, wiodłaby tak samo szare życie.

— Nie korzystam z tego w pełni. Nie ma dla mnie znaczenia, gdzie mieszkam.

— A to szkoda — stwierdził Ben, a Melody zdała sobie sprawę, że użył już tych słów podczas ich pierwszej randki.

— A ty? — Ben zwrócił się do Eda. — Jak tobie się tu dorastało?

Ed wzruszył ramionami.

— Nie znam nic innego, nie mam porównania. Dla mnie to normalna. Moja szkoła jest przy tej ulicy, kumple mieszkają za rogiem, mam tu siłownię i basen, piłkę nożną w Lincolns Inn.

— A jak będziesz się wyprowadzał na swoje, to w tej okolicy?

— Ed się nigdzie nie wyprowadza, prawda? — Melody uśmiechnęła się i mrugnęła do syna. Odpowiedział uśmiechem.

— Nie. Po co miałbym się wyprowadzać? Mam najlepszą mamę na świecie. — Pochylił się i pocałował ją w policzek, a Melody, nieprzyzwyczajona do afiszowania się ich zażyłością przed kimkolwiek oprócz Stacey i jej rodziną, poczuła się lekko zawstydzona.

— To akurat rozumiem — uśmiechnął się Ben. — Gdybym był tobą, nie wyprowadziłbym się do czterdziestki.

— Przynajmniej do czterdziestki. — Ed i Ben roześmiali się i stuknęli butelkami z piwem.

Przyglądając się im, Melody przeszył dreszcz. Z początku pomyślała, że to ze strachu, teraz zdała sobie sprawę, że było to oczekiwanie. Dzisiejszego wieczora mogło wydarzyć się coś, co już dawno uznała za niemożliwe. Ona i syn posuwali się do przodu, centymetr po centyme-

trze, i wyglądało na to, że ten wysoki wysportowany mężczyzna ze złotą poświatą i perfekcyjnymi zębami może, wbrew jej wcześniejszym odczuciom, wziąć w tym udział.

W kuchni Melody nalała sobie kieliszek wina i sprawdziła, czy rozgrzana patelnia daje znaki dymne, że czas smażyć stek z tuńczyka. Stwierdziła, że tak, wrzuciła więc filety na patelnię i cofnęła się, gdyż ryba zaczęła syczeć i skwierczeć z alarmującą zaciekłością.

— Uważaj, żeby nie przedobrzyć. — Ben stanął za jej plecami.

— Wiem, wiem. Po trzy minuty z każdej strony.

— Hmm. Filety są cienkie, ja trzymałbym je przez minutę.

— Naprawdę?

— Uhm.

— Umiesz gotować?

— O tyle, o ile. Opanowałem podstawy.

— A czy smażone steki z tuńczyka zaliczają się do podstaw?

— Hm — wzruszył ramionami i uśmiechnął się. — Raczej tak. Ed mówi, że nie urodziłaś się w kuchni?

— Tak, to nie jest moje naturalne środowisko.

— To trochę dziwne, zważywszy na twój zawód.

— A może właśnie dlatego go wybrałam — uśmiechnęła się. — Nie lubię gotować. Ale chcę nad tym popracować. Zawsze mówiłam, że nie starczało mi czasu na gotowanie, a teraz mam go pod dostatkiem. Skończyły mi się wymówki. Właściwie, to na wiele rzeczy kończą mi się wymówki.

— Naprawdę? — zapytał znacząco.

— Tak. — Przerwała. — Mam je teraz obrócić?

Ben zerknął na patelnię.

— Tak, i trzymaj na drugiej stronie dosłownie jakieś trzydzieści sekund. Na jakie rzeczy?

Odwróciła steki widelcem i westchnęła.

— Boże, sama nie wiem. Całe życie czułam, że czegoś mi brakuje, a potem pojawił się Ed i wypełnił mi te wszystkie dziury. I wystarczało mi bycie jedynie mamą Eda. Tak naprawdę nie obchodziło mnie nic poza tym. A teraz, no cóż... mam je wyjąć? — Pokiwał głową, a ona zsunęła ryby na trzy oczekujące talerze. — Teraz, po tych wszystkich odkryciach plus osiemnastka Eda, zdałam sobie sprawę, że na świecie jest o wiele, wiele więcej do robienia niż bycie jedynie mamą Eda. Wiesz — ściszyła głos — odkryłam, że mam siostrę.

— Naprawdę?

— Tak, spotkałyśmy się w sobotę. To taki mały wulkan energii, pełna planów i pomysłów, a jest zaledwie pięć lat młodsza ode mnie, choć wydaje się o niebo młodsza, i pomyślałam, że mogłabym być taka jak ona. Gdyby to wszystko mi się nie przydarzyło, gdyby nie zatajono przede mną prawdy, mogłabym być właśnie taka, dziewczyna z miasta, na szczeblach drabiny do kariery. Ale nie czuję żalu. Myślę, że to nie mogło zdarzyć się w lepszym momencie. Spotkałam Grace, żonę Kena, i ona uważa, że miałam dużo szczęścia, że urodziłam dziecko tak wcześnie, bo teraz mogę odnaleźć siebie, i miała rację. Mam dopiero trzydzieści trzy lata, mam to mieszkanie, mój mózg pracuje całkiem nieźle, mogę być tym, kim tylko zechcę.

— Alleluja! — zawołał Ben.

— Co?

— No właśnie budzisz w sobie tę kobietę, którą dostrzegłem w autobusie numer czternaście trzy tygodnie temu.

— Ha! A ja myślałam, że zauważyłeś jedynie moje ramiona?

— Najpierw zauważyłem dwa piękne ramiona, a potem zobaczyłem kobietę, która wyglądała nie tylko zabójczo wspaniale, ale i niesamowicie interesująco.

Melody spojrzała na Bena i uśmiechnęła się.

— To samo powiedziała mi siostra. Że na zdjęciu z dzieciństwa wyglądałam jak naprawdę interesująca dziewczynka.

— I założę się, że taka byłaś. I dzięki Bogu za Juliusa Sardo i za to, co tam nawyrabiał z twoją głową, i że to ci pomogło odzyskać pamięć, kim naprawdę jesteś. Za Melody Ribblesdale, bardzo interesującą małą dziewczynkę. — Uniósł w jej stronę butelkę piwa.

— Tak. I za Bena o wciąż mi nie znanym nazwisku — dodała — za to, że mnie nie olał.

— Ben Diamond — powiedział. — Moje nazwisko to Diamond.

Ben Diamond. Nie zgadłaby za żadne skarby. Uśmiechnęła się do siebie i wyłączyła gaz pod makaronem.

Ben został na noc. Nie zdjął bielizny, po prostu położył się obok Melody i objął ją swoim gładkim ciężkim ramieniem.

— Kolacja była wspaniała — szepnął w ciszę.

— To prawda. Dzięki tobie. Gdyby nie ty, raczylibyśmy się kawałkiem skórzanego buta i garścią obrzydliwych klusek.

— Przestań siebie krytykować. Pozwoliłaś mi przejąć ster. Gdyby mnie nie było, na pewno byś sobie poradziła.

— Tak myślisz?

— Oczywiście.

Melody oparła głowę na jego ramieniu i głaskała miękkie włosy. Wcześniej ustalili, że nie będzie żadnego seksu, więc czuła się bezpieczna, że ten delikatny przejaw czułości nie zostanie uznany za grę wstępną.

— Twój syn jest wspaniały — powiedział, otaczając ją dwoma ramionami, tak że leżeli teraz w mocnym uścisku.

— Naprawdę wspaniały.

— Prawda? Przez całe te lata martwiłam się, że robiłam coś nie tak, i oto proszę, za dwa dni skończy osiemnaście lat i nagle okazuje się, że wszystko robiłam tak jak trzeba.

— Możesz napisać już całą swoją historię, prawdziwą historię, co?

— No niezupełnie.

— Jest jeszcze jeden rozdział?

— Uhm — szepnęła Melody. — Jeszcze jeden rozdział.

— A potem sięgnęła do włącznika nocnej lampki i pokój pogrążył się w kojącej ciemności. — Dobranoc, Benie Diamond.

— Dobranoc, Melody Ribblesdale. — Pochylił się i pocałował w ciemnościach jej policzek.

Jasny księżyc za oknem pogrążył ciemny pokój i falisty zarys ciała Bena w purpurowej poświacie. Przez cienkie bawełniane zasłony Melody widziała perfekcyjnie wykrojony biały krążek i przypomniała sobie noc sprzed dwudziestu pięciu lat, kiedy to po dziwnym, niezgłębionym śnie obudziła się jako pusta, słaba dziewczynka o imieniu Melody Browne, z rodzicami, do których nie należała, i z życiem, którego nie posiadała.

Tylko w jeden sposób mogła się dowiedzieć, jakim cudem wylądowała tamtej nocy na trawniku, wpatrzona w księżyc. Tylko dwoje

ludzi, tych ludzi, których zaprzysięgła sobie już nigdy więcej nie zobaczyć, było w stanie dokończyć jej historię. Jej rodzice.

Wbrew woli zamknęła oczy i próbowała zasnąć, ale jej głowa pełna rodziców i łóżko pełne obcego mężczyzny, odpędzały sen jeszcze długo po tym, jak nastał nowy dzień.

TLR

ROZDZIAŁ 50

Teraz

RADIOWE ZAPOWIEDZI pogody na urodziny Eda brzmiały bardzo optymistyczne: miał być ładny, słoneczny dzień z temperaturą sięgającą dwudziestu czterech stopni. Melody odetchnęła z ulgą. Ed odrzucił jej propozycję zjedzenia gdzieś w mieście, gry w kręgle i wyścigów gokartami. Wolał piknik na trawniku za pubem Lincolns Inn, z piwem, kanapkami, znajomymi i grą we frisbee.

Rano odprowadziła Bena na stację metra i po wymianie delikatnego, ale znaczącego pocałunku, poszła do Tesco na Bedford Street, by zrobić zakupy na piknik. Spojrzała na zegarek. 9.09. Przypomniała sobie, jak osiemnaście lat temu, w tym czasie, zaliczała właśnie dziesiątą godzinę porodu. Razem ze Stacey były w swoim nowym mieszkaniu, umeblowanym jedynie w używaną sofę i stół z krzesłami. Stacey siedziała ze skrzyżowanymi nogami na podłodze i desperacko próbowała przystawić tygodniową, rozwrzeszczaną Cleo do piersi, a Melody leżała zwinięta z bólu w drugiej części pokoju (piękny obrazek: dwie samotne nastoletnie matki próbują na własną rękę zmierzyć się z nowym życiem). Melody stwierdziła, że skurcze pojawiały się w odstępach mniejszych niż pięć minut, na co Stacey powiedziała: „Bierz taksówkę, w kieszeni mam pią- taka”. W tym czasie, osiemnaście lat temu, Melody zostało jeszcze czternaście godzin do wypchnięcia czterokilogramowego chłopczyka w małym białym pokoju, w którym towarzyszyła jej jedynie położna June.

Te godziny między opuszczeniem mieszkania a urodzeniem Eda były najsmutniejszymi godzinami w jej życiu. Wijąc się z bólu, usychała z tęsknoty nie tylko za swoją mamą i tatą, ale za jakąkolwiek mamą i tatą. W chwili gdy położna włożyła dziecko w jej ramiona, wiedziała,

że nie potrzebuje już nikogo, a najmniej ze wszystkich Clive'a i Glorii Browne. Ale teraz, osiemnaście lat od tamtego momentu, potrzebowała ich jeszcze raz. Ta myśl napełniała ją strachem i przerażeniem.

Do kosza wrzuciła pocięte w plasterki ser i szynkę, paczki koktajlowych kiełbasek i duże opakowania dori-tos. Wiedziała, gdzie ma numer telefonu do rodziców. Był w jej starym kalendarzyku z 1989 roku, na który natknęła się dzień przed zrobieniem porządków. Mogła teraz wrócić do domu i zadzwonić do nich, do mamy i taty. Mogła zrobić to dzisiaj, przed południem. Nie miała pojęcia, co ją czekało po drugiej stronie. Wyłączony telefon? Albo głos kogoś nieznajomego? Wiadomość, że jej rodzice nie żyją? Albo rozmowa z mamą lub tatą, która w końcu wyjaśni, dlaczego pozwolili żyć jej jako półczłowiek.

Po powrocie do domu pół godziny później zastała Eda nad śniadaniem.

— Wczesnie wstałaś — przyłożył miseczkę z płatkami do ust, by wypić posłodzone mleko.

— Odprowadziłam Bena na metro, a potem poszłam do Tesco po zakupy na piknik.

— Słyszałaś, jaka ma być pogoda? — wskazał na radio.

— Wiem — uśmiechnęła się. — Wspaniale, co?

— On też jutro będzie?

— Kto, Ben?

— Uhm.

— A chcesz?

Ed wzruszył ramionami i wstał.

— Tak, może być. Polubiłem go.

Melody spojrzała na syna. Lekko zaróżowione policzki zdradzały jego zawstydzenie i Melody pomyślała, że Ed polubił Bena bardziej, niż chciał się do tego przyznać, i od razu poczuła coś miękkiego na dnie żołądka.

— Dobrze — powiedziała powściągliwie. — Zadzwonię do niego. Chociaż nie wiem, czy będzie mógł się urwać z pracy.

— Ok. Nie ma sprawy.

Melody rozpakowała zakupy. Zauważyła, że kuchnia była w nieskazitelnym stanie.

— Posprzątałeś kuchnię? — zapytała podejrzliwie.

— Tak — uśmiechnął się. — Razem z Benem, rano, jak byłaś w łazience.

— O rety — roześmiała się. — I kto wpadł na ten pomysł?

— Ja oczywiście — Ed mrugnął.

— Tak, tak, na pewno. — Spojrzała na niego z niedowierzającym uśmiechem i przesunęła go z drogi do lodówki. — Jakie masz plany na dzisiaj, na ten ostatni dzień dzieciństwa?

— Myślałem, żeby pójść na plac zabaw, na huśtawki, potem skuterem wrócić do domu i dostać ataku złości.

— Ha! Ha! — Melody szturchnęła go pod żebra.

— Sam nie wiem. Pewnie powinienem gdzieś iść, chociaż może bezpieczniej, żebym siedział w domu. Wyobraź sobie tylko, że w przeddzień osiemnastki przejedzie mnie autobus, to dopiero byłaby tragedia.

— Och, przestań już! — przerwała ostro Melody. — Nawet tak nie żartuj!

Ed już miał wyjść z kuchni, kiedy nagle odwrócił się do niej.

— Mamo?

— Tak?

— Kto to jest Emily?

Melody odwróciła się plecami od otwartej lodówki.

— Co?

— Emily. Z takim amerykańskim akcentem. Dzwoniła do ciebie, jak wyszłaś.

Melody zauważyła leżącą na blacie kuchennym komórkę podłączoną do ładowarki.

— Och, Emily, to koleżanka.

— Aha, bo powiedziała coś naprawdę dziwnego. Powiedziała, że jest moją ciocią.

— Co powiedziała?

— No, że na pewno jestem Ed, a ja, że tak, a ona, no zgadnij, kto ja jestem, a ja, że nie mam pojęcia, a ona, że jest moją zaginioną ciotką, a ja na to w śmiech i powiedziałem, ok, bo nie wiedziałem, co miałem powiedzieć, i ona też się jakby zaśmiała i po rozmowie.

Melody głęboko wciągnęła powietrze.

— Co jeszcze mówiła?

— No nic już. Tylko żebyś do niej zadzwoniła. Coś z nią jest nie tak, mamo?

— Nie, co ty, z nią jest wszystko ok. Ona tylko... — Melody chciała powiedzieć synowi, że kobieta, z którą rozmawiał przez telefon, była trochę dziwna, trochę głupkowata i trzpiotowata, ale spojrzała na tego młodego mężczyznę, wyższego od niej o 7,5 centymetra, mężczyznę,

który posprzątał kuchnię, który chciał dla niej tego, co najlepsze, i nagle zaczęła się zastanawiać, przed czym tak naprawdę starała się go uchronić. Przed faktem, że dziadkowie, których nigdy nie poznał i którymi się nie przejmował, nie byli jego prawdziwymi dziadkami? Przed faktem, że jego mama miała smutne i okropne dzieciństwo, które właśnie sobie przypominała, ale że właściwie to czuła się lepiej, a nie gorzej, znając prawdę? — To moja siostra — powiedziała szybko i odetchnęła z ulgą.

— Ale ty nie masz siostry.

— Przedtem nie miałam siostry, ale teraz już mam. Okazało się, że mama i tata nie byli moimi prawdziwymi rodzicami. Okazało się, że miałeś rację, zostałam adoptowana. Słuchaj — pochyliła się i ujęła jego rękę — to naprawdę długa historia. A ja nie znam jeszcze końca. Muszę gdzieś zadzwonić i się z kimś spotkać. Pozwól, że wpierw to zrobię, a potem zabiorę cię na Nandos i wszystko ci opowiem, co ty na to?

— Ok. — Ed potrząsnął głową i uśmiechnął się speszony. — Kurde. Popierdzielony mózg.

— Tak — zgodziła się Melody. — Trochę tak.

Melody zabrała telefon do sypialni i usadowiła się na łóżku. Otworzyła mały, pachnący stęchlizną terminarz, który zaczynał się w dniu, w którym odeszła z domu rodziców, a kończył wizytą położnej w mieszkaniu, gdy Ed miał dziesięć dni. Napis na wewnętrznej stronie okładki głosił: „ten terminarz należy do: Melody Browne, 4 Trojan Close, Canterbury, Kent, CT 19JL”. Pod spodem dopisany był numer telefonu, znajome siedem cyfr napisanych czerwonym długopisem jej wciąż niedojrzałym pismem. Melody głęboko wciągnęła powietrze i wystukała numer.

Czekała trzy, może cztery sygnały, aż usłyszała dźwięk podnoszonej słuchawki, oddech i cienki dziewczęcy głos: „Halo?” Jej matka. Melody stłumiła krzyk i odłożyła słuchawkę.

Pomyślała nagle, że nie można tego zacząć przez telefon; oni musieli spojrzeć jej w oczy. A ona musiała widzieć ich twarze.

Melody stała przed 4 Trojan Close i spoglądała na dom. Miała wrażenie, że opuściła go zaledwie wczoraj. Zaułek wypełnił się ciszą, wszystkie podjazdy były puste. Jedynie po prawej ręce Melody stało małe czerwone auto. Samochód matki. Nie ten, którym jeździła, gdy Melody dorastała, ale bez wątpienia jego właścicielką była Gloria Browne. Melody, przepełniona dziwną pewnością siebie, nadusiła na dzwonek. W drzwiach niemal natychmiast stanęła drobna kobieta w peruce blond. W pierwszej chwili Melody nie poznała matki. Lekko przekrzywiona peruka wyglądała tak, jakby została założona w pośpiechu, blada i mizerna twarz zdradzała schorowanie. Poza tym kobieta była znacznie mniejsza i drobniejsza, niż zapamiętała ją Melody.

Wpatrywały się w siebie przez krótką chwilę. Gloria już zaczynała się uśmiechać, a potem nagle załamała się.

— Melody — wyszeptała.

Melody skinęła głową.

— Dzwoniłaś wcześniej?

Znów skinęła.

— Wiedziałam, że to ty. Czułam to. Wejdz do środka. Proszę, proszę. — Słowa zabrzmiały nie jak zaproszenie, ale jak błaganie.

Melody weszła do środka. Gloria przepuściła ją, nie odrywając od niej wzroku.

— Usiądź, usiądź — nalegała usilnie, gdy weszły do pokoju dziennego.

Melody usiadła i rozejrzała się dookoła. Wszystko stało na swoim miejscu, każde jedno porcelanowe zwierzątko, kryształowa karafka i reprodukcja w połączanej ramie.

I tam, na mahoniowym kredensie, Melody Browne, siedząca okra-kiem na kasztanowym kucyku, nogi w beżowych bryczesach, kokarda przypięta do klatki piersiowej, jedenaście lat, w każdym calu uprzywi-lejowana, młoda księżniczka z Canterbury. Uderzył ją ten kontrast, kim kiedyś była, kim mogłaby być, kim się stała. Tyle zakrętów i wykole-jeń, tyle kombinacji. A teraz wszystko sprowadziło się do tego: tykają-cego zegara, cichego domu, małej kobiety, ostatnich stron jej książki.

— Coś się stało? — Białe oczy Glorii Brown lustrowały twarz Melody, szukając wskazówek dla wytłumaczenia nagłego pojawienia się córki. — Czy wszystko w porządku?

— Wszystko w porządku — odpowiedziała Melody bezbarwnym głosem. — Jak się czujesz?

— Och, ja... dobrze. No wiesz. Na tyle, na ile mogę. A jutro są urodziny Edwarda? — Uśmiechnęła się.

— Tak. — Melody poczuła falę zdziwienia. — Skąd wiesz?

— A jak mogłabym nie wiedzieć? To mój wnuk. Ciągle o nim my-ślę, a szczególnie drugiego sierpnia. A jutro kończy osiemnaście lat, prawda?

— Tak, to prawda.

— I jak on się ma? Jak się miewa Edward?

— Wspaniale. Czeka na wyniki maturalne, a potem zastanowi się, co dalej.

— Och. — Wydawało się, że matka przyjęła te wiadomości z ulgą. — Och, tak się cieszę. I tak miło cię zobaczyć, Melody. Wspaniale. I wyglądasz tak ślicznie...

— No ja bym tak tego nie określiła...

— Ależ oczywiście, że tak, jesteś teraz kobietą. Piękną kobietą. Jestem z ciebie bardzo dumna.

Melody poczuła przypływ gniewu, słysząc te słowa.

Gloria Browne nie miała prawa czuć się z niej dumna, żadnego prawa.

— Gdzie tata? — zmieniła temat.

— Och, zmarł w zeszłym roku w czerwcu, tak, w czerwcu.

— Och. — Melody czekała chwilę na jakieś uczucie, jakiegokolwiek uczucie, ale nic się nie pojawiło. — Co się stało?

— Alzheimer. A potem zawał. To była ulga. Naprawdę. Było nam bardzo ciężko przez ostatnie kilka lat. Doprawdy bardzo ciężko. No, ale teraz życie wydaje się takie... jałowe. Bez niego. Samotne, wiesz?

Melody skinęła głową. Było jej żal tej kobiety, naprawdę. Ale sama doprowadziła do tego wszystkiego. Wybrała życie w kłamstwie. Melody nie poznała jeszcze całkowitego wymiaru tego kłamstwa. Miała świadomość, że Clive i Gloria Browne nie wymazali z premedytacją pamięci z jej życia, zanim ich poznała, ale oczywiście nie zrobili nic, by pomóc jej ją odzyskać.

— Co się stało z twoimi włosami? — zapytała szorstko, niemalże złośliwie.

— Och, tak — Gloria z żalem dotknęła peruki. — Moje włosy, no cóż, zawsze były słabe, a potem — wyrównała oddech — potem, kiedy zmarł twój tato, no to one jakby też się poddały, jak część mnie, doprawdy. — Uśmiechnęła się przez łzy. — Dla kobiety to okropna rzecz tak wyłysieć. .. — Pokonała po chwili smutną zadumę i znów się uśmiechnęła. — A ty, Melody? Jak tobie ułożyło się życie? Czy urodziłaś więcej dzieci?

— Nie, nie miałam więcej dzieci. Ed mi wystarczył, a poza tym nie poznałam nikogo, z kim chciałabym je mieć.

— A to szkoda, więc ojciec Eda...?

— Tiff nigdy nie był ojcem dla Eda. Nawet nie przyszedł go zobaczyć po urodzeniu, a ostatnia rzecz, którą o nim słyszałam, to że wrócił do Cork i pracuje na fermie świń.

— Więc było was tylko dwoje, tak? Przez te wszystkie lata...

— Tak, tylko nas dwoje.

— I jesteście szczęśliwi?

— No tak, na tyle szczęśliwi, na ile człowiek może być szczęśliwy, kiedy jego życie jest jedynie... mirażem.

— Mirażem? — powtórzyła Gloria w zamyśleniu. Melody spojrzała na Glorię Browne, która mrugała w konsternacji, jakby nie miała najmniejszego pojęcia, do czego zmierza Melody.

— Och, przestań już — prychnęła Melody. — Dobrze wiesz, o co mi chodzi!

— No nie jestem tego wcale taka pewna.

— Słuchaj, nie przyszłam tutaj po osiemnastu latach, żebyśmy ucięły sobie miłą pogawędkę, przyszłam, bo chcę, żebyś mi odpowiedziała na kilka pytań. Wiem, co się stało. Wiem, że nie jesteście moimi biologicznymi rodzicami, i chcę teraz, żebyś ujawniła mi prawdę. Żebyś powiedziała mi, co stało się po tym, jak zmarła moja mama, co stało się od chwili, gdy ciocia Susie przywiozła mnie do twojego domu, do dnia, kiedy obudziłam się na trawie przed płonącym domem.

W małym pokoju znów zaległa cisza. Tylko zegar nie zważał na nic i nadal tykał. Mama westchnęła. A potem, w końcu, zaczęła mówić.

ROZDZIAŁ 51

1981

MEŻCZYŻNA Z CZARNYMI włosami i okularami w stalowej oprawce wyglądał trochę jak Mr Spock z filmu *Star Trek*. Jego uszy miały bardzo dziwny kształt i przypominały kwiaty. Uśmiechnął się miło i westchnął.

— A więc, Melody. Nazywam się Radivski i jestem lekarzem. Zajmuję się głowami dzieci, rozumiesz?

Wpatrywała się w niego i zastanawiała się, co by się stało, gdyby otworzyła usta i głośno beknęła. Ta myśl rozśmieszyła ją, a on uznał jej chichot za bardzo interesujący.

— Tak, wiem, że to brzmi dziwnie i oczywiście nie mówię o tej części głowy — postukał pięściami we własną czaszkę — ale o tym. O tym, co jest w środku. O podświadomości. O myślach. Czy wiesz, dlaczego tu jesteś?

Nie przestawała się w niego wpatrywać. Miał bardzo błyszczący nos, a jego rzęsy zostały spektakularnie pogrubione przez powiększającą soczewkę w dwuogniskowych okularach.

— Jesteś tutaj, ponieważ twoi przybrani rodzice bardzo się o ciebie martwią, bo od trzech tygodni nie wypowiedziałaś słowa. Wiem, że dowiedziałaś się przykrych rzeczy, i rozumiem, że czasem, kiedy słyszemy coś, czego nie chcielibyśmy usłyszeć, wydaje się, że w pewnym sensie łatwiej i bezpieczniej jest po prostu zamknąć się... — zbliżył ręce do siebie... — w środku. Czy ty to zrobiłaś, Melody? Czy zamknęłaś się w środku?

W środku, pomyślała Melody Podobały się jej te słowa. W środku znaczyło ciepło. W środku znaczyło bezpiecznie. W środku znaczyło sofę, telewizor i coś smacznego do zjedzenia. Podobało jej się siedzieć w środku tego pokoju. Został bardzo ładnie wykończony i wyłożony książkami. W pewnym sensie czuła, że był środkiem jej głowy, małe skrytki wypełnione porządnie i po brzegi interesującymi książkami.

W kącie pokoju leżało trochę zabawek. Zaciekawiona wstała i poszła do nich.

— Ach — odezwał się lekarz — wypatrzyłaś mój mały sklepik z zabawkami. Popatrzmy razem, co my tutaj mamy. — Wstał, a Melody zobaczyła, że był bardzo wysoki. Pomyślała sobie, że niektóre dzieci mogą się trochę bać tego wysokiego mężczyzny z dziwnymi uszami, grubymi okularami i dziwnym akcentem, i zastanawiała się, dlaczego zdecydował się być lekarzem, który zajmuje się głowami dzieci. Zabawki były porządnie ułożone: drewniane lalki, papier, kredki, mały drewniany domek, łódeczko, samochód, miś.

— Jeśli pozwolisz, to chciałbym sobie popatrzeć, jak się bawisz, dobrze?

Spojrzała na niego zaciekawiona i zastanawiała się, dlaczego dorosły mężczyzna chce oglądać ośmiolatkę bawiącą się lalkami. Potem podniosła małą drewnianą lalkę z jasnymi włosami, w czerwonej bawełnianej sukience. W drugą rękę chwyciła samochód i posadziła na miejscu pasażera lalkę. A potem, nie dlatego, że było to coś, na co szczególnie miała ochotę, ale tylko dlatego, że wiedziała, iż dzięki temu lekarz pomyśli o różnych interesujących rzeczach dziejących się w środku jej głowy, popchnęła samochód z lalką naprawdę, naprawdę mocno, tak że przejechał po wycyklinowanych deskach i walnął w listwę przy podłodze po drugiej stronie pokoju.

Odwróciła się i spojrzała na lekarza.

Uśmiechnął się.

Melody — zawołała Gloria, pukając delikatnie w drzwi. — Melody, czy mogę wejść?

Otworzyła drzwi i oparła się o nie plecami. Melody odłożyła czytaną książkę i spojrzała na nią z ciekawością.

— Mamy wieści. Dobre wieści. Czy chciałabyś zejść na dół, żebyśmy mogli ci o tym powiedzieć przed kolacją?

Melody wiedziała, co Gloria chciała jej powiedzieć. Miała jej zakomunikować, że ich wniosek o adopcję został zaakceptowany. Podniosła książkę i zaczęła czytać.

— Melody, kochanie, proszę, to ważne.

Odłożyła ponownie książkę i skrzyżowała ręce na piersiach. Jeśli to było takie ważne, pomyślała sobie, to równie dobrze mogła powiedzieć jej o tym tutaj.

Gloria westchnęła i usiadła na krawędzi łóżka Melody.

— Otrzymaliśmy telefon z opieki socjalnej. Zostaliśmy zaakceptowani. To znaczy, że możesz być naszą małą dziewczynką. Oficjalnie. Czy to nie wspaniałe?

Melody skierowała wzrok na widok za oknem. Ta wiadomość nie była ani wspaniała, ani zła. Dziewczynka była wystarczająco bystra, żeby rozumieć, że alternatywą dla tej adopcji była rodzina zastępcza albo sierociniec, a wiedziała, że niewielu ludzi chciało adoptować ośmiolatki, szczególnie takie z wybiórczym mutyzmem (według lekarza ze śmiesznymi uszami właśnie na to cierpiała). Wiedziała, że podanie Kena i Grace zostało odrzucone kilka tygodni wcześniej, że ciocia Susie była zbyt chora, by się nią zająć, i że ciocia Maggie poparła wniosek państwa Browne, więc najwyraźniej nie miała zamiaru przejąć pałeczki i zabrać jej do swojej rozbitej, małej rodziny. Zdawała sobie z tego wszystkiego sprawę. Była bystrą dziewczynką. Państwo Browne byli jej jedyną opcją. Byli wszystkim, co jej zostało.

Podniosła książkę i zaczęła czytać.

Melody zdmuchnęła dziewięć świeczek z czekoladowego ciasta. Był listopad 1981, a ona od prawie sześciu tygodni nazywała się Melody Browne. W pokoju siedziało jeszcze siedem innych osób: Gloria (nazywała się teraz „Mama”), Clive (zwany również „Tata”), brat Clive'a, Peter, z żoną Cheryl i dwójką nadaktywnych dzieci, Samanthą i Danielem, którzy właśnie biegali dookoła pokoju, kopiąc puste kartonowe pudło. Sędziwa matka Glorii, Petunia (lubiła siebie nazywać „Babcią”), siedziała w fotelu i z rozbawieniem przyglądała się wnukom. Melody zajmowała honorowe miejsce przy stole w otoczeniu ekstrawagancko owiniętych prezentów i próbowała nie myśleć o tym, co robiła w tym czasie rok temu, kiedy wciąż była u cioci Susie i właśnie dowiedziała się, co stało się z tatą. Tamten dzień wciąż tu był, choć wcisnęła go w małe pudełko. Rozmazane, niewyraźne wspomnienie rozbudzała czasami świadomość. Ale Melody nie pamiętała już wypowiedzianych słów, ani porządku, w jakim potoczyły się zdarzenia. Czasami miała wrażenie, choć nie do końca zupełnie, że nic takiego się nie wydarzyło.

Gloria podzieliła grube czekoladowe ciasto na osiem dużych kawałków i położyła je na różowych papierowych talerzykach. Melody wpatrywała się przez chwilę w swój kawałek, delektując się widokiem gęstego brązowego koloru, tłustym połyskiem na lukrowej polewie, suchymi okruszkami batonika Flake rozsypanymi na wierzchu. Gloria piekła wspaniałe ciasta. Poza tym Gloria gotowała wspaniałe potrawy i robiła wspaniałe pieczone kurczaki, i potrafiła uszyć na maszynie Singer wspaniałe repliki spodni do kolan Chelsea Girl. Gloria była wspaniałą, wspaniałą mamą, o wiele lepszą od prawdziwej mamy, jeśli chodziło o rzeczy takie jak ciasta, hobby i opiekowanie się małą dziewczynką.

Melody wbiła widelec w ciasto i odłamała kawałek. Włożyła go do buzi i kiedy czekolada dotknęła jej kubków smakowych, z głębi jej

płuc wydobył się głośny i zdumiewający dźwięk: „Mmmm”. Wszystkie twarze w pokoju zwróciły się w jej stronę. Melody wcisnęła widelec w ciasto i skierowała kolejny kawałek do ust. Ponownie pozwoliła wydobyć się głębokiemu jękowi przyjemności, kiedy ciasto ześlizgiwało się po jej gardle. Czuła ten nagły zwrot uwagi w pokoju skupionej teraz na niej, nieoczekiwane napięcie, więc ponownie powtórzyła całą czynność. W sumie wykonała ją dwanaście razy, aż kawałek ciasta zniknął w jej brzuchu. A potem odłożyła widelec na pusty talerz i uśmiechnęła się. Gloria i Clive wymienili osłupiałe spojrzenia, a potem, powoli i dość niezręcznie, zaczęli bić brawo.

Trzy dni po dziewiątych urodzinach Melody Gloria i Clive zostali zaproszeni na imprezę do sąsiadów, którzy wprowadzili się do domu naprzeciwko. Nowi sąsiedzi byli młodzi i wytworni, nazywali się Sean i Janinę. Gloria wpadła w humor, który zwykła nazywać „lekkim roztrzęsieniem” i zabrała Melody na trzy osobne ekspedycje do sklepów w poszukiwaniu tej jedynej, odpowiedniej sukienki. Z Melody, która zaczynała wydobywać z siebie jakieś dźwięki, był już pożytek, bo za każdym razem, gdy Gloria wychodziła z przebieralni, chrząkała aprobująco lub nieaprobująco. Dziewczynka rozważała możliwość powrotu do mówienia, ćwiczyła, siedząc sama w pokoju, rozmawiała z młodą Hiszpanką. A do jej klasy chodziła Melissa, bardzo ładna i bardzo miła dziewczynka, która przysięgła, że nikomu nie powie, że w czasie przerw Melody szeptała do jej ucha kilka słów.

Kiedy nadeszła godzina długo wyczekiwanej imprezy, Gloria stała się lekko roztrzepana i wciąż biegła tam i z powrotem po schodach, za każdym razem o czymś zapominając. W końcu, trzy minuty przed dwudziestą, ukazała się w bładoniebieskiej sukni z wysokim kołnierzem, ozdobionym pasem z niebieskich kryształów górskich, i z szerokimi rękawami zebranych w mankiet. Włosy miała utapirowane za pomocą nowo nabytej lokówki Babylics w istny tłum kiełbasek blond, a jej usta płonęły gorącym łososiovym różem.

— No proszę, wielkie nieba, wyglądasz zjawiskowo — stwierdził Clive, ubrany równie elegancko w brązowy garnitur z atłasowym kołnierzem i wełniany granatowy golf.

Melody spojrzała na nich i uśmiechnęła się. Wyglądali ładnie. Co prawda nie byli jej prawdziwymi rodzicami, ale wyglądali ładnie. Poczula, że coś na kształt dumy zakrada się na paluszkach w jej świadomości, więc kiedy zbliżyli się do niej, by się pożegnać, zamiast pozwolić im potrzymać się w ramionach, przytuliła ich oboje do siebie. Poczula ładny zapach perfum Avon i wody kolońskiej Brut.

Rachel, nastolatka mieszkająca o dwa domy dalej, dostała całe pięć funtów za posiedzenie z Melody i obie, trzy minuty po dwudziestej, odprowadziły do drzwi Clive'a, Glorię i butelkę Blue Nun opakowaną w papier. Później, zamiast do łóżka, Melody trafiła na sofę, gdzie w towarzystwie Rachel i paczki czekoladek After Eight, obejrzała wyjątkowo przerażający odcinek serialu z dreszczykiem pt. *Within These Walls*.

Melody spała głęboko, gdy po północy Clive i Gloria, z zaróżowionymi policzkami i lekko miękkimi nogami wrócili do domu. Nie słyszała, jak zaparzyli kawę w kuchni, i nie miała pojęcia, że tańczyli przez chwilę w ciemnym pokoju, że Gloria chichotała, a gruby, pełny księżyc pokrył jej twarz perłowym blaskiem. Na szczęście nie była świadoma, że wdrapali się na palcach na górę, trzymając się za ręce, i ciężko opadli na królewskie łóżko, zaczęli dyszeć i gorączkowo grzebać przy zapięciach swoich ubrań. I kiedy Clive zdołał wydobyć się z brązowych spodni i był w połowie drogi od uwolnienia żony z nowiutkich, królewskich, jedwabnych majteczek, Gloria usiadła sztywno i zapytała: „Co to za zapach?” Melody była wciąż głęboko pogrążona w błogiej nieświadomości narastającej paniki towarzyszącej odkryciu pożaru w sypialni dla gości. Ponieważ jej otwarty w nocy pokój sąsiedował z rozżarzoną sypialnią, natychmiast wypełnił się gęstym, plastikowym dymem i w ciągu kilku chwil Melody straciła przytomność.

Między snem, utratą przytomności i odzyskaniem świadomości, w czasie gdy dwadzieścia minut później leżała pod księżycem, na trawniku, przed płonącym domem, coś szczególnego stało się w głowie Melody. Kiedy obudziła się z głębokiego snu dwadzieścia cztery godziny później, w domu wujka, Melody nic nie pamiętała z poplątanego życia sprzed pożaru. Nie pamiętała Kena, Broadstairs ani mamy i taty. Nie pamiętała Los Angeles, Charlotte ani małej siostrzyczki Emily. Pamiętała jedynie, że mama i tata uratowali ją z płonącego domu i że miała dziewięć lat i nazywała się Melody Browne.

TLR

ROZDZIAŁ 52

Teraz

POŻAR ZOSTAŁ spowodowany przez włączoną lokówkę Babyliiss, porzuconą bezmyślnie na nylonowej kapie łóżka obok zużytej chusteczki w sypialni dla gości przez jej towarzysko przewrażliwioną matkę.

Ostatnie pytanie brzmiało, dlaczego zostawili ją ze złamaną pamięcią. Odpowiedź nie była zaskakująca.

— Myśleliśmy, że tak będzie dla ciebie najlepiej — odparła Gloria.

— Wiedziałam, że tak powiesz! — warknęła Melody.

— To nie była łatwa decyzja. Wcześniej byłaś taka nieszczęśliwa. Przestałaś się odzywać, bardzo martwiliśmy się twoim zachowaniem, a ja czułam, że ty już poszufladkowałam tę okrutną historię, jeszcze zanim wybuchł pożar. Więc kiedy odzyskałaś przytomność i uśmiechnęłaś się, i nazwałaś nas mamą i tatą, no to, cóż, uznaliśmy, że byłoby to okrutne cofnąć cię do poprzedniej fazy. Po pożarze obudziłaś się jako zupełnie inne dziecko. A my czekaliśmy i czekaliśmy, kiedy powiesz coś na temat przeszłości, wiesz, coś o mamie lub Kenie, ale ty tego nie robiłaś. Dopiero po wielu miesiącach uświadomiliśmy sobie, że ty po prostu nic nie pamiętasz. I zrozum, pomyśleliśmy, że to świetna okazja, żeby wszystko zacząć od początku, dom przepadł, ale ty w końcu byłaś szczęśliwa.

— A moja rodzina! — krzyknęła Melody. — Moja ciocia! Moja siostra! Ken!

— Wiem — westchnęła Gloria — wiem. Tak jak powiedziałam, to nie była łatwa decyzja. To była najtrudniejsza decyzja, jaką podjęłam w życiu. Oprócz tej, kiedy pozwoliłam ci odejść...

— Co masz na myśli, mówiąc: pozwoliłam ci odejść?

— Osiemnaście lat temu. Jeśli kogoś kochasz, dajesz mu wolność, jeśli ten ktoś cię kocha, to wraca. — Jej głos załamał się. Przerwała i uśmiechnęła się smutno, potem wyrównała oddech i kontynuowała: — Ty nigdy nie wróciłaś. Więc musiałam pogodzić się z faktem, że nigdy mnie nie kochałaś. I musiałam sobie zadać pytanie, czy to przez decyzję, którą podjęłam... my podjęliśmy te wszystkie lata temu.

— No cóż, wydaje mi się, że znasz odpowiedź na to pytanie. Jak możesz w ogóle myśleć, że to było ok, żebym przeszła przez życie, nie mając pojęcia, kim jestem?

— Nie myśleliśmy o tym w ten sposób — powtórzyła Gloria stanowczo. — Nie myśleliśmy, że to było „ok”. Rozważaliśmy dwie możliwe opcje, obie równie trudne do przyjęcia, ta była najlepsza.

— Chcesz chyba powiedzieć, że najlepsza dla was?

— Nie tylko dla nas, dla wszystkich. Żebyśmy mogli się stać szczęśliwą rodziną.

Melody wpatrywała się z niedowierzaniem w Glorię. Czy naprawdę właśnie w to wierzyła ta głupia, miła, nerwowa, drobniutka kobieta, że ten ich przedmiejski maleński oddział mógł być szczęśliwszą opcją?

— Szczęśliwą rodziną? — uniosła się. — Czy to, do cholery, była szczęśliwa rodzina? Bez historii? Bez korzeni? Rodzina, która utknęła w ślepych zaułku w Canterbury, zbyt wystraszona, by wpuścić kogośkolwiek do środka w obawie przed zepsuciem tego mirażu? Nie byliśmy szczęśliwą rodziną, byliśmy jedynie trójką ludzi zachowujących pozory. I wiesz, co jest najsmutniejsze? Gdybyście mi pozwolili wiedzieć, pozwolili mi na ten przywilej zachowania własnej tożsamości,

mogłabym być z wami szczęśliwa, ponieważ wiedziałabym, co dla mnie zrobiliście. I nie czułabym się z wami uwięziona. Miałabym też innych ludzi, którzy by się o mnie troszczyli. Spotkałam teraz ich wszystkich, ludzi, których mi ukradliście, i oni wszyscy mnie pamiętają i jestem dla nich ważna, i już czuję się milion razy bardziej wyjątkowa niż kiedykolwiek przedtem, z ich powodu, i gdybym w ten sposób mogła się czuć przez całe dzieciństwo, być może nie skończyłabym jako nastoletnia matka i pieprzona posługaczka w kuchni, a ty i ja wciąż byłybyśmy, sama wiesz, matką i córką.

Nastąpiła krótka cisza, a Gloria załkała cicho.

— Wiedziałam od chwili, kiedy tamtej nocy opuściłaś dom, wiedziałam, że popełniliśmy błąd. I żyłam z tym od tamtego czasu. Niczego bardziej w życiu nie żałuję. A teraz, no cóż, nie oczekuję, że uratujemy cokolwiek z tego straszego bałaganu, ale naprawdę pomogłoby mi to, gdybym wiedziała, że jesteś w stanie nie tyle wybaczyć nam, co może spróbować zrozumieć, dlaczego tak postąpiliśmy.

Melody zamilkła. Para w jej głowie zaczęła opadać. Pomyślała o tej kobiecie, drobnej i załamanej, kompletnie samotnej, otoczonej jedynie zdjęciami dawno utraconej rodziny, ukochanym mężem i córką uciekinierką i poczuła, jak coś w środku niej zmiękło. Pomyślała o elektryzująco niebieskich spodniach i białej, bawełnianej pirackiej koszuli, uszytych przez Glorię na jej pierwszą dyskotekę w wieku trzynastu lat, jej strój budził zazdrość u każdej jednej dziewczyny w szkole; pomyślała o zatajonym podnieceniu następnego lata podczas wyprawy do Boots po olbrzymią paczkę podpasek z okazji jej pierwszej miesięczki. Pomyślała o swoim przyjęciu na czternaste urodziny, jak zdołała namówić Clive'a i Glorię, by pozwolili jej samodzielnie podjąć gości, i jaka Gloria była dumna, kiedy o dwudziestej drugiej wrócili do pustego, czystego i posprzątanego domu i jedynie mała plama Um Bongo na podłodze w dużym pokoju i kreska niebieskiego tuszu do rzeź na obrusie świadczyły o imprezie. „To tak miło wiedzieć, że mo-

żemy ci zaufać, Melody, to dla nas tyle znaczy", powiedziała, przeskakując posprzątaną dom. A potem pomyślała o twarzy mamy w niespełna rok później, kiedy zobaczyła Tiffa z kamienną, zbuntowaną miną na bucującym skuterze. „Nie tego pragnęłam dla ciebie. Stać cię na znacznie więcej", powiedziała łagodnie.

Pomyślała o dziesiątkach innych momentów wypełnionych cierpliwością, dumą, uwagą i miłością Glorii. Zdała sobie sprawę, że choć nigdy nie czuła rodzicielskiej więzi z tą kobietą, że nie czuła w sobie tego, co powinna czuć córka do matki, to niezliczona ilość faktów świadczyła o tym, że Gloria była naprawdę dobrą mamą. I z tą myślą wzięła głęboki oddech i powiedziała:

— Ok, postaram się. Ale nie mogę nic obiecać.

Przed wyjściem Gloria podała jej kopertę.

— Dla ciebie.

— Co to jest? — Melody spojrzała na nią pytająco.

— Otwórz.

Melody wyciągnęła z koperty arkusz kremowego pergaminu.

— To twój akt urodzenia — wytłumaczyła Gloria. — Trzymałam go przez te wszystkie lata, zawsze myślałam, że pewnego dnia wrócisz po niego, że będziesz go potrzebować. Przy podaniu o paszport albo o pracę. Zawsze myślałam, że to będzie ten moment, że wtedy o wszystkim ci powiem.

Melody nigdy nie była za granicą. Nigdy nie potrzebowała paszportu. Wpatrywała się w detale wypisane trzydziestotrzyletnim atramentem, imiona prawdziwych rodziców, nazwę szpitala w południowej części Londynu, gdzie się faktycznie urodziła, adres w Londynie, SW8, pod którym faktycznie spędziła pierwsze pięć lat życia.

Mogła już wcześniej poznać prawdę. Wystarczyło poprosić o ten kawałek papieru i wiedziałyby wszystko. Ale nigdy tego nie zrobiła. Złożyła pergamin i wsadziła go do koperty.

— Dziękuję. Przyda mi się. Dziękuję. — A potem pocałowała drobną kobietę w peruce w pudrowany policzek i zostawiła ją w drzwiach domu w Canterbury, samotną, ale już niepograżoną w rozmyślaniach.

Po powrocie do domu późnym popołudniem Melody usiadła na chwilę, by wsłuchać się w swoje emocje. Słońce zalało sypialnię złocistym światłem i rozświetliło lustro. W rogu lustra wisiał naszyjnik, ten, który przed laty ukradła ze szkatułki Glorii, ten, który zabrała do lombardu, kiedy Ed miał dwa miesiące, by dostać trochę gotówki na opłacenie rachunków. Już wyciągała rękę po zaproponowane pięć funtów, gdy coś ją powstrzymało. Poczowała, że musi zabrać naszyjnik z lady, i wsunęła go z powrotem do torebki. Nigdy tak naprawdę nie zastanawiała się nad tamtą chwilą, ale dziś rozumiała, co się wydarzyło. Chodziło o jej matkę, esencję tego, kim była i co reprezentowała. Musiała zatrzymać choćby jedną małą rzecz, która kiedyś dotykała skóry matki i wciąż, co niesamowite, miała jej zapach. Naszyjnik stał się talizmanem. Został z nią, by pod nieobecność rzeczywistej matki otoczyć ją, w dziwny i niepojęty sposób, opieką.

Przepelniona tym przeświadczeniem Melody wstała z łóżka, otworzyła drzwi szafy i uklękła, by podnieść z jej dna pudełko, które dostała od cioci Susie. W tym pudle, jak sobie wyobrażała, kryła się esencja jej drugiej matki, prawdziwej matki. Położyła pudło na łóżku i bardzo powoli, z delikatnie przyspieszonym biciem serca odlepiła zabezpieczającą taśmę. Zerknęła do środka i bardzo powoli wyciągała pojedynczo jego zawartość. Najpierw parę szerokich džinsów, jasnoniebieskich, zdartych na kolanach. Na metce widniał napis Lee i rozmiar 36. Potem luźna tunika, granatowy poliester z jasnoniebieskim nadrukiem, lekko poplamiony pod pachami, z szarzejącą satynową metką, na

której widniał napis Dorothy Perkins. Po sukience wyciągnęła płaszcz. Niebieski dzins z czarnym, popaćkanym nadrukiem i dopasowanym paskiem. Melody rozpoznała go natychmiast. Głowę, na ułamek sekundy, osaczyła myśl: to płaszcz mamy.

Wsadziła ręce do kieszeni płaszcza i wyciągnęła pomiętą chusteczkę, tubkę balsamu do ust i miętówkę. Trzymała te przedmioty w dłoni przez chwilę i wpatrywała się w nie. Gdzie była mama, kiedy kupowała te miętówki? Kiedy po raz ostatni wytarła nos w tę chusteczkę, posmarowała usta balsamem?

Pod ubraniami (wśród których znalazła pełen komplet bielizny z Marks & Spencer, parę beżowych skarpetek z dziurami w obu piętach) leżała kwiecista kosmetyczka, w której znalazła dezodorant, pastę do zębów Crest i dość sfatygowaną, turkusową szczoteczkę, pilniczek do paznokci w kolorze terakoty i drewnianą szczotkę do włosów, pełną szorstkich brązowych włosów. W końcu, na samym dnie pudła znalazła dużą, szarą kopertę. Otworzyła ją i wysypała zawartość na łóżko.

Były tam trzy małe koperty, jedna z imieniem Romany, druga z imieniem Amber i trzecia z imieniem Melody, wypisane starannym piśmem, bardzo podobnym do jej pisma.

Melody poczuła dreszcz ekscytacji, który towarzyszy dzieciom przy otwieraniu prezentów. Co znajdzie — kosmyki włosów, mleczne zęby, listy wypełnione słowami czulej, kochającej mamy?

Przez chwilę wahała się, od której koperty zacząć. Wybrała Amber, bo ona nie była prawdziwa. Rozerwała przestarzałe lepkie zamknięcie i trzęsącymi się dłońmi wyjęła rzeczy ze środka: fotografię Edwarda Jamesa Masona wyciętą z gazety, różowy bucik i kosmyk brązowych włosów przylepiony do małego kartonika.

Potem otworzyła kopertę ze swoim imieniem. Przez szary papier koperty formatu A5 wyczuła linie listu i stwierdziła, że już wystarczająco długo czekała, by wysłuchać tego, co Jane Ribblesdale miała jej

do powiedzenia. Spoconymi palcami otworzyła kopertę. W środku znalazła pukiel kasztanowych włosów, maleńką białą rękawiczkę, plastikową szpitalną bransoletkę z napisem „FI Jane Ribblesdale 3 listopada 1972,5.09”. Była też jeszcze mniejsza koperta z jej imieniem napisanym mniej pewnym pismem. Melody wciągnęła głęboko powietrze i otworzyła ją. List został napisany na liniowanym papierze, ale słowa nie trzymały się linii. Biegły przez kartkę nierówno, prawie tak jakby były pijane. Melody musiała się skupić, by odszyfrować gryzmoły.

Moja najdroższa, najukochańsza Melody

Jak się masz? Miałam napisać do ciebie już dawno, ale dni tutaj są takie skomplikowane i jak tylko zaczynam to trzeba gdzieś iść albo jeść, albo połknąć jeszcze więcej tych diabelskich pigulek. Ale jak ty się czujesz? Myślę o tobie często moja kochana dziewczynko i zastanawiam się jak ci jest z twoją nową rodziną. Czy są dla ciebie mili? Jestem pewna, że tak, myślę, że to są moi kuzyni, więc są tak dobrzy jak rodzina i może pewnego dnia już niedługo może wypuszczą mnie stąd i ty i ja znów będziemy razem. Chciałabyś? Próbują mi pomóc bym poczuła się lepiej, ale nie jestem tego pewna. Chciałabym wytłumaczyć tobie czym było dla mnie te ostatnich kilka lat, ale nie jestem pewna czy potrafię. To było jak mgła, mała dziewczynko, wielka, długa mgła a ty byłaś taka dobra. To ma coś wspólnego z dziećmi, wiesz, coś z całym tym czasem i wysiłkiem potrzebnym by je stworzyć, całym tym oczekiwaniem i nadzieją i to jak się czują, kiedy są w tobie i tymi wszystkimi marzeniami i zastanawianiem się i oczekiwaniem a wtedy los krzyżuje ci plany i zabiera je tobie, zabiera wszystko, co dobre, zostawia cię z niczym, z pustą dziurą, pustymi ramionami, pustym sercem wiesz może niektórzy ludzie potrafią odnaleźć rzeczy by znów się zappełnić, ale ja nigdy nie mogłam, nawet tobą, ty byłaś zawsze taka dobra w odnajdowaniu innych ludzi, którzy się tobą zajmowali, taka z ciebie urocza mała dziewczynka.

Bardzo za tobą tęsknię i tęsknię za Kenem i domem, ale jest mi tu lepiej. Chcę żeby mi się poprawiło, ale nie jestem pewna czy to się stanie, tyle czarnych dziur jest w mojej głowie mała dziewczynko, tyle złych rzeczy. Dzięki Bogu, że nie jesteś taka jak ja, ty jesteś córeczką tatusia, zawsze nią byłaś, gdyby tylko nie wyjechał i cię nie zostawił, nigdy nie powinien był wyjeżdżać przede wszystkim z tamtą kobietą przynajmniej ona zdołała zrobić ci siostrzyczkę, a nie jak ja, biedna Romany, a potem biedna mała Amber, odeszła w dwunastym tygodniu, na całej podłodze w łazience, jak miałam powiedzieć Kenowi że straciłam jego dziecko, biedne małe dzieciątko Amber a potem mój okropny grzech, zabrałam dziecko tej dziewczyny, jaką straszną osobą się stałam, nie jestem dobra dla ciebie, dla nikogo. Ten długopis chyba się wypisuje. Przepraszam. Kocham cię Melody, jesteś moją małą dziewczynką. Bądź grzeczna. Całuję Mamusia

Melody siedziała skamieniała przez chwilę, trzymała w dłoniach otwarty list i próbowała złożyć obraz mamy z tych porozrzucanych słów, kupy nieładnych ubrań i zdjęć, które widziała w gazetach. W chaotycznym sposobie ubierania się Jane, w wytłumaczeniu swojego nieszczęścia, które doprowadziło ją do uwięzienia w zakładzie dla psychicznie chorych i ostatecznie do samobójstwa, a nawet w kwiecistej kosmetyczce Melody widziała coś dziecinnego. Nie miała wątpliwości, że ta kobieta nie była zdolna zajmować się nią właściwie. Pod jej opieką nie byłoby skautów, ciast, wizyt w profesjonalnych zakładach fryzjerskich i perfekcyjnie zorganizowanych urodzin. Przede wszystkim jednak Melody przytłoczyło poczucie empatii. Wróciła myślami do pierwszych miesięcy życia Eda, wypełnionych nieprzerwanym lękiem przed utraceniem syna. Bała się podczas każdej popołudniowej drzemki czy wizyty w supermarkecie. Jane Ribblesdale doświadczyła najgorszej rzeczy, jaka może spotkać matkę: trzymała swoje dziecko w ramionach, a potem patrzyła, jak umiera. Nie było nic gorszego, myślała Melody, nic gorszego na całym świecie.

Odłożyła list na bok i na kolanach położyła trzecią kopertę z imieniem Romany. To, jak powiedziała Emily, był początek wszystkiego. Otworzyła ją i stłumiła okrzyk na widok zawartości: kolejna biała plastikowa bransoletka, ususzony pąk róży w wyblakłym kolorze i zdjęcie. Nie spodziewała się zdjęcia. A oto patrzyła na maleńką siostrzyczkę, bledziutką, skóra w kolorze tempery, głowa łysa i pokryta plamami, rączki zaciśnięte w maleńkie piąstki, wpatrywała się prosto w obiektyw niesamowicie ogromnymi oczyma. Na odwrocie zdjęcia było napisane: *Romany Rosebud, 4 stycznia 1977*. Zdjęcie zostało zrobione zaraz po jej urodzeniu, być może zanim rodzice dowiedzieli się, że córka jest chora, być może wtedy, kiedy wciąż byli jeszcze szczęśliwi i ich życie toczyło się w zupełnie innym kierunku.

Melody przybliżyła do siebie zdjęcie i wpatrywała się głęboko w oczy siostry.

— Witaj — wyszeptała — witaj, Romany. Jestem twoją dużą siostrą. Wspaniale cię poznać, jesteś bardzo śliczna, naprawdę bardzo śliczna...

Przez jakiś czas Melody siedziała otoczona ubraniami o wilgotnym zapachu, należącymi do zmarłej mamy, w dłoniach ścisnęła zdjęcie maleńkiej siostrzyczki i szczerze płakała.

Spojrzała na wiszący przy oknie portret hiszpańskiej dziewczyny i uśmiechnęła się do niej.

— Ty wiedziałaś — zganiała ją łagodnie — wiedziałaś wszystko i nigdy mi nie powiedziałaś.

Potem z powrotem wsadziła przedmioty do pudełka, wsunęła zdjęcie zmarłej siostrzyczki za lustro przy toalecie obok naszyjnika mamy i poszła poszukać syna, by opowiedzieć mu całą historię.

ROZDZIAŁ 53

Teraz

ZGODNIE Z ZAPOWIEDZIAMI następny dzień rozpoczął się jasnym i ciepłym świtem. Melody pozwoliła spać Edowi do południa, a potem obudziła go tostami z jajkiem i bekonem, kubkiem herbaty i górą prezentów. Uśmiechnął się, kiedy zobaczył ją siedzącą na jego łóżku.

— Dobry — powiedział.

— Dobry — powtórzyła. — I jak to jest czuć się mężczyzną?

Znow się uśmiechnął.

— Nawet fajnie. A jak to jest być mamą mężczyzny?

Roześmiała się.

— Cholernie dziwnie. Nie jestem tylko pewna, jakim cudem znaleźliśmy się tutaj tak szybko.

— Dla mnie to wcale nie było szybko. Mam wrażenie, że całe swoje życie byłem bachorem!

Wziął od niej kubek z herbatą i ułożył tackę na kolanach.

— Dzisiaj wszystko wydaje się takie inne — powiedział — nie dlatego, że są moje urodziny, ale z powodu tego wszystkiego, co mi wczoraj opowiedziałaś. Czuję się taki... podekscytowany.

— Naprawdę?

— Tak! Przecież moje całe życie było takie wybrakowane, no wiesz, nie było mojego ojca, moich dziadków, ale miałem ciebie, więc było ok, a teraz to się zmieniło, nagle, ci wszyscy nowi ludzie, ta cała... historia. Mam wrażenie, że życie się dopiero zaczyna, wiesz, o co mi chodzi?

Melody pogłaskała go po głowie i skinęła głową.

— Tak. Wiem dokładnie, o co ci chodzi.

— Dzwoniłaś do niej?

— Do Emily?

— Tak.

— Tak. I przyjdzie. Mówi, że się urwie z pracy. Nie może się doczekać, by cię poznać. I Ben też przyjdzie. Idzie dziś do lekarza sprawdzić, jak się ma jego nadgarstek, i dotrze zaraz po wizycie.

— Super. — Ed sięgnął po sztucce.

— Nie otworzysz prezentów?

— Chcesz, żebym to zrobił?

— Tak — uśmiechnęła się. — Dalej.

Najpierw rozpakował iMaca.

— Rewelacja! Dzięki, mamó.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował w policzek. A potem odpakował drugi prezent. Melody wstrzymała oddech. Był to mały album fotograficzny, wypełniony poprzedniej nocy bezcennymi zdjęciami. Wkleiła zdjęcie Eda w jej ramionach zrobione w nocy, kiedy się urodził, zdjęcie Melody na plaży, które dostała od Grace, zdjęcie jej ojca, które przysłała jej Emily dzień po ich spotkaniu, zdjęcie małego Eda z Cleo i Charlie, zdjęcia Jane Ribblesdale, prawdziwej babci Eda wycięte z gazet, wydruk zdjęcia Melody i Emily, które miała w telefonie, a na ostatniej stronie Romany Rosebud, jego perfekcyjnie ukształtowana, maleńka ciocia.

— Chciałabym, żebyś to zatrzymał na zawsze i uzupełniał ten album zdjęciami, które naprawdę coś dla ciebie znaczą. Nie takimi ob-

razkami z imprez z kolegami, ale te najważniejsze rzeczy, twoja pierwsza miłość, twoje pierwsze dziecko, ukochane momenty.

Melody spojrzała na syna. Wiedziała, że ten prezent nie wzbudził w nim tyle entuzjazmu co iMac i najprawdopodobniej zastanawiał się, dlaczego podarowała mu coś takiego. Melody wiedziała też, że nadejdzie kiedyś taki dzień, iż doceni wartość tego albumu, że kiedy będzie starszy i rozpocznie własną historię, pokaże te zdjęcia swoim dzieciom i opowie o cioci, której nie miał szansy poznać, o babci, pokonanej przez osobistą tragedię, o dziadku, który nie zdążył uporządkować rzeczy, tak jak należało.

— Dzięki, mamó — przeglądał karty albumu. — Następna strona... — wskazał na pustą kartę — Tiffany Baxter!

— Jeśli ta panna ma choć trochę rozumu — zgodziła się Melody. Objęła go ramionami, przyciągnęła do siebie przytuliła go tak mocno, jak tylko jej na to pozwolił.

Dwie godziny później Melody i Ed dotarli do Lincolns Inn i na miejscu zastali Stacey, Petea i dzieci. Zdążyli rozłożyć już swingball, koce i otworzyć butelkę szampana. Stacey zawsze starczało pieniędzy na jej ekstrawagancką słabość do szampana. Naprawdę niewiele okazji nie zasługiwało na odkorkowanie bąbelkowej butelki.

— Wspaniały dzień! — zapiszczała, pędząc w stronę Melody z pełnym kieliszkiem i otwartymi ramionami. Przytuliły się, a Melody zauważyła, że przyjaciółka odświeżyła oddech miętową gumą. Wzięła kieliszek szampana z rąk Stacey i spojrzała na nią pytająco.

— Masz mi coś do zakomunikowania?

— A tak — Stacey uśmiechnęła się. — Jestem oficjalnie w ciąży. Sześć tygodni. I czuję się do dupy. Hej!

— Hej! — zgodziła się Melody i uściskała przyjaciółkę. — To fantastycznie! Jesteś szczęśliwa?

Stacey wzruszyła ramionami.

— No. Jestem. Co prawda nie powiem, że cieszę się na myśl o rozdętym ciele, a w głowie mi tylko fajki i procenty, ale kolejne dziecko tak, nie mogę się doczekać!

Melody również nie mogła się doczekać. Ostatnie dziecko, Clover, pojawiło się trzy lata temu. Melody czuła, że dla jej serca pełnego małych dziurek, w których powinny być dzieci, wiadomość Stacey nie mogła pojawić się w lepszym momencie.

— To wspaniale — znów przytuliła przyjaciółkę. — Tak się cieszę, naprawdę. Mogę powiedzieć innym?

— Pewnie, że możesz. Zresztą wszyscy się pokapują, jak tylko zobaczą mnie bez papierosa, więc nie ma na co czekać. A co z tobą? Ciągłe bez fajek?

— Tak — odparła Melody — kilka dni temu zapaliłam jednego i to tylko upewniło mnie, że nie chcę już palić.

— Dziwne, naprawdę dziwne.

— Wiem. To wszystko jest dziwne, naprawdę bardzo dziwne. — I już miała zacząć swoją opowieść, co się z nią działo przez ostatnie dwa tygodnie, kiedy ktoś poklepał ją po ramieniu. Odwróciła się i zobaczyła Emily.

— Cześć. Sorry, że jestem za wcześnie.

Oczy Stacey przeskakiwały z twarzy Melody na twarz Emily i robiły się coraz bardziej szerokie.

— O mój Boże — odezwała się, zanim Melody zdążyła przedstawić Emily. — Wyglądacie jak bliźniaczki!

Melody i Emily uśmiechnęły się do siebie, a potem do Stacey.

— Emily — powiedziała Melody — to jest Stacey. Moja najlepsza przyjaciółka. Tam jest Pete, jej mąż, a to jej dzieci: Cleo, Charlie i Clover. I tutaj — poklepała brzuch Stacey — chowa się jeszcze jedno.

— Och — Emily patrzyła z niedowierzaniem — gratuluje.

— Dziękuję — odpowiedziała Stacey, rzucając Melody zaciekawione spojrzenie.

— Stacey — Melody zwróciła się do przyjaciółki — to jest Emily. Moja młodsza siostra.

Oczy Stacey znów zaczęły skakać po twarzach Melody i Emily, na jej obliczu odmalowało się zakłopotanie.

— Hmm, mogłabym się tego domyślić. A powód, dla którego przez osiemnaście lat nie powiedziałaś mi o swojej młodszej siostrze, to...?

Melody uśmiechnęła się i ujęła przyjaciółkę za rękę.

— Dużo się wydarzyło przez ostatnie kilka tygodni. Pomóż mi rozpakować jedzenie i wszystko ci opowiem.

Melody pomyślała, że to popołudnie jej się śni. Nieustannie świeciło słońce, strumieniami płynął szampan i piwo, a rodzina Stacey nie posłużyła Melody jako substytut własnej rodziny. Dzisiaj otoczyła się swoimi najbliższymi. Ben, wysoki i przystojny, garnitur zredukowany w gorącym słońcu do bladoniebieskiej koszuli, rozpiętej, podciągnięte rękawy, eleganckie spodnie, gołe stopy; Emily, rozchichotana szampanem i ekscytacją bycia tam, gdzie zawsze pragnęła być, i piękny syn Melody, rozebrany do pasa i skaczący w niebo za frisbee, jego młode ciało naprężone i uniesione, gotowe, by zawojować świat.

Widziała, jak Pete delikatnie głaszcze nadal płaski brzuch żony, a Cleo i jej chłopak siedzieli spleceni pod drzewem i jedli truskawki z miseczki. Clover kręciła się z piskiem na karuzeli, za którą posłużył jej

starszy brat Charlie, a szkolni przyjaciele Eda, dzieci, którym serwowała fasolę i frytki każdego dnia, odkąd skończyli jedenaście lat, siedzieli w małych grupkach, korzystali z bufetu Melody, pili piwo z butelek i flirtowali ze sobą.

Melody i Stacey schowały się za drzewo, zapaliły świece na wielkim, czekoladowym cieście przygotowanym przez Stacey i przyniosły je, wyśpiewując *Sto lat*. Melody wpatrywała się z podziwem w twarz syna zdmuchującego osiemnaście świeczek. Przypominała sobie, jak dmuchał w świece, świętując trzecie, piąte, dziesiąte urodziny, te same policzki wypełnione powietrzem, ten sam skoncentrowany wyraz twarzy, ten sam piękny profil, dzięki któremu kilkanaście lat temu mogła myśleć jedynie o jego nieobecnym ojcu, a który teraz przypomniawszy jej mężczyznę o imieniu John Ribblesdale i kobietę Jane Newsome, i poczuła się jeszcze bardziej dumna niż kiedykolwiek przedtem.

Ciasto zostało podzielone na duże kawałki i rozdane na papierowych talerzach. Ben usiadł obok Melody i objął ją ramieniem. Spodobało się jej to i delikatnie przytuliła swoje ciało do jego. Po drugiej stronie koca widziała Eda, jak rozmawiał z Tiffany Baxter, obiektem swoich westchnień. O ile więcej mógł jej teraz zaoferować: nie tylko matkę, ale matkę z korzeniami, matkę stojącą na progu czegoś nowego i wspaniałego, prawdziwą rodzinę.

Emily usiadła obok niej i Bena, skrzyżowała nogi. Melody była zdumiona, że siostra traktowała obecność mężczyzny w jej życiu jako najbardziej naturalną i oczekiwaną rzecz.

— Jejku — Emily rozglądała się dookoła — naprawdę kocham twój świat!

I to było właśnie to, pomyślała Melody, to było dokładnie to, zwięźle i trafnie. Melody zawsze kochała syna, kochała przyjaciół i mieszkanie, ale do tej chwili nie kochała swojego świata. A co waż-

niejsze, dopiero po odblokowaniu drzwi jej pamięci przez pomarańczowego palanta w moherowym garniturze, pokochała siebie.

Melody objęła drugim ramieniem siostrę i siedziała tak przez chwilę, bezpieczna, szczęśliwa, pełna szampana, czekoladowego ciasta i nadziei na przyszłość.

Melody Browne umarła! Niech żyje Melody Ribblesdale!

TLR

Epilog

Sierpień teraz

TAKSÓWKARZ ODMÓWIŁ kontynuowania jazdy po brudnej wyboistej drodze, która prowadziła na farmę, i wyrzucił Melody i jej plecak na poboczu. Mimo to postąpiła według instrukcji, by dawać napiwki każdemu, kogo napotka na swojej drodze, i wręczyła mu kilka monet.

Spojrzała na drogę z rezerwą. Wydawało się niemożliwe, że gdzieś tam stał dom zamieszkiwany przez żywych ludzi, ale z pewnością dojechała do właściwego miejsca, chyba że istniała jeszcze jedna zakurzona ścieżka przy młynie z napisem „El Durado”. Zarzuciła plecak na ramię i zaczęła maszerować, popołudniowe słońce piekło niczym kula ognia, pot zalewał jej plecy, a pod rękawami T-shirtu pojawiły się wilgotne plamy.

Plecak pożyczyła od Bena. Podrapany, znoszony, obwieszony plakietkami z samolotu. Plecak Bena jeździł po świecie znacznie więcej niż Melody. Ben odprowadził ją na lotnisko o piątej czterdzieści tego ranka, miał zapuchnięte oczy, ale się uparł. „Chcę patrzeć, jak odlatujesz. Chcę zobaczyć, jak wyglądasz teraz, kiedy w końcu odnalazłaś swoje skrzydła”.

Maszerowała całe pięć minut, aż wreszcie stwierdziła, że znalazła się w zupełnie złym miejscu i że umrze tutaj z upału i odwodnienia, a jej ciało zostanie natychmiast zaatakowane przez sepy krążące nad głową, a kości wybielą się w ostrym hiszpańskim słońcu. Gdy zaczęła ulegać panice, dostrzegła na horyzoncie kilka rustykalnych niskich budynków, kępę drzew figowych, ścieżkę z rosnącą obok winoroślą, linkę z praniem, trzy małe białe kozy skupione dookoła metalowej puszeki, biały kamper, motorower i po lewej stronie stary zardzewiały motor z

przyczepką. Poczula szamotanie serca. Definitywnie znajdowała się we właściwym miejscu.

Podeszła bliżej, a wtedy przywitała ją z uśmiechem ciemnowłosa kobieta. Była bardzo szczupła, mniej więcej w wieku Melody, ubrana w luźne džinsy i kwiecisty top na ramiączkach.

— *Hola!* — zawołała.

— *Hola!* — odparła Melody. — *Hello!* Mówisz po angielsku?

— Tak — odparła kobieta. — Mówię perfekcyjnie po angielsku. Na imię mam Beatriz. Mogę ci jakoś pomóc?

— Tak, hmm, szukam Kena? Ken Stone. Jest tutaj?

— Ken, tak, jest. Kim jesteś? — zapytała przyjacielskim tonem.

— Och, mam na imię Melody, jestem starą znajomą, jestem jakby... niespodzianką.

Za nogami Beatriz ukazała się mała dziewczynka z ciemnymi włosami i niebieskimi oczyma. Przyglądała się Melody z zaciekawieniem.

— *Hello!* — zawołała Melody. — To znaczy *hola!*

Dziewczynka mrugnęła, a potem wbiegła do domu.

— To Daria. Jest trochę nieśmiała. Chodź ze mną.

Melody podążyła za Beatriz do środka. Po opowieściach Grace i Seta spodziewała się rustykalnej prostoty, ale kompletny brak nowoczesności we wnętrzu mimo wszystko zaskoczył ją. Kuchnia składała się z trzech ścian z otwartymi półkami, starej gazowej kuchenki i zlewu w kredensie. Czysty beton na podłodze miejscami okrywały wytarte plecione dywaniki. Dwoje innych dzieci siedziało przy starym stole na środku kuchni, jadły pomarańcze i czytały komiks. W środku panował przyjemny chłód i ładny zapach pieczonego mięsa i pomarańczy.

Beatriz poprowadziła Melody przez dom, a potem ścieżką otoczoną pomarańczowymi drzewkami i starymi, wyblakłymi od słońca meblami ogrodowymi. Po drugiej stronie ścieżki stał mniejszy dom, przed którym na taborecie siedział wysoki szczupły mężczyzna z długimi włosami i miłą, choć zniszczoną twarzą. Cesał gęstą sierść największego psa, jakiego Melody kiedykolwiek widziała w życiu. Na dźwięk kroków podniósł wzrok i zmrużył oczy.

— *Hola!* — zawołał.

— *Hello* — Melody uśmiechnęła się nieśmiało.

Mężczyzna wstał ze stołka i zbliżył się o kilka kroków.

Wciąż marszczył czoło, zastanawiając się, skąd zna twarz Melody.

— Znam cię — odezwał się po chwili.

— Tak — odparła — i to dobrze.

— O mój Boże! — Jego niebieskie oczy zabłyszczały od łez. — To ty, prawda? To ty.

— To zależy, o kim myślisz.

— Melody! To Melody. O mój Boże! — Podbiegł do niej, chwycił ją w ramiona i wpatrywał się w nią, chłonąc każdy szczegół jej twarzy. — Wiedziałem! Wiedziałem, że przyjedziesz. Śniłaś mi się w zeszłym tygodniu. Że ty i ja spotkaliśmy się na łodzi, przez przypadek, że masz dwanaścioro dzieci i że pofarbowałaś włosy na blond! Nie masz chyba dwunastki dzieci, co?

Zaśmiała się.

— Nie, tylko jedno. I nigdy nie pofarbowałam włosów na blond.

— To jak historia z książki. To najbardziej perfekcyjny moment. Beatriz! — Przyciągnął do nich ciemnowłosą kobietę. — To Melody. Pamiętasz, opowiadałem ci o niej, o tej małej dziewczynce, która kie-

dyś mieszkała ze mną nad morzem, to ta mała dziewczynka, którą próbowałem zaadoptować. To ona! To ona! Przyjechała tu!

Melody uśmiechnęła się do Beatriz, a potem do Kena i wpatrując się w niego, poczuła, jak coś ciepłego owija jej serce. Martwiła się, że prawdziwy Ken nie będzie Kenem z jej wspomnień, że spotka tu starego, zgorzkniałego mężczyznę, z porażką życia na karku, mężczyznę, przed którym przestrzegali ją Matthew. Ale wiedziała już, że Ken miał w sobie wszystko to, co pamiętała i na co miała nadzieję. Otworzyła szeroko ramiona, na które czekał Ken.

Prawdziwa historia Melody dopełniła się.

TLR